

**Mary Higgins  
CLARK**

**SYNDROM  
ANASTAZJI**

**Przełożył  
Marek Mastalerz**

**Prószyński i S-ka\**

**Warszawa 2002**

# Spis treści

Syndrom Anastazji . . . . .	9
Koszmar na zjeździe absolwentów. . . . .	119
Szczęśliwy dzień . . . . .	172
Podwójne widzenie . . . . .	195
Zagubiony aniołek . . . . .	222

# Syndrom Anastazji

**Z**mieszaniną niechęci i ulgi Judith zamknęła książkę, którą właśnie studiowała, i odłożyła pióro na wierzch grubego notesu. Pracowała wytrwale od wielu godzin; gdy odepchnęła staromodny obrotowy fotel i wstała zza biurka, poczuła, że zeszywniał jej kręgosłup. Dzień był pochmurny. Judith już dawno włączyła silną lampkę na biurku, którą zastąpiła wiktoriańską lampę z wyszukany abażurem, stanowiącą element wyposażenia wynajętego umeblowanego mieszkania w londyńskiej dzielnicy Knightsbridge.

Prostując ręce i ramiona, podeszła do okna i wyjrzała na Montpelier Street. O wpół do czwartej szarość styczniowego dnia zlewała się już z zapadającym zmierzchem, a lekkie drżenie szyb świadczyło, że wciąż wieje silny wiatr.

Judith uśmiechnęła się podświadomie, przypominając sobie odpowiedź na list z pytaniem o warunki wynajmu tego mieszkania:

*Droga Judith Chase*

*Mieszkanie będzie wolne od 1 września do 1 maja. Pani referencje są jak najbardziej satysfakcjonujące i bardzo miło mi słyszeć, że będzie Pani się zajmowała pisaniem nowej książki. Wojna domowa w siedemnastowiecznej Anglii okazała się cudownie inspirującym tematem dla romantycznych pisarzy; z zadowoleniem dowiedziałam się, że wybrała go również poważna autorka historyczna. Mieszkanie jest bezpretensjonalne i przestronne. Myślę, że uzna je Pani za odpowiednie. Winda często się psuje, jednakże trzy piętra to chyba nie za wielka przeszkoda do pokonania, prawda? Osobiście wolę wchodzić po schodach.*

List kończył się wyrafinowanym, przypominającym pajęczą sieć podpisem: „Beatrice Ardsley”. Judith wiedziała od wspólnych przyjaciół, że lady Ardsley ma osiemdziesiąt trzy lata.

Dotknęła czubkami palców parapetu i poczuła przejmująco zimne powietrze, wdzierające się pod drewnianymi ramami. Zadrżała, i pomyślała, że wystarczy jej czasu na gorącą kąpiel, jeśli się pośpieszy. Ulica na zewnątrz była niemal pusta. Nieliczni przechodnie przemykali szybko z wciśniętymi w ramiona głowami i postawionymi kołnierzami. Odwracając się, Judith dojrzała małe dziecko, które przebiegło przez ulicę tuż pod oknem. Przerazona patrzyła, jak drobna dziewczynka potknęła się i upadła na jezdnię. Gdyby zza zakrętu wypadł samochód, kierowca nie zdołałby dojrzeć małej w porę. Jakiś starszy mężczyzna znajdował się w połowie długości ulicy. Judith podciągnęła dolną część okna, by zawołać go na pomoc, ale nagle nie wiadomo skąd pojawiła się młoda kobieta, wyskoczyła na jezdnię, schwyciła dziecko i ukołysała je w ramionach.

- Mamo! Mamo! - dobiegł do Judith płacz dziewczynki.

Przymknęła oczy i ukryła twarz w dłoniach, jakby to ona sama wołała na głos: „Mamo! Mamo!”. Och, Boże. Znowu. Tylko nie to!

Zmusiła się do otwarcia oczu. Jak się spodziewała, kobieta z córeczką znikły. Na ulicy był jedynie starszy mężczyzna, ostrożnie posuwający się chodnikiem.

Telefon zadzwonił w chwili, gdy przypinała diamentową broszkę do zakietu błyszczącego jedwabnego kostiumu. Okazało się, że to Stephen.

- Jak ci dziś szło pisanie, kochanie? - spytał.

- Myślę, że bardzo dobrze.

Judith poczuła, że przyspiesza jej puls. Chociaż miała czterdzieści sześć lat, na dźwięk głosu Stephena serce podskakiwało jej w piersi jak pensjonarce.

- Judith, wypadła mi przeklęta nagła narada rady ministrów. Robi się już późno. Nie będziesz się gniewała, jeśli spotkamy się u Fiony? Wyślę po ciebie samochód.

- Nie rób tego. Taksówką będzie szybciej. Jeśli ty się spóźniasz, to sprawa państwowa. Jeśli ja, to tylko moje roztrzepanie.

- Boże, ale ułatwiasz mi życie! - Stephen roześmiał się i zniżył głos: - Całkowicie zawróciłaś mi w głowie, Judith. Zostanemy na przyjęciu tylko tak długo, jak to konieczne, a potem wybierzmy się na cichą kolację.

- Idealnie. Do widzenia, Stephen. Kocham cię.

Z błakającym się na wargach uśmiechem odłożyła słuchawkę. Dwa miesiące wcześniej usadzono ją na uroczystej kolacji obok sir Stephena Halletta. „Bez dwóch zdań najlepsza partia w Anglii, zapewniła ją gospodyni, Fiona Collins. Oszałamiający wygląd i błyskotliwość. Minister spraw wewnętrznych, ale jest tajemnicą poliszynela, że będzie następnym premierem. Najlepsze ze wszystkiego, droga Judith, jest jednak to, że Hallett jest do wzięcia”.

„Spotkałam Stephena Halletta raz czy dwa w Waszyngtonie przed laty, powiedziała Judith. Kenneth i ja bardzo go polubiliśmy, ale przyjechałam do Anglii pisać książkę, a nie wiązać się z mężczyzną, choćby czarującym”.

„Och, nonsens! - zawołała Fiona. Jesteś wdową od dziesięciu lat i wystarczy. Wyrobiłaś sobie nazwisko jako poważna pisarka. Kochanie, naprawdę miło jest mieć mężczyznę w domu, zwłaszcza jeśli okaże się, że jego adres brzmi: Downing Street Dziesięć. Czuję w kościach, że będziecie ze Stephenem idealnie pasowali do siebie. Jesteś piękną kobietą, Judith, ale zawsze wysyłasz sygnały: «Trzymajcie się ode mnie z daleka, nie jestem zainteresowana». Proszę, nie rób tego dzisiaj wieczorem”.

Judith nie wysyłała podczas kolacji owych sygnałów. Tego samego wieczora Stephen odwiózł ją do domu i wszedł na pożegnalny kieliszek. Wychodząc, pocałował ją lekko w usta. „Jeśli spędziłem przyjemniejszy wieczór w życiu, to sobie tego nie przypominam”, wyszeptał.

Okazało się, że taksówkę nie jest tak łatwo znaleźć, jak się Judith spodziewała. Marzyła przez dziesięć minut, nim wreszcie jakaś się trafiła. Stercząc na chodniku, unikała wyglądania na jezdnię. Stała dokładnie w miejscu, gdzie przez okno widziała upadającą dziewczynkę - albo tylko sobie to wyobraziła.

Dom Fiony, zbudowany w stylu regencji, znajdował się w Belgravii. Fiona była posłanką i cieszyła się, gdy porównywano ją do zgryźliwej lady Astor. Jej mąż, Desmond, prezes imperium wydawniczego o światowym zasięgu, był jednym z najpotężniejszych ludzi w Anglii.

Zostawiwszy płaszcz w szatni, Judith wśliznęła się do sąsiadującej z nią toalety. Nerwowo poprawiła kredką kontur ust i przyglądała kosmyki, które wiatr potargał wokół jej twarzy. Miała wciąż naturalnie ciemnobrązowe włosy; nie zaczęła jeszcze kryć pojedynczych pasm siwizny. Ktoś, kto kiedyś przeprowadził z nią wywiad, napisał o jej oczach, że są szafirowoniebieskie, a porcelanowa cera „ciąż przypomina, że wedle wszelkich dostępnych informacji pisarka jest Angielką z pochodzenia”.

Nadszedł czas przejść do salonu i pozwolić się prowadzić pani domu od grupki do grupki gości. Fiona bezustannie przedstawiała ją w sposób brzmiący jak reklama handlowa: „Moja droga, droga przyjaciółka Judith Chase. Jedna z cieszących się największym prestiżem amerykańskich pisarek. Laureatka Nagrody Pulitzera i American Book Award. Nie mam pojęcia, dlaczego to piękne stworzenie specjalizuje się w rewolucjach, skoro mogę podsunąć jej tyle soczystych ploteczek. Tak czy inaczej, jej książki o rewolucji francuskiej i amerykańskiej są po prostu wspaniałe, a mimo to czyta się je jak powieści. Obecnie zajmuje się naszą wojną domową, Karolem I i Cromwellem. Pogrążyła się w tym bez reszty. Strasznie się obawiam, że wygrzebie również o naszych przodkach jakieś sekrety, o których wolelibyśmy nie mieć pojęcia”.

Fiona powtarzała swój monolog, aż upewniła się, że wszyscy wiedzą, kogo mają przed sobą. Pewne było, że gdy wreszcie pokaże się Stephen, pani domu zacznie krążyć z informacją, że minister spraw wewnętrznych i Judith siedzieli obok siebie na kolacji właśnie tu, w tym domu, a teraz... po czym przewróci oczami i pozostawi resztę w domyśle.

Na progu salonu Judith przystanęła na chwilę, by rozejrzeć się po wnętrzu. Pięćdziesiąt do sześćdziesięciu osób, oceniła szybko. Co najmniej połowa znajomych twarzy: liderzy rządu, jej angielski wydawca, utytułowani przyjaciele Fiony, sławny dramaturg... Przemknęło jej przez głowę, że bez względu na to, jak często wchodzi do tego salonu, zawsze uderza ją wyjątkowa prostota stonowanych obić antycznych sof, muzealna jakość obrazów oraz dyskretny urok długich portier, otaczających przeszklone drzwi do ogrodu.

- Pani Chase, prawda?

- Istotnie.

Judith wzięła kieliszek szampana od kelnera, obdarzając bezosobowym uśmiechem Harleya Hutchinsona, felietonistę i telewizyjną osobowość - czołowego w Anglii plotkarza. Miał niewiele po czterdziestce, był wysoki i szczupły, obdarzony ciekawskimi oczyma barwy orzechów laskowych i wiotkimi brązowymi włosami, opadającymi na czoło.

- Czy wolno mi powiedzieć, że uroczo pani dziś wygląda?

- Dziękuję. - Judith zamierzała przejść dalej.

- Zawsze przyjemnie jest obcować z piękną kobietą, obdarzoną równocześnie doskonałym wyczuciem mody. Czegóż podobnego nie widuje się często w wysokich sferach w tym kraju. Jak idzie pisanie książki? Czy nasza drobna cromwellowska awanturka okazała się dla pani rów-

nie interesująca jak opisywanie francuskich chłopów i amerykańskich kolonistów?

- Och, uważam, że ta „awanturka” niczym nie ustępuje tamtym.

Judith poczuła, jak lęk wywołany halucynacyjną wizją dziecka na jezdni zaczyna ustępować. Niezbyt zawoalowany sarkazm, którym Hutchinson posługiwał się jak bronią, pozwolił jej odzyskać równowagę.

- Niech mi pani powie, pani Chase, czy trzyma pani manuskrypt przy piersi aż do chwili ukończenia książki, czy też udostępnia go podczas pisania? Niektórzy autorzy uwielbiają opowiadać, co danego dnia popełnili. Ile na przykład sir Stephen wie o pani nowej pracy?

- Jeszcze nie przywitałam się z Fioną. - Judith uznała, że nadszedł czas, by opuścić felietonistę. - Przepraszam.

Nie czekając na odpowiedź Hutchinsona, przeszła przez salon. Fiona stała odwrócona do niej plecami. Gdy Judith ją przywitała, odwróciła się i lekko pocałowała przyjaciółkę w policzek.

- Jedną chwileczkę, kochanie - zamruczała. - Wreszcie dopadłam doktora Patela i naprawdę chcę posłuchać, co ma do powiedzenia.

Doktor Reza Patel był psychiatrą o światowej renomie i neurobiologiem. Judith przyjrzała się mu uważnie. Miał około pięćdziesięciu lat i czarne błyszczące oczy o intensywnym wyrazie pod grubymi brwiami. Gdy mówił, często marszczył czoło. Grzywa ciemnych włosów okalała śniade oblicze o regularnych rysach. Nosił elegancko skrojony szary garnitur w prążki. Oprócz Fiony skupiło się wokół niego kilka osób. Wyraz ich twarzy wahał się od sceptycyzmu do podziwu. Judith wiedziała, że Patel potrafi poddać pacjentów w hipnozie regresji do okresu bardzo wczesnego dzieciństwa i nakłonić do dokładnego opisu traumatycznych przeżyć, co uznawano za największy przełom tego pokolenia w psychoanalizie. Wiedziała również, że jego nowa teoria, którą określał mianem „syndromu Anastazji”, poruszyła i zaszokowała świat nauki.

- Spodziewam się, że jeszcze dłuższy czas nie będę w stanie udowodnić tej teorii - mówił właśnie doktor. - Mimo wszystko dziesięć lat temu wielu ludzi wyszydzało moje przekonanie, że połączeniem łagodnej farmakoterapii i hipnozy można usunąć bloki tworzone przez umysł w celu samoobrony. Obecnie ta teza została zaakceptowana i jest powszechnie wykorzystywana. Po co zmuszać kogokolwiek do poddawania się psychoanalizie przez całe lata, by dotrzeć do istoty jego czy jej problemu, skoro można odkryć to w ciągu kilku krótkich wizyt?

- Ale w syndromie Anastazji chodzi o coś zupełnie innego, prawda?  
- zaprotestowała Fiona.

- Innego, lecz wyraźnie podobnego. - Patel zamachał rękami. - Proszę popatrzeć na gości w tym salonie. Typowa angielska śmietanka towarzyska. Osoby inteligentne, obdarzone wiedzą. Sprawdzeni przywódcy. Każdy z nich jest odpowiednim człowiekiem, w którego mogliby wcielić się wielec mężowie stanu minionych stuleci. Proszę pomyśleć, o ile lepiej byłoby na świecie, gdyby mógł nam służyć radą na przykład Sokrates. Proszę popatrzeć, oto sir Stephen Hallett. Moim zdaniem będzie wyśmienitym premierem, ale czy nie byłaby pociechą świadomość, że korzysta z porad Disraeliego lub Gladstone'a\*? Ze w istocie stanowią oni część jego osobowości?

Stephen! Judith odwróciła się szybko, po czym zaczekała, aż Fiona pośpieszy na jego powitanie. Zdała sobie sprawę, że Hutchinson jej się przygląda, więc z rozmysłem została przy Patelu, podczas gdy pozostali się rozproszyli.

- O ile rozumiem pańską teorię, doktorze, Anna Anderson, która twierdziła, że jest Anastazją, była leczona z powodu załamania nerwowego. Pan jednak sądzi, że w trakcie sesji hipnozy, gdy podano jej środki farmakologiczne, mimowolnie uległa regresji i przeniosła się do owej piwnicy w Rosji dokładnie na chwilę, w której wielka księżna Anastazja została zamordowana razem z resztą carskiej rodziny.

- Dokładnie tak mówi moja teoria. - Patel pokiwał głową. - Opuszczając ciało wielkiej księżnej, jej duch nie przeniósł się do innego świata, ale wniknął w Annę Anderson. Ich osobowości uległy połączeniu. Anna Anderson naprawdę stała się żywym wcieleniem Anastazji, zyskując jej wspomnienia, emocje i inteligencję.

- A co z osobowością Anny Anderson? - spytała Judith.

- Nie wydaje się, by doszło do konfliktu. Anna była bardzo inteligentną kobietą i dobrowolnie przyjęła nową pozycję pozostałej przy życiu dziedziczki rosyjskiego tronu.

- Ale dlaczego Anastazja? Dlaczego nie jej matka, caryca, czy któraś z sióstr?

- Bardzo wnikliwe pytanie, pani Chase - uniósł brwi Patel. - Zadając je, trafiła pani dokładnie w jedyny problem, wiążący się z syndromem

\* William Ewart Gladstone (1809-1898), Benjamin Disraeli (1804-1881) - obydwaj pełnili kilkakrotnie funkcję premiera rządu angielskiego z ramienia partii konserwatywnej i są kojarzeni z największą świetnością Anglii jako mocarstwa (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).



Anastazji. Historia mówi nam, że Anastazja była o wiele silniejsza psychicznie i bardziej stanowcza od pozostałych członków swej rodziny. Być może tamci przyjęli śmierć z rezygnacją i przenieśli się w inną płaszczyznę istnienia. Ona jednak nie chciała odejść, walczyła, by pozostać w tej rzeczywistości, i wykorzystała przypadkową obecność Anny, pragnąc utrzymać się przy życiu.

- W takim razie twierdzi pan, że jedyni ludzie, którzy według pana teorii mogą ożyć, to ci, którzy zginęli wbrew własnej woli, a desperacko pragnęli żyć?

- Otóż to. Dlatego właśnie wspomniałem o Sokratesie, którego zmuszono do wypicia cykuty, w przeciwieństwie do Arystotelesa, zmarłego z przyczyn naturalnych. Z tego właśnie powodu w gruncie rzeczy żartowałem, gdy zasugerowałem, że sir Stephen może być właściwą postacią dla duszy Disraeliego. Disraeli umarł w pokoju ducha, ale pewnego dnia zdobędę wiedzę wystarczającą, by przywoływać tych zmarłych, którzy odeszli pogodzeni z losem, znów jednak potrzebne jest ich moralne przywództwo. Cóż, widzę, że sir Stephen kieruje się w pani stronę. - Patel się uśmiechnął. - Niech mi wolno będzie wyznać, że niezwykle podziwiam pani książki. Pani erudycja sprawia mi wielką przyjemność.

- Dziękuję. - Judith poczuła się zmuszona zapytać go spieszenie: - Panie doktorze, potrafi pan pomóc ludziom odzyskiwać wspomnienia z bardzo wczesnego dzieciństwa, prawda?

- Tak. - Twarz psychiatry przybrała poważny wyraz. - Nie chodzi o cieżką ciekawość?

- Istotnie, nie.

Sięgnął do kieszeni po wizytówkę.

- Jeśli kiedykolwiek zechce pani ze mną porozmawiać, proszę zadzwonić.

Poczuła dłoń na ramieniu. Podniosła głowę i spojrzała w twarz Hallettowi.

- Miło cię widzieć, Stephen - rzekła, siląc się na obojętny ton. - Znasz doktora Patela?

Hallett skinął chłodno głową psychiatrze, ujął Judith pod ramię i poprowadził na przeciwległy koniec salonu.

- Kochanie, dlaczego, na miłość boską, marnujesz czas na rozmowę z tym szarlatanem? - mruknął.

- To nie...

Judith urwała. Ze wszystkich ludzi po Stephenie Halletcie najmniej można było spodziewać się poparcia dla teorii doktora Patela. W gaze-

tach drukowano już sugestię psychiatry, że Stephen byłby odpowiednim kandydatem dla przyjęcia ducha Disraelego. Judith uśmiechnęła się do niego, nie dbając, że w tej chwili patrzyli na nich niemal wszyscy goście.

Nastąpiło poruszenie, gdy przy wejściu pojawiła się pani premier i została powitana przez gospodynię.

- Zwykle nie przychodzę na koktajle, ale tym razem zgodziłam się tylko ze względu na ciebie, moja droga - powiedziała do Fiony.

Stephen objął Judith ramieniem.

- Najwyższy czas, żebyś poznała panią premier, kochanie.

Na kolację wybrali się do hotelu Brown. Przy sałatce i soli *veronique* Stephen opowiedział Judith, jak minął mu dzień.

- Był pewnie najbardziej frustrujący z całego tygodnia. Do diabła, Judith, pani premier będzie wkrótce musiała położyć kres spekulacjom. Nastroje w kraju są takie, że konieczne są wybory. Potrzebujemy mandatu na władzę, a pani premier zdaje sobie z tego sprawę. Wie to również Partia Pracy; mamy więc sytuację patową. Mimo to rozumiem takie postępowanie. Jeśli nie zamierza stanąć do powtórnych wyborów, wszystko staje się jasne. Gdyby nadchodziła moja pora, też bardzo ciężko byłoby mi wycofać się z życia publicznego.

- Nie masz innego życia oprócz polityki, Stephen? - Judith przegarnęła sałatkę po talerzu.

- Przez wszystkie lata choroby Jane było to moje wybawienie. Działalność publiczna zajmowała mój czas, umysł i energię. Nie potrafię ci powiedzieć, ilu kobietom byłem przedstawiany w ciągu trzech lat po śmierci Jane. Spotykałem się z kilkoma z nich, aż wreszcie uświadomiłem sobie, że ich twarze i nazwiska mieszają się ze sobą. Chcesz poznać istotny sprawdzian dla kobiety? Czy gdy zaplanuje ona coś, w czym musisz uczestniczyć, jest zdenerwowana, jeśli się spóźnisz z obiektywnych przyczyn? Aż wreszcie pewnego zimnego, listopadowego wieczora spotkałem cię u Fiony i moje życie całkowicie się odmieniło. Gdy teraz piętrzą się przede mną problemy, coś szepcze mi w duszy: „Za kilka godzin zobaczysz Judith”. - Sięgnął przez stół i dotknął jej ręki. - Pozwól, że teraz ja zadam ci pytanie. Osiągnęłaś wielki sukces w obranej przez siebie dziedzinie. Mówiłaś mi, że czasami pracujesz po całych nocach lub zaszywasz się na kilka dni, kiedy musisz uporać się z terminem. Będę szanował twoją pracę tak jak swoją, ale czeka nas niejedna okazja - bardzo wiele, jak sądzę - gdy będziesz musiała mi towarzyszyć w oficjalnych uroczystościach lub zagranicznych wizytach. Czy nie będzie to dla ciebie ciężarem, Judith?

Zapatrzyła się w kieliszek z winem. W ciągu dziesięciu lat od śmierci męża zdołała zbudować sobie nowe życie. Kiedy Kenneth, korespondent Telewizji Kablowej Potomac przy Białym Domu, zginął w katastrofie lotniczej, ona pracowała jako dziennikarka w „Washington Post”. Ubezpieczenie okazało się wystarczająco wysokie, by mogła zrezygnować z posady i zająć się planami, które snuła, odkąd wpadła jej w ręce pierwsza książka Barbary Tuchman. Postanowiła zostać poważną pisarką historyczną.

Tysiące godzin znużających dociekań, długie noce przy maszynie do pisania, pisanie od nowa i korekty jednak się opłaciły. Jej pierwsza książka, „Świat do góry nogami”, poświęcona rewolucji amerykańskiej, zdobyła Nagrodę Pulitzera i stała się bestsellerem. Kolejna, wydana przed dwoma laty „Ciemność w Wersalu”, traktująca o Wielkiej Rewolucji Francuskiej, odniosła równy sukces i zdobyła American Book Award. Krytycy ochrzczili ją „hipnotyzującą pisarką, obdarzoną erudycją godną oksfordzkiego wykładowcy”.

Judith popatrzyła wprost na Stephena. Subtelne oświetlenie z wpuszczonych w ścianę kinkietów i świecy w szklance na stoliku łagodziło surowe, arystokratyczne rysy mężczyzny i podkreślało ciemny, szaroniebieski odcień jego oczu.

- Myślę, że tak jak ty jednocześnie kocham swoją pracę i pograżam się w niej, by uniknąć świadomości faktu, że od śmierci Kennetha nie miałam życia osobistego w prawdziwym sensie tego słowa. Kiedyś potrafiłam sprostać wszelkim terminom, a mimo to z radością wciskałam między nie wszystkie obowiązki, jakie wynikały z faktu bycia żoną korespondenta przy Białym Domu. Uważam, że bycie jednocześnie kobietą i pisarką oferuje fantastyczne możliwości.

Stephen uśmiechnął się i ponownie ujął ją za rękę.

- Jak widzisz, myślimy podobnie, prawda?

- Stephen, powinieneś zastanowić się nad jednym. - Judith cofnęła dłoń. - W wieku pięćdziesięciu czterech lat nie jesteś za stary, by ożenić się z kobietą, która będzie mogła dać ci dziecko. Zawsze miałam nadzieję, że założę rodzinę, ale do tego po prostu nie doszło i na pewno się nie stanie, skoro mam czterdzieści sześć lat.

- Mój siostrzeniec to wspaniały młody mężczyzna i zawsze kochał Edge Barton Manor. Z radością przekażę mu w odpowiednim czasie tytuł i rezydencję. W moim wieku po prostu nie ma się dość energii na ojcostwo.

Stephen wszedł do mieszkania na brandy. Wzniesli poważny toast, zgadzając się, że oboje nie chcą zwracać publicznej uwagi na ich życie osobiste. Judith nie pragnęła przeszkód w postaci nagabywania felietonistów z kolumn towarzyskich przy pisaniu nowej książki, natomiast Stephen wołał przed wyborami wypowiadać się na temat programu politycznego, a nie swoich zalotów.

- Chociaż, oczywiście, wszyscy cię pokochają - oświadczył. - Piękna, utalentowana, brytyjska sierota wojenna. Wyobrażasz sobie, jakie będą mieli używanie, kiedy dowiedzą się o naszym związku?

Nagle stanął jej przed oczyma incydent z tego popołudnia. Mała dziewczynka, wołająca: „Mamo! Mamo!”. W ubiegłym tygodniu niedawno pomnika Piotrusia Pana w Kensington Gardens Judith miała dręczące uczucie, że już kiedyś tu była. Dziesięć dni temu niemal zemdląca na stacji Waterloo, pewna, że słyszy odgłos wybuchu i czuje, jak wokół niej spadają odłamki...

- Stephenie, jest rzecz, która staje się dla mnie coraz istotniejsza - powiedziała. - Wiem, że nikt nie zgłosił się po mnie, gdy zostałam znaleziona w Salisbury, ale byłam ładnie ubrana i najwyraźniej do tej pory miałam doskonałą opiekę. Czy istnieje jakiś sposób, bym odnalazła swoją prawdziwą rodzinę? Pomożesz mi?

- Dobry Boże, nawet o tym nie myśl, Judith! - Poczowała, jak sztywnieją mu ramiona. - Mówiłaś mi, że dokładano wszelkich wysiłków, by odnaleźć twoich krewnych, lecz nie zdołano wpaść na żaden trop. Twoi najbliżsi prawdopodobnie wszyscy zginęli w trakcie bombardowań. Jeśli nawet byłoby to możliwe, tylko by tego brakowało, aby się okazało, że jakiś twój daleki kuzyn to handlarz narkotykami czy terrorysta. Proszę, zrób to dla mnie i nawet się nad tym nie zastanawiaj, przynajmniej dopóki ja uczestniczę w życiu publicznym. Później ci w tym pomogę, obiecuję.

- Zona Cezara musi być poza wszelkimi podejrzeniami, nieprawdaż?

Przyciągnął ją do siebie. Poczowała gładkość doskonałej wełny jego marynarki na policzku i siłę otaczających ją ramion. Pocałunek Stephena, głęboki i natarczywy, ożywił jej zmysły, budząc uczucia i pragnienia, których zdecydowanie się wyrzekła po stracie Kennetha. Mimo to Judith wiedziała, że nie może czekać w nieskończoność z poszukiwaniami swojej prawdziwej rodziny. To ona przerwała uścisk.

- Powiedziałeś mi, że masz bardzo wczesne spotkanie - przypomniała Stephenowi. - A ja spróbuję dziś wieczór napisać jeszcze jeden rozdział.

- Widzę, że wpadłem we własne sidła. Musnął wargami jej policzek.  
- Masz rację, przynajmniej co do najbliższej przyszłości.

Judith patrzyła przez okno, jak szofer Halletta otwiera przed nim drzwiczki rolls-royce'a. Wybory były nieuniknione. Czy w „najbliższej przyszłości” Judith będzie jechała w tym samochodzie jako żona premiera Wielkiej Brytanii? Sir Stephen i lady Hallett...

Kochała Stephena. Skąd więc ta obawa? Niecierpliwie przeszła do sypialni, przebrała się w nocną koszulę oraz ciepły wełniany szlafrok, po czym wróciła do biurka. Kilka minut później, pogrążona w głębokim skupieniu, pisała kolejny fragment książki o wojnie domowej w Anglii. Skończyła już rozdziały o przyczynach konfliktu, niszczących podatkach, rozwiązaniu Parlamentu i głoszonej z uporem przez monarchę tezie, że królowie są pomazańcami Bożymi, o egzekucji Karola I, latach rządów Cromwella oraz restauracji monarchii. Obecnie zamierzała zająć się losem królobójców - tych, którzy wydali, podpisali i wykonali wyrok śmierci na monarsze, po czym zaznali surowej sprawiedliwości jego syna, Karola II.

Następnego dnia z samego rana wybrała się do Archiwum Publicznego przy Chancery Lane. Asystent archiwariusza Harold Wilcox z chęcią wygrzebał dla niej sterty starych dokumentów. Judith miała wrażenie, że na ich kartach osiadł kurz stuleci. Wilcox bez reszty podziwiał Karola II.

- Chłopak miał niecałe szesnaście lat, kiedy musiał uciec z kraju, by nie podzielić losu, jaki zgotowano jego ojcu. Niezły był z niego spryciarz. Prześliznął się przez linie okrągłogłowych pod Truro, pożegłował na Jersey, a stamtąd do Francji. Po powrocie poprowadził rojalistów, ponownie uciekł do Francji i pozostał tam oraz w Holandii, aż Anglia odzyskała rozum i zaczęła błagać go o powrót.

- Zatrzymał się niedaleko Bredy. Byłam tam - wtrąciła Judith.

- Interesujące miejsce, prawda? Jeśli się rozejrzeć, w mieście można zobaczyć wiele osób ze śladami rysów Stuartów. Karol II kochał kobiety. Właśnie w Bredzie podpisał ową sławną deklarację, przyrzekającą amnestię katom swego ojca.

- Nie dotrzymał obietnicy. W istocie ta deklaracja stanowiła starannie sformułowane kłamstwo.

- Napisał, że gwarantuje łaskę tam, gdzie była „upragniona” i „oczekiwana”. Ani on, ani jego doradcy nie wierzyli jednak, że wszyscy na nią zasługiwali. Za królobójstwo osądzono dwudziestu dziewięciu ludzi. Inni oddali się w ręce władz i wtrącono ich do więzienia. Winni zostali powieszani, łamani na kole i poćwiartowani.

- Tak. - Judith pokiwała głową. - Nigdy jednak nie wyjaśniono dokładnie, dlaczego król był również świadkiem ścięcia kobiety, lady Margaret Carew żony jednego z królobójców. Jaką zbrodnię popełniła?

- Wydarzeniom historycznym zawsze towarzyszą plotki - odparł Harold Wilcox ze zmarszczeniem brwi. - Nie zajmuję się pogłoskami.

Panujący przez kilka ostatnich dni surowy zimowy wiatr ustąpił miejsca jaskrawemu słońcu i niemal balsamicznej bryzie. Po wyjściu z Archiwum Publicznego Judith udała się piechotą do Cecil Court i spędziła resztę poranka na grzebaniu w książkowych antykwariatach w tej okolicy. Turyści kręcili się tu chmarami; Judith uznała, że najwidoczniej sezon trwa teraz dla nich pełne dwanaście miesięcy. Potem zaś zdała sobie sprawę z tego, że w oczach Brytyjczyków również jest turystką.

Z naręczem książek postanowiła zjeść szybki lunch w którejś z małych herbaciarni w pobliżu Covent Garden. Przechodząc przez ruchliwy plac, przystanąła, by popatrzeć na żonglerów i tancerzy w sabotach, wyjątkowo aktywnych z powodu nieoczekiwanie przyjemnego dnia.

Wtedy się to stało. Powietrze rozerwało równe, przesywające wycie syreny przeciwołnicznej. Lecące w stronę Judith bomby zasłoniły słońce; budynki za plecami żonglerów rozpadły się wśród ognia na sterty potrzaskanych cegieł. Zaczęła się dławić, gorący dym palił jej twarz, odcinając dostęp powietrza do płuc. Straciła czucie w ramionach i upuściła książki na ziemię.

Gorączkowo wyciągnęła ręce przed siebie, szukając pomocnej dłoni.

- Mamo! - wyszeptała. - Mamo, nie mogę cię znaleźć.

W gardle wezbrał jej szloch, lecz dźwięk syren ucichł, wróciło słońce, a dym się rozwiął. Odzyskawszy świadomość chwili, Judith zdała sobie sprawę, że ściska za rękaw niechlujnie ubraną kobietę z tacą plastikowych kwiatów.

- Nic ci nie jest, kochaniutka? - spytała handlarka. - Chyba nie zemdlejesz, co?

- Nie... Nic mi nie będzie.

Zdołała jakimś cudem pozbiierać książki i dowlec się do herbaciarni. Nie zwracając uwagi na przyniesioną przez kelnerkę kartę z menu, zamówiła herbatę z tostem. Gdy ją dostała, dłonie trzęsły się jej tak gwałtownie, że ledwie zdołała utrzymać filiżankę.

Po zapłaceniu rachunku wyciągnęła z portmonetki wizytówkę, którą dostała od doktora Patela na przyjęciu u Fiony. Wypatrzyła budkę telefoniczną na Covent Garden. Postanowiła, że stamtąd do niego zadzwoni.

Niech tylko będzie u siebie, modliła się, wybierając numer.

- Doktor Patel właśnie skończył sesję z ostatnim pacjentem. - Rejestratorka nie chciała połączyć jej z lekarzem. - Po południu nie przyjmuję. Mogę panią umówić na przyszły tydzień.

- Proszę mu tylko podać moje nazwisko. Niech pani powie, że to pilna sprawa.

Judith przymknęła oczy. Wycie syren alarmu przeciwlotniczego. Znowu zaczynała się wizja.

- Ma pani mój adres - dotarł do niej wreszcie głos Patela. - Proszę natychmiast przyjechać.

Zanim Judith dotarła do gabinetu psychiatry na Welbeck Street, odzyskała częściowo panowanie nad sobą. Szczupła kobieta około czterdziestki w białym fartuchu i ściągniętymi w surowy kok jasnymi włosami wpuściła ją do środka.

- Jestem Rebecca Wadley, asystentka doktora Patela - przedstawiła się. - Pan doktor czeka na panią.

Rejestracja była mała, natomiast gabinet lekarza dość duży. Boazeria z drewna wiśniowego, zastawione książkami ściany, masywne dębowe biurko i dyskretna kozetka w kącie sprawiały, że pomieszczenie przypominało miejsce pracy naukowca. Nic nie sugerowało klinicznej atmosfery.

Judith podświadomie chłonęła detale wnętrza, gdy na zaproszenie lekarza odłożyła torby na stolik z marmurowym blatem obok drzwi do rejestracji. Automatycznie spojrzała w lustro nad stolikiem i ze zdumieniem stwierdziła, że twarz jej śmiertelnie pobladała, wargi spopielwały i ma niezwykle rozszerzone źrenice.

- Rzeczywiście wygląda pani jak ktoś, kto właśnie wychodzi ze wstrząsu - powiedział doktor Patel. - Proszę, niech pani usiądzie i opowie dokładnie, co się wydarzyło.

Nieco dobrotliwa maniera, jaką psychiatra roztaczał na przyjęciu, znikła. Jego oczy przybrały poważny wyraz; z uwagą wysłuchał relacji Judith. Od czasu do czasu przerywał jej, by wyjaśnić niektóre szczegóły.

- Znalezione panią jako dziecko w wieku niecałych dwóch lat, błąkające się po Salisbury. Albo nie nauczyła się pani jeszcze mówić, albo nie była w stanie tego zrobić z powodu wstrząsu. Nie miała pani żadnej tabliczki identyfikacyjnej. Według mnie sugeruje to, że musiała pani podróżować z osobą dorosłą. Niestety matki i niańki często nosiły tabliczki dzieci podczas wspólnych podróży.

- Miałam uszytą na miarę sukieneczkę i sweterek w dobrym gatunku - powiedziała Judith. - Myślę, że to dowodzi, iż nie zostałam porzucona.

- Jestem zdumiony, że zgodzono się na adopcję - zauważył lekarz. - Zwłaszcza przez amerykańską parę.

- Moja przybrana matka, która zresztą mnie znalazła, służyła w brytyjskim kobiecym korpusie pomocniczym. Wyszła za oficera amerykań-

skiej marynarki wojennej. Przebywałam w sierocińcu niemal do czwartego roku życia, zanim pozwolono im mnie adoptować.

- Była pani wcześniej w Anglii?

- Kilka razy. Po wojnie mój przybrany ojciec, Edward Chase, wstąpił do korpusu dyplomatycznego. Mieszkaliśmy w wielu krajach, zanim poszłam do college'u. Odwiedziliśmy Anglię i nawet wybraliśmy się do tego domu dziecka. Dziwne, ale w ogóle go nie pamiętałam. Wydawało mi się, jakbym od zawsze była z przybranymi rodzicami i nigdy się tym nie zamartwiałam. Nie żyją jednak już od wielu lat, a ja od pięciu miesięcy mieszkam w Anglii i pogrążyłam się w jej historii. Mam wrażenie, jakby wszystkie moje angielskie geny starały się przebić na powierzchnię. Czuję się, jakbym była u siebie. Tu jest moje miejsce.

- A zatem wszystkie obronne bloki, jakie zbudowała pani w swoim umyśle jako bardzo małe dziecko, zostały wystawione na atak - wyjaśnił psychiatra. - To się zdarza. Uważam jednak, że za tymi fragmentami halucynacji kryje się coś więcej, niż pani sobie uświadamia. Czy sir Stephen wie, że przyszła pani do mnie?

- Nie. - Potrząsnęła głową. - Prawdę mówiąc, byłby bardzo zdenerwowany.

- O ile wiem, określa mnie jako „szarlatana”, prawda?

Judith nie odpowiedziała. Wciąż drżały jej dłonie. Zaciśnęła je zdecydowanie na udach.

- Nieważne - ciągnął Patel. - Dostrzegam tu trzy czynniki. Pogrążając się w angielskiej historii, w pewnym sensie zmusza pani swój umysł do powrotu w przeszłość. Przybrani rodzice nie żyją, wobec czego nie czuje się pani wobec nich nielojalna, szukając swojej prawdziwej rodziny. Wreszcie zamieszkanie w Londynie stanowiło czynnik wyzwalający halucynacje. Chyba bardzo prosto można wyjaśnić, dlaczego wydało się pani, że jako małe dziecko widziała pani figurkę Piotrusia Pana w Kensington Gardens. Być może rzeczywiście bawiła się tam pani w dzieciństwie. Wycie syren przeciwlotniczych, bombardowania... Może pani przeżyła te wydarzenia, chociaż nie wyjaśnia to, dlaczego znalazła się pani w Salisbury. Chce pani teraz, żebym pomógł?

- Proszę. Powiedział pan wczoraj, że może pan poddać pacjenta regresji do najwcześniejszego dzieciństwa.

- Nie zawsze z powodzeniem. Ludzie o silnej woli, a panią scharakteryzowałbym jako taką właśnie osobę, opierają się hipnozie. Czują, że ten stan oznacza podporządkowanie swej woli innemu człowiekowi. Dlatego właśnie potrzebuję pani pozwolenia na użycie w razie konieczności ła-



godnego leku, by zahamować ów opór. Proszę się nad tym zastanowić. Może pani przyjść w przyszłym tygodniu?

- W przyszłym tygodniu? - Naturalnie, nie powinna była spodziewać się, że Patel poddają terapii natychmiast. Spróbowała się uśmiechnąć. - Zadzwoń do pana rejestratorki jutro rano, żeby się umówić.

Ruszyła do stolika, na którym zostawiła torbę i książki.

I zobaczyła tę samą dziewczynkę. Tym razem wybiegającą z pokoju. Tak blisko, że Judith mogła się dokładnie przyjrzeć jej sukieneczce i sweterkowi. Temu samemu ubraniu, w którym ona została znaleziona w Salisbury - i które wciąż leżało schowane głęboko w szafie w jej waszyngtońskim mieszkaniu.

Zrobiła szybki krok do przodu, pragnąc dojrzeć twarz dziecka, ale dziewczynka z twarzą otoczoną aureolą złotych loków znikła.

Judith zemdlą.

Gdy odzyskała przytomność, leżała na kanapie w gabinecie Patela, a Rebecca Wadley podsuwała jej pod nos buteleczkę. Odrażający zapach amoniaku sprawił, że Judith szarpnęła się w tył i odepchnęła flakonik od siebie.

- Nic mi nie jest - powiedziała.

- Niech pani opowie, co się stało - polecił Patel. - Co pani zobaczyła? Judith z trudem opisała ów obraz.

- Czy ja wariuję? - zapytała. - To przecież nie ja. Kenneth zawsze mawiał, że mam więcej zdrowego rozsądku niż reszta Waszyngtonu razem wzięta. Co się dzieje?

- Dzieje się to, że jest pani blisko przełomu - bliżej, niż się spodziewałem. Czy czuje się pani wystarczająco na siłach, by podjąć próbę od razu? Podpisze pani niezbędne papiery?

- Tak, tak.

Przymknęła oczy. Rebecca Wadley wyjaśniła, że rozepnie jej kołnierzyk, zdejmie botki i przykryje ją lekkim kocem. Mimo wszystko Judith zdołała pewną dłońią podpisać podsunięte przez rejestratorkę formularze.

- No dobrze, pani Chase. Pan doktor zacznie zaraz zabieg - powiedziała Rebecca. - Jest pani wygodnie?

- Tak.

Judith poczuła, że asystentka podwija jej rękaw i zaciska opaskę powyżej łokcia. Potem nastąpiło ukłucie igły w przedramię.

- Otwórz oczy, Judith. Popatrz na mnie. Zaraz zaczniesz czuć się odprężona.

Stephen, pomyślała Judith, wpatrując się w pogrążoną w cieniu twarz Rezy Patela. Stephen...

Dekoracyjne lustro za kanapą było w istocie półprzezroczyste, by umożliwić obserwowanie i filmowanie sesji hipnotycznej z laboratorium bez odwracania uwagi pacjenta. Rebecca Wadley przeszła tam szybko, włączyła kamerę wideo, interkom oraz urządzenia monitorujące puls i ciśnienie krwi. Z uwagą obserwowała, jak tętno pisarki zwolniło, ciśnienie spadło i Judith poddała się zabiegom Patela, który wprowadził ją w trans.

Poczuła się, jakby dryfowała, reagując na delikatne sugestie psychiatry, by się odprężyła. Zaczęła zapadać w spokojny sen. Nie, pomyślała. Nie. Usiłowała walczyć z otępiającą sennością.

- Nie reaguje. Opiera się - zauważyła cicho Rebecca.

Patel skinął głową i nacisnął tłoczek strzykawki, której igła pozostała w przedramieniu pacjentki - wpuścił kolejną porcję leku do jej żył.

Desperacko pragnęła odzyskać pełnię świadomości. Ciało ostrzegało ją, aby nie poddawała się obcemu wpływowi. Walczyła, chcąc otworzyć oczy.

Patel wprowadził do jej żyły kolejną dawkę preparatu.

- Podał pan maksymalną dawkę, doktorze. Ona nie pozwoli się zahipnotyzować. Wychodzi z transu.

- Poproszę fiolkę litencum - polecił Patel.

- Panie doktorze, nie sądzę...

Lekarz wykorzystywał ów preparat do pokonywania blokad psychologicznych u pacjentów z poważnymi zaburzeniami. Środek ten miał identyczne właściwości z substancją, użytą w terapii Anny Anderson - kobiety twierdzącej, że jest księżniczką Anastazją. Patel był pewien, że właśnie ten lek zastosowany w odpowiedniej dawce pozwoli uzyskać syndrom Anastazji.

Rebecca Wadley, uwielbiająca doktora Patela jako geniusza i kochającą go jako mężczyznę, była przerażona.

- Nie rób tego, Reza - powiedziała błagalnie.

Ich głosy docierały niejasno do Judith. Mijało uczucie senności. Poruszyła się na kanapie.

- Podaj mi fiolkę - rozkazał Patel.

Rebecca przeszła do laboratorium, wróciła spieszenie z ampułką i patrzyła, jak doktor nabiera mikroskopijną ilość płynu i wstrzykuje go pisarce.

Judith poczuła, że znowu zapada w trans. Pokój zniknął przed jej oczu. Zrobiło się ciemno i ciepło; znowu zaczęła dryfować w przestrzeni.

Rebecca wróciła do laboratorium, by sprawdzić wskazania monitorów. Tętno pacjentki zwolniło, ciśnienie ponownie spadło.

- Jest w transie.

Lekarz pokiwał głową.

- Judith, zadam ci trochę pytań. Łatwo na nie odpowiesz. Nie będziesz czuła niewygodny ani bólu. Zrobi ci się ciepło i błogo, jakbyś szybowała w powietrzu. Zaczniemy od dzisiejszego poranka. Opowiedz mi o swojej nowej książce. Czy zbierałaś do niej materiały?

Judith znalazła się z powrotem w Archiwum Państwowym, gdzie rozmawiała z asystentem archiwariusza. Opowiedziała Patelowi o restauracji monarchii i o tym, jak pewien incydent już podczas wstępnego zbierania materiałów przykuł jej uwagę.

- Co to był za incydent?

- Król był obecny przy ścięciu pewnej kobiety. Karola II cechowało godne podziwu miłosierdzie. Szczodrze obdarował wdowę po Cromwellu, wybaczył nawet jego synowi, który został po ojcu Lordem Protektorem. Mawiał, że w Anglii przelano już dość krwi. Wziął udział wyłącznie w egzekucjach tych, którzy podpisali wyrok śmierci na jego ojca. Dlatego w takim razie czuł do owej kobiety gniew tak silny, by przyglądać się jej straceniu?

- To cię fascynuje?

- Tak.

- Co robiłaś po wyjściu z Archiwum Publicznego?

- Poszłam do Covent Garden.

Rebecca Wadley patrzyła i słuchała, jak doktor Patel cofa Judith w czasie do dnia jej ślubu z Kennethem, do jej szesnastych urodzin, następnie do piątych i do sierocińca, aż wreszcie do adopcji.

Judith Chase nie była zwyczajną kobietą, uświadomiła sobie asystentka, słuchając jej słów. Wspomnienia pisarki okazały się zdumiewająco wyraziste, chociaż ulegała regresji w coraz odleglejsze dzieciństwo. Rebecca pomyślała znowu, że bez względu na to, ile razy oglądała tę procedurę, czuła nieustający podziw, iż może obserwować otwierający się i ujawniający swoje sekrety umysł, słyszeć, jaki pewni siebie, wyrafinowani dorośli mówią miękki, niewyraźnym tonem małego dziecka.

- Judith, zanim zabrano cię do sierocińca, zanim znaleziono cię w Salisbury - opowiedz mi, co zapamiętałaś.

- Nie. - Pisarka niespokojnie pokręciła głową z boku na bok. - Nie! Monitor wykazywał, że tętno Judith wzrasta.

- Stara się pana powstrzymać - zauważyła szybko Rebecca. Po chwili-

li z przerażeniem zobaczyła, że Patel włacza kolejną kroplę w igłę. - Pannie doktorze, niech pan tego nie robi...

- Nie mogę się teraz zatrzymać. Niemal dotarliśmy do celu.

Rebecca utkwiała wzrok w ekranie. Ciało Judith znajdowało się w stanie całkowitego odprężenia. Jej puls spadł do poniżej czterdziestu uderzeń na minutę, ciśnienie - do siedemdziesięciu na pięćdziesiąt. To niebezpieczne, pomyślała Rebecca. Zbyt niebezpieczne. Wiedziała, że Patel ma w sobie iskrę fanatyzmu, ale nigdy nie widziała, by postępował tak ryzykownie.

- Powiedz mi, co cię przerażyło, Judith. Spróbuj.

Pisarka oddychała płytko i w przyspieszonym tempie. Jej wypowiedzi stały się urywane, głos przybrał wysoki, charakterystyczny dla małego dziecka ton. Miały jechać pociągiem. Trzymała mamę za rękę. Zaczęła zanosić się płaczem jak przerażona dziewczynka.

- Co się dzieje? Powiedz mi. - Patel zachowywał łagodny ton.

Judith zacisnęła dłonie na kocu i dziecinnym głosem zawołała matkę.

- Znowu lecą, jak wtedy, kiedy się bawiłyśmy. Mama powiedziała: „Uciekaj! Uciekaj!”. Mama nie chce wziąć mnie za rękę. Jest tak ciemno... Biegnę po schodach. Pociąg już stoi... Mama mówiła, że mamy wsiąść do pociągu.

- Wsiadłaś do pociągu, Judith?

- Tak. Tak.

- Rozmawiałaś z kimś?

- Nikogo tam nie było. Byłam bardzo zmęczona. Chciałam zasnąć, żeby mama znowu była, kiedy się obudzę.

- Kiedy się obudziłaś?

- Pociąg się zatrzymał. Znowu było jasno. Zeszłam po stopniach... Nie pamiętam, co było dalej.

- Wszystko w porządku. Nie myśl o tym więcej. Bystra z ciebie dziewczynka. Możesz mi powiedzieć, jak się nazywaś?

- Sarah Marrssh.

Marsh lub Marrish, pomyślała Rebecca. Judith mówiła w tej chwili jak dwulatka.

- Ile masz lat, Sarah?

- Dwa.

- Wiesz, kiedy masz urodziny?

- Cwatego maja.

Rebecca wzmocniła głośność monitora, robiąc notatki i starając się zinterpretować niewyraźne, dziecinnie słowa.

- Gdzie mieszkasz, Sarah?
  - Kent Court.
  - Jesteś tam szczęśliwa?
  - Mama tak dużo płacze. Molly i ja się bawimy.
  - Molly? Kto to jest Molly, Sarah?
  - Moja siostrzyczka. Chcę do mamy. Chcę do siostrzyczki.
- Judith zaczęła płakać. Rebecca popatrzyła na monitor.
- Puls przyśpiesza. Znow stawia panu opór.
  - Na razie przestaniemy - odparł Patel. Dotknął dłoni pisarki. - Judith, teraz się obudzisz. Będziesz się czuła wypoczęta i odświeżona. Będziesz pamiętała wszystko, co mi powiedziałaś.

Rebecca westchnęła z ulgą. Bogu dzięki, pomyślała. Wiedziała, że Patel aż się pali do eksperymentów z litencum. Sięgnęła do wyłącznika kamery, lecz nagle dostrzegła, że twarz Judith nabiera wyrazu rozpaczliwej wściekłości.

- Przestańcie! Nie róbcie jej tego! - krzyknęła pisarka.
- Świetlne punkciki na monitorze zaczęły gorączkowo podskakiwać.
- Migotanie serca! - zawołała Rebecca.
  - Judith, posłuchaj mnie! - Patel ścisnął ręce pisarki. - Musisz mnie usłuchać!

Judith go jednak nie słyszała. Stała na katowskiej platformie pod londyńską Tower. Był dziesiąty grudnia 1660 roku...

*Ze zgrozą patrzyła, jak kobieta w ciemnozielonej sukni i pelerynie jest prowadzona pośród wyjącej tłuszczy od bramy Tower. Kobieta wyglądała na niecałe pięćdziesiąt lat, jej kasztanowobrązowe włosy przetykały pasma siwizny. Szła wyprostowana, nie zwracając uwagi na otaczających ją strażników. Jej piękne, jak wyrzeźbione rysy zamarły w masce furii i nienawiści. Ręce miała związane z tyłu cienkimi jak druty sznurkami, wrzynającymi się jej w nadgarstki. W świetle wczesnego poranka płonęła gniewnie czerwona szrama w kształcie półksiężyca widoczna u podstawy kciuka.*

*Judith patrzyła, jak tłum rozstępuje się przed dziesiątkami żołnierzy, marszerujących w równym szyku w stronę osłoniętego draperiami pawilonu w pobliżu katowskiego pnia. Gdy szeregi się rozstały, wyszedł spośród nich szczupły młody mężczyzna w kapeluszu z pióropuszem, ciemnych bryczesach i wyszywanej kurcie. Tlum zaczął dziko wiwatować, gdy Karol II wznosił dłoń na powitanie.*

*Jak w koszmarze Judith zobaczyła, że prowadzona na podwyższenie kobieta zatrzymuje się przed długą tyczką, na której zatknięto ludzką głowę.*

- Pośpiesz się! - rzucił żołnierz i pchnął ją do przodu.

- Zabraniasz mi pożegnać się z mężem? - odparła z lodowatą wzdargą kobieta.

Żołnierze pognali ją przed oblicze króla.

- Lady Margaret Carew, król uznał za zbyt bezlitosny wyrok, byś została powieszona, lamana kołem i poćwiartowana - odczytał stojący obok monarchy dygnitarz z dokumentu.

Ludzie stojący najbliżej królewskiego fotela zaczęli gwizdać.

- Nie ma takich samych flaków jak moja żona? - zawołał ktoś.

Kobieta nie zwróciła na to uwagi.

- Zdradziłeś mojego męża, Simonie Hallett - powiedziała z goryczą. - Zdradziłeś mnie. Jeśli zdołam uciec z piekła, znajdę sposób, by zemścić się na tobie i twoim rodzie.

- Dość tego!

Kapitan gwardii chwycił kobietę, chcąc pociągnąć ją w stronę podwyższenia, na którym czekał kat. W ostatnim geście buntu lady Margaret odwróciła głowę i splunęła do stóp króla.

- Klamca! - zawołała. - Przrzekałeś mi łaskę, kłamco! Szkoda, że nie odrąbano ci głowy razem z twoim ojcem!

Jeden z żołnierzy zakrył ręką usta kobiety i powlókł ją za sobą.

- Za dobra taka śmierć dla ciebie! - warknął. - Jakbym miał coś do gadanania, spaliliby cię na stosie!

Judith jęknęła ~ zdała sobie sprawę, że ona i skazana są do siebie uderzająco podobne. Lady Margaret powalono na kolana.

- Już go nie ściągniesz - zaszydził żołnierz, okrywając jej włosy białym czepkiem.

Kat wznosił topór, który zawisł na chwilę w powietrzu nad pnem. Lady Margaret odwróciła głowę. Utkwiła rozkazujący i żądający wzrok w oczach Judith.

- Przestańcie! Nie róbcie jej tego! - zawołała Judith.

Wskoczyła na podwyższenie, przykłękała na kolana i objęła skazaną na śmierć kobietę, w chwili gdy topór zaczął opadać.

Pisarka otworzyła oczy. Stali nad nią doktor Patel i Rebecca Wadley. Uśmiechnęła się do nich.

- Sarah - powiedziała. - To moje prawdziwe imię, tak?

- Ile sobie pani przypomina z tego, co nam powiedziała, Judith? - spytał ostrożnym tonem Patel.

- Kent Court. O tej właśnie ulicy mówiłam, prawda? Teraz sobie przy-

pominam... Moja matka - byliśmy niedaleko dworca kolejowego - trzymała mnie i siostrę za ręce. Potem spadły rakiety... to znaczy latające bomby\*. Brzęczały w górze jak samoloty. Syreny. Dźwięk zatrzymywanych silników. A potem wszędzie krzyczeli ludzie. Coś uderzyło mnie w twarz. Nie mogłam znaleźć mamy. Pobiełam i wsiadłam do pociągu. Mam na imię Sarah, tak jak powiedziałam. Nazwisko Marsh lub Marriah. - Wstała i uściśniła dłoń Patelowi. - Jak mogę panu podziękować? Przynajmniej znam miejsce, od którego powinnam zacząć poszukiwania. Właśnie tu, w Londynie.

- Jaka była ostatnia rzecz, którą sobie pani przypomniała, zanim panią obudziłem?

- Molly. Miałam siostrę, panie doktorze. Nawet jeśli zginęła tamtego dnia, jeśli i mama zginęła, przynajmniej czegoś się o nich dowiedziałam. Zamierzam przeszukać rejestry urodzeń. Dowiem się, czym dzieckiem byłam. - Judith zapięła kołnierzyk, opuściła rękaw, przegarnęła dłonią włosy i sięgnęła po botki. - Jeżeli nie zdołam odnaleźć mojego aktu urodzenia, czy będzie mógł mnie pan wprowadzić ponownie w trans? - spytała.

- Nie - odpowiedział zdecydowanie psychiatra. - Przynajmniej na razie.

- Pokaż mi parę ostatnich minut taśmy - zwrócił się Patel do Rebekki po wyjściu pacjentki.

Z uwagą oglądali, jak wyraz twarzy pisarki zmienił się z wstrząsu i grozy w pełen gorzycy gniew. Wsłuchiwali się w jej krzyk: „Przestańcie! Nie róbcie jej tego!”.

- Czego? Komu? - spytała z naciskiem Rebecca. - Co przeżyła Judith Chase?

- Nie mam pojęcia. - Czoło doktora pokryły zmarszczki troski. - Miałaś rację, Rebecco. Nie powinienem był wstrzykiwać jej litencum. Może nic się nie stało. Nie pamięta, co przeżyła.

- Tego nie wiemy - odparła Rebecca i położyła lekarzowi dłoń na ramieniu. - Próbowałam cię ostrzec, Reza. Nie wolno ci eksperymentować z naszymi pacjentami, bez względu na to, jak bardzo chcesz im pomóc. Wydaje się, że Judith Chase nic się nie stało. Módlmy się, żeby tak było naprawdę. - Urwała na chwilę. - Zauważyłam jedno, Reza. Czy Judith miała niewyraźną, półksiężycowatą bliznę u podstawy prawego kciuka,

\* Judith używa w tym miejscu i dalej żargonowego określenia pocisków sterowanych, w tym wypadku niemieckich V-2 - *doodlebugs*.

gdy tu dzisiaj przyszła? Absolutnie jej nie widziałam, kiedy szukałam żyły przed zastrzykiem. Popatrz na tę klatkę - zanim się obudziła. Wtedy już ją miała.

Stephen Hallett nie zauważał uroczego angielskiego pejzażu z przedwczesnym tchnieniem wiosny, gdy tego słonecznego popołudnia jechał do Chequers, wiejskiej rezydencji pani premier. Przewodnicząca rady ministrów udała się tam zaraz po krótkiej bytności na przyjęciu u Fiony. Jej nagłe wezwanie tego ranka mogło oznaczać tylko jedno: wreszcie postanowiła zawiadomić go o swoim odejściu. Zamierzała wyjawić, kogo najchętniej by widziała w roli przywódcy partii po swej rezygnacji.

Stephen wiedział, że gdyby nie jedna plama w jego życiorysie, byłby oczywistym kandydatem. Jak długo miał go prześladować ów okropny skandal sprzed trzydziestu lat? Czy i teraz zdruzgotał jego szanse? Czy pani premier będzie dość łaskawa, by powiedzieć mu osobiście, iż nie może go poprzeć, czy też zamierzała oświadczyć, że stoi po jego stronie?

Służący mu od wielu lat szofer Rory i ochroniarz z Wydziału Specjalnego Scotland Yardu Carpenter odznaczali się wielką przenikliwością. Stephen czuł, że zdają sobie sprawę z tego, jak ważne czeka go spotkanie. Gdy zatrzymali się przed imponującą rezydencją, Carpenter wysiadł z samochodu i zasalutował mu, podczas gdy Rory przytrzymał otwarte drzwi.

Pani premier była w bibliotece. Chociaż elegancki pokój przepęniało ciepło słońca, miała na sobie gruby, zapinany sweter i z jakiegoś powodu brakowało jej zawsze tak dla niej charakterystycznej żywotności. Gdy powitała Halletta, w jej głosie nie było zwykłego wigoru.

- Stephen, niedobrze jest tracić wolę walki. Właśnie besztalam swoją psychikę, że tak mnie zdradziła.

- Wykluczone, pani premier...

Stephen urwał. Nie zamierzał obrażać jej czczymi pochlebstwami. Od miesięcy jej oczywiste znużenie stanowiło temat spekulacji środków masowego przekazu. Pani premier dała mu znać gestem, by usiadł.

- Podjęłam bardzo trudną decyzję. Odchodzę z życia publicznego. Dziesięć lat na tym stanowisku każdemu by wystarczyło. Chcę również spędzać więcej czasu z rodziną. Kraj jest gotów do wyborów, lecz kampanię musi poprowadzić nowo wybrany lider partii. Stephen, wierzę, że jesteś moim idealnym następcą. Masz w sobie to, czego potrzeba.

Stephen czekał dalej. Miał wrażenie, że następny słowem będzie „ale”, lecz się mylił.



- Nie ma wątpliwości, że prasa wygrzebie tamten stary skandal. Osobiście nakazałam przeprowadzić powtórne dochodzenie.

Stary skandal. Jako dwudziestopięcioletni adwokat Stephen podjął pracę w firmie prawniczej swojego teścia. Rok później Reginald Harworth został skazany na pięć lat więzienia za sprzeniewierzenie funduszy klientów.

- Zostałeś całkowicie uniewinniony, jednak tak szkaradne sprawy zwykły stale wypływać na wierzch - powiedziała pani premier. - Nie sądzę wszakże, by kraj powinien zostać pozbawiony twoich zdolności i talentu z powodu twojego nieszczęsnego teścia. - Stephen zdał sobie sprawę, że ma napięte wszystkie mięśnie. Pani premier zamierzała go poprzeć. - Chcę jasnej odpowiedzi. - Jej twarz przybrała surowy wyraz. - Czy w twoim osobistym życiu jest cokolwiek, co mogłoby skompromitować partię i kosztować nas wybory?

- Nie ma.

- Żadnej puszczalskiej, która spróbuje sprzedać historię swojego życia gazetom? Jesteś atrakcyjnym mężczyzną, na dodatek wdowcem.

- Taka sugestia jest dla mnie obraźliwa, pani premier.

- Muszę to wiedzieć. Wczoraj wieczorem przedstawiłeś mi Judith Chase. Wcześniej kilka razy zetknęłam się z jej ojcem - jej przybranym ojcem, o ile się orientuję. Wydaje się, że Judith nie budzi żadnych podejrzeń.

Zona Cezara musi być poza wszelkimi podejrzeniami, pomyślał Stephen. Chyba właśnie tak powiedziała Judith wczorajszej nocy?

- Ufam i mam nadzieję, że poślubię Judith. Oboje się zgodziliśmy, że na razie nie chcemy wywoływać zainteresowania mediów naszym życiem osobistym.

- Bardzo mądrze. Cóż, możesz uważać się za szczęściarza. Jej przybrani rodzice należeli do elity, a poza tym ma romantyczną historię - jest brytyjską sierotą wojenną. Należy do nas. - Pani premier uśmiechnęła się, co opromieniło całą jej twarz. - Gratulacje, Stephen. Partia Pracy nieźle nas przegoni, ale wygramy. Zostaniesz następnym premierem i nikt nie ucieszy się bardziej ode mnie, gdy będą patrzeć, jak udajesz się do królowej. A teraz, na miłość boską, bądź dobrym przyjacielem i nalej nam porządnej szkockiej. Musimy opracować dokładny plan działania.

Po wyjściu z gabinetu Patela Judith wróciła prosto do swojego mieszkania. W taksówce zdała sobie sprawę, że szepcze: „Sarah Marsh, Sarah Marrish”. Zaczynam lubić moje prawdziwe nazwisko, pomyślała z za-

chwytym. Postanowiła, że następnego dnia rozpocznie poszukiwania. Mogła tylko mieć nadzieję, że przyszła na świat w Londynie. Jeśli jej wspomnienia były dokładne, znajomość pory i miejsca urodzenia niezmiernie upraszczała poszukiwania. Nic dziwnego, że nie zdołano ustalić, skąd się wzięła. Jeśli wsiadła do pociągu w Londynie i zabłąkała się w Salisbury, a potem jej pamięć zablokowała wszelkie wspomnienia niedawnych wydarzeń, tłumaczyło to, dlaczego nikt się po nią nie zgłosił. Była pewna, że matka i Molly zginęły tamtego dnia. Mogą żyć jednak kuzyni, pomyślała Judith. Kto wie, może moi dalsi krewni mieszkają tuż za rogiem.

- Jesteśmy na miejscu, proszę pani.

- Och. - Judith wyjęła portmonetkę. - Chyba bujałam w obłokach.

W domu zaparzyła sobie herbatę i zdecydowanie podeszła prosto do biurka. Tak, jutro to odpowiedni dzień na rozpoczęcie poszukiwań Sarah Marrish. Dzisiaj powinna raczej być nadal Judith Chase i wrócić do swojej książki. Przejrzała notatki, które zrobiła w Archiwum Publicznym. Znów zaczęła myśleć o lady Margaret Carew - kobiecie, która została stracona w obecności króla, i zastanawiać się, na czym mogła polegać zbrodnia tamtej biedaczki.

Dochodziła szósta, kiedy zadzwonił Stephen. Surowy dźwięk telefonu, bardzo odmienny od amerykańskiego sygnału, wyrwał Judith z całkowitego zaabsorbowania pisaniem. Zdumiona, jak dużo czasu minęło, uświadomiła sobie, że jedynym źródłem światła w mieszkaniu była lampka na biurku. Sięgnęła niepewnie po słuchawkę.

- Halo?

- Kochanie, czy coś się stało? Mówisz, jakbyś czymś się martwiła - powiedział zatroskanym głosem Stephen.

- Och, Boże, nie. Po prostu kiedy piszę, jestem w innym świecie. Mija minuta lub dwie, zanim wracam na ziemię.

- Dlatego właśnie jesteś tak dobrą pisarką. Zjemy dzisiaj kolację u mnie? Mam dla ciebie interesujące wiadomości.

- A ja dla ciebie. O której?

- O ósmej będzie ci odpowiadało? Wyślę samochód.

- O ósmej? Świetnie.

Z uśmiechem odłożyła słuchawkę. Wiedziała, że Stephen nie znosi marnować czasu przy telefonie, a mimo to zawsze udawało mu się być zwięzłym, ale bez niedelikatności. Uznała, że dziś już dość się napracowała. Wyłączyła lampkę, przeszła przez salon i wąskim korytarzykiem dotarła do sypialni.

To jeszcze jedna moja typowo angielska cecha, pomyślała kilka minut później, relaksując się w parującej, wonnej wodzie. Uwielbiam długie, żelwne wanny na lwich łapach.

Ma czas na krótki odpoczynek; nie, „poleżenie” - przyszło jej głowy typowo angielskie określenie, gdy naciągnęła na siebie kołdrę. O czym Stephen chciał ją powiadomić? Mówił niemal bezosobowo, więc pewnie nie miało to nic wspólnego z wyborami. Nie, oczywiście, że nie. Nawet on nie miał aż tyle zimnej krwi.

Ubierając się, Judith wybrała jedwabną, drukowaną sukienkę, kupioną we Włoszech. Zawsze myślała, że jej jaskrawe barwy przypominają farby, rozchlapane bez zastanowienia po palecie. Włożyła tę sukienkę, zamierzając ożywić nią pochmurny styczniowy wieczór. Idealnie nadała się do przekazywania pogodnych wiadomości: „Stephen, jak ci się podoba imię Sarah?”.

Rozpuściła włosy, ledwie sięgające kołnierzyka sukienki. Sznury pereł odziedziczyła po matce - przybranej matce. Perły, diamentowe kolczyki, wąską bransoletę z diamentami. Elegancki wieczorowy strój. Nie wyglądasz na swoje lata, zapewniła samą siebie, przeglądając się w lustrze, po czym pomyślała: Miałam dzisiaj dwa lata. Może to tchnęło we mnie młodość. Uśmiechając się do tej możliwości, popatrzyła na dłonie. Zastanawiała się, jakie pierścionki włożyć.

I wtedy ją zauważyła. Wąski zarys półksiężycowatej blizny u podstawy kciuka. Zmarszczyła brwi, próbując sobie przypomnieć, od kiedy ją ma. Jako nastolatka przycięła dłoń w drzwiach samochodu, nabawiając się szkaradnych skaleczeń i sińców. Minęło wiele czasu, nim blizny po operacji plastycznej przybladły.

Jedna z nich się odnowiła, pomyślała Judith. No, pięknie!

Była za pięć ósma i wiedziała, że samochód już czeka. Rory zawsze zjawiał się wcześniej.

Londyński dom Stephena znajdował się przy Lord North Street. Stephen nie chciał dzielić się z Judith żadnymi wiadomościami, zanim zjedli kolację i rozsiedli się w bibliotece na głębokiej sofie z wysokim oparciem. Płonął kominek, butelka *dom perignon* chłodziła się w srebrnym wiaderku. Stephen zwolnił służbę i zamknął drzwi biblioteki. Stał z poważną miną, otworzył szampana, napełnił kieliszki i podał jeden Judith.

- Wznoszę toast.
- Za co?

- Za wybory powszechne. Pani premier zapewniła mnie dziś, że poprze mnie jako swojego następcę w roli przywódcy partii.

- Stephen! - Judith zerwała się na równe nogi. - Och, mój Boże, Stephen! - Stuknęła się z nim kieliszkiem. - Brytania ma wielkie szczęście!

Ich usta spotkały się w długim pocałunku.

- Kochanie, nie wolno ci nikomu o tym pisać ani słowa - ostrzegł ją Hallett. - Zaplanowaliśmy, że przez mniej więcej następne trzy tygodnie będę męczył się z przygotowywaniem strategii kampanii, wygłaszaniem politycznych oświadczeń i aktywnym udzielaniem się na konferencjach Wspólnoty Europejskiej, poświęconych terroryzmowi, a jednocześnie po cichu zacznę zbierać poparcie.

- W Waszyngtonie nazywa się to szerokim profilem. - Judith musnęła wargami jego czoło. - Boże, jestem z ciebie taka dumna, Stephen.

- Szeroki profil? Dokładnie o to mi chodzi! - Roześmiał się. - Później pani premier wygłosi oświadczenie, że nie będzie się ubiegała ponownie o stanowisko. Pierwsza walka nastąpi podczas wyborów nowego szefa partii. Mam konkurencję, ale z poparciem pani premier powinno mi się udać. Gdy zostanę wybrany liderem, ona sama wystąpi do królowej z wnioskiem o rozwiązanie Parlamentu. Wybory odbędą się mniej więcej miesiąc później. - Otoczył Judith ramieniem. - Nie potrafię ci powiedzieć, co będzie dla mnie znaczyło, jeśli nasza partia wygra wybory i zostanę premierem, a ty znajdziesz się przy mnie tego dnia. Kochanie, nigdy nie zdawałem sobie sprawy z tego, jaki byłem samotny przez wszystkie lata choroby Jane, aż do wieczora, kiedy na przyjęciu u Fiony spotkałem ciebie - doskonale ubraną, tak piękną i dowcipną. Aż zobaczyłem twoje oczy, w których stale kryje się cień smutku.

- Nie są już teraz smutne.

Usiedli na sofie. Stephen wyciągnął swobodnie długie nogi, a Judith zwinęła się w kłębek obok niego.

- Opowiedz mi ze wszystkimi szczegółami o swoim spotkaniu z panią premier - zażyczyła sobie.

- Cóż, zapewniam cię, że w pierwszych chwilach sądziłem, że zamierzam cię rozczarować najdelikatniej, jak potrafi. Chyba nigdy ci nie opowiadałem o moim teściu.

Słuchając opowieści Stephena o skandalu i obawach, że będzie go to kosztowało poparcie pani premier, Judith doszła do wniosku, że nie może mu powiedzieć o swej wizycie u doktora Patela i prosić o pomoc w wyjaśnieniu losów swojej rodziny. Nic dziwnego, że tak gwałtownie zaprotestował przeciwko jej poszukiwaniom. Jeszcze tego by brakowało, by

wszystkie gazety dowiedziały się, że przyszła żona nowego premiera konsultuje się u kontrowersyjnego psychiatry Rezy Patela.

- Przejdźmy do twoich dobrych wiadomości - powiedział na koniec Stephen. - Mówiłaś, że masz dla mnie jakieś rewelacje.

Judith uśmiechnęła się i dotknęła dłonią jego twarzy.

- Przypomniałam sobie, jak Fiona szepnęła mi, że usadzi mnie obok ciebie na kolacji. Zapewniała, że jesteś absolutnie oszałamiający. I miała rację! Moje wiadomości błędą przy twoich. Chciałam ci opowiedzieć o niezwykle interesującej rozmowie z asystentem archiwariusza w Archiwum Państwowym. Najwyraźniej uwielbia Karola II za to, że miał dobre oko do kobiet.

Uniosła usta ku wargom Stephena, objęła go ramionami i poczuła jego żarliwą reakcję. Och, Boże, pomyślała, tak bardzo jestem w nim zakochana. Zaraz mu to powiedziała.

W piątkowe popołudnie wyjechali do wiejskiego domu Hallettów w hrabstwie Devon. Podczas trzygodzinnej podróży Stephen opowiedział Judith o Edge Barton Manor.

- Stoi w Branscombe, pięknej starej wiosce. Zbudowano go w okresie podboju przez Normanów.

- Około dziewięciuset lat temu - wtrąciła się Judith.

- Naprawdę muszę pamiętać, że mam do czynienia z historykiem. Ród Hallettów otrzymał ten majątek po powrocie Karola II na tron. Domyślałam się, że natrafiłaś na jakieś wzmianki o tym w poszukiwaniach materiałów do książki. Urocze miejsce. Nie jestem zbyt dumny ze swojego przodka, Simona Halletta. Najwidoczniej był z niego śliski gość, ale myślę i mam nadzieję, że pokochasz Edge Barton tak samo jak ja.

Rezydencja była położona na skalnej grzędzie blisko zadrzewionego jaru. W kwaterekowych oknach lśniły lampy; smugi światła padały na kamienne mury. W blasku półksiężyca łupkowy dach miał ciemny odcień. Z lewej strony wznosiło się majestatycznie trzypiętrowe skrzydło ze szczytami - według Stephena najstarsza część budowli. Stephen wskazał drzwi z półkolistym zwieńczeniem i świetlikiem poprzedzianym ołowianymi wstawkami na skraju prawego skrzydła dworu.

- Handlarze antyków stale błagają, żeby im je sprzedać. Rano będziesz mogła zobaczyć resztki fosy. Jest teraz wyschnięta, ale najwidoczniej tysiąc lat temu stanowiła bardzo skuteczną obronę.

Badania przed przystąpieniem do pisania książki sprawiły, że Judith zaznałomiła się z wiekowymi budowlami, jednak gdy samochód zatrzy-

mat się przed głównym wejściem do Edge Barton, uświadomiła sobie, że doznawane przez nią uczucia całkowicie się różnią od reakcji na inne historyczne rezydencje.

- No cóż, kochanie. - Stephen przyjrzał się uważnie jej twarzy. - Mam wrażenie, że ci się tu podoba.

- Czuję się, jakbym wracała do domu.

Ramię w ramię przeszli się po wnętrzu.

- Od lat spędzam tu za mało czasu - stwierdził Stephen. - Jane była bardzo chora. Wolała Londyn, bo mogli ją tam odwiedzać przyjaciele. Przyjeżdżałem tu sam i zostawałem tylko tak długo, by podtrzymać kontakty z moimi wyborcami.

Salon, jadalnia, wielka sala balowa, tudorowski kominek w sypialni nad salonem, normandzkie schody w starym skrzydle, wspaniałe okna z wklęsłymi zdobieniami, gładko licowane szarawym wapieniem ściany w sali na piętrze, pokryte przez pokolenia dzieci rysunkami okrętów i ludzi, koni i psów, inicjałami, imionami i datami - Judith przystąpiła, by przyjrzeć się im dokładniej. Na górę wszedł służący; dzwoniło do Stephena.

- Za chwilę wrócę, kochanie - mruknął.

Para inicjałów zdawała się gorzeć na ścianie: „V.C, 1635”. Judith przesunęła po nich dłonią.

- Vincent - szepnęła.

Oszołomiona, wyszła na korytarz i ruszyła po schodach, prowadzących do sali balowej na drugim piętrze. Zrobiło się zupełnie ciemno. Sunąc dłonią wzdłuż ściany, Judith odnalazła kontakt. Ujrzała salę pełną ludzi w oficjalnych siedemnastowiecznych strojach. Bliźna na jej dłoni nabrała szkarłatnej barwy. Był osiemnasty grudnia 1641 roku...

- *Edge Barton to wspaniały dom, lady Margaret.*

- *Trudno mi się nie zgodzić - odrzekła zimnym tonem Margaret młodemu dandysowi.*

*Starannie trefione włosy, regularne rysy i wykwinny strój nie mogły ukryć wrażenia dwulicowości i podstępności, roztańczonego przez Halletta, syna z nieprawego łoża diuka Rockinghama.*

- *Pani syn, Vincent, przygląda się nam z chmurną miną. Nie sądzę, bym był u niego w łaskach - powiedział Hallett.*

- *A ma powód, by pana nimi darzyć?*

- *Może wyczuwa, że jestem zakochany w jego matce. Naprawdę, Margaret, John Carew to nie mężczyzna dla pani. Wychodząc za niego, miała*

pani piętnaście lat. W wieku trzydziestu dwóch jest pani piękniejsza od wszystkich kobiet w sali. Ile lat ma John? Pięćdziesiąt? Od wypadku na polowaniu pozostaje praktycznie kaleką.

- I moim mężem, którego bardzo kocham.

Margaret dostrzegła spojrzenie syna i skinęła mu głową. Podszedł w ich stronę.

- Matko.

Był przystojnym chłopcem, wysokim i niezłe rozwiniętym jak na swoje szesnaście lat. Jego rysy wyraźnie świadczyły o przynależności do rodu Carew, lecz jak żartobliwie przypominała mu Margaret, to jej zawdzięczał gęstą grzywę kasztanowych włosów i niebieskozielone oczy, charakterystyczne dla rodziny Russellów.

- Simonie, poznał pan mojego syna, Vincenta. Vincencie, przypominasz sobie Simona Halletta?

- Istotnie.

- A co właściwie pamiętasz na mój temat, Vincencie? - spytał z protekcyjnym uśmiechem Hallett.

- Przypominam sobie cię, panie, jako zupełnie obojętnego wobec nowych podatków, zagrażających wszystkim na tej sali. Jak jednak rzekł mój ojciec, gdy człowiek nie ma nic, co można by opodatkować, bardzo łatwo ślubować wierność królowi wierzącemu, że jest pomazańcem Bożym. Czyż nie jest faktem, panie Hallett, że chciwcy podobni do pana liczą na wejście w posiadanie dóbr, konfiskowanych przez koronę za niepłacenie podatków, czemu ma przysłużyć się służalcza postawa wobec monarchy? Pan również tego oczekuje, prawda? Mój ojciec dostrzegł poządlliwość w pańskim wzroku, gdy przybywa pan w towarzystwie swoich przyjaciół do Edge Barton. Czy ten dom fascynuje pana w równym stopniu, co moja matka, z czym się pan nie kryje?

- Impertynent z ciebie. - Twarz Halletta wyrażała gniew.

- Nie, to bardzo przenikliwy młody człowiek. - Lady Margaret roześmiała się i ujęła syna za ramię. - Przekazał panu dokładnie taką wiadomość, o jaką go prosiłam. Ma pan zupełną słuszość, panie Hallett. Mój mąż, sir John, jest niezdrów i dlatego właśnie postanowiłam nie kłopotać go koniecznością rozmowy z panem. Proszę nie pojawiać się więcej w tym domu pod pretekstem towarzyszenia wspólnym przyjaciołom. Nie jest pan tu mile widzianym gościem. Jeżeli zaś istotnie przebywa pan tak blisko króla, jak chciałby pan, byśmy wierzyli, nich pan przekaże jego wysokości, że powodem, dla którego tak wielu z nas opuściło dwór, jest niemożność strawienia jego pogardy dla Parlamentu, twierdzenie, że jest pomazańcem Bo-

zym oraz obojętność na prawdziwe potrzeby i prawa swego ludu. Członkowie mojego rodu zasiadali zarówno w Izbie Lordów jak i Gmin od chwili utworzenia Parlamentu. W naszych żyłach płynie krew Tudorów, ale to nie oznacza, że zgodzimy się na powrót do czasów, gdy wola - samowola - monarchy była jedynym prawem.

Salę wypełniła muzyka. Margaret odwróciła się plecami do Halletta, uśmiechnęła się do siedzącego z przyjaciółmi męża, wspartego na lasce, po czym zaczęła tańczyć z synem.

- Masz tyle samo wdzięku co ojciec - powiedziała. - Powtarzałam mu przed wypadkiem, że jest najlepszym tancerzem w Anglii.

- Co teraz będzie, matko? - Vincent nie odpowiedział jej uśmiechem.

- Jeśli jego królewska mość nie pogodzi się z reformami, których domaga się Parlament, dojdzie do wojny domowej.

- W takim razie będę walczył po stronie Parlamentu.

- Módlmy się do Boga, żeby konflikt dobiegł końca, nim będziesz dość duży, by stanąć do boju. Nawet Karol musi zdawać sobie sprawę, że nie zdola wygrać tej walki sumień.

Judith otworzyła oczy. Stephen ją wołał. Potrząsnęła głową i wypadła na schody.

- Jestem na górze, kochanie. - Gdy przyszedł, zarzuciła mu ramiona na szyję. - Czuję się, jakbym znała Edge Barton od zawsze.

Nie zdawała sobie sprawy, że blizna na jej dłoni, która do tego momentu miała ciemnoszkarłatną barwę, znów zbladła, nabierając niemal niezauważalnego odcienia.

W poniedziałek Judith pojechała do Worcester, by obejrzeć miejsce ostatniej wielkiej bitwy wojny domowej. Doszło do niej pod tym właśnie miastem w 1651 roku. Judith zaszła najpierw do Komandorii, drewnianego budynku, który posłużył jako stanowisko dowodzenia Karola II. W całkowicie odrestaurowanej budowli trzymano teraz mundury, hełmy i muszkiety; turystów zachęcano nawet, by dotykali pamiątek. Gdy Judith wzięła do rąk mundur kapitana armii Cromwella, zdała sobie sprawę, że przepelnia ją niezwykły smutek. Audiowizualna prezentacja realistycznie odtwarzała historyczne starcie i wydarzenia, które je poprzedziły. Judith oglądała taśmę z błyszczącymi oczyma, nie zdając sobie sprawy, że zaciska dłonie w pięści.

Jeden z pracowników dał jej mapkę z wyrysowanym tak zwanym szlakiem wojny domowej, odtwarzającym koleje bitwy pod Worcester.



- Wojska rojalistów odniosły srogą porażkę pod Naseby - wyjaśnił.  
- Wojna tego dnia praktycznie dobiegła kresu, kończąc się zwycięstwem Cromwella i zwolenników Parlamentu. Potyczki jednak trwały nadal. Ostatnie wielkie starcie nastąpiło właśnie tutaj. Rojalistami dowodził młody Karol II. Miał zaledwie dwadzieścia jeden lat. Historycy twierdzą, że dał przykład niezrównanej dzielności, ale na nic się to zdało. Armia królewska straciła pod Naseby pięciuset oficerów i nigdy nie zdołała się już podźwignąć.

Judith wyszła z Komandorii. Dzień był typowy dla stycznia - zimny i nieco wietrzny. Miała na sobie nieprzemakalny płaszcz burberry z postawionym kołnierzem. Upięła włosy w kok, lecz luźne kosmyki wymykały się na boki, okalając jej pobladłą twarz i oczy z rozszerzonymi źrenicami.

Kierując się wskazówkami mapki, wędrowała przez miasto. Przystawała, by zajrzeć do własnych notatek i spisywać kolejne obserwacje. Wspięła się na szczyt wieży katedry w Worcester i rozejrzała się, przypominając sobie, że właśnie z tego miejsca Karol II obserwował przygotowania Cromwella do bitwy. Gdy klęska rojalistów stała się oczywista, oddziały króla rzuciły się do straceńczej szarży na armię Parlamentu, by osłaniać ucieczkę swojego monarchy. Właśnie stąd Karol rozpoczął długą, dręczącą wędrówkę przez Anglię do schronienia we Francji.

Szkoda, że udało się mu uciec, pomyślała z goryczą Judith. Blizna na jej dłoni znów rozgorzała czerwienią. Nie widziała już zimowego pejzażu Worcester. Był ciepły lipcowy wieczór 1644 roku. Jechała w zamkniętym powozie na Marston Moor w nadziei, że znajdzie Vincenta żywego...

*Mały oddział okrągłogłowych posuwał się przy akompaniamencie werbli. Na widok zbliżającego się powozu dwaj wartownicy wystąpili do przodu i zaslonili drogę długimi pikami.*

*Lady Margaret wysiadła z powozu. Była ubrana w proste kroju ciemnoniebieską dzienną suknię z doskonałego lnu, z białym kryzowym kołnierzem. Peleryna tej samej barwy sphywała luźno z jej ramion. Z wyjątkiem obrączki ślubnej nie nosiła biżuterii. Gęste kasztanowe włosy, przetykane teraz siwizną, miała spięte nad karkiem. Jej niebieskozielone oczy, charakterystyczne dla arystokratycznego rodu Russellów, pociemniały z bólu.*

*- Proszę - powiedziała błagalnie. - Wiem, ilu rannych leży bez opieki. Mój syn tu walczył.*

*- Po której stronie? - Pytaniu żołnierza towarzyszył złowrogi uśmiech.*

*- Jest oficerem w armii Cromwella.*

- Sądząc po pani wyglądzie, stawiałbym, że należy do kawalerów. Niestety, szanowna pani, już i tak zbyt wiele kobiet przeszukuje pole bitwy. Mam rozkazy, by nikogo więcej nie przepuszczać. Sami zajmujemy się ciałami.

- Proszę -powtórzyła Margaret. - Błagam.

Przed oddział wyszedł oficer.

- Jak się nazywa pani syn?

- Kapitan Yincen Carew.

Oficer - porucznik około trzydziestu pięciu lat o pospolitych rysach - przybrał poważną minę.

- Znam kapitana Carew. Nie widziałem go od końca bitwy. Dowodził szarżą na pułk Langdale, na podmokłym terenie na prawym skrzydle. Może tam powinna pani rozpocząć poszukiwania.

Pole było zasłane zabitymi i konającymi. Pośród nich wędrowały kobiety w najprzeróżniejszym wieku, szukając swoich mężów i braci, ojców i synów. Polamana broń i martwe konie świadczyły o zażartości boju. Ciepłe, parne powietrze wieczoru wypełniały owady, brzęczące nad ciałami poległych. Słychać było sporadyczne krzyki udręki i cierpienia, gdy odnajdowano ukochanych mężczyzn.

Margaret dołączyła do poszukujących. Wielu zabitych leżało twarzami do ziemi, nie musiała ich jednak odwracać. Rozglądała się za kasztanowatymi włosami, które nie chciały się ułożyć w prostą fryzurę, noszoną przez wielu cromwellovskich żołnierzy - za gęstą czupryną, okalającą chłopcę twarz.

Mniej więcej dziesiętnastoletnia dziewczyna przed Margaret osunęła się nagle na kolana i wzięła w ramiona martwego żołnierza w mundurze kawalera. Jęcząc, kołysała go w objęciach.

- Edwardzie! Mój mężu!

Margaret dotknęła ramienia rozpaczającej dziewczyny w niemym geście współczucia. W tej samej chwili dostrzegła, co się stało. Martwy żołnierz wciąż ścisnął w dłoni miecz, do którego ostrza przylegały skrawki tkaniny. Nieco dalej na ziemi leżał z rozplataną piersią młody oficer z armii Parlamentu. Margaret pobladała, instynktownie czując, że porwane strzępy na jego kurcie pasują do skrawków na mieczu. Zobaczyła kasztanowate włosy. Przystojne, patrycjuszowskie rysy, tak podobne do ojca - niebieskozielone oczy rodu Russellów, wpatrujące się w nią niewidzącym wzrokiem.

- Yincen! Yincen!

Uklękła przy nim, przytuliła jego głowę do piersi - piersi, której dwadzieścia lat temu szukał jego niemowlęce wargi. „Będę walczył po stronie Parlamentu”. „Módlmy się do Boga, żeby konflikt dobiegł końca, nim

będziesz dość duży, by stanąć do boju. Nawet Karol musi zdawać sobie sprawę, że nie jest w stanie wygrać tej walki sumień...".

- *Nie... Nie... Nie... - zaczęła zawodzić dziewczyna, której mąż zabił swym mieczem Vincenta.*

*Margaret popatrzyła na nią. Jest młoda, pomyślała, znajdzie sobie następnego męża. Ja nigdy nie będę miała drugiego syna. Z nieskończoną czułością ucałowała wargi i czoło Vincenta, po czym złożyła jego głowę na mokrej ziemi. Wiedziała, że woźnica pomoże jej zanieść ciało do powozu. Przez chwilę stała nad szlochającą dziewczyną.*

- *Szkoda, że miecz twojego męża nie utkwił w sercu króla - powiedziała. - Gdybym była na jego miejscu, na pewno bym je przebiła.*

Judith zadrżała. Słońce znikło, zrywał się coraz silniejszy wiatr. Uświadomiła sobie, że obok niej stoi grupka turystów. Jeden z nich starał się zwrócić uwagę przewodnika.

- W którym roku stracono Karola?

- Został ścięty trzydziestego stycznia tysiąc sześćset czterdziestego dziewiątego roku - odrzekła pisarka. - Cztery i pół roku po bitwie na Marston Moor. - Po chwili się uśmiechnęła. - Przepraszam, nie chciałam się wtrącać.

Spiesznie zeszła na dół, pragnąc oddalić się stąd jak najprędzej. Miała ochotę znaleźć się z powrotem w swoim mieszkaniu, rozpalic ogień i napić się sherry. Zabawne, pomyślała, jadąc pośród narastającego ruchu, gdy zaczynała książkę, miała o wiele więcej współczucia dla rojalistów. Była przekonana, że wprawdzie Stuartowie, począwszy od Marii, byli albo bardzo głupi, albo bardzo chytry i wierzyła, że Karol I miał obydwie te cechy - jednak nie powinien być zostać stracony. Im bardziej zagłębiała się w badaniach, tym silniej była przekonana, że posłowie, którzy podpisali na niego wyrok śmierci, mieli rację. Gdyby tam się znalazła, sama bym się ustawiła w kolejce wraz z nimi...

Następnego dnia Judith z mocno bijącym sercem weszła po niskich schodkach do obrotowych drzwi Archiwum Akt Państwowych w St. Catherine House przy Kingsway. Niech to będzie tutaj, modliła się w milczeniu, przypominając sobie opowieści przybranych rodziców, iż władze skontrolowały rejestry parafialne w Salisbury i rozlepiły jej zdjęcia w okolicznych miejscowościach, mając nadzieję odnaleźć jej rodzinę. Jeśli jednak urodziła się w Londynie i przypadkowo znalazła się w pociągu... Niech to będzie prawda, pomyślała. Niech to będzie prawda.

Chciała przyjść do archiwum poprzedniego dnia, ale kiedy zajrzała do notesu i dostrzegła, że w tym terminie zaplanowała sobie wizytę w Worcester, bez wahania postanowiła, że zrealizuje wcześniejsze zamierzenia. Czy dlatego, że obawiała się, że czeka ją ślepy zaułek, że wspomnienie bombardowania blisko stacji oraz nazwiska Sarah i Molly Marsh lub Marrish to zaledwie fantazje, kapryśnie podsunięte jej przez zahipnotyzowany umysł?

Musiała czekać w niespodziewanie długiej kolejce do okienka zgłoszeń. Ze strzępów rozmów zorientowała się, że większość ludzi w kolejce stara się odnaleźć przodków. Gdy wreszcie dotarła do urzędniczki, dowiedziała się, że rejestry urodzenia są przechowywane w pierwszym dziale, pobierane w wielkie księgi, odnoszące się do poszczególnych lat.

- Każdy rok jest podzielony na cztery kwartały, a księgi są oznaczone: marzec, czerwiec, wrzesień i grudzień - poinformowała urzędniczka. - O jaką datę pani chodzi?... Czwarty lub czternasty maja? W takim razie musi pani zajrzeć do czerwcowego tomu; znajdują się w nim wpisy za kwiecień, maj i czerwiec.

W sali panowała krzątanina jak w ulu. Jedyne wolne miejsce było przy jednym z długich jak ława stołów. Judith zsunęła kaptur peleryny koloru zieleni myśliwskiej, którą pod wpływem impulsu kupiła tego ranka u Harrodsa. „Jest urocza, prawda? - zachwalała okrycie ekspedientka. I idealnie dostosowana do tej dziwnej pogody. Nie za ciężka, ale ze swetrem pod spodem będzie pani wystarczająco ciepło”.

Judith miała na sobie ulubiony zestaw: zrobiony na szydełku sweter, botki i elastyczne spodnie. Nieświadoma pełnych podziwu spojrzeń, którymi za nią podążano, zdjęła z półki księgę, oznaczoną: „Czerwiec 1942”.

Ku swojemu zmartwieniu stwierdziła, że pod nazwiskami Marrish i Marsh nie figurowały żadna Sarah ani Molly. Czy wszystko, co powiedziała w hipnozie, było zwykłym urojeniem? Wróciła do kolejki i w końcu dotarła znowu do urzędniczki.

- Czy nie wymaga się, by narodziny dziecka zostały zarejestrowane w ciągu miesiąca?

- Zgadza się.

- W takim razie mam właściwą księgę.

- Och, niekoniecznie. W czterdziestym drugim roku trwała wojna. Bardzo możliwe, że narodziny zostały zgłoszone dopiero w następnym kwartale lub jeszcze później.

Judith wróciła na miejsce i zaczęła przesuwając palcem wzdłuż stron z nazwiskami Marrish i Marsh, szukając „S” jako inicjału drugiego imie-

nia. Być może „Sarah” to było właśnie moje drugie imię, pomyślała. Ludzie czasami mówią tak do córki, jeśli ta nazywa się tak samo jak matka. Nie było jednak żadnego dziecka płci żeńskiej nazwiskiem Marsh lub Marrish o tym inicjale. W każdym wierszu znajdowało się nazwisko i imię nadane noworodkowi, panięńskie nazwisko matki i dzielnica lub miasto, gdzie miały miejsce narodziny. Informacjom tym towarzyszył numer tomu i strony indeksu, potrzebny do uzyskania odpisu świadectwa urodzenia. Bez właściwego nazwiska czeka mnie ślepy zaułek, pomyślała Judith.

Wyszła z archiwum dopiero wtedy, gdy je zamykano. Rozbolały ją barki od długich godzin ślęczenia nad księgami, oczy paliły, w głowie pulsował ból. Czekają ją niełatwe zadanie. Gdyby tylko mogła zyskać wsparcie Stephena - mógłby polecić urzędnikom, by jej pomogli. Może istniały sposoby przeszukiwania rejestrów, o których nie miała pojęcia... A może umysł spletał jej figła, a Sarah Marrish czy Marsh stanowiła tylko wytwór jej wyobraźni?

Na automatycznej sekretarce była nagrana wiadomość od Stephena. Dźwięk jego głosu podniósł Judith na duchu. Szybko wybrała prywatny numer telefonu w gabinecie Halletta.

- Zasiedziałeś się do późna, prawda? - spytała, gdy ich połączono.

- Mógłbym zapytać cię o to samo! - Roześmiał się. - Jak ci poszło w Worcester? Jesteś pod wrażeniem naszego braku braterskiej miłości?

Pozwoliła mu sądzić, że dzisiaj wróciła z Worcester, zdecydowanie nie chcąc opowiadać o poszukiwaniach swojej prawdziwej rodziny.

- Poszukiwanie materiałów trochę mi się dzisiaj wlokło, ale tak bywa - odparła pośpiesznie po chwili wahania. - Czy weekend podobał ci się tak samo jak mnie, Stephen?

- Nie przestałem go wspominać. W tej chwili Edge Barton jest dla mnie jak oaza.

Przez sobotę i niedzielę jeździli konno. Stephen trzymał w stajni sześć koni. Szczególnie cenił jego własnego, czarnego jak sadza wałacha o imieniu Market i kłacz Juniper. Obydwa wierzchowce potrafiły brać przeszkody. Stephen był zachwycony, że Judith mogła dotrzymać mu tempa, gdy cwałem objeżdżali całą posiadłość, i bez zatrzymywania się przeskakiwała przez ogrodzenia.

- Mówiłaś, że zaledwie umiesz jeździć - zarzucił jej.

- Jeździłam nawet sporo, lecz przez ostatnich dziesięć lat bardzo rzadko miałam na to czas.

- Zupełnie tego nie widać. Byłem wstrząśnięty, kiedy zdałem sobie sprawę, że nie ostrzegłem cię o tym strumieniu. Jeśli jeździec o nim nie wie, konie zwykle nie chcą przez niego przeskakiwać.

- Nie wiem czemu, ale się go spodziewałam - odrzekła Judith.

Po powrocie do stajni zsiadli z koni i ramię w ramię ruszyli wolnym krokiem w stronę domu. Gdy nie mogli ich już dostrzec stajenni, Stephen wziął ją w ramiona.

- Wszystko postanowione, Judith. Za trzy tygodnie pani premier ogłosi swoją rezygnację i zostanie wybrany nowy lider.

- Ty.

- Mam jej poparcie. Jak ci wspominałem, są inni, którzy rwą się do tego stanowiska, ale powinienem wygrać. Kilka tygodni do wyborów będzie bardzo gorących. Spędzimy ze sobą bardzo mało czasu. Potrafisz się z tym pogodzić?

- Tak, oczywiście. Jeśli zdołam skończyć książkę, podczas gdy ty będziesz zajęty kampanią, tym lepiej. Nawiasem mówiąc, sir Stephenie, z radością oglądałam cię w stroju do konnej jazdy zamiast w garniturze czy fraku. Moim zdaniem odrobinę przypominałeś Ronalda Colmana. Uwielbiałam oglądać stare filmy w nocy, a on był moim bezkonkurencyjnym faworytem. Zaczynam się czuć odrobinę jak kochanka w „Zagubionych dniach”. Smithy i Paula trafili na siebie, będąc mniej więcej w naszym wieku.

- Judith! - Głos Stephena zdawał się dobiegać z wielkiej oddali.

- Przepraszam, Stephen. Właśnie rozmyślałam o tobie i weekendzie i zastanawiałam się, czy w tej chwili wyglądasz jak Ronald Colman.

- Przykro mi cię rozczarować, kochanie, ale porównanie wypada niekorzystnie dla świętej pamięci pana Colmana. Co porabiasz dzisiaj wieczorem?

- Przygotuję sobie cokolwiek do zjedzenia i siadam do maszyny. Wypadki w teren są konieczne, ale na pewno nie sprzyjają postępom w pracy nad tekstem.

- No cóż, kończ książkę jak najszybciej, Judith, wybory odbędą się trzynastego marca. Czy odpowiada ci cichy ślub w kwietniu, najlepiej w Edge Barton? To na pewno miejsce, w którym czuję się najbardziej u siebie na całym świecie. Od zawsze oznaczało dla mnie ucieczkę, pociechę i spokój. Czuję, że i ty zaczęłaś dzielić moje uczucia.

- Oczywiście.

Judith odłożyła słuchawkę na widelki i z tęsknotą pomyślała, by przygotować sobie coś prostego do zjedzenia, pójść do łóżka i poczytać jakiś czas. Cały cenny dzień spędziła jednak na zakupach u Harrodsa oraz poszukiwaniach w Archiwum Akt Państwowych. Postanowiła więc teraz, że nie będzie sobie pobłażać. Wzięła prysznic, włożyła ciepłą pidżamę oraz szlafrok, odgrzała puszkę zupy i wróciła do biurka. Z satysfakcją przekartkowała maszynopis. Początkową jedną trzecią tekstu poświęciła wydarzeniom, prowadzącym do wojny domowej, środkową zaś - życiu w Anglii podczas wojny, kolejnym zmaganiom, odrzuconym szansom na pogodzenie się króla z Parlamentem, a potem pojmaniu, procesowi oraz egzekucji Karola I. Obecnie była znacznie zaawansowana w pisaniu o powrocie Karola II z wygnania we Francji, jego obietnicy wolności wyznania, „klejnotu swobodnego sumienia”, oraz procesie tych, którzy podpisali wyrok śmierci na jego ojca.

Karol II wrócił do Anglii w swoje trzydzieste urodziny, dwudziestego dziewiątego maja 1660 roku. Judith wzięła do ręki pióro, by podkreślić notatkę o wielkiej liczbie petycji od rojalistów, w których dopraszano się o tytuły i skonfiskowane włości zwolenników Cromwella.

Poczuła pulsujący ból w głowie. Blizna na jej dłoni zaczerwieniła się na nowo.

- Och, Vincent - szepnęła.

Był dwudziesty czwarty września 1660 roku...

*Przez szesnaście lat od śmierci Yincenta lady Margaret Carew i sir John wiedli cichy żywot w Edge Barton. Jedynie egzekucja króla i klęska wojsk rojalistów stanowiły pociechę dla lady Margaret. Przynajmniej sprawa, za którą zginął jej syn, zatriumfowała. W ciągu tych lat lady Margaret i jej mąż oddalili się jednak od siebie. Wskutek gorącego uporu żony sir John niechętnie podpisał nakaz egzekucji króla, czego nie potrafił sobie wybaczyć.*

*„ Wygnanie byłoby wystarczające, mówił jej już wielokrotnie. Co dostaliśmy w zamian? Noszącego się jak monarcha Lorda Protektora, którego purytańskie obyczaje wyzwały Anglię ze swobody wyznania i wszelkich radości, jakie niegdyś znaliśmy”.*

*Miłość do męża, niemal równie wielka jak nienawiść do straconego króla, przyglądanie się, jak John zamienia się w roztargnionego starca, a także świadomość, że nie potrafi wybaczyć jej zmuszenia go do królobójstwa, oraz codzienna tęsknota za poległym synem zmieniły lady Margaret. Zdawała sobie sprawę, że stała się zgorzkniałą kobietą. Jej temperament zmie-*

nil się w legendę, a zwierciadło podpowiadało, że przestała już być ową piękną młodą córką diuka Wakefielda, emablowaną na dworze podczas zaślubin z sir Johnem Carew. Jedynie gdy siedziała z mężem, słuchając, jak coraz szerzej rozwodził się o przeszłości, potrafiła przypomnieć sobie, jak szczęśliwy wiodła niegdyś żywot.

Karol II powrócił do Anglii w maju. Twierdząc, że przelano dość krwi, ogłosił powszechną amnestię dla wszystkich z wyjątkiem ludzi bezpośrednio uczestniczących w zamordowaniu jego ojca. Żył jeszcze czterdziestu jeden z pięćdziesięciu dziewięciu mężczyzn, którzy podpisali wyrok śmierci na króla. Karol przyrzekł wyjątkowe wzglądy tym, którzy oddadzą się w jego ręce.

Margaret nie ufala monarsze. Johnowi niewątpliwie zostało mało czasu. Zawodził go umysł. Często wołał Yincenta, by towarzyszył mu w przejażdżce. Zaczął spoglądać w twarz żony znów z tą samą głęboką miłością, jakiej nie okazywał jej od wielu lat. Mówił o wybraniu się na przechadzkę i planował doroczny bal w Edge Barton. Płytki oddech i popielata cera męża stanowiły dla Margaret świadectwo, że zawodzi go serce.

Z asystą garstki wiernych sług opracowała plan działania. John miał wyruszyć do Londynu, by zdać się na łaskę króla. Świadcami odjazdu będą mieszczanie i wieśniacy z okolicznych miejscowości. Po zapadnięciu zmroku powóz miał zawrócić do rezydencji. Dla Johna przygotowano schronienie w tajemnej komnacie, znanej jako Księża Nora. Za czasów królowej Elżbiety I ukrywano w niej przedstawicieli katolickiego kleru uciekających do Francji. Powóz miał następnie zostać odstawiony w odległe miejsce na trakcie do Londynu i porozbijany tak, jakby stał się obiektem napaści zbójców. Chodziło o to, byjadące nim osoby uznano za zamordowane.

Plan się powiódł. Woźnica został sowiec wynagrodzony i znalazł się w drodze do amerykańskich kolonii, a osobisty sługa pozostał z Johnem w kryjówce. Margaret wślizgiwała się nocą do kuchni i z pomocą Dorcas, służebnej, przygotowywała dla nich jedzenie.

Gdy rozeszły się wieści o losie królobójców, których wieszano, łamano kołem i ćwiartowano na Charing Cross, lady Margaret zrozumiała, że podjęła jedyną słuszną decyzję. John miał dokonać spokojnie żywota w Edge Barton.

Jednakże o świcie 2 października w rezydencji pojawił się Simon Hallett w asyście oddziału żołnierzy królewskich. Margaret właśnie wróciła do swojego pokoju. Noc spędziła z Johnem, tuląc w ramionach jego kruche ciało i wyczuwając poprzedzający śmierć chłód. Wiedziała, że mężowi zostały tygodnie albo zaledwie dni życia. Spiesznie narzuciła na siebie suknię, wią-



ząc ją w biegu. Minęło osiemnaście lat od chwili, gdy po raz pierwszy jej oko spoczęło na Simonie Halletcie. Po zakończeniu wojny dołączył do króla na wygnaniu we Francji. Przez ten czas jego wątłe rysy zhardziały, a tak odpychającą ironiczną pozę zastąpiła arogancja.

- Jak miło znów panią widzieć, lady Margaret - powiedział sardonicznie, gdy otworzyła przed nim wielkie drewniane drzwi. Nie czekając na zezwolenie, wymiął ją i rozejrział się wokół. - Nie troszczono się najlepiej o Edge Barton, od czasu gdy byłem tu ostatnim razem.

- Kiedy lasileś się we Francji do nóg twojego pana i władcy, inni Anglicy zostali w domach, płacąc ciężkie podatki, pokrywające koszty wojny.

Margaret miała nadzieję, że w jej oczach nie widać trwogi. Czyżby Hallett podejrzewał, że powóz Johna nie został napadnięty przez rozbójników? Rozkaz, jaki Simon wydał żołnierzom, potwierdził jej obawy:

- Przeszukajcie każdą piędź tego domu, gdzieś tu musi być kryjówka. Ale uważajcie, by nic nie zniszczyć. I tak wystarczająco dużo będzie kosztowało doprowadzenie rezydencji do należytego stanu. Sir John gdzieś tu się ukrył. Nie wyjedziemy bez niego.

- Mylisz się całkowicie, panie. - Lady Margaret zdobyła się na okazanie pogardy i ironii, szalejących w jej duszy. - Gdyby mój mąż tu był, przywitałby cię z mieczem.

Tak byłoby, Johnie, pomyślała, ale cię tu nie ma. Żyjesz w szczęśliwej przeszłości...

Badano komnatę po komnacie, aż przeszukano całą wielką rezydencję. Otwierano szafki, sprawdzano, czy ściany nie wydają głuchych odgłosów, świadczących o ukrytych przejściach. Mijały godziny. Lady Margaret siedziała w wielkiej sali blisko rozpalonego przez sługę ognia. Zastanawiała się, czy wolno jej mieć nadzieję. Simon krążył po domu z narastającym zniecierpliwieniem. Wreszcie powrócił do sali. Dorcas właśnie przyniosła swej pani herbatę i chleb. Margaret zdała sobie sprawę, że wszystko przepadło, gdy spojrzenie Simona padło na starszą służącą. Błyskawicznie przyskoczył ku niej, szarpnął ją za ramię i wykręcił jej ręce za plecami.

- Wiesz, gdzie on jest! - warknął. - Gadaj!

- Nie wiem, o co panu chodzi, sir. Proszę mnie puścić! - odrzekła drżącym głosem Dorcas.

Jej błagania zamieniły się w płacz, gdy Simon ponownie wykręcił jej ramiona. Po wielkiej sali przetoczył się okropny trzask łamanej kości.

- Pokażę, gdzie jest! - zawołała Dorcas. - Ale niech pan przestanie, sir! Niech pan tylko przestanie!

- No to już!

Wciąż wykręcając ramiona szlochającej kobiecie, Simon zaczął wypychać ją na górę po paradnych schodach.

W kilka chwil później dwaj żołnierze zwlekli po schodach skutego sir Johna Carew. Simon Hallett chował miecz do pochwy.

- Kuchta nie miała okazji, by pożałować swej bezczelności - zwrócił się do jej pani.

Ta podniosła się jak odrętwiała i podbiegła do męża.

- Chyba nie czuję się najlepiej, Margaret - powiedział stropionym tonem John. - Bardzo mi zimno. Poproś, żeby dorzucono drewno do ognia. Iprzysłój do mnie Yincenta. Cały ranek nie widziałem tego chłopaka.

- Pojadę za tobą do Londynu. - Margaret otoczyła go ramionami. Gdy żołnierze wyprowadzali Johna z domu, utkwiała wzrok w Simonie. - Nawet ci szaleńcy mogą dostrzec, w jakim stanie jest mój małżonek. Jeśli tak bardzo chcą postawić kogoś przed sądem, niech zabiorą mnie. To ja zażądałam od męża, żeby podpisał wyrok śmierci na króla.

- Dziękuję za tę informację, lady Margaret. - Hallett odwrócił się do dowodzącego oficera: - Byłeś świadkiem, jak się przyznała.

Margaret nie dopuszczono do udziału w procesie męża. Opowiedzieli jej o nim przyjaciele: „ Twierdzili, że odgrywał głupca, ale zdołał uknuć spryt-ny plan ucieczki. Skazano go za królobójstwo. Wyrok ma zostać wykonany za trzy dni”.

Powieszenie na Charing Cross. Łamanie kołem i poćwiartowanie. Wystawienie głowy na pice.

- Muszę uzyskać posłuchanie u króla - oświadczyła Margaret. - Zmuszę go, by zrozumiał.

Jej kuzyni nie pojmowali, dlaczego opowiedziała się po stronie zwolenników Parlamentu i nie wybaczyli jej tego. Należała jednak do jednego z największych rodów w Anglii, zdołali więc uzyskać dla niej audiencję.

W dniu kiedy miano stracić Johna, Margaret zaprowadzono przed oblicze króla Karola II. Słyszała, że monarcha mówił doradcom, iż jest znużony egzekucjami i nie życzy sobie ich więcej. Zamierzała prosić go, by zezwolił sir Johnowi dokonać w spokoju żywota w Edge Barton, w zamian zdając się na łaskę króla.

Simon Hallett stal po prawicy Karola. Przybrał rozbawioną minę, gdy Margaret pokłoniła się głęboko.

~ Pani, czy mogę zaprezentować innych świadków, zanim wysłuchasz lady Margaret, która potrafi być wyjątkowo przekonująca?

Margaret z trwogą patrzyła, jak na salę wprowadzono kapitana gwardii, który aresztował Johna.

- Lady Margaret przysięgła, że zażądała od męża, by złożył podpis pod wyrokiem śmierci na ojca waszej wysokości - powiedział żołnierz.

- Przybyłam właśnie to ci powiedzieć, panie. Sir John nie chciał podpisać wyroku. Nigdy mi nie wybaczył, że go do tego zmusiłam! - zawołała.

- Wasza wysokość! - przerwał jej Simon Hallett. - Całe życie sir Johna Carew, jego służba wojskowa i lata spędzone w Parlamencie dowodzą, że jest człowiekiem zdecydowanych przekonań, który nie uległby woli żony. Nie mówię tego, by go tłumaczyć, panie, ale byś zapomniał o swej łaskawej i skorej do przebaczenia naturze i zdał sobie sprawę z tego, że patrzysz w oblicze kobiety winnej tak samo, jakby sama podpisała ten niewybaczalny dokument. Jest jeszcze jedna osoba, o której wysłuchanie chcę cię błagać - lady Elizabeth Sethbert.

Weszła kobieta w czwartej dziesiątce lat życia. Dlaczego wyglądała znajomo? - zastanawiała się Margaret. Wkrótce zrozumiała przyczynę. To właśnie mąż przybyłej zabił Yincenta.

- Nigdy tego nie zapomnę, wasza wysokość - powiedziała lady Elizabeth, wpatrując się w Margaret z kamienną pogardą. - Gdy trzymałam męża w ramionach, zadowolona, że oddał życie w służbie waszej wysokości, ta kobieta żalowała, iż jego miecz nie utkwiał w sercu monarchy. Powiedziała następnie: „Gdybym była na jego miejscu, na pewno bym je przeszyła”. Gdy odeszła, zapytałam oficera armii Parlamentu, jak się nazywa, ponieważ najwyraźniej była to osoba ze znacznego rodu. Nigdy nie zapomniałam grozy tamtej chwili i wielokrotnie o niej opowiadałam - w ten właśnie sposób dowiedział się o wszystkim Simon Hallett.

Król zwrócił wzrok na Margaret. Słyszała, że mienił się znawcą fizjonomii i potrafił odczytywać z twarzy charakter człowieka.

- Panie, przybyłam tutaj przyznać się do swoich win - powiedziała. - Zrób ze mną, cokolwiek sobie życzysz, ale oszczędź starego człowieka niepełna rozumu.

- Sir John Carew jest wystarczająco bystry, by udać obłąd, panie - oświadczył Hallett. ~ Jeśli za twoim łaskawym przyzwoleniem wróci do Edge Barton, wkrótce cudownie odzyska zdrowie. Wówczas on i jego żona wrócą do szemrania i siania niezgody pospołu ze swoimi przyjaciółmi na wysokich stanowiskach i buntowniczymi kompanami. Ci lotrzy szykują dla ciebie taki sam los, panie, jaki spotkał twojego ojca.

Oszołomiona Margaret utkwiała wzrok w Simonie. Kuzyni mówili jej, że pozornie beztroskiego Karola II dręczą przeczcucia, iż przeznaczenie każe mu podzielić los ojca.

- Kłamca! - zawołała Margaret, mając na myśli Halletta. - Kłamca!

- Rzuciła się w stronę króla. - Wasza królewska mość, mój mąż! Oszczędź mojego męża!

Simon Hallet wpadł na nią, przewrócił ją na podłogę i przykrył własnym ciałem. Dostrzegła błysk sztyletu w jego dłoni. Myśląc, że chce ją zabić, spróbowała wyrwać mu nóż z dłoni. Ostrze głęboko rozcięło podstawę jej kciuka. Chwilę później Simon zacisnął na sztylcie palce Margaret i poderwał ją z podłogi.

- Chciała zamordować króla! - krzyknął. - Patrz, panie! Przyszła na tę audiencję z nożem!

Margaret zdała sobie sprawę, że wszelkie protesty na nic. Krew lala się z jej kciuka, gdy wywleczono ją ze skutymi rękami sprzed oblicza monarchy. Simon wyszedł za nią.

- Pozwólcie, że zamienię słowo z lady Margaret - powiedział strażnikom. - Odsuńcie się, dobrze? - Gdy go usłuchali, szepnął do niej: - Właśnie w tej chwili sir John kołysze się na szubienicy na Charing Cross i wypruwają z niego wnętrzności. Król już nadal mi tytuł baroneta. W nagrodę za uratowanie mu życia przed twym obłądnym atakiem poproszę o Edge Barton - i go dostanę!

Przez weekend Reza Patel starał się dodzwonić do Judith. Nie nagrywał jednak wiadomości, kiedy włączała się jej automatyczna sekretarka. Chciał pozornie beztrudnie zaproponować pisarce, by przyszła do jego gabinetu na kontrolę ciśnienia krwi, lecz w rzeczywistości pragnął się upewnić, że hipnotyzujący lek nie wpłynął na stan pacjentki.

W poniedziałek również Judith nie było w mieszkaniu. We wtorek wieczorem Reza został z Rebecca w gabinecie po godzinach przyjęć i jeszcze raz uważnie obejrzeni taśmę z sesji hipnotycznej Judith.

- Wydarzyło się coś ważnego - powiedział psychiatra Rebecce. - Wiem o tym. Przyjrzyj się twarzy Judith - malują się na niej gniew i nienawiść. Jaką istotę sprowadziła z powrotem? I skąd? Jeśli moja teoria jest słuszna, dusza, esencja wielkiej księżnej Anastazji dosłownie stłamsiła osobowość Anny Anderson. Czy to samo czeka Judith Chase?

- Jest bardzo silną kobietą - przypomniała mu Rebecca. - Dlatego właśnie potrzebowałeś aż tyle leku, by osiągnąć u niej regresję do dzieciństwa. Wiesz, że nie możesz mieć pewności, iż to, co przeżyła, nie dobiegło końca, gdy odzyskała świadomość. Niczego sobie nie przypominała. Czy pewność, że dzięki niej udało ci się dowieść prawdziwości syndromu Anastazji, nie jest na wyrost?

- Modłę się do Boga, żebym się mylił, ale tak nie jest.

- W takim razie możesz ponownie zahipnotyzować Judith, wprawić ją w regresję do punktu, w którym wniknął w nią ten duch - czymkolwiek jest - i nakazać jej go tam zostawić?

- Nie wiem, dokąd miałbym ją cofnąć. - Patel potrząsnął głową. - Spróbuję znów do niej zadzwonić.

Tym razem telefon odebrano. Patel kiwnął głową Rebecce na znak, że pisarka podniosła słuchawkę. Rejestratorka sięgnęła do klawisza, uruchamiającego głośnik automatycznej sekretarki.

- Tak?

Asystentka i doktor popatrzyli po sobie stropieni. Był to głos Judith, a jednak nie jej. Mówiła zmienionym tonem, wyniosłym i nieprzystępnym.

- Pani Chase? Judith Chase?

- Judith tu nie ma.

- Jak się nazywa? - szepnęła Rebecca.

- Mogę zapytać, z kim mówię? Jest pani przyjaciółką pani Chase?

- Przyjaciółką? Raczej nie.

Połączenie zostało przerwane.

- Co ja narobiłem, Rebecca? - Patel ukrył twarz w dłoniach. - Judith ma dwie osobowości. Ta nowa zdaje sobie sprawę z istnienia Judith, ale już stała się dominująca.

Stephen Hallett wrócił do domu dopiero o północy. Przez cały dzień miał spotkania. Wszędzie krążyły pogłoski o decyzji pani premier. Stephen nie mylił się, sądząc, że będzie miał konkurentów przy wyborze lidera partii. Wyjątkowo głośno wypowiadał się na ten temat jeden z młodszych ministrów, Hawkins: „Chociaż nie kwestionuję oczywistych zasług Stephena Halletta, muszę ostrzec wszystkich i każdego z osobna, że stary skandal ożyje. Gazety będą miały używanie. Nie zapominajcie, że Stephen o mało co sam nie został oskarżony”.

„Ale mnie uniewinniono”, odparował Hallett. Udało mu się zwyciężyć w tym starciu. Wierzył, że wygra wybory i zostanie liderem partii. Och Boże, jakież to brzemię żyć w cieniu czyjogoś przestępstwa, myślał, rozbierając się ze znużeniem. Kładąc się do łóżka, rzucił okiem na zegar. Północ. O wiele za późno, żeby zatelefonować do Judith. Przymknął oczy. Dzięki Bogu, że była właśnie taką kobietą. Dzięki Bogu, że rozumiała, dlaczego Stephen nie mógł jej pozwolić na poszukiwania prawdziwej rodziny. Wiedział, że żądał od niej wiele, stawiając takie wymagania. Wynagrodzę jej to przez resztę życia, obiecywał sobie, gdy zapadał w sen.

Łoże z kolumnkami, znajdujące się od niemal trzystu lat w posiadaniu jego rodziny, zaskrzypiało pod jego ciężarem. Stephen pomyślał, jak radośnie będzie dzielić je z Judith, jaką dumę będzie czuł w jej towarzystwie na oficjalnych przyjęciach. Ostatnią myślą przed zaśnięciem było pragnienie, by jak najwięcej czasu z nią spędzać w jego ukochanym schronieniu, w Edge Barton.

Dziesięć minut po północy Judith podniosła głowę, sprawdziła, która godzina, i z zaskoczeniem uświadomiła sobie, że zupa na tacy obok niej wystygła, a ona sama przemarzła do kości. Koncentracja to jedno, ale coś podobnego to szaleństwo, pomyślała, szykując się do snu. Zrzuciła szlafrok i z zadowoleniem naciągnęła kołdrę po szyję. Piekielna blizna na ręce. Znów się zaogniła. Gdy jednak pisarka jej się przyglądała, szrama pobladła. Kiedy odnawiają się wszystkie twoje stare blizny, to dowód, że nie młodniejesz, pomyślała. Wyciągnęła dłoń i zgasiła światło.

Zamknęła oczy i zaczęła zastanawiać się nad propozycją Stephena, by pobrali się w kwietniu - czyli za dziesięć lub jedenaście tygodni. Skończę tę cholerną książkę i zacznę robić zakupy, przyrzekła sobie. Zdała sobie sprawę, że z zachwytem myśli o tym, by ślub odbył się w Edge Barton. Przez minione tygodnie wspomnienia o wszystkich latach dzieciństwa, spędzonych z przybranymi rodzicami, a także o okresie, gdy mieszkała z Kennethem w Waszyngtonie, coraz bardziej bladły w jej umyśle, tak jakby od poznania Stephena zaczęła nowe życie, jakby każdą komórką ciała rozpoznawała Anglię jako własny dom. Miała czterdzieści sześć lat, a Stephen pięćdziesiąt cztery. Członkowie jego rodziny byli długowieczni. Może uda się nam przeżyć razem ze dwadzieścia pięć pięknych lat, pomyślała. Stephen. Oficjalna i czasami nieprzystępna poza stanowiła maskę, pod którą krył się uroczy człowiek, nawet co wydawało się niewiarygodne - dość pozbawiony pewności siebie. Wiedza o jego teściu bardzo wiele wyjaśniała...

Muszę poznać moje prawdziwe nazwisko, pomyślała Judith, zamykając oczy. O ile wszystkiego sobie nie zmyśliłam, mogę być już blisko tej informacji. Jeśli naprawdę odłączyłam się od siostry i matki podczas nalotu, jakoś zdołam dowiedzieć się reszty tej historii. Najpewniej obydwie zginęły tamtego dnia. Chciałbym móc złożyć kwiaty na ich grobie, ale solennie przyrzekam, że nie wygrzebię dalekich kuzynów, których Stephen mógłby się wstydzić. Zapadła w sen, szczęśliwa i przekonana, że będzie uwielbiała życie lady Hallett.

Judith pracowała nad książką przez cały następny ranek, obserwując z niezmierną satysfakcją rosnącą stertę kartek maszynopisu. Wszyscy

przyjaciele zapewniali ją, że powinna sobie kupić komputer. Kiedy skończy tę książkę, zrobię sobie na jakiś czas urlop od pisania, postanowiła. Dzięki temu będę miała trochę wolnego czasu, by nauczyć się obsługi komputera. Nie powinno to być aż tak trudne. Kenneth zawsze nazywał mnie „Pani Majsterklepka”. Mawiał, że powinnam była zostać inżynierem. Przeciągając się energicznie, przyznała jednak, że chociaż włączyła się po całym świecie, szukając materiałów do książki, jakoś nie znalazła czasu, by poszukać drukarki.

Postanowiła, że kupi ją po ślubie ze Stephenem. Bardzo się obawiał, że Judith nie będzie szczęśliwa, zmuszona do uczestnictwa w oficjalnych obchodach, a kiedy zostanie zdana na własne siły, nie znajdzie sobie dość zajęć, ona jednak wyglądała z nadzieją obydwóch aspektów tego życia. Dziesięć lat jej małżeństwa z Kennethem było cudowne, lecz nader gorączkowe, bo obydwójce starali się zrobić karierę. Brak dziecka stanowił dla obojga miazdzące rozczarowanie. Potem nadeszło dziesięć lat wdowieństwa, gdy praca stała się dla Judith wyłącznym celem i zbawieniem. Czy zawsze uciekałam? - zadała sobie pytanie. Czy dopiero teraz odnalazłam spokój?

Blask słońca wpadał przez szybę. „Och, być w Anglii, skoro nastał kwiecień”. Albo styczniu czy dowolnym miesiącu - wszystkie jej odpowiedzi, byle tylko w Anglii. Przez cały rano pisała o okresie restauracji, w którym, jak odnotował w swoim dzienniku Samuel Pepys, gorzało niezliczone mrowie ognisk i radośnie dzwięczały dzwony Bow\*. Wznoszono toasty na cześć króla, a po wsiach znów stawiano ozdobne słupy na pierwszomajowe zabawy. Posępną szarość narzuconą przez purytan zastąpiły jaskrawe kolory, a król i królowa jeździli powozem po Hyde Parku.

O pierwszej po południu Judith postanowiła przejść się po okolicy pałacu Whitehall i spróbować poczuć tę samą ulgę, której doznali Anglicy, gdy przywrócono monarchię bez kolejnej wojny domowej. Pragnęła zwłaszcza zobaczyć pomnik króla Karola I. W latach rządów Cromwella najstarszy i najpiękniejszy konny posąg w Londynie oddano handlarzowi złomem i kazano mu zniszczyć rzeźbę. Handlarz był jednak lojalny wobec zamordowanego monarchy i zdawał sobie sprawę z niezmiernej wartości pomnika, dlatego ukrył go do powrotu Karola II. Wtedy zamówiono wspaniały cokół i wreszcie ustawiono posąg na Trafalgar Square dokładnie naprzeciw Whitehall - w miejscu, gdzie stracono Karola I.

\* Kościoła St. Mary le Bow w centrum Londynu; idiom *bom within the sound of Bow* (urodzony w zasięgu dzwonów Bow) oznacza rodowitego londyńczyka.

Przez cały ranek Judith pracowała w szlafroku. Obecnie szybko wzięła prysznic, nałożyła błyszczki na usta, pociągnęła rzęsy tuszem i wytarła włosy do sucha. Zauważyła, że robią się za długie. I tak nieźle się prezentują, pomyślała, przyglądając się sobie krytycznie w lustrze. Chyba jednak, mając już prawie czterdzieści siedem lat, powinnam postawić na bardziej wyrafinowany wygląd. Uniosła brwi. Nie wyglądasz na swój wiek, dziewczyno. Odbicie w lustrze dodawało otuchy: ciemnobrązowe włosy, przetykane śladami złota. Jako małe dziecko miała jasne włosy i angielską różaną cerę. Owalna twarz z dużymi niebieskimi oczami. Ciekawe, czy przypominam moją prawdziwą matkę, pomyślała.

Ubrała się spiesźnie w spodnie barwy węgla drzewnego, biały golf i botki. Mój mundur, pomyślała. Nie będę mogła poruszać się po tym mieście swobodnie, kiedy już poślubię Stephena. Przystanęła, wybierając między płaszczem burberry a nową peleryną. Zdecydowała się na pelerynę. Zabrała plecak z notesami i materiałami źródłowymi, których mogła potrzebować, i wyszła z mieszkania.

*Przystojny i spokojny, cwałuje  
Na koniu koło swego Whitehallu:  
I tylko nocny wiatr harcuje -  
Ni tłumów, ni buntów, ni żalu.*

Judith przypomniała sobie strofę wiersza Lionela Johnsona, stojąc na Trafalgar Square i przyglądając się wspaniałemu posągowi świętego króla. Stateczna postać z sięgającymi ramion włosami, przystrzyżoną bródką, wyprostowaną głową i godną monarchy postawą wywierała kojący wpływ. Rumak, której dosiadał Karol, wydawał się bić kopytem w ziemię; przednią nogę miał uniesioną, jakby chciał zerwać się do galopu.

Karol I był bardzo znienawidzonym władcą, pomyślała Judith. Jakby wyglądała dzisiaj Anglia, gdyby udało mu się zniszczyć Parlament? Za sobą usłyszała zbliżającą się grupę turystów. Przewodnik odczekał, aż wszyscy uczestnicy wycieczki zbiorą się wokół niego w półokręgu i rozpoczął wyuczoną na pamięć prelekcję:

- Plac, który obecnie nazywamy Trafalgar Square, stanowił początkowo część Charing Cross - wyjaśnił. - Ten posąg postawiono dokładnie w miejscu, gdzie stracono wielu królobójców - jakże subtelna forma zemsty za zabicie monarchy, nieprawdaż? Egzekucje były zdecydowanie niemiłe. Skazańców wieszano, łamano kołem i ćwiartowano; wnętrznosci zaś wypruwano z nich jeszcze za życia.



*John tak właśnie zginął... Chory, zagubiony starzec...*

- Króla święto trzydziestego stycznia. Przyjdźcie tu w przyszły wtorek, a zobaczycie, jak Królewskie Towarzystwo Stuartowskie składa pod pomnikiem wieniec. To tradycja od czasu, odkąd postawiono ten pomnik. Czasami turyści i uczniowie dodają własne wieńce. Nader wzruszające, moim zdaniem.

- Pomnik należałoby zrównać z ziemią, a składających wieńce głupców karać.

- Słucham? - Przewodnik odwrócił się w stronę Judith. - Pytała pani o coś?

*Lady Margaret nie odpowiedziała. Przełożyła plecak z książkami do lewej ręki, a prawą z gorejącą blizną sięgnęła po ciemne okulary i naciągnęła kaptur peleryny tak, że do połowy zakrył jej twarz.*

*Przez jakiś czas bez celu błędziła po Victoria Embankment wzdłuż Tamizy, aż dotarła do Big Bena i siedziby Parlamentu. Tam stanęła, wpatrując się w budynki i całkowicie nie zwracając uwagi na przechodniów, a nikt z nich nie popatrywał na nią z zaciekawieniem.*

*W jej uszach brzmiały własne słowa: „Pomnik należałoby zrównać z ziemią, a składających wieńce głupców karać”. Ale jak, Johnie? - zadała sobie pytanie. Jak mam się do tego zabrać?*

*Niezdecydowanie ruszyła Bridge Street, przecięła Parliament Street, skręciła w prawo i znalazła się na Downing. Domy w końcu ulicy otaczali policjanci. Jednym z nich był Downing Street dziesięć - siedziba premiera. Przyszła siedziba Stephena Halletta, potomka Simona. Margaret uśmiechnęła się gorzko. Bardzo długo to trwało, pomyślała. Wreszcie znalazłam się tutaj, żeby wziąć odwet za to, co spotkało Johna i mnie samą.*

*Najpierw pomnik, zdecydowała. Trzydziestego stycznia złoży wieniec razem z innymi. Pomiędzy liśćmi i kwiatami jej wieńca będzie jednak ukryty materiał wybuchowy.*

*Przypomniała sobie proch, który podczas wojny domowej zniszczył tak wiele domów. Jakich materiałów wybuchowych używano teraz? Trzy przecznice dalej minęła plac budowy. Przystanęła i patrzyła, jak spocony, muskularny mężczyzna zamachnął się młotem. Ogarnął ją nagły chłód i zadrżała. Podnoszony i opadający topór. Chwila okrutnej męki, walka o zachowanie istnienia, oczekiwanie, stałą świadomość, że w jakiś sposób powróci. Uświadomienie sobie, że ta chwila nastąpiła, gdy przyszła jej na pomoc Judith Chase.*

Muskularny mężczyzna zauważył, że się mu przypatruje i z jego ust wydobyło się przenikliwe gwizdnięcie. Uśmiechnęła się uwodzicielsko i skinęła dłonią, by do niej podszedł. Zostawiła go z obietnicą, że zjawi się w jego mieszkaniu o szóstej.

Z placu budowy doszła do Centralnej Biblioteki Publicznej koło Leicester Square, gdzie uprzejma pracownica położyła przed nią książki, wymawiając zniżonym głosem kolejne tytuły: „Spisekprochowy”, „ Władza i konflikt w siedemnastym wieku”, „Historia środków wybuchowych”.

Tego wieczora w lepkim uścisku robotnika, pomiędzy karesami i pochlebstwami, Margaret zwierzyła się, że musi zburzyć zrujnowaną powozownię w swej wiejskiej posiadłości, a po prostu nie ma pieniędzy na wynajęcie firmy rozbiórkowej. Rob był taki sprytny. Czy mógłby pomóc jej zdobyć to, czego potrzebowała, i pokazać, jak tego użyć? Dobrze mu zapłaci.

- Sama jesteś jak dynamit, szanowna pani. - Usta mężczyzny zmiażdżyły jej wargi. - Przyjdź tu do mnie jutro wieczorem, kochanie. Przyjeżdża mój brat z Walii. Robi tam w kamieniołomach. Łatwo mu będzie zakończyć to, czego ci potrzeba.

Gdy Judith dotarła o dziesiątej do domu, zastała nagrane na automatycznej sekretarce dwie wiadomości od Stephena. O wpół do dziesiątej weszła do pubu w Soho i z przerażeniem zorientowała się, jak jest późno. Ze zgrozą zdała sobie sprawę z tego, że ostatnie minuty, które pamięta, to gdy stała pod pomnikiem Karola I. Było to około drugiej. Co robiła przez następne godziny? Zamierzała jeszcze raz przeszukać rejestry urodzeń. Pewnie właśnie to zrobiłam, pomyślała. Czy znowu mi się nie udało, czy możliwe, że to jakaś moja reakcja psychologiczna? Nie potrafiła odpowiedzieć sobie na to pytanie.

Zmarszczywszy z troską brwi, wysłuchiwała naglącej prośby Stephena, by do niego zadzwoniła. Najpierw przysznic, postanowiła. Bolało ją całe ciało i czuła się nie wiadomo czemu zbrukana. Rozpięła pelerynę. Co ją podkuśliło, żeby kupić coś takiego? Zdała sobie sprawę, że jest jej w tym okryciu niewygodnie. Wepchnęła pelerynę w kąt szafy i musnęła płaszcz burberry.

- Jesteś zdecydowanie bardziej w moim stylu - powiedziała na głos.

Pozwoliła przysznicowi splukać swoją twarz, włosy i ciało. Gorąca woda, delikatne mydło zapachowe i szampon, mrowiąca zimna woda. Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu przyszedł jej na myśl cytat z „Makbeta”: „Czy cały wielki ocean Neptuna zmyje do czysta tę krew z mojej

dłoni?"\*. Dlaczego o tym pomyślałam? - zastanowiła się Judith. Oczywiście, pomyślała wycierając się do sucha, ta piekielna blizna znów zrobiła się szkarłatna.

Zawiązała w talii szlafrok frotte, owinęła mokre włosy ręcznikiem, wsunęła stopy w wygodne kapcie i poszła zadzwonić do Stephen. Po jego głosie od razu zorientowała się, że spał.

- Strasznie cię przepraszam, kochanie - powiedziała.

- Jeśli obudzę się w środku nocy, będę się czuł o wiele lepiej, wiedząc, że rozmawiałem z tobą - uciał jej tłumaczenia. - Gdzieś ty się podziewała, kochanie? Dzwoniła do mnie Fiona. Spodziewała się ciebie dzisiaj wieczorem. Coś się stało?

- Dobry Boże, absolutnie zapomniałam, Stephenie. - Judith przygryzła nerwowo język. - Włączyłam automatyczną sekretarkę i dopiero teraz odsłuchiwałam wiadomości.

- Wyjątkowo pracowita z ciebie dama. - Stephen roześmiał się. - Lepiej przeproś Fionę, kochanie. I tak się nastroszyła, że nie może mnie jeszcze zaprezentować jako potencjalnego lidera partii. Może pozwolimy, by wydała na naszą cześć przyjęcie zaręczynowe po wyborach. Wiele jej zawdzięczamy.

- Zawdzięczam jej resztę mojego życia - odrzekła cicho Judith. - Zadzwonię do niej od razu z rana. Dobranoc, Stephenie. Kocham cię.

- Dobranoc, lady Hallett. Ja też cię kocham.

Brzydę się kłamstwem - a właśnie skłamałam, pomyślała Judith, odkładając słuchawkę. Postanowiła pójść następnego dnia do doktora Patela. W rejestrze z drugiego kwartału 1942 roku nie było Sary Marrish ani Marsh. Czy zmyśliła wszystko, co mu powiedziała? A jeśli tak, to czy jej umysł płatał jej i inne figle? Dlaczego straciła siedem godzin dzisiejszego dnia?

O dziesiątej rano następnego dnia rejestratorka doktora Rezy Patela pogwałciła jego polecenie, by nie łączyć go z nikim. Oświadczyła mu przez interkom, że dzwoni pani Chase w pilnej sprawie. Wcześniej Patel wspólnie z Rebecca znów się zastanawiali, czym może grozić stan Judith. Obecnie psychiatra nacisnął klawisze głośnika i magnetofonu. Z natężeniem wysłuchał razem z Rebecca relacji pisarki o siedmiogodzinnej luce w pamięci.

- Uważam, że powinna pani natychmiast przyjechać - powiedział Patel. - Jak pani sobie przypomina, podpisała pani zgodę na nagrywanie

\* Przel. Maciej Słomczyński.

tamtej sesji. Chciałbym, żeby zapoznała się pani z tą taśmą. Może to pani pomóc. Nie mam powodów przypuszczać, że pani wspomnienia z dzieciństwa nie były dokładne. I proszę nie martwić się tym, co pani uważa za lukę w pamięci. Jest pani kobietą o niezwyklej zdolności koncentracji. Stało się to oczywiście, kiedy zacząłem panią hipnotyzować. Sama mi pani powiedziała, że w trakcie pracy mogą mijać godziny, a pani zupełnie nie zdaje sobie z tego sprawy.

- To prawda, ale siedzieć przy swoim biurku, kiedy do tego dochodzi, to jedno, a zupełnie co innego iść o drugiej na Trafalgar Square i potem nagle znaleźć się o wpół do dziesiątej w pubie w Soho - odparła Judith.

- Już do pana jadę.

Tego dnia miała na sobie beżowe spodnie, brązowe botki, beżowy sweter z kaszmiru oraz brązowo-beżowo-żółty szal. Gdy zapięła guziki i zawiązała pasek płaszcza burberry, poczuła znajome ciepło i wygodę. Znów pożałowała trzystu funtów, które wyrzuciła na pelerynę.

- Chyba nie zamierzasz pokazać jej tej taśmy? - zapytała zdumiona Rebecca w gabinecie Patela.

- Tylko do momentu powrotu do dzieciństwa. Musi skupić się na tym aspekcie sesji, a nie na tym, co mogło się jej przydarzyć. Wciąż nie wiemy, jak jej pomóc. Nie dowiemy się tego, dopóki jakoś nie ustalimy, kto się w niej znalazł. Skopiuj szybko taśmę do momentu, kiedy wydają jej instrukcje, by się przebudziła.

W taksówce po drodze do gabinetu Patela Judith uświadomiła sobie, że jest głęboko zmartwiona. Psychiatra podał jej lek o narkotycznym działaniu. Przypomniała sobie czasy, gdy pisała dla czasopisma serię artykułów o LSD i jego skutkach. Spróbowała sobie przypomnieć konsekwencje zażycia tej substancji. Halucynacje, luki w pamięci, utraty świadomości. Och, Boże, pomyślała, co ja narobiłam?

Gdy jednak krótko później wpatrywała się w telewizyjny monitor, poczuła, że to, co widzi, porusza ją do głębi. Zręczne pytania doktora. Jej relacje o urodzinach, małżeństwie z Kennethem, przybranych rodzicach. Sposób, w jaki Patel cofnął ją do wczesnego dzieciństwa. Jej wyraźna niechęć, by mówić o bombardowaniu. Poczuła napływające do oczu łzy, gdy patrzyła, jak w stanie hipnozy oplakiwała matkę i siostrę. Wtedy uświadomiła sobie coś jeszcze. Imię i nazwisko. Molly Marrish.

- Zatrzymajcie taśmę, dobrze? - poprosiła.

- Oczywiście.

Rebecca nacisnęła klawisz stopu na pilocie.

- Możecie ją cofnąć? Widzicie, przypomniałam sobie, że jako dziecko cierpiałam na wadę wymowy. Mówiono mi, że miałam wielkie trudności z głóską „p”. Kiedy oglądałam taśmę, nie byłam pewna, czy imię mojej siostry brzmi „Molly” czy „Polly”. Podgłośnijcie też dźwięk, kiedy mówię „Marsh” czy „Marrish”. Brzmi to rzeczywiście niewyraźnie, prawda?

Z natężeniem obejrżeli fragment zapisu od nowa.

- To możliwe - orzekł Patel. - Być może starała się pani wymówić „Parrish”.

Judith wstała.

- Mam przynajmniej kolejny trop do wyjaśnienia - kiedy skończę z nazwiskami Marsh, Marrish, March, Markey, Markham, Marmac i Bóg wie jakimi jeszcze. Proszę powiedzieć mi szczerze, doktorze, czy jest coś, co powinnam wiedzieć o pańskiej terapii? Dlaczego straciłam wczoraj te wszystkie godziny?

Wyczuła, że psychiatra waży słowa. Siedział za masywnym biurkiem, bawiąc się nożykiem do otwierania listów. Popatrzyła na stolik i lustro w kącie. Szła w ich stronę, mając wizję małego dziecka.

Reza Patel zobaczył, że Judith spogląda w stronę stolika, i zdał sobie sprawę, co dokładnie myśli. Czując nagłą ulgę, zorientował się, że wie, jak ma jej odpowiedzieć.

- Zgłosiła się pani do mnie w ubiegłym tygodniu z powodu nawracających halucynacji, chociaż wolałbym je nazywać powracającymi wspomnieniami. Proces ten trwa nadal, być może w nieco odmienny sposób. Wczoraj wybrała się pani oglądać rejestry narodzin. Doznała pani tam już jednego niezmiernego rozczarowania. Pragnę zasugerować, że zapewne znalazła się pani tam ponownie i kolejny raz bezowocnie przeszukała książki. Sądzę, że pani umysł dokonał tego, czego go nauczono. Zablokował to wspomnienie. Być może dzisiaj wpadła pani na coś istotnego, Judith. Możliwe, że nazwisko, które starała się pani wymówić, brzmi „Parrish”, nie „Marrish”, albo jakoś podobnie. Była pani rozczarowana, że nie potrafi szybko odnaleźć upragnionej informacji. Błagam panią, niech pani da sobie jeszcze jedną szansę. Niech pani będzie świadoma, że chociaż te niezwykle, nawracające wspomnienia, uczucie kilkugodzinnej luki w pamięci, przelatujące przez myśli nazwisko czy myśl mogą się pani wydać niewłaściwe, mózg ma dziwne sposoby podsuwania tropów, gdy sondujemy naszą podświadomość.

Miało to sens, lecz Judith powtórzyła pytanie:

- W takim razie nic w pańskiej terapii ani stosowanym leku nie mogło spowodować takiej reakcji?

Rebecca wpatrywała się w trzymany w dłoni pilot. Reza Patel uniósł wzrok i popatrzył Judith prosto w oczy.

- Absolutnie nie.

Po wyjściu Judith doktor spytał swą asystentkę z rozpaczą:

- Co miałem jej powiedzieć?
- Prawdę - odparła spokojnie kobieta.
- Co dałoby przyprawienie Judith o zgrozę?
- Myślę, że mógłbyś ją ostrzec.

Judith wróciła prosto do swojego mieszkania. Nie chciała ryzykować tego dnia kolejnej wyprawy do Archiwum Akt Państwowych. Zamiast tego zasiadła za biurkiem, obłożywszy się notatkami. Stara maszyna do pisania, którą znały na pamięć czubki jej palców, znajdowała się na stoliku po lewej stronie. Judith pracowała systematycznie do wczesnego popołudnia, czując spokój i pewność siebie, wywołane postępami w pisaniu. O drugiej spieszenie zrobiła sobie kanapkę, zaparzyła herbatę i zaniósła dzbanek na tacy na biurko. Dzięki długiemu popołudniu nad książką mogła skończyć kolejny rozdział. Na kolację umówiła się ze Stephenem.

O wpół do piątej zaczęła przepisywać notatki, dotyczące osądzenia królobójców: „Niektórzy mogliby twierdzić, że ich procesy były sprawiedliwe, że okazano im więcej względów niż oni królowi. Stojąc na zatłoczonej sali sądowej, mimo szyderstw rojalistowskiej tłuszczy zdecydowanie głosili, że poświęcili się sprawie zgodnej z ich sumieniem, i wierzyli, że Bóg osądzi ich łaskawie”.

Palce Judith zsunęły się z klawiszy. Blizna na dłoni poczęła pulsować bólem. Pisarka odepchnęła krzesło i popatrzyła na zegar. Umówiła się na spotkanie, czyż nie?

*Lady Margaret pośpieszyła do szafy i sięgnęła po zieloną pelerynę. Myślała, że możesz ją schować, szydziła w duchu z Judith. Zapięła okrycie pod szyją, nim jednak naciągnęła na głowę kaptur, zwinęła włosy w węzeł na karku. Zawróciła szybko po wielką torbę na ramię Judith, wyciągnęła z niej ciemne okulary i wyszła z mieszkania.*

*Rob czekał na nią w swoim pokoju. Na parapecie stały dwie puszki z piwem.*

*- Spóźniłaś się - powiedział.*

*- Nie celowo. - Lady Margaret uśmiechnęła się kusząco i rozpięła pelerynę. - Nie zawsze łatwo się wyrwać.*

- *Gdzie mieszkasz, kochaniutka? - spytał, biorąc ją w ramiona.*
- *W Devon. Przyniosłeś, co obiecałeś?*
- *Mamy na to dość czasu.*

*Godzinę później, leżąc obok Roba na skotlowanym łóżku, Margaret przysłuchiwała się z napiętą uwagą jego wyjaśnieniom:*

*- Wiesz już, że na tym świąństwie możesz wylecieć pod same niebo, przyglądaj się więc uważnie. Przyniosłem tego dosyć, żeby wysadzić w powietrze Pałac Buckingham, ale muszę przyznać, że wpadłaś mi w oko. Jutro o tej samej porze?*

*- Oczywiście. A ja obiecałam zapłacić ci za twój trud. Dwieście funtów wystarczy?*

Za dziesięć dziewiąta Judith podniosła głowę. Mój Boże, pomyślała, samochód będzie tu lada chwila. Wpadła do sypialni się przebrać, po czym postanowiła wziąć prysznic. Po prostu piekielnie zeszytniałam od siedzenia tak długo, pomyślała. Nie potrafiła sobie wyjaśnić, dlaczego dziś wieczorem znów czuje się zbrukana.

*Poniedziałek 30 stycznia był zimny i bezchmurny. Słońce płonęło jak skrawo, a powietrze było suche i orzeźwiające. Nauczyciele bacznie przyglądali się strumieniom uczniów i kręcących się wokół studentów, których wybrano do złożenia wieńca pod pomnikiem Karola I.*

*Pod cokolem piętrzyły się już wieńce i wiązanki. Trzaskały aparaty fotograficzne, grupy turystów słuchały uważnie dramatu życia i śmierci ścietego króla.*

*Lady Margaret złożyła już swój wieniec. Słuchała teraz cynicznie, jak dwunastolatek w okularach z nieśmiałością i dumą zaczyna recytować wiersz Lionela Johnsona:*

*„Podposągiem króla Karola na Charing Cross...”.*

*W pobliżu stał konstabl, z uśmiechem obserwujący skupione dziecięce twarze. Para niosąca wieniec najwyraźniej zdawała sobie sprawę ze swej ważności. Czyści jak lza i zapięci na ostatni guzik, pomyślał. Dobrze ułożone brytyjskie dzieci, oddające hold źle potraktowanemu monarsze. Konstabl spojrzal na spiętrzone już pod cokolem wieńce. Oczy się mu zwężyły. Dostrzegł dym, przesączający się powoli przez stertę kwiecica.*

*- Cofnąć się! - zawołał. - Niech wszyscy się cofną! - Wypadł przed dzieci. - Zawracać - do was mówię! Cofnijcie się! - Zdezorientowane i przestraszone dzieciaki usłuchały się go, pusty krąg wokół pomnika się powięk-*

*szył. - Cofnijcie się jeszcze, nie słyszycie?! - zagrzmiał konstabl - Zróbcie wolne miejsce!*

*Turyści, którzy zrozumieli niebezpieczeństwo, zaczęli uciekać na wszystkie strony.*

*Zamarła z gniewu Margaret patrzyła, jak policjant rozrzuci wieńce i wyciąga schowaną pod jej kwiatami brązową paczkę. Cisnął ją w miejsce, gdzie nikogo już nie było. Krzyki i jęki przerażenia zwały się z odgłosem wybuchu, na zebranych ludzi poleciały odłamki.*

*Wyślizgując się z tłumu, Margaret zorientowała się, że jakiś turysta filmuje tę scenę kamerą wideo. Naciągnęła kaptur głębiej na twarz i znikła wśród przechodniów, śpieszących na pomoc rannym dzieciom. Big Ben wybił dwunastą - było południe.*

Zbyt dużo czasu marnuję na piesze wędrówki, pomyślała Judith o wpół do pierwszej, przechodząc przez obrotowe drzwi Archiwum Akt Państwowych. Istotnie, prawie od świtu pracowała nad książką. Mimo to powinna dotrzeć tutaj z mieszkania szybciej niż w ciągu godziny. Lepiej byłoby, gdyby spędziła ten czas na przeglądaniu rejestrów.

Coraz trudniej było jej ukrywać przed Stephenem to, co robi. Jego zainteresowanie jej dociekaniem z początkują cieszyło. Obecnie jednak spędzała długie godziny w Archiwum Akt Państwowych oraz bibliotece publicznej, przeglądając dokumentację bombardowań Londynu od 1942 roku i zdawała sobie sprawę, że odpowiada zbyt mętnie, gdy Hallett pyta ją o postępy w pracy. Robię się piekielnie nieostrożna, pomyślała. W jakiś sposób z portmonetki zginęło jej dwieście funtów.

Pokonując znajomą trasę do półek z potrzebnymi jej rejestrami, Judith pomyślała: Boże drogi, jeszcze jedno: zupełnie wypadło mi z głowy, żeby zadzwonić do Fiony. Zatelefonuję stąd, gdy zrobię sobie przerwę.

Rozmyślnie unikała przeglądania wpisów z literą „P”, póki nie przekonała się, że w żadnym z tomów za 1942 rok nie ma pozycji z nazwiskiem Marrish ani jakimkolwiek podobnie brzmiącym.

Jakaś starsza kobieta uprzejmie zrobiła jej miejsce przy zatłoczonym stole.

- Absolutnie przerażające, prawda? - spytała. Gdy Judith popatrzyła na nią ze zdziwioną miną, wyjaśniła: - Pół godziny temu ktoś próbował wysadzić w powietrze posąg Karola I. Dzieci składające kwiaty pod pomnikiem mają sińce i rany. Zginęłyby, gdyby nie bystry konstabl, który zobaczył dym i zorientował się, że coś jest nie w porządku. Ohyda,



prawda? Ci terroryści zasługują na karę śmierci i powiem coś pani: Parlament powinien wziąć to pod uwagę.

Zaszokowana Judith zapytała o szczegóły.

- Byłam tam raptem przedwczoraj - powiedziała. - Przewodnik wspominał, że dzisiaj odbędzie się ceremonia złożenia wieńców. Ludzie, którzy podkładają bomby, muszą być szaleni.

Wciąż kręcąc głową z niedowierzaniem, zdjęła ponownie z półek tomy za kolejne kwartały 1942 roku i zajrzała do swoich notatek. Przypomniała sobie taśmę, którą dostała od Patela. Powiedziała wyraźnie „maja”, pomyślała. „Cwatego” na pewno znaczyło „czwartego”. Ale czy chodziło mi o ten dzień? A może dwudziestego czwartego? A nawet cztertnastego? Wyraźnie starałam się powiedzieć „rakieta”. W wyniku poszukiwań dowiedziała się, że pierwszy raketowy pocisk spadł na Londyn trzynastego lipca 1944 roku. Jeden z nich upadł blisko stacji Waterloo dwudziestego czwartego lipca. Pamiętam, jak wsiadałam do pociągu, pomyślała Judith. Miałam tylko lekki sweterek i sukieneczkę, więc musiało być dość ciepło. Załóżmy, że tego dnia szliśmy na stację Waterloo. Matka i moja siostra zginęły. Zabłąkałam się na dworzec i wsiadłam do pociągu. Znalaziono mnie następnego ranka w Salisbury. Tłumaczy to, dlaczego nikt w Londynie, kto mnie znał, nie widział mojego zdjęcia.

Powiedziała, że mieszkała na Kent Court. Jedna z rakiet spadła na Kensington High Street trzynastego lipca 1944 roku. Kilka dni później kolejna trafiła w Kensington Church Street. Kensington Court była położoną w pobliżu ulicą, zabudowaną rezydencjami.

Poszązek Piotrusia Pana stał w Kensington Gardens, parku w sąsiedztwie. Jedna z wizji Judith dotyczyła małego dziecka, dotyczącego tej figurki. Plany i zebrane informacje dowodziły, że jeśli mieszkała w okolicy Kensington, mogła być świadkiem pierwszego ataku raketowego.

Judith poczuła, że zaczyna dygotać. Znów się zaczęło. Stół i półki znikły. W sali zrobiło się ciemno. Małe dziecko. Widziała, jak przedziera się przez zgliszcza, słyszała jego szloch. Pociąg. Otwarte drzwi. Upchnięte w środku worki i bagaże.

Obraz znikł, ale tym razem Judith zorientowała się, że przyjęła go z zadowoleniem. To naprawdę przełom, pomyślała triumfalnie. Byłam w jakimś wagonie bagażowym, dlatego nikt mnie nie widział. Ułożyłam się na czymś nierównym i zasnęłam. Daty się zgadzały.

Następnego dnia, dwudziestego piątego lipca 1944 roku, Amanda Chase, należąca do kobiecego korpusu pomocniczego, narzeczona oficera amerykańskiej marynarki wojennej, natrafiła na błąkającą się sa-

motnie po Salisbury dwulatkę w szytej na miarę sukieneczce oraz brudnym, poplamionym wełnianym sweterku. Milczące dziecko z rozszerzonymi ze strachu oczami, początkowo niezdolne, by mówić i podejrzliwe, potem zaś sięgające do przyjaznych ramion. Dziecko bez tabliczki identyfikacyjnej. Dziecko, po które nikt się nie zgłosił. Amanda i Edward Chase odwiedzali w sierocińcu dziewczynkę, którą nazwali Judith, i zabierali ją na wycieczki. Kiedy zaczęła mówić, zwracała się do nich „tato” i „mamo”. Dwa lata później, gdy wszelkie wysiłki odnalezienia jej prawdziwej rodziny zakończyły się niepowodzeniem, Amandzie i Edwardowi Chase zezwolono na adopcję małej.

Pisarka wciąż przypominała sobie dzień, kiedy czekała, aż odbiorą ją z sierocińca. „Naprawdę mogę z wami mieszkać?”

Amanda z roześmianymi brązowymi oczami przytuliła ją do siebie. „Zrobiliśmy, co było w naszej mocy, by znaleźć tych, którym się zgubiłaś. Teraz jednak jesteś nasza”.

Edward Chase, człowiek, który został jej ojcem, wysoki, cichy i kochający. „Judith, do adopcji odnosi się wyświechtany zwrot: «Wybraliśmy właśnie ciebie». W twoim wypadku jest całkowicie usprawiedliwiony”.

Byli dla mnie bardzo dobrzy, pomyślała Judith, z nową nadzieją przystępując do kolejnego żmudnego i powolnego przeszukiwania rejestrów. Byłam bardzo szczęśliwa ze swymi przybranymi rodzicami.

Edward Chase, absolwent Akademii Marynarki Wojennej w Annapolis, postanowił zrobić karierę we flocie. Po wojnie został attache do spraw marynarki wojennej przy Białym Domu. Judith niejasno przypominała sobie poszukiwania wielkanocnych jajek na trawniku Białego Domu i prezydenta Trumana, pytającego ją, kim będzie, jak dorośnie. Edward Chase został później attache wojskowym w Japonii, potem ambasadorem w Grecji, a następnie w Szwecji.

Czyż można byłoby prosić o bardziej kochających rodziców? - zastanawiała się Judith, otwierając księgę na sekcji z nazwiskami na literę „M”. Gdy Chase'owie ją adoptowali, byli oboje po trzydziestce. Umarli w odstępie roku osiem lat temu, przekazując znaczny majątek swej „ukochanej córce Judith”.

Obecnie zdawała sobie sprawę, że ich odejście zwalniało ją z niejasnego poczucia winy i nielojalności, towarzyszącego poszukiwaniu ludzi, którzy byli naprawdę jej krewnymi. Mijały kolejne godziny. Marsh. March. Mars. Merritt. Nie było absolutnie żadnego wpisu z nazwiskiem Marrish lub jakimkolwiek nazwiskiem na „M” w tomie z drugiego kwartału 1942 roku, gdzie „Sarah” figurowałoby jako pierwsze lub drugie

imię. Nadszedł czas zajrzeć pod literę „P” z nadzieją, że może - zaledwie „może” - Judith starała się powiedzieć „Parrish”.

Przesunęła palcami wzdłuż strony z nazwiskami na literę „P”, aż znalazła „Parrish”: Parrish, Ann, Knightsbridge. Parrish, Arnold, Piccadilly. Wreszcie ujrzała to, czego szukała:

	Nazwisko panieńskie matki	Dzielnica	Tom	Strona
Parrish Mary Elisabeth	Travers	Kensington	6B	32

Parrish! Kensington! Och, Boże, pomyślała Judith. Zatrzymawszy wskazujący palec na tym wpisie, szybko przebiegła wzrokiem resztę strony: „Parrish, Norman, Liverpool. Parrish, Peter, Brighton. Parrish, Richard, Chelsea. Parrish, Sarah Courtney, nazwisko panieńskie matki Travers, dzielnica Kensington, tom 6B, strona 32”.

Nie śmiejąc wierzyć, że zrozumiała, co znalazła, Judith pośpieszyła do urzędniczki przy biurku.

- Co to znaczy? - spytała.

Urzędniczka miała małe radio tranzystorowe, tak ściszone, że głos spikera był niemal niesłyszalny. Niechętnie oderwała się od wiadomości BBC.

- Straszne - ten zamach bombowy - powiedziała i zamilkła na chwilę. - Przepraszam, o co pani pytała?

- Urodziły się tego samego dnia. - Judith wskazała nazwiska Mary Elisabeth i Sarah Courtney Parrish. - Nazwiska panieńskie matek brzmią tak samo. Czy to świadczy, że mogły być bliźniaczkami?

- Na to wygląda. Przykłada się wielką wagę do tego, które z bliźniąt jest starsze. Często to decyduje, kto dziedziczy tytuł, rozumie pani. Życzy pani sobie pełne wyciągi z aktów urodzenia?

- Tak, oczywiście. Jeszcze jedno pytanie. Czy „Polly” to angielskie zdrobnienie od „Mary”?

- Bardzo często. Tak jest na przykład z moją kuzynką. Aby uzyskać wyciągi z aktów urodzenia, musi pani wypełnić odpowiednie formularze i zapłacić pięć funtów za każdy. Możemy przesłać je pani pocztą.

- Ile można z nich uzyskać informacji?

- Och, sporo - odrzekła urzędniczka. - Datę i miejsce urodzenia. Panieńskie nazwisko matki. Imię i zawód ojca. Adres domowy.

Judith wróciła do mieszkania w stanie zupełnego oszołomienia. Miłując kiosk z gazetami, zobaczyła krzykliwe nagłówki, dotyczące zama-

chu bombowego na Trafalgar Square. Pierwszą stronę pokrywały fotografie krwawiących dzieci. Choć zrobiło się jej niedobrze na ten widok, kupiła gazetę i przeczytała ją natychmiast po powrocie do domu. Przynajmniej nikt nie odniósł groźnych dla życia obrażeń, pomyślała. Gazetę wypełniały informacje o burzliwej sesji Parlamentu. Minister spraw wewnętrznych, sir Stephen Hallett, wygłosił dramatyczną przemowę: „Od dawna opowiadałem się za karę śmierci dla terrorystów. Ci godni pogardy ludzie podłożyli dziś bombę w miejscu, o którym wiedzieli, że będzie tam pełno uczniów. Czy gdyby którekolwiek z tych dzieci zginęło, terroryści nie powinni martwić się o swoje szyje? Czy Partia Pracy zgadza się ze mną, czy też nadal mamy pobłażać potencjalnym mordercom?”.

W kolejnej notatce podano, że do sporządzenia ładunku wybuchowego użyto geliginitu. Rozpoczęto szeroko zakrojone poszukiwania wśród nabywców tego śmiertelnie niebezpiecznego materiału i sprawdzano doniesienia o jego kradzieży.

Judith odłożyła gazetę i popatrzyła na zegarek. Dochodziła szósta. Wiedziała, że Stephen zadzwoni, więc byłoby lepiej, aby mogła powiedzieć mu, że porozumiała się z Fioną.

Przyjaciółka była zbyt przejęta wydarzeniami dnia, by boczyć się na Judith, że ją zaniedbała.

- Moja droga, to koszmarnie, prawda? Parlament zachowuje się jak po wetknięciu kija w mrowisko. Po ogłoszeniu wyborów na pewno będzie się dyskutować o karze śmierci. To tylko pomoże naszemu drogiemu Stephenowi. Ludzie są po prostu oburzeni. Biedny stary król Karol. Zrozumiałam, że chciano zniszczyć jego pomnik. Byłby wstyd, gdyby się to udało. Absolutnie najbardziej zachwycający konny posąg w królestwie. Nie powiem, jest parę pomników, które z chęcią wyekspediowałabym na złom. Niektóre z nich wyglądają, jakby konie powinny ciągnąć wozy, a nie służyć królom. A zresztą, co tam!

Stephen zadzwonił kwadrans później.

- Dzisiaj będę siedział do bardzo późna, kochanie. Mam spotkanie z komisarzem Scotland Yardu i paroma jego ludźmi.

- Fiona powiedziała mi o wrzawie w Parlamencie, jaką wywołał ten zamach. Czy jacyś terroryści przyznali się do niego?

- Na razie nie. Dlatego właśnie spotykam się z ludźmi ze Scotland Yardu. Akty terroryzmu należą do mojej jurysdykcji jako ministra spraw wewnętrznych. Miałem nadzieję, że kiedy jako cywilizowany naród znieśliśmy egzekucje, zostanie tak na zawsze, ale to, co dzisiaj się stało, z pew-

nością dowodzi potrzeby przywrócenia kary śmierci. Uważam, że byłby to środek odstrasżający.

- Domyślam się, że wielu ludzi przyznaje ci rację, ale obawiam się, że nie mogą zrobić tego samego. Sama myśl o egzekucjach sprawia, że krew zamiera mi w żyłach.

- Dziesięć lat temu powiedziałbym dokładnie to samo - odrzekł cicho Stephen. - Teraz już nie. Nie wtedy, gdy życie tak wielu niewinnych ludzi jest wystawione na stałe niebezpieczeństwo. Muszę już pędzić, kochanie. Spróbuję nie siedzieć bardzo długo.

- Będę na ciebie czekała, o którejkolwiek godzinie wrócisz.

Reza Patel i Rebecca Wadley mieli właśnie wyjść na kolację, gdy w gabinecie zadzwonił telefon. Rejestratorka podniosła słuchawkę.

- Pani Chase? Miło słyszeć pani głos. Jak się pani czuje? Pan doktor jeszcze tu jest.

Ruchem, który zdążył stać się automatyczny, Patel nacisnął klawisze głośnika i magnetofonu. Wraz z asystentką słuchali relacji Judith o swoich odkryciach.

- Marzyłam, żeby komuś o tym opowiedzieć - odezwała się szczęśliwym głosem. - Zdałam sobie sprawę, że na całym świecie tylko pan i Rebecca wiecie o mnie i potraficie zrozumieć, co przeżywam. Doktorze, jest pan cudotwórcą. Sarah Courtney Parrish. Bardzo miłe nazwisko, prawda? Kiedy dostanę akty urodzenia, będę miała też adres zamieszkania. Czyż to nie niewiarygodne, że Polly to moja bliźniaczka?

- Staje się pani bardzo dobrym detektywem - zauważył psychiatra, siląc się na rześki ton.

- Skutek zbierania materiałów. - Judith się zaśmiała. - Po jakimś czasie człowiek się uczy, jak podążać za tropami. Trzeba to jednak na kilka dni odłożyć. Jutro muszę zostać przy maszynie do pisania, poza tym w National Portrait Gallery jest wystawa, którą chcę obejrzeć. Prezentują na niej mnóstwo scen dworskich z czasów Karola I. Powinny być interesujące.

- O której godzinie pani tam będzie? - spytał szybko Patel. - Sam zamierzam się wybrać. Moglibyśmy wypić razem filiżankę herbaty.

- Uroczo. Trzecia po południu panu odpowiada?

- Po co masz spotykać się z nią w galerii? - spytała Rebecca, gdy odłożył słuchawkę.

- Nie mam powodu zapraszać jej tu więcej, a chcę sprawdzić, czy wykryje u niej jakieś ślady modyfikacji osobowości.

Judith przebrała się w pidżamę brzoskwińowej barwy i kapcie tego samego koloru, rozpuściła kok, rozgarnęła włosy na ramiona, zrobiła świeży makijaż i spryskała nadgarstki wodą Joy. Przygotowała sobie na kolację jajecznicę i sałatkę. Zaparzyła dzbanek herbaty, automatycznie ustawiła naczynia na tacy i z roztargnieniem zjadła, przygotowując konspekt kolejnego rozdziału. O dziewiątej ułożyła na talerzu sery i krakersy, przyniosła kieliszki do brandy i wróciła do biurka.

Stephen zjawił się kwadrans po jedenastej z poszarzałą ze zmęczenia twarzą. W milczeniu objął Judith.

- Mój Boże, jak dobrze być tutaj.

Judith pomasowała mu ramiona i pocałowała go. Objęci, usiedli na grubo wyściełanej kasztanowej sofie, bez wątplenia stanowiącej obiekt dumy lady Beartrice Ardsley. Pokrywająca oparcie i poręczę stara narzuta była wetknięta pod poduszki i obicie, a z przodu opadała na podłogę. Judith naląła brandy i podała kieliszek Stephenowi.

- Naprawdę sędzę, że na cześć przyszłego premiera powinienam ściągnąć tę sfatygowaną narzutę i mieć nadzieję, że nie położysz nóg na bezcenną kozetkę lady Ardsley.

- Uważaj. - Stephen nagrodził cieniem uśmiechu jej żart. - Jestem pewien, że jeśli przymknę oczy, zasnę tu na całą noc. Miałem piekielny dzień, Judith.

- Jak tam spotkanie ze Scotland Yardem?

- Dość dobrze. Na szczęście jakiś japoński turysta kręcił wszystko kamerą wideo i dostaliśmy taśmę. Wielu ludzi w pobliżu robiło również zdjęcia. Środki masowego przekazu proszą, by wszystkie fotografie przekazać policji. Wyznaczono znaczną nagrodę, jeśli któreś ze zdjęć doprowadzi do ujęcia i skazania sprawcy. Widzisz, mieliśmy szczęście, że bomba zaczęła dymić minutę czy dwie po podłożeniu. Możliwe, że znajdują na zdjęciu osobę, która umieściła ładunek wybuchowy pod kołem pomnika.

- Liczę na to. Fotografie tych pokrwawionych dzieci mogą złamać człowiekowi serce.

Judith miała dodać, że fotografie przypominały jej halucynacje o dziecku, zagubionym podczas nalotu raketowego, ale się powstrzymała. Pomyślała, że trudno ukryć przed ukochanym mężczyzną wiadomość, że dowiedziała się, kim jest naprawdę.

Istniał bezpieczny sposób, dzięki któremu mogła zachować swoją tajemnicę. Przesunęła się na sofie i zarzuciła Stephenowi ramiona na szyję.

Podkomisarz Philip Barnes dowodził Wydziałem Antyterrorystycznym Scotland Yardu. Był to szczupły, cicho mówiący mężczyzna pod pięćdziesiątkę z rzadziejącymi brązowymi włosami i piwnymi oczyma. Wyglądał bardziej na wiejskiego proboszcza niż na starszego oficera policji. Jego podwładni szybko nauczyli się, że gdy trafiali do szefa na dywanik, ów cichy głos może zmienić się w potężną broń, karzącą za wszystko - od drobnych wykroczeń po kardynalne błędy. Mimo to darzyli Barnesa szacunkiem graniczącym z uwielbieniem, niektórzy zaś byli nawet na tyle odważni, by szczerze go lubić.

Tego ranka komisarz Barnes był zarówno rozgniewany jak i zadowolony. Zły, że terroryści wybrali tak pozbawiony znaczenia cel jak konny posąg króla, w dzień, gdy otaczali go turyści i dzieci; zadowolony, że nikt nie został zabity ani poważnie ranny. Był również rozdrażniony.

- Podejrzenia, że posąg chcieli wysadzić Libijczycy czy Irańczycy, nie mają sensu - oświadczył. - Gdyby IRA chciała zniszczyć jakiś posąg, zajęliby się pomnikiem Cromwella. Przecież to on zdziesiątkował ich kraj, a nie biedny stary Karol. - Podwładni czekali, wiedząc, że nie oczekuje po nich odpowiedzi. - Ile zdjęć napłynęło? - zapytał.

- Dziesiątki - odparł jego asystent, komendant Jack Sloane: wysoki, szczupły, o włosach piaskowej barwy, jasnoniebieskich oczach i mocnej sylwetce człowieka uprawiającego przez okrągły rok sporty. Był bratem baroneta i przyjacielem Stephena. Wiejska rezydencja jego rodziny, Bindon Manor, leżała niedaleko Edge Barton. - Niektóre z nich trzeba dopiero wywołać, sir. Już się tym zajęliśmy. Mamy też taśmę; może ją pan w każdej chwili obejrzeć.

- A dochodzenie w kwestii materiału wybuchowego?

- Być może wpadliśmy już na trop. Majster z kamieniołomów w Wailii zgłosił, że zginęła pewna ilość gelignitu.

- Kiedy zorientował się, że go brakuje?

- Cztery dni temu.

Zadzwoił telefon. Sekretarka komisarza Barnesa otrzymała polecenie łączyć szefa tylko z jedną osobą.

- Sir Stephen - orzekł Barnes, zanim jeszcze podniósł słuchawkę. Zwięźle opowiedział ministrowi o zaginionym gelignicie, zrobionych przez turystów zdjęciach i taśmie wideo. - Właśnie mieliśmy ją obejrzeć, sir. Zamelduję, jeśli okaże się obiecująca.

Pięć minut później w zaciemnionej sali policjanci przystąpili do oglądania taśmy. Spodziewali się zwykłych podskakujących ujęć filmowca-amatora, tak więc widok ostrych, wyrazistych kadrów był dla nich miłym

zaskoczeniem. Patrzyli kolejno na panoramę okolic Trafalgar Square, zbliżenie cokołu pomnika i już złożonych tam wieńców.

- Stop - zarządził Sloane.

Operator kamery wideo, obznajomiony z tego rodzaju poleceniami, natychmiast zatrzymał ujęcie.

- Cofnij klatkę lub dwie.

- Co widzisz? - spytał z naciskiem komisarz Barnes.

- Smużkę dymu. Kiedy robiono to ujęcie, bomba była już na miejscu.

- Cholerna szkoda, że kamera nie zarejestrowała osoby, która podłóżyła ładunek! - wybuchnął Barnes. - No dobrze. Jedziemy dalej.

Uczniowie. Turyści. Studenci z wieńcem. Nieśmiały początek recytacji. Biegący w stronę pomnika konstabl, rozkazujący dzieciom się cofnąć.

- Tego człowieka warto przedstawić do Krzyża Świętego Jerzego - mruknął komisarz.

Rozpraszać się ludzie. Wybuch. Panorama kamerą.

- Zatrzymaj.

Operator ponownie zatrzymał taśmę i cofnął ją o kilka klatek.

- Kobieta w pelerynie i ciemnych okularach. Zorientowała się, że jest filmowana. Popatrzcie, jak naciąga kaptur na twarz. Wszyscy inni dorośli w tłumie śpieszą na pomoc dzieciom, a ona się odwraca. - Sloane powiedział do jednego z asystentów: - Chcę, żeby zrobiono jej zdjęcia z każdej klatki filmu, na której się znajduje. Powiększcie je. Zobaczymy, czy zdołamy ją zidentyfikować. Może na coś wpadliśmy. - Ktoś zapalił światła. - Jeszcze jedno - dodał komendant. - Przy okazji zwróćcie uwagę, czy ta kobieta znalazła się na którymkolwiek ze zdjęć turystów.

Ubierając się tego popołudnia przed wyjściem do galerii portretów, Judith niechętnie zdecydowała się na białoszary kostium, pantofle na wysokich obcasach i sobolowe futro. W ciągu kilku dni od wyboru Stephena na stanowisko lidera partii poświęcono mu biograficzne artykuły w szeregu gazet. We wszystkich określano go jako najatrakcyjniejszego dojrzałego mężczyznę i najlepszą partię w całej Anglii. Od czasów Heatha nie było nieznanego premiera, napisano w jednej z gazet; krążyły niepotwierdzone pogłoski, że sir Stephen pozostaje w romantycznym związku, jaki spodobałby się angielskiemu społeczeństwu.

Cytat ów pochodził od plotkarskiego felietonisty Harleya Hutchin-sona. Raczej nie powinien wyglądać jak hippiska z Greenwich Village, pomyślała Judith z westchnieniem, starannie szczotkując włosy i nakła-



dając cię na powieki oraz maskarę. Przypięła następnie do klapy zakie-  
tu srebrną broszkę w kształcie róży i przyjrzała się swojemu odbiciu.

Dwadzieścia lat temu poślubiła Kennetha w tradycyjnej białej sukni  
i welonie. Co włoży na ślub ze Stephenem? Prostą wieczorową sukienkę,  
postanowiła. Zaprosi bardzo wąskie grono przyjaciół. Przed laty na przy-  
jęciu weselnym w Chevy Chase Country Club było ponad trzysta osób. Że  
też coś takiego zdarza się dwa razy w życiu, pomyślała z zadumą. Nikt nie  
zasługuje na tyle szczęścia.

Przełożyła portmonetkę i kosmetyczkę do szarej zamszowej torebki,  
pasującej kolorem do szpilek. Wyrzebała też mniejszą wersję wielkiej  
torby na ramię. Chociaż się tak wystroiłam, niestety potrzebuję swoich  
notesów, pomyślała smętnie.

National Portrait Gallery znajdowała się na rogu St. Martin's Place  
i Orange Street. Prezentowano tu specjalną ekspozycję: sceny dworskie od  
Tudorów po Stuartów. Obrazy wypożyczono z prywatnych kolekcji z ca-  
łej Anglii i Wspólnoty Brytyjskiej, a pomniejszych postaci na portretach,  
które zdołano zidentyfikować, wymieniano na oprawionych w ramki ta-  
bliczkach. Gdy Judith doszła do galerii, wciąż było w niej dość tłoczno.  
Z niejakim rozbawieniem obserwowała, jak ludzie przyglądają się wy-  
drukowanym nazwiskom sportretowanych, najwidoczniej mając nadzie-  
ję natrafić na jakiegoś zapoznanego przodka.

Judith była najbardziej zainteresowana scenami dworskimi, na któ-  
rych przedstawiono Karola I, Olivera Cromwella i Karola II. Posuwała  
się odwrotnie do kolejności chronologicznej i porównała wystawne sza-  
ty Karola II, „Wesołego Monarchy”, który wrócił z wygnania, z suro-  
wymi purytańskimi strojami stronników Cromwella. Sceny z udziałem  
Karola I i jego małżonki Henrietty Marii były szczególnie interesujące.  
Wiedziała, że nie zwracając uwagi na zakamieniałą dezaprobatę pury-  
tan, królowa Henrietta lubowała się w dworskich ceremoniach i żywych  
obrazach. Jedno malowidło zwróciło szczególną uwagę Judith: w scene-  
rii pałacu Whitehall centralnymi postaciami byli król i królowa. Dwo-  
rzanie poprzebierali się, przyjmując na siebie role postaci z żywego obra-  
zu. Judith oglądała pasterskie laski, anielskie skrzydła, aureole i miecze  
gladiatorów.

- Pani Chase! Jak się pani miewa?

Judith stała wpatrzona w obraz. Zaskoczona, odwróciła się i zoba-  
czyła doktora Patela. Na twarzy psychiatry widniał uśmiech, lecz oczy  
lekarza miały zatroskany wyraz. Dotknęła lekko dłonią jego ramienia.

- Doktorze, bardzo poważnie pan wygląda.

- A ja pomyślałem, że pani jest wyjątkowo piękna. - Skłonił się i zniżył głos: - Powtórzę, że sir Stephen jest zaiste wielkim szczęściarzem.

- Nie tutaj, proszę. - Judith potrząsnęła głową. - O ile mogę się zorientować, pełno tu ludzi z prasy. - Odwróciła się z powrotem do malowidła. - Czyż nie jest fascynujące? - spytała. - Zwłaszcza jeśli pomyśli się, że namalowano je w 1640 roku, tuż zanim król rozwiązał Krótki Parlament.

Reza Patel zapatrzył się w obraz. Tabliczka pod nim głosiła: „Autor nieznan. Uważa się, że obraz powstał między rokiem 1635 i 1640”.

Judith wskazała przystojną parę, stojącą obok siedzącego monarchy.

- Sir John i lady Margaret Carew - powiedziała Patelowi. - Obydwójce byli tego dnia wytrąceni z równowagi. Zdawali sobie sprawę, co się stanie, jeśli król rozwiąże Parlament. Przodkowie lady Margaret byli posłami od chwili jego utworzenia. Jej rodzina straszliwie się podzieliła pod względem wierności obydwóm ugrupowaniom.

Patel przeczytał informacje na tabliczce. Wymieniono tylko króla, królową, najstarszego syna Karola, księcia Jorku i pół tuzina krewnych monarszej pary; pozostałe postaci na obrazie nie były zidentyfikowane.

- Musiała pani przeprowadzić wyczerpujące badania - zauważył psychiatra. - Powinna pani przedstawić ich wyniki historykom wystawy.

*Lady Margaret zdała sobie sprawę, że nie powinna była mówić Patelowi o Johnie i sobie. Odwróciła się gwałtownie od lekarza i ruszyła spiesźnie do wyjścia z galerii.*

*Psychiatra dogonił ją przy drzwiach i zatrzymał.*

*- Pani Chase? Judith? Co się stało?*

*Utkwiła w nim surowe spojrzenie.*

*- Judith teraz tu nie ma - odpowiedziała wyniosłym tonem.*

*- Kim jesteś? - spytał kategorycznie i ze zdumieniem dojrzał gorejącą na jej prawej dłoni bliznę.*

*- Już ci mówiłam. - Wskazała obraz. - Jestem lady Margaret Carew. Zostawiła go i wyszła szybko na zewnątrz.*

Oszołomiony Patel zawrócił do obrazu i przyjrzał się postaci, którą Judith zidentyfikowała jako lady Margaret Carew. Zdał sobie sprawę, że między siedemnastowieczną arystokratką a pisarką istniało uderzające podobieństwo.

Niemal chory z lęku, wyszedł z galerii, nie zdając sobie sprawy ze szmeru uprzejmych konwersacji i nawoływań znajomych, którzy chcieli z nim porozmawiać. Przynajmniej wiem, kto znalazł się w ciele Judith,

powtarzał sobie. Musiał teraz dowiedzieć się o losach Margaret Carew i spróbować przewidzieć jej następne posunięcie.

Wiatr się wzmaczał. Patel skrzył na St. Martin's Place i poczuł, że ktoś ujmuje go za rękę.

- Strasznie przepraszam, panie doktorze. - Judith się zaśmiała. - Byłam tak zaabsorbowana malowidłami, że ruszyłam do domu, zanim przypomniałam sobie, iż mieliśmy razem wypić herbatę. Proszę o wybaczenie.

Jej prawa ręka. Na oczach Patela blizna zmieniła się w ledwie widoczny, błydy ślad.

Następnego dnia, pierwszego lutego, padał przejmująco zimny, gęsty deszcz. Judith postanowiła zostać w mieszkaniu i popracować nad książką. Stephen zadzwonił, że jedzie do Scotland Yardu, a później na wieś.

- „Głosujcie na konserwatystów - głosujcie na Halletta” - zażartował. - Szkoda, jankesko, że nie mogę liczyć na twój głos.

- Dostałbyś go - zapewniła go Judith. Może ci się to przyda: mój ojciec mawiał, że w Chicago połowa biedaków spoczywających na cmentarzach wciąż figuruje na listach wyborców.

- Musisz nauczyć mnie, jak się to robi. Stephen roześmiał się, po czym spoważniał: - Wyjeżdżam na kilka dni do Edge Barton, Judith. Kłopot polega na tym, że niewiele będę siedział w domu, ale czy chciałabyś przyjechać? Świadomość, że czekasz na mnie wieczorem, ogromnie dużo by dla mnie znaczyła.

Judith się zawahała. Z jednej strony rozpaczliwie pragnęła pojechać do Edge Barton. Z drugiej - całkowite zaabsorbowanie Stephena nadchodzącą kampanią dawało jej swobodę w cichych poszukiwaniach prawdy na temat swojej przeszłości.

- Wolę zostać tutaj - odpowiedziała wreszcie. - Chciałabym być z tobą, ale nie potrafię dobrze pracować, oderwana od swojego biurka. I tak mało się widzimy, więc chyba lepiej będzie, jeśli tutaj zostanę. Zamierzam wysłać ukończony maszynopis swojemu redaktorowi, zanim nadejdą wybory. Zapewniam cię, że jeśli mi się to uda, będę się czuła jak nowo narodzona.

- Stracę cierpliwość, gdy tylko skończą się wybory, kochanie.

- Mam nadzieję, że nie. Niech cię Bóg błogosławi, Stephenie. Kocham cię.

W Scotland Yardzie przeznaczono osobny pokój do analizowania napływających powiększeń zdjęć turystów. Na kilku można było dostrzec

kobietę w ciemnych okularach i pelerynie. Na wszystkich znajdował się najwyżej jej profil, nawet zanim naciągnęła kaptur na twarz, gdy dostrzegła kamerę wideo. Wszystkie zdjęcia, na których była owa kobieta, powiększono i wyizolowano na niej jej obraz.

- Trochę ponad metr siedemdziesiąt pięć wzrostu - ocenił komendant Sloane. - Dość szczupła, nie sądzicie? Nie więcej niż pięćdziesiąt pięć do sześćdziesięciu kilogramów. Ciemne włosy i gniewny grymas ust. Niewiele to daje, prawda?

Do pokoju wszedł różnym krokiem inspektor David Lynch.

- Chyba coś mamy, proszę pana. Dostaliśmy kolejną serię zdjęć. Niech pan na to popatrzy, dobrze?

Na nowych fotografiach widać było kobietę w pelerynie, składającą wieniec pod cokołem pomnika Karola I. W kadrze znalazł się róg paczki w brązowym papierze, wciśniętej pod wieniec.

- Dobra robota - powiedział Sloane.

- To jeszcze nie wszystko - ciągnął Lynch. - Rozpytywaliśmy po miejscowych placach budów. Jeden z majstrów poinformował nas, że bardzo atrakcyjna kobieta w ciemnej pelerynie flirtowała z jego robotnikiem, Robem Watkinsem. Watkins przechwalał się, że ta kobieta przychodzi do jego mieszkania. - Lynch zawiesił głos, najwidoczniej smakując to, co zamierzał przekazać. - Właśnie rozmawialiśmy z gospodynią Watkina. Niecałe dziesięć dni temu miał gościa. Kobieta zjawiała się przez dwa kolejne dwa wieczory około szóstej i została parę godzin u niego w pokoju. Miała ciemne włosy i okulary przeciwsłoneczne. Wyglądała na przed czterdziestką lub trochę po. Nosila ciemnozieloną pelerynę z kapturem, bardzo drogą według gospodyni. Miała też kosztowne skórzane botki i wielką torbę na ramię. Gospodyni oceniła, że „nosiła się jak królowa, strasznie zadzierała nosa”.

- Chyba lepiej będzie, jeśli natychmiast porozmawiamy z panem Robem Watkinsem - powiedział Sloane i odwrócił się do asystenta. - Zabierzcie wszystkie powiększenia tej kobiety w pelerynie. Zobaczymy, czy facet zdoła zidentyfikować ją w tłumie bez pomocy.

- Jeszcze jedna ciekawa rzecz - kontynuował Lynch. - Gospodyni mówi, że kobieta była niewątpliwie Angielką, ale miała dziwny akcent lub sposób mówienia.

- Co to ma znaczyć? - spytał Sloane.

- O ile zdołałem się zorientować, gospodyni dziwny wydał się sposób mówienia tamtej. Twierdzi, że przypominało jej to słuchanie starych filmów, w których ludzie posługują się słowami w rodzaju „zaiste”. - Po-

trzasnął głową, widząc wyraz twarzy komendanta Sloane'a. - Przykro mi, aleja też tego nie rozumiem.

Dziesiątego lutego pani premier wygłosiła swe od dawna oczekiwane oświadczenie. Zamierzała wystąpić do królowej z wnioskiem o rozwiązanie Parlamentu i postanowiła nie stawać do powtórnych wyborów.

Dwunastego stycznia Stephen został wybrany na lidera Partii Konserwatywnej. Szesnastego lutego królowa rozwiązała Parlament i zaczęła się kampania wyborcza.

Judith żartowała, że jeśli chce zobaczyć Stephena, włącza telewizor. Jeśli zdołali się spotkać, to zwykle u niego w domu. Wysyłał po nią samochód, a Rory zajeżdżał pod tylne wejście. W ten sposób można było uniknąć uwagi wiecznie obecnych mediów.

Mimo to Judith zdawała sobie sprawę, że dobroczynnym zrządzeniem losu Stephen wyjeżdża prowadzić kampanię w okresie, gdy ona sama kończyła książkę. Z niecierpliwością oczekiwała na nadejście aktów urodzenia. Jej nastrój wahał się od radosnego wyczekiwania po obawę. Załóżmy, że Sarah Parrish była jedynie kimś, kogo znała jako małe dziecko? Co wtedy?

Wiedziała, że po ślubie z premierem Wielkiej Brytanii będzie wszędzie rozpoznawana, a prywatne śledztwa w tym rodzaju przestaną być dla niej możliwe.

Stephen dzwonił do niej każdego rana i późnym popołudniem. Głos miał często ochrypnięty od wygłaszania przemówień. W trakcie pogawędek wyczuwała jego zmęczenie.

- Mamy o wiele mniejszą przewagę, niż się spodziewaliśmy, kochanie - powiedział jej. - Partia Pracy ostro walczy, a po ponad dziesięcioleciu rządów konserwatystów wielu ludzi jest gotowych głosować za zmianą dla samej zmiany.

Zmartwiony ton narzeczonego wystarczał, by Judith całkowicie go rozgrzeszała za egoistyczny zakaz poszukiwań jej prawdziwej rodziny. Jego zawód, gdyby nie został premierem, mogłaby porównać jedynie do własnego przerażenia, jeśli usiadłaby przed maszyną i uświadomiła sobie, że nie może pisać, że jej talent zniknął...

Aby pogodzić konieczność skończenia książki i kontynuowania własnych poszukiwań, Judith nastawiała budzik na coraz wcześniejszą godzinę. Wstawała teraz o czwartej rano, pracowała do południa, robiła sobie herbatę i kanapkę, po czym wracała do pisania do jedenaściej w nocy.

Co kilka dni chodziła na piechotę w okolice Kensington w nadziei, że przy wystarczającym skupieniu któraś ze starych kamienic, położonych przy uroczych ulicach, może nagle wyda się jej znajoma. Żałowała, że nie widzi już biegnącego przed nią urojonego dziecka, znikającego w bramie domu, w którym mieszkało. Czy w swoich halucynacjach widziała siebie, czy Polly? - zastanowiła się któregoś razu. Natychmiast nagrodziła ją myśl: Zawsze goniłam za Polly, bo szybciej biegała... Okno w przeszłość uchyliło się nieco szerzej... Dlaczego tak długo nie przychodziły akty urodzenia?

Sezon towarzyski w Londynie się skończył. Fiona zażarcie walczyła, by utrzymać własny fotel w Parlamencie, i Judith łatwo było odrzucać zaproszenia na przyjęcia i kolacje. Starannie pilnowała czasu i była pewna, że nie miała kolejnych luk w pamięci. Doktor Patel dzwonił do niej regularnie; bawiło ją, że na początku każdej rozmowy w jego głosie brzmiała obawa, jakby oczekiwał, że doniesie mu o jakiejś straszliwej aberracji.

Dwudziestego ósmego lutego skończyła pierwszy szkic swojej książki i zorientowała się, że będzie musiała dokonać jedynie niewielkich korekt przed wysłaniem tekstu do wydawcy. Tego wieczora Stephen wrócił ze Szkocji, gdzie wspierał kampanię konserwatywnych kandydatów.

Nie widzieli się prawie dziesięć dni. Gdy Judith otworzyła przed nim drzwi, przez długą chwilę stali, wpatrując się w siebie. Stephen westchnął, przytulił ją do siebie i pocałował. Tuląc go do siebie, poczuła ciepło i siłę jego ramion, bicie jego serca. Ich usta spotkały się, zacisnęła silniej ramiona na szyi narzeczonego. Znowu zdała sobie sprawę, że chociaż bardzo kochała Kennetha, w ramionach Stephena czuła spełnienie wszystkiego, co możliwe między kobietą i mężczyzną.

Pijąc drinki, podzielili się ostatnimi przeżyciami. Obydwoje zgodzili się, że wyglądają na wyczerpanych.

- Kochanie, za bardzo schudłaś - powiedział Stephen. - Ile straciłaś na wadze?

- Nie ważyłam się. Nie martw się, odrobię wszystko, kiedy wyślę książkę. Nawiasem mówiąc, sam zrzuciłeś kilka kilogramów, sir Stephenie.

- Amerykanie uważają, że mają patent na bezkaloryczne kurczaki jak z gumy, ale się mylą. Przy okazji, lepiej zadzwonię do domu i powiem, żeby spodziewali się nas na kolacji.

- Nie ma potrzeby. Zamówiłam wszystko, co trzeba. Bardzo proste jedzenie: kotlety, sałatka i cudownie wielki pieczony ziemniak, by dostarczyć węglowodanów. Wystarczy?

- Na dodatek żaden wyborca nie będzie mi suszył głowy podatkami ani życzył szczęścia.

Zajęli się wspólnie przygotowaniami w kuchni. Judith robiła sałatkę, natomiast Stephen oznajmił, że jest mistrzem w idealnym smażeniu kotletów. Gdy stał przy blacie z podwiniętymi rękawami koszuli i w kucharskim fartuchu, bruzdy zmęczenia, które wcześniej okalały jego oczy, stały się niemal niewidoczne.

- Kiedy byłem chłopcem, matka dawała wszystkim służącym wychodne w niedziele, chyba że mieliśmy gości na weekend - powiedział. - Uwielbiała schodzić do kuchni i gotować dla mojego ojca i mnie. Zawsze tęskniłem za tymi wspaniałymi dniami, gdy byliśmy zupełnie sami. Po ślubie z Jane zaproponowałem, żebyśmy kontynuowali tę tradycję.

- Co na to Jane? - spytała Judith, podejrzewając, jaka będzie odpowiedź.

- Była przerażona. - Stephen zachichotał i rzucił po raz kolejny okiem na kotlety. - Myślę, że jeszcze mniej więcej trzy minuty.

- Sałatka gotowa do podania na stół. Ziemniaki i bułki już na nim są. - Obmyła dłonie, wytarła i ujęła w nie twarz Stephena. - Chciałbyś wrócić do starej tradycji? Kiedy nie jestem niewolnicą maszyny do pisania, zupełnie niezła ze mnie kucharka.

Cztery minuty później, gdy wciąż się obejmowali, Stephen wciągnął powietrze w nozdrza.

- Boże drogi! - zawołał z przerażeniem. - Kotlety!

Poszukiwania kobiety, która podłożyła bombę pod posąg króla Karola, zabrnęły w ślepy zaułek. Kochliwy robotnik budowlany Rob Watkins był bezustannie przesłuchiwany, jednak bez skutku. Szybko zidentyfikował kobietę w ciemnej pelerynie na zdjęciach, zrobionych pod pomnikiem, jako tę, której dał gelignit, ale uparcie obstawał przy historii, że Margaret Carew zamierzała zburzyć przy jego użyciu stary budynek w swej posiadłości w Devonshire. Dokładnie przebadano przeszłość Watkina. Scotland Yard doszedł do wniosku, że był dokładnie tym, na kogo wyglądał: robotnikiem uważającym się za kobieciarza, całkowicie niezainteresowanym polityką, i tego typu człowiekiem, którego brat mógłby dostarczyć mu z kamieniołomu, czegokolwiek ten by sobie zażyczył. Półka nad kominkiem w domu jego rodziców w Walii została wykonana z cennych płyt marmuru, identycznych z używanymi w ostatnim miejscu pracy brata Roba Watkina.

Podkomisarz Philip Barnes niechętnie zgodził ze swoim asystentem Jackiem Sloane, że Watkins dał się wykorzystać ciemnowłosej kobiecie w pelerynie jak ostatni frajer. Mężczyzna upierał się, że kobieta przed-

stawiająca się jako Margaret Carew ma świeżą bliznę u podstawy prawego kciuka; był to jedyny trop, z którym mogli wiązać jakąś nadzieję.

Informacji Watkina nie przekazano środkom masowego przekazu. Robotnika oskarżono o posiadanie skradzionych dóbr i wyznaczono dla niego kaucję, której nie zdołał zapłacić. Nad głową podejrzanego wisiała również groźba oskarżenia o kontakty z terrorystami, co gwarantowało jego przyszłą współpracę. Każdy konstabl w Anglii dostał powiększenie zdjęcia kobiety w pelerynie z instrukcją, by jej wypatrywać. Policji wydano nakaz obserwowania, czy gdzieś nie pojawi się ciemnowłosa, mniej więcej czterdziestoletnia kobieta ze szramą na dłoni.

W miarę zbliżania się wyborów historia podłożenia bomby pod pomnik przestała interesować społeczeństwo. Ostatecznie nikt nie został poważnie ranny. Żadne ugrupowanie nie przyznało się do próby zamachu. W programach telewizyjnych zaczął pojawiać się czarny humor: „Biedny stary Karol: nie dość, że trzysta lat temu ucieli mu głowę, to jeszcze teraz chcą go wysadzić w powietrze. Dajcie facetowi spokój”.

Wreszcie piątego marca w sali londyńskiej Tower, gdzie eksponowano klejnoty koronne, nastąpiła kolejna eksplozja. Ranne zostały czterdzieści trzy osoby, sześć poważnie, a wartownik i starszy amerykański turysta zginęli.

Rankiem piątego marca Judith uznała, że nie jest zadowolona ze swego opisu londyńskiej Tower. Czuli, że nie zdołała właściwie przekazać bezmiaru trwogi, jaką odczuwali wtrąceni do niej królobójcy i ich wspólnicy. Wiedziała, że wizyty w opisywanym miejscu często pomagają jej uzyskać nastrój, jaki chciała stworzyć.

Dzień był suchy i wietrzny. Judith zapięła nieprzemakalny płaszcz, zawiązała jedwabną apaszkę, wygrzebała z kieszeni rękawiczki i postanowiła nie zabierać torby na ramię. Przyznała, że zaczynają doskwierać jej długie godziny pracy, a od ciężkiej torby bolało ją ramię. Zamiast tego schowała chusteczkę i pieniądze do kieszeni. Nie zamierzała robić notatek. Po prostu zapragnęła pochodzić po Tower.

Jak zwykle na dziedzińcach i w salach było pełno turystów. Przewodnicy wyjaśniali w dziesięciu językach historię olbrzymiej warowni.

- Gdy w tysięc sześdziesiątym szóstym roku książę normandzki został koronowany na króla Anglii, natychmiast zaczął fortyfikować Londyn na wypadek ataku. Tower została pierwotnie pomyślana i zbudowana jako twierdza, ale około dziesięciu lat później dobudowano do niej masywną kamienną wieżę, która stała się znana właśnie pod tą nazwą.



Judith doskonale znała te fakty. Zorientowała się, że wędruje na obrzeżu grupy, posuwającej się przez udostępnione do zwiedzania wieże i komnaty. Cela w Krwawej Wieży, w której przez trzynaście lat więziono sir Waltera Raleigha, zafascynowała turystów.

- Jest większa niż moje studio - skomentowała jakaś młoda kobieta.

O wiele lepsze warunki, niż miało wielu nieszczęśników, pomyślała Judith. Zdała sobie sprawę, że dygocze z zimna. Przeniknęło ją uczucie panicznego strachu. Oparła się o ścianę. Wyjdz stąd, powiedziała sobie, po czym pomyślała: Nie bądź śmieszna, przecież to właśnie uczucie chcesz ukazać w książce.

Z zaciśniętymi w kieszeniach dłońmi szła za wycieczką do Jewel House - skarbcza - w starych Waterloo Barracks, gdzie prezentowano klejnoty koronne.

- Od czasów Tudorów w tej wieży więziono znacznych rangą więźniów - tłumaczył przewodnik. - W okresie rządów Cromwella Parlament nakazał przetopić regalia koronacyjne, a klejnoty sprzedać. Straszna szkoda. Na szczęście po powrocie Karola II na tron zebrano wszystkie klejnoty, które udało się odzyskać, i wykonano nowe regalia na koronację w tysiąc sześćset sześćdziesiątym pierwszym roku.

Judith przeszła powoli przez dolną komnatę skarbcza, przystając kolejno przed łyżką do namaszczenia, Mieczem Królestwa, koroną świętego Edwarda, ampułą z orłem, w której przechowywano święte oleje do namaszczenia monarchy i berłem z olbrzymim diamentem - Gwiazdą Afryki...

*Berło i ampułę wykonano na jego koronację, pomyślała Margaret. John i ja słyszeliśmy, że uroczystość była wspaniała. Namaszczono olejami pierś klamcy, wsunięto berło w mściwą dłoń, korona spoczęła na głowie kolejnego despoty.*

*Margaret spiesznie minęła członka straży - Yeomana. Trzymano mnie w celi w Wieży Wakefelda, pomyślała. Mówiono mi, że mam szczęście, iż nie czekam na egzekucję w lochu. Powtarzano, że król okazał takie miłosierdzie, bo jestem córką diuka, z którym przyjaźnił się jego ojciec. Znaleźiono jednak sposoby, żeby mnie torturować. Och, Boże, było strasznie zimno, a oni z uciechą opowiadali mi o śmierci Johna. Umarł, wołając mnie i Vincenta. Zatknęli jego głowę na pikę, bym ją widziała w drodze na śmierć. Wszystko to zaplanował Hallett. Przychodził do mnie i szydził ze mnie, wspominając życie w Edge Barton.*

- Pani Chase, nic pani nie jest?

*Uprzejmy głos wartownika rozległ się za plecami Margaret, która wbiegła na oślep po krętych schodach, roztrącając grupki powoli posuwających się turystów. Na dziedzińcu otarła dłonią czoło i zauważyła, że półksiężyc na kciuku jest tak czerwony jak wówczas, gdy ją tu więziono. Hallett wziął mnie za rękę i przyjrzał się szramie, wspomniawszy. Powiedział, że to wstyd, by tak piękną dłoń była tak zeszpecona. Odwróciła się i popatrzyła na Waterloo Barracks. Korona i zdobne w klejnoty regalia, wykonane dla Karola II, nigdy nie znajdują się na głowie i w rękach Karola III, przysięgła sobie.*

- Znów dama w zielonej pelerynie. - Podkomisarz Barnes niemal wypluł te słowa. - Wszystkim konstablom w Londynie nakazano rozglądać się za nią, a jednak zdołała podłożyć bombę, i to nie gdzie indziej, lecz w londyńskiej Tower. Co się dzieje z naszymi ludźmi?!

- Było tam mnóstwo turystów - odparł spokojnie Sloane. - Kobieta w zwartej grupie nie zwraca na siebie uwagi, a w tym roku peleryny są bardzo modne. Domyślam się, że konstable zachowali czujność przez kilka pierwszych tygodni, a ponieważ nie nastąpiły żadne nowe incydenty, kobieta zesłała w ich umysłach raczej na plan dalszy...

Rozległo się stukanie do drzwi i inspektor Lynch wszedł spiesźnie do środka. Obaj jego szefowie dostrzegli, że jest wstrząśnięty.

- Właśnie wracam ze szpitala - oświadczył. - Drugi wartownik ze skarbcza nie przeżyje, ale jest przytomny i może mówić. Ciągle powtarza nazwisko Judith Chase.

- Judith Chase! - powtórzyli równocześnie Philip Barnes i Jack Sloane z równym zdumieniem.

- Dobry Boże, człowieku, nie zdajesz sobie sprawy, kto to? - spytał podkomisarz. - To pisarka, absolutnie wspaniała. - Zmarszczył czoło. - Chwileczkę. Chyba czytałem, że pisze książkę o wojnie domowej, o okresie pomiędzy panowaniem Karola I i II. Może na coś natrafiliśmy? Na okładce ostatniej książki jest jej zdjęcie. Niech ktoś pójdzie ją kupić. Porównamy fotografię autorki z tymi, które mamy, a potem pokażemy je Watkinsowi. Judith Chase! Na miłość boską, na jakim my świecie żyjemy?

- Jest bardzo ważne, by nikt nie dowiedział się, że nasze śledztwo objęło Judith Chase - powiedział Jack Sloane po chwili wahania. - Sam zdobędę tę książkę. Nie chcę, by nawet pańska sekretarka wiedziała, że interesujemy się tą panią.

- O co ci chodzi? - Barnes zmarszczył brwi.

- Jak pan wie, rezydencja mojej rodziny znajduje się w Devonshire, niedaleko od Edge Barton, wiejskiej posiadłości sir Stephena Halletta.

- I co z tego?

- W ubiegłym miesiącu pani Chase była gościem sir Stephena w Edge Barton. Krąży pogłoska, że natychmiast po wyborach się pobiorą.

Philip Barnes podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Rozważał perspektywy potencjalnej katastrofy. Sir Stephen jako minister spraw wewnętrznych był również odpowiedzialny za wymiar sprawiedliwości. Gdyby wybrano go na premiera, byłby jednym z najpotężniejszych ludzi na świecie. Cień skandalu z jego udziałem z łatwością mógł zmienić wyniki wyborów.

- Co dokładnie powiedział wartownik? - zapytał Lyncha.

- Zapisałem to. - Inspektor wyciągnął notes. - „Judith Chase. Znowu. Blizna”.

Wycięte z obwoluty zdjęcie pokazano Robowi Watkinsowi.

- To ona! - wykrzyknął, gdy jednak zaszokowani słuchacze czekali na jego dalsze słowa, stracił pewność siebie. - Nie... Popatrzcie na jej ręce. Nie ma blizny. Poza tym usta, oczy - wyglądają jakoś inaczej. Och, z pewnością są podobne. Wystarczająco, żeby mogły być siostrami. - Odrzucił fotografię i wzruszył ramionami. - Nie miałbym nic przeciwko temu, by wybrać się z nią na randkę. Zobaczcie, może uda się wam to zorganizować.

Judith z przerażeniem usłyszała o podłożeniu bomby w londyńskiej Tower, gdy włączyła telewizor na wiadomości o jedenastej.

- Byłam tam właśnie dzisiaj rano - powiedziała Stephenowi, który zadzwonił w kilka minut później. - Po prostu chciałam wczuć się w atmosferę. Biedni ludzie, Stephenie. Jak ktokolwiek może być tak okrutny?

- Nie mam pojęcia, kochanie. Po prostu dziękuję Bogu, że nie było cię w tej sali, gdy bomba eksplodowała. Jedno wiem na pewno: jeśli moja partia wygra, a ja zostanę premierem, zamierzam nakłonić Parlament do uchwalenia kary śmierci dla terrorystów - przynajmniej tych, którzy mają na sumieniu śmiertelne ofiary.

- Po dzisiejszym dniu zgodzi się z tobą jeszcze więcej ludzi, chociaż ja nie mogę. Kiedy wracasz do Londynu, kochanie? Tęsknię za tobą.

- Dopiero za około tydzień, ale przynajmniej możemy odliczać już dni, Judith. Jeszcze dziesięć dni do wyborów, potem zaś, wygramy czy też nie, nadejdzie czas dla nas.

- Zwycięzysz, a ja skończę ostatnie poprawki. Jestem ogromnie zadowolona z tego, co napisałam dzisiaj po południu o Tower. Naprawdę sądzę, że zdołałam pokazać, jak musieli się tam czuć więźniowie. Uwiel-

biam, kiedy praca rzeczywiście dobrze mi idzie. Absolutnie tracę wtedy świadomość upływającego czasu; to wspaniałe uczucie zaabsorbowania.

Judith pożegnała się ze Stephenem, przeszła do sypialni i z zaskoczeniem zauważyła nieco uchylone drzwi do drugiej połowy szafy - tej, w której lady Ardsley zostawiła własne ubrania. Pewnie od początku były niedomknięte, pomyślała. Pchnęła je zdecydowanie, aż usłyszała szczełk zamka. Nie zauważyła taniego plecaka, ukrytego za rzędem skromnych sukienek i szytych na miarę kostiumów, stanowiących londyńską garderobę lady Ardsley.

Następnego ranka Judith wzdrygnęła się, słysząc zaskakujące brzęczenie domofonu w holu. Jedną z radości życia w Londynie było to, że nikt nie wpadał do niej, uprzednio nie zadzwoniwszy, pomyślała. Niechętnie wstała od biurka i podeszła do domofonu. Jack Sloane, przyjaciel Stephena z Devonshire, poprosił ją o kilka minut rozmowy.

Atrakcyjny mężczyzna, pomyślała Judith, przyglądając się, jak gość popija kawę, na którą od razu się zgodził. Około czterdziestu pięciu lat, bardzo angielski, z jasnymi włosami i niebieskimi oczyma. Skromny, z tym odcieniem nieśmiałości, jaki charakteryzuje mnóstwo rasowych Brytyjczyków. Judith spotkała go na kilku przyjęciach u Fiony i wiedziała, że pracuje w Scotland Yardzie. Czy możliwe, że pogłoski o niej i Stephenie sprawiły, że zaczęła ją sprawdzać? Czekwała, aż Jack przejdzie do celu wizyty.

- Straszna sprawa z tym wczorajszym podłożeniem bomby w Tower - powiedział.

- Przerażająca - zgodziła się Judith. - W istocie byłam tam wczoraj rano, zaledwie parę godzin, zanim się to stało.

- Pani Chase. - Jack pochylił się do przodu. - Judith, jeśli mogę tak się do pani zwracać, to właśnie przyczyna mojej wizyty. Wygląda na to, że jeden z wartowników ze skarbca panią rozpoznał. Czy z panią rozmawiał?

Judith westchnęła.

- Wiem, że zabrzmiało to, jakbym była idiotką, ale wybrałam się do Tower, by zyskać właściwy nastrój do napisania jednego z rozdziałów mojej nowej książki, który wcześniej mi nie wychodził. Obawiam się, że kiedy się koncentruję, zapominam o bożym świecie. Jeśli nawet wartownik coś do mnie mówił, to go nie usłyszałam.

- O której to było?

- Chyba około wpół do jedenastej.

- Pani Chase, proszę spróbować nam pomóc. Jest pewien, że jest pani bystrą obserwatorką, nawet jeśli skoncentrowała się pani na zbieraniu

materiałów, jak pani twierdzi. Ktoś zdołał przemycić tam po południu ładunek wybuchowy. Była to pochodna plastiku, ale z tego, co zdołaliśmy ustalić, bomba miała raczej prymitywną konstrukcję. Musiała zostać podłożona najwyżej kilka minut przed eksplozją. Wybuchła w chwili, gdy wartownik zauważył torbę i ją podniósł. Czy kiedy przechodziła pani przez kontrolę przed skarbcem, wartownicy starannie sprawdzili pani torbę przy użyciu detektora?

- Nie miałam wczoraj torebki. Włożyłam pieniądze do kieszeni płaszcza przeciwdeszczowego. - Judith się uśmiechnęła. - Przez ostatnie trzy miesiące zbierałam materiały na terenie całej Anglii i nadwerżyłam sobie ramię od dźwigania książek i aparatu fotograficznego. Wczoraj zdałam sobie sprawę, że nie potrzebuję niczego oprócz pieniędzy na taksówkę i bilet wstępu. Obawiam się więc, że nie mogę panu pomóc.

Sloane wstał.

- Mogę zostawić pani moją wizytówkę? - spytał. - Czasami wpada nam w oko coś, co zachowujemy w podświadomości. Jeśli nastawimy umysł na przeszukiwanie zawartości pamięci - trochę tak jak komputery - zdumiewające, jak często potrafimy odnaleźć przydatne informacje. Bardzo się cieszę, że miała pani szczęście i opuściła już Tower, kiedy nastąpiła ta eksplozja.

- Całe popołudnie pracowałam przy tym biurku - powiedziała Judith, wskazując wewnątrz gabinetu.

Sloane dostrzegł stertę kartek obok maszyny do pisania.

- Wygląda imponująco. Zazdroszczę pani talentu. - Omiótł wzrokiem rozkład mieszkania, gdy podchodzili do drzwi. - Wiem, że po wyborach, kiedy wszystko się uspokoi, moja rodzina z radością przyjmie pani wizytę.

Słyszał już o Stephenie i o mnie, pomyślała Judith.

- Będzie mi bardzo miło - zapewniła go z uśmiechem, wyciągając dłoń.

Jack Sloane szybko opuścił wzrok. Na prawej dłoni Judith widniał słaby zarys starej blizny czy nawet znamienia, w niczym nie przypominający zaognionego czerwono-purpurowego półksiężyca, opisanego przez Watkinsa. Bardzo miła kobieta, pomyślał komendant, idąc na dół. Na parterze otworzył drzwi wejściowe w chwili, gdy po schodach wchodziła starsza, zdyszana kobieta z wielkimi torbami zakupów. Jack wiedział, że winda jest zepsuta.

- Mogę pomóc pani wnieść to na górę? - spytał.

- Och, dziękuję - wystękała kobieta. - Zastanawiałam się, czy dam

radę zadźwigać torby na drugie piętro, a wiem doskonale, że stróża jak zwykle nie ma.

Przyjrzała się bacznie mężczyźnie, zastanawiając się, czy nie próbuje wtargnąć do jej mieszkania. Jack Sloane zrozumiał, co sobie pomyślała.

- Jestem przyjacielem pani Chase z drugiego piętra - powiedział. - Właśnie od niej wyszedłem.

Mieszkam dokładnie naprzeciw niej. - Twarz kobiety pojaśniała. Jest urocza i taka elegancka. Wspaniała pisarka. Wie pan, że odwiedzają sir Stephen Hallett? Och, nie powinnam była tego mówić. Ale ze mnie plotkara.

Powoli ruszyli po schodach na górę, Jack z torbami w rękach. Przedstawili się, kobieta powiedziała, że nazywa się Martha Hayward. Pani Alfredowa Hayward. Po smutku, jaki pojawił się w jej głosie przy wymawianiu nazwiska, Jack zorientował się, że pana Haywarda na pewno nie ma już wśród żywych.

Odstawił zakupy na stół w kuchni i zbierał się do wyjścia po spełnieniu dobrego uczynku. Gdy się zegnał, na usta wcisnęło się mu jednak pytanie, którego sam po sobie się nie spodziewał:

- Czy pani Chase nosiła kiedykolwiek pelerynę?

- Och, tak - powiedziała ciepło pani Hayward. - Rzadko ją w niej widuję, ale jest urocza. Ciemnozielona. Kiedy ją pochwaliłam w zeszłym miesiącu, pani Chase powiedziała, że właśnie kupiła ją u Harrodsa.

Reza Patel czytał poranne gazety u siebie w gabinecie. Trzymając w drżącej dłoni filizankę z kawą, przyjrzał się fotografiom zabitych i rannych ofiar zamachu bombowego w londyńskiej Tower. Na szczęście - lub na nieszczęście - bomba eksplodowała z dala od celu. Podłożono ją w miejscu, gdzie miała wyrządzić maksymalne szkody koronom i regaliom, lecz gdy wartownik ją podniósł, główna siła eksplozji ominęła gabloty z grubego szkła, w których mieściły się bezcenne klejnoty. Gabloty były potłuczone, ale nic się nie stało ich cennej zawartości. Podniesienie paczki kosztowało jednak życie wartownika oraz stojącego obok zwiedzającego.

W oddzielnym artykule przedstawiono historię regaliów koronacyjnych: jak zostały przetopione i zniszczone po egzekucji Karola I i jak odtworzono je na koronację jego syna.

- Znów Karol I i Karol II - odezwał się z udręką w głosie Patel. - Wiem, że to robota Judith.

- Nie Judith, tylko lady Margaret Carew poprawiła go Rebecca. - Masz chyba obowiązek zgłosić się do Scotland Yardu, Reza?

- Nie, Rebecca, nie! - Uderzył pięścią w blat. - Mam obowiązek wobec Judith - muszę spróbować usunąć z niej tę złowrogą istotę. Nie wiem jednak, czy zdołam to osiągnąć. Nie widzisz, że ona jest najbardziej niewinną z ofiar? Nasza jedyna nadzieja tkwi w tym, że ma silną osobowość. Anna Anderson z własnej woli poddała się duszy wielkiej księżnej Anastazji. Judith zaś podświadomie będzie walczyła o zachowanie własnej tożsamości. Musimy dać jej czas.

W ciągu dnia Patel wielokrotnie starał się dodzwonić do pisarki, jednak za każdym razem odzywała się automatyczna sekretarka. Tuż przed wyjściem z gabinetu spróbował raz jeszcze.

- Panie doktorze! - odpowiedziała tym razem Judith przepelnionym radością głosem. - Właśnie dostałam świadectwa urodzenia. Da pan wiarę, że wysłano je pod niewłaściwy adres? Dlatego właśnie tak długo szły. Mieszkaliśmy w Kent House przy Kensington Court. Pamięta pan? Próbowałam panu powiedzieć, że mieszkałam na Kent Court. To zupełnie blisko, prawda? Jeśli się nie mylę, moja matka miała na imię Elaine. Moim ojcem był oficer RAF - porucznik Jonathan Parrish.

- Wspaniałe wiadomości, Judith! Jaki będzie twój następny krok?

- Jutro pojedę do Kent House. Może ktoś pamięta tę rodzinę - ktoś, kto był wtedy młody i wciąż mieszka w tym domu. Jeśli to nie wyjdzie, do wiem się, jak dotrzeć do archiwów RAF. Martwię się tylko jednym: że Stephen w jakiś sposób się dowie, że zaczęłam grzebać w państwowych rejestrach, a wie pan, co on o tym sądzi.

- Wiem. A jak posuwa się książka?

- Jeszcze mniej więcej tydzień i skończę redagowanie. Wie pan, że sondaże wskazują, iż konserwatyści wysuwają się na prowadzenie? Czyż nie byłoby cudownie, gdyby dokładnie wtedy, kiedy skończę książkę, Stephen wygrał wybory i gdybym ja na dodatek odnalazła swoją prawdziwą rodzinę?

- Istotnie, byłoby to wspaniałe, ale proszę się nie przemęczać. Miała pani jakieś problemy z lukami w pamięci?

- Nic podobnego. Po prostu siedzę przy maszynie do pisania, a dzień sam przechodzi w noc.

Gdy Patel odłożył słuchawkę, popatrzył na Rebeccę, która słuchała rozmowy z drugiego aparatu.

- I co sądzisz? - zapytała.

- Jest nadzieja. Kiedy Judith skończy książkę, przestanie się skupiać na wojnie domowej. Odnalezienie korzeni zaspokoi głęboko tkwiące w niej pragnienia, a małżeństwo z sir Stephenem będzie wymagało jej peł-

nego zaangażowania. Lady Margaret straci możliwość kierowania jej życiem. Zobaczysz, że tak będzie.

Komendant Sloane zameldował się u podkomisarza Barnesa w Scotland Yardzie. Do gabinetu wpuszczono jeszcze tylko inspektora Lyncha.

- Rozmawiałeś z panią Chase? - spytał Barnes.

Sloane zauważył, że w ciągu tygodni od pierwszego zamachu bombowego na szczupłej twarzy podkomisarza pojawiły się rzędy bruzd, przecinających policzki i czoło. Jako szef wydziału antyterrorystycznego Barnes podlegał bezpośrednio podkomisarzowi do spraw przestępczości - najwyższemu rangą oficerowi Scotland Yardu po komisarzu. Jack wiedział, że Barnes wziął na siebie wielką odpowiedzialność, nie informując przełożonych o możliwym powiązaniu Judith Chase z zamachami. Każdy z nich bez wahania poszedłby do Stephena Halletta. Naczelnik Scotland Yardu nie lubił Stephena i chętnie skorzystałby z okazji, żeby go zakłopotać. Sloane podziwiał swojego przełożonego za decyzję nieujawniania nazwiska Judith, lecz również nie zazdrościł mu konsekwencji w wypadku, gdyby okazało się to omyłką.

W gabinecie było dość ciepło, ale posępnie zachmurzone niebo sprawiało, że Sloane tęsknił za filiżanką kawy. Brzydził się meldunkiem, jaki musiał złożyć.

Barnes włączył interkom i nakazał sekretarce nie łączyć żadnych rozmów.

- Z wyjątkiem koniecznych warknął po chwili wahania. Odchylił się w fotelu ze złączonymi dłońmi i wystawionymi w górę palcami, co dla podwładnych stanowiło pewny znak, że lepiej będzie, jeśli zdołają udzielić odpowiedzi na pytania szefa. - Rozmawiałeś z nią, Jack? - rzucił. - Czego się dowiedziałeś?

- Nie ma żadnej blizny. Istotnie, można dostrzec nikły ślad na prawej ręce, jednak trzeba zbliżyć głowę na kilkanaście centymetrów, żeby go zobaczyć. Była w Tower wczoraj rano, nie po południu. Nie rozmawiała z wartownikiem, a jeśli on coś do niej mówił, to tego nie słyszała.

- W takim razie jej historia zgadza się z relacją strażnika. O co mu jednak chodziło, kiedy powiedział: „znowu”?

- Sir - wtrącił się Lynch. - Czyż nie wydaje się, że mamy do czynienia z taką samą sytuacją jak w zeznaniu Watkina: nie ta sama kobieta, ale obdarzona dużym podobieństwem?

- Na to wygląda. Jeśli tak jest rzeczywiście, chyba powinniśmy Bogu dziękować, że nie musimy martwić się aresztowaniem potencjalnej żony



przyszłego premiera - powiedział Barnes. - Panowie, niewątpliwie fakt, że wartownik widział panią Chase, a ona sama potwierdziła, iż była w Tower, musi znaleźć się w oficjalnym raporcie. Trzeba jednak unikać zwracania uwagi - podkreślam: najdelikatniejszego zwracania uwagi - na jego stwierdzenie „znowu”. Jest oczywiste, że osoba, która przypomina panią Chase i przedstawiła się Watkinsowi jako Margaret Carew, jest tą, której szukamy, z szacunku wszakże zarówno dla pani Chase jak i sir Stephena nie wolno wiązać jej nazwiska z tą sprawą.

Komandor Sloane pomyślał o swojej długiej przyjaźni z Hallettem i o tym, jak zamartwiona była Judith, gdy rozmawiała z nim o zamachu.

- Musi pan wiedzieć o jeszcze jednym - powiedział, marszcząc brwi i zniżając głos. - Judith Chase ma drogą ciemnozieloną pelerynę. Mniej więcej miesiąc temu kupiła ją u Harrodsa.

Judith stała przed Kent House - Kensington Court numer trzydzieści cztery. Parapety z blankami i ozdobna wieżyczka zdobiły zaprojektowany w tudorowskim stylu budynek. Mary Elizabeth Parrish i Sarah Courtney Parrish znalazły się w tym domu po urodzeniu w Szpitalu Królowej Marii. Judith nacisnęła dzwonek. Czekając na portiera i wpatrując się w spłowiąły marmur posadzki w holu, zastanawiała się, czy umysł nie płata jej figli. Czy rzeczywiście przypominała sobie, jak przed laty przebiegała po tym marmurze do schodów?

Zona portiera była kobietą pod sześćdziesiątkę. Miała na sobie długi sweter i bezkształtną wełnianą spódnicę oraz niebiesko-białe pantofle z imitacji skóry. Przyjemną twarz, pozbawioną makijażu otaczały falujące siwe włosy. Uchyliła drzwi.

- Obawiam się, że nie mamy żadnego mieszkania do wynajęcia - powiedziała.

- Nie dlatego tu przyszedłem. - Judith podała kobiecie wizytówkę. Obmyśliła wcześniej, co mówić. - Moja ciotka przyjaźniła się z kobietą, która mieszkała w tym domu podczas wojny. Nazywała się Elaine Parrish, miała dwie małe dziewczynki. Było to dawno temu, ale moja ciotka nie traci nadziei, że zdołamy je odnaleźć.

- Och, kochaniutka, pewnie nie zostały już nawet rejestry z tych czasów. Dom wiele razy trafiał z rąk do rąk, a jaki sens miałyby przechowywanie dokumentów dotyczących ludzi, którzy dawno się wyprowadzili? Ile lat temu to było? Czterdzieści pięć czy pięćdziesiąt! Och, beznadziejna sprawa.

Zona portiera zaczęła zamykać drzwi.

- Chwileczkę, proszę! - powiedziała błagalnie Judith. - Na pewno jest pani bardzo zajęta, ale mogłabym zapłacić za poświęcenie mi trochę czasu.

- Jestem Myrna Brown - odrzekła z uśmiechem kobieta. - Niech pani wejdzie, dobrze, kochaniutka? Rzeczywiście, są jakieś stare rejestry w składziku.

Dwie godziny później Judith wyszła z pokoiku z poharatanymi paznokciami, czując się zakurzona od brudnych papierzysek. Odnalazła Myrnę Brown.

- Obawiam się, że miała pani rację. Raczej beznadziejna sprawa. Rejestr z ostatnich dwudziestu lat świadczy, że mieszkańcy często się zmieniali. Na coś jednak wpadłam. Mieszkanie cztery B. Z tego, co widziałam, ma nowego lokatora zaledwie od czterech lat.

- Ale ze mnie idiotka! - Myrna Brown wyrzuciła ręce w górę. - Oczywiście. Byliśmy tu dopiero od trzech lat, ale portier, który odchodził na emeryturę, opowiedział nam wszystko o pani Bloxham. Miała dziewięćdziesiąt lat, kiedy wreszcie przeniosła się stąd do domu opieki. Mówił, że była żywa jak srebro i protestowała, ale syn nie chciał, żeby dłużej mieszkała sama.

- Jak długo tu przebywała? - Judith poczuła, że zasycha jej w ustach.

- Och, od zawsze, kochaniutka. Z tego, co wiem, wprowadziła się jako dwudziestopięcioletnia panna młoda.

- Czy jeszcze żyje?

- Nie mam zielonego pojęcia. Mało prawdopodobne, moim zdaniem, ale nigdy nie wiadomo, prawda?

Judith przełknęła. Była tak blisko. Tak blisko. Aby odzyskać równowagę, rozejrzała się po małym saloniku z tapetą w jaskrawe kwiaty, sztywną sofą z końskim włosiem i krzesłem do kompletu oraz elektrycznymi grzejnikami pod długimi, wąskimi oknami.

*Grzejnik. Ściagała się z Polly. Potknęła się i wpadła na grzejnik. Przypominała sobie przerażający zapach palących się włosów, uczucie, że przywarły do metalowej powierzchni. Potem ramiona - podnoszące ją z podłogi, niosące ukojenie, znoszące na dół po schodach. Wokół wycieki. Miody, przerażony głos jej matki.*

- Na pewno poczta do pani Bloxham jest jej przekazywana.

- Urzędowi pocztowemu nie wolno podawać nowych adresów, ale może zapytamy w administracji budynku? Może tam mają adres?

Późnym popołudniem tego samego dnia Judith zajechała przez bramę domu seniora Preakness w Bath. Z góry zawiadomiła telefonicznie o swoim przybyciu. Powiedziano jej, że Muriel Bloxham nadal mieszka w tym domu, ale jest nader rozkojarzona.

Siostra przełożona zaprowadziła Judith do „świetlicy”. Był to nasłoneczniony pokój z dużymi oknami oraz jaskrawymi zasłonami i wykładziną. Czworo czy pięcioro starych ludzi w fotelach inwalidzkich skupiło się wokół telewizora. Trzy kobiety, na wygląd pod osiemdziesiątkę, rozmawiały i robiły na drutach. Siwowłosa mężczyzna o wychudłej twarzy wpatrywał się wprost przed siebie, gestykulując jak dyrygent. Mijając go, Judith usłyszała, że staruszek zaskakująco czysto nuci jakąś melodię. Mój Boże, pomyślała, biedni ludzie...

Siostra przełożona musiała dostrzec wyraz jej twarzy.

- Nie ma wątpliwości, że niektórzy z ludzi żyją bardzo długo, ale załączam, że wszyscy nasi pensjonariusze mają zagwarantowane wszelkie wygody.

Judith poczuła się skarcona.

- - Widzę, że tak jest rzeczywiście - odrzekła cicho.

Jestem bardzo zmęczona, pomyślała. Koniec książki, koniec kampanii, może koniec poszukiwań. Domyślała się, że siostra przełożona uważa ją za krewną pani Bloxham - być może za kobietę, w której odezwały się wyrzuty sumienia i z obowiązku przyjechała odwiedzić starą kuzynkę.

Dotarły pod okno, wychodzące na przypominające park grunty.

- No proszę, pani Bloxham - powiedziała siostra przełożona rześkim głosem. - Mamy dzisiaj towarzystwo. Czyż to nie miłe?

- Mój syn jest w Stanach Zjednoczonych - odpowiedziała drobnutka, lecz wyprostowana kobieta w fotelu inwalidzkim. - Nie spodziewam się nikogo więcej. - Jej głos brzmiał zdecydowanie i rozsądnie.

- Ładnie tak traktować gościa? - spytała grzmiącym tonem siostra przełożona.

- Proszę. - Judith dotknęła jej ramienia. - Same sobie poradzimy.

Przy małym stoliku było krzesło. Judith przysunęła je sobie i usiadła naprzeciw staruszki. Wspaniała twarz, o wciąż bardzo inteligentnych oczach, pomyślała. Prawa ręka Muriel Bloxham spoczywała na okrywającym ją kocu; wyglądała na zeschniętą i przykurczoną.

- No dobrze, kim pani jest? - spytała stara dama. - Wiem, że się starzę, ale pani nie poznaję. - Jej głos był słaby, lecz bardzo wyraźny. Uśmiechnęła się. - Czy panią znam, czy nie, miło jest mieć towarzystwo.

- Na jej twarzy pojawił się wyraz zakłopotania. - Czy powinnam panią znać? Mówią mi, że wszystko zapominam.

Judith natychmiast zdała sobie sprawę, że rozmowa jest dla starej kobiety wysiłkiem. Musiała od razu uzyskać od niej odpowiedzi na swoje pytania.

- Jestem Judith Chase. Myślę, że dawno temu mogła pani znać moich krewnych, i chciałabym panią o nich zapytać.

- Jest pani bardzo śliczna. - Muriel Bloxham uniosła lewą rękę i poklepała Judith po twarzy. - Jest pani Amerykanką, prawda? Mój brat ożenił się z Amerykanką, lecz to było dawno temu.

Judith zamknęła palce na zimnej dłoni, poznaczonej niebieskimi żyłkami.

- Mówię o dawnych czasach - wyjaśniła. - Trwała wtedy jeszcze wojna.

- Mój syn walczył na wojnie - odparła pani Bloxham. - Dostał się do niewoli, ale w końcu wrócił. Nie tak jak niektórzy inni.

Spuściła głowę na pierś i przyknęła oczy. To na nic, pomyślała Judith. Słuchała, jak oddech Muriel Bloxham się wyrównuje. Zdała sobie sprawę, że staruszka zasnęła. Podczas jej drzemki Judith przyglądała się dokładnie rysom kobiety. Blammy pilnowała mnie i Polly. Pieczę ciastka i opowiadała nam różne historie.

Minęło niemal pół godziny, nim Muriel Bloxham otworzyła oczy.

- Przepraszam. Tak się dzieje, jak człowiek jest bardzo stary - powiedziała.

Jej oczy znów miały uważny wyraz. Judith wyczuła, że nie może trać czasu.

- Pani Bloxham, niech pani spróbuje się zastanowić. Czy przypomina pani sobie rodzinę nazwiskiem Parrish, mieszkającą podczas wojny w Kent House?

\*- Nie - potrząsnęła głową Muriel. - Nigdy nie słyszałam tego nazwiska.

- Spróbuj, Blammy - powiedziała błagalnie Judith. - Spróbuj.

- Blammy. - Twarz Muriel Bloxham pojaśniała. - Nikt tak mnie nie nazywał od czasu bliźniaczek.

- Bliźniaczek - powtórzyła Judith, zmuszając się, by nie podnosić głosu.

- Tak. Polly i Sarah. Śliczne dziewczynki. Elaine i Jonathan wprowadzili się po ślubie. Miała taką jasną cerę. On miał ciemne włosy, był wysoki i przystojny. Byli bardzo zakochani. Zestrzelono go tydzień po urodzeniu się bliźniaczek. Chodziłam pomagać Elaine. Miała złamane serce. Kiedy zaczęły spadać rakiety, postanowiła zabrać dziewczynki na wieś.

Widzi pani, żadne z nich nie miało rodziny. Umówiłam się z moimi przyjaciółmi z Windsoru, że zostanie z dziećmi u nich. W dniu, kiedy miały wyjechać, koło stacji spadła bomba. - Głos pani Bloxham zadrżał. - Straszne. Straszne. Elaine zginęła. Mała Sarah została rozerwana na strzępy jak kilkoro innych ludzi. Nawet nie odnaleźli jej ciała. Polly była bardzo poważnie ranna.

- Polly nie zginęła?

- Polly? - Na twarzy Muriel Bloxham znów pojawił się nieobecny wyraz.

- Polly Parrish, Blammy. Co się z nią stało? - Judith poczuła wzbierające w oczach łzy. - Musisz sobie przypomnieć!

- Nie płacz, kochanie. - Na twarzy staruszki pojawił się uśmiech. - Polly świetnie sobie radzi. Czasami do mnie pisze. Ma księgarnię w Beverley w Yorkshire, która nazywa się „Parrish Pages”.

- Przykro mi, proszę pani, ale musi pani już iść. I tak pozwoliłam pani pozostać poza godzinami odwiedzin - oświadczyła z miną pełną dezaprobaty siostra przełożona.

Judith wstała, pochyliła się i ucałowała staruszkę w czubek głowy.

- Do widzenia, Blammy. Niech cię Bóg błogosławi. Wrócę kiedyś cię odwiedzić.

Gdy odchodziła, usłyszała, że Muriel Bloxham opowiada siostrze przełożonej o bliźniaczkach, które nazywały ją Blammy.

Gigantyczna machina wywiadowcza Scotland Yardu zaczęła po cichu badać życie Judith Chase. W ciągu kilku dni rezultaty trafiły w postaci sterty raportów na biurko komendanta Sloane'a. Dokumenty, sięgające czasów dzieciństwa, oceny psychologiczne, artykuły napisane przez nią dla „Washington Post”, wzmianki w kolumnach towarzyskich, szkolne oceny, zajęcia, kluby, wyniki dyskretnych rozmów ze współpracownikami w Waszyngtonie, jej wydawcą i księgowym.

- Wszystko składa się na jeden pochwalny pean - powiedział Sloane do Philipa Barnes'a. - Od urodzenia ani śladu protestów przeciwko rządowi czy kontaktów z radykalnymi ugrupowaniami. W szkole z internatem trzy razy była gospodynią klasy, potem przewodniczącą rady studenckiej w Wellesley, jako wolontariuszka pomagała zwalczać analfabetyzm, hojnie wspierała instytucje dobroczynne. Bardzo dobrze, panie komisarzu, że nie zrobiliśmy z siebie głupców, ujawniając, że się nią interesujemy.

- Tylko jedno rzuciło mi się w oczy. - Barnes otworzył rocznik ze szkoły z internatem. Pod zdjęciem znajdowała się zwykła notka biogra-

ficzna. Podkomisarz podkreślił w niej jedno zdanie: „Panna Majsterklepka. Twierdzi, że zostanie pisarką, ale zobaczymy, czy nie będzie budowała mostów”. - Te bomby były prymitywne, lecz zupełnie skuteczne. Jeśli Watkins jedynie dostarczył gelignitu, potrzebne były niezłe umiejętności techniczne, by tak je skonstruować, żeby pozostały niewykryte.

- Nie sądzę, że może to być istotne - sprzeciwił się Sloane. - Moje dwie siostry mają wrodzone umiejętności techniczne, ale wątpię, aby użyły ich w terrorystycznych celach.

- Mimo to życzę sobie, by kontynuowano całodobową obserwację pani Chase. Czy Lynch lub Collins mają coś do zameldowania?

- W gruncie rzeczy nie, panie komisarzu. Pani Chase spędza większość czasu w mieszkaniu, wczoraj jednak wybrała się do Kent House na Kensington Court. Rozpytywała o rodzinę, która mieszkała tam wiele lat temu - ludzi, których знаła jej ciotka.

- Jej ciotka? - Barnes raptownie podniósł głowę. - Przecież nie ma żadnych krewnych.

Sloane zmarszczył brwi. Właśnie to go dręczyło.

- Powinienem był na to wpaść, ale z Kent House pojechała do domu opieki w Bath i tam rozmawiała z bardzo starą kobietą. Wydawało się to dość niewinne.

- O kogo rozpytywała?

- Tego dokładnie nie wiemy. Kiedy Lynch próbował porozmawiać ze staruszką, okazało się, że ta prawie nic nie kojarzy. Wydawało się, że cały czas błądzi gdzieś myślami.

- W takim razie sugeruję, żebyś sam odwiedził tę starą kobietę i z nią porozmawiał. Nie zapominaj, że Judith Chase była brytyjską sierotą wojenną. Równie dobrze mogła odnaleźć ludzi z przeszłości, którzy wpłynęli na jej postępowanie. - Barnes wstał. - Tylko sześć dni do wyborów. Notowania są prawie równe, ale wydaje się, że konserwatyści mają zwycięstwo w garści. Dlatego właśnie musimy całkowicie oczyścić Judith Chase, zanim znajdziemy się w kłopotliwym położeniu, doprowadzając do upadku nowego rządu, nim jeszcze rozpocznie urzędowanie!

Gdy Judith wróciła do domu z Bath, czuła się, jakby posunęła się emocjonalnie i fizycznie do punktu poza granice wyczerpania. Zrobiła sobie gorącą kąpiel, wylegiwała się w wannie przez dwadzieścia minut, po czym włożyła nocną koszulę i szlafrok. Wpatrując się lustro, uświadomiła sobie, że jest śmiertelnie blada, włosy naprawdę trzeba podciąć, a twarz wychudła jej tak, że nie wyglądało to już elegancko. Muszę zro-

bić sobie wolny dzień, pomyślała. Jutro pójdę do kosmetyczki, zrobię też manikiur i wybiorę się do fryzjera... Postanowiła oderwać się od książki na dzień lub dwa, a później wrócić do stron, które wymagały korekty. Jutro zamierzała również zadzwonić do Parrish Pages i dowiedzieć się, czy Blammy miała rację co do Polly Parrish.

Polly żyje. Moja siostra, pomyślała Judith. Moja bliźniacza siostra. Świadomość, że być może ma tak bliską krewną, była jednocześnie ekscytująca i napawała lękiem. Pojadę do tej księgarni, postanowiła. Na razie tylko się tam porozglądam. Wiedziała, że nie może przedstawić się Polly, dopóki nie dowie się o niej więcej. Później, po kampanii, Stephen będzie mógł polecić, by ją sprawdzono. Nie będzie się temu sprzeciwiał, jeśli tylko pozna przyczynę dochodzenia. Polly na pewno okaże się bez skazy, pomyślała Judith, kładąc się do łóżka. Była zbyt zmęczona, by przygotować sobie choćby kubek zupy. Zabawne, ona również zajmuje się książkami... Ciekawe, czy kiedykolwiek próbowała pisać...

Zasnęła tak twardo, że telefon zadzwonił z tuzin razy, nim go usłyszała.

- Zaczynałem się martwić, Judith. - Zatraskany głos Stephena rozbudził ją do reszty. - Aż tak jesteś zmęczona?

- Tak szczęśliwa - odparła. - Zrobię sobie parę wolnych dni, żeby rozjaśniło mi się w głowie, a potem skończę i wyślę książkę.

- Kochanie, jednak nie wróć do Londynu do zakończenia wyborów. Denerwujesz się?

- Jestem niemal zadowolona. - Uśmiechnęła się. - Wyglądam jak coś, co kot przywłókł z podwórka. Kilka dni da mi szansę na to, bym nadała się do pokazania przed ludźmi.

Zapadła w sen, myśląc: Kocham cię, Stephenie... Polly, to ja... Jestem Sarah...

*Margaret czuła, że jej władza nad Judith słabnie. Wiedziała, że po skończeniu książki pisarka przestanie rozmyślać o wojnie domowej. Margaret zużyła wiele energii na przygotowania do momentu, gdy będzie mogła zawładnąć tą kobietą. Wiedziała, że już potrafi naśladować sposób mówienia Judith bez rytmu, który wydal się tak dziwny Robowi Watkinsowi. Przestała czuć się obco w jej świecie. Wiedziała też o czymś, co umknęło uwagi pisarki. Były śledzone.*

*Tak wiele pozostawało do zrobienia. Wybrała następne miejsce na podłożenie bomby. Czy zostało jej dość sił, by znów kierować postępowaniem Judith?*

Inspektor Lynch spędził sporą część następnego dnia pod salonem piękności u Harrodsa. Kiedy Judith wyszła stamtąd o piątej, jej włosy lśniły, twarz jaśniała, a paznokcie znów stały się eleganckimi owalami. Wyglądała na wypoczętą i szczęśliwą.

Piekielna strata czasu, myślał Lynch, śledząc pisarkę. Poszła do restauracji, w której zjadła talerz parujących klusek, popijając je chianti, po czym pojechała prosto do domu. Taka z niej terrorystka jak z mojej babki, wymamrotał do siebie, zajmując posterunek w samochodzie, zaparkowanym naprzeciw wejścia do jej domu. Zmiennik Lyncha, Sam Collins, miał wkrótce tu dotrzeć. Collinsowi, w pełni godnemu zaufania detektywowi, powiedziano, że otrzymano anonimowy donos, w którym wiązano panią Chase z zamachami bombowymi i chociaż uważano, że to bzdura, trzeba było rzecz wyjaśnić. Ostrzeżono go, że sprawa jest „ściśle tajna”.

Tego wieczora Lynch zauważył, że światło zapaliło się we frontowym oknie mieszkania, które zajmowała Judith. Wnosząc z opisu komendanta Sloane'a, był to jej gabinet, a więc znowu zabrała się do pracy. Po kilku minutach zjawił się Collins.

- Mogę ci obiecać spokojną noc - powiedział mu Lynch. - Nasza dama nie lubi się włóczyć.

Collins pokiwał głową. Był to mężczyzna o ciężkich rysach, wyglądający jak prosty robotnik z menażką pełną jedzenia w dłoni. Lynch wiedział jednak, że jego kolega jest zdumiewająco zwinny.

Judith nie zamierzała pracować, lecz po masażu, maseczce, pedikiurze, manikiurze i fryzjerze poczuła tak przyjemny przypływ sił, że pomyślała, iż przejrzy strony, które zaznaczyła do korekty. Uniesienie, jakie odczuwała po porannym telefonie do Beverley, pozostało w niej przez cały dzień. Z informacji bez trudu dostała telefon Parrish Pages. Zadzwo niła tam z pytaniem, w jakich godzinach księgarnia jest otwarta.

- Polly Parrish nadal jest właścicielką? - zapytała następnie niby przypadkowo.

- Och, tak - brzmiała odpowiedź. - Niedługo będzie. Mam ją poprosić, żeby do pani oddzwoniła?

- Nie, nie trzeba. Dziękuję bardzo.

Jutro! - myślała przez cały dzień. Jutro ją zobaczę, a za kilka dni będzie po wyborach. W minionych tygodniach zepchnęła na bok myśl o przyszłych latach ze Stephenem. Obecnie zapragnęła wyjechać do Edge Barton i spędzać z nim całe dni i tygodnie. Nieprzerwane dni i tygodnie,



kiedy Stephen zostanie premierem? Judith uśmiechnęła się smętnie. Będą mieli szczęście, jeśli zdołają mieć tylko dla siebie godziny!

Wsparła podbródek na rękach i rozejrzała się z czułością po miniaturowej bibliotece lady Ardsley - pokoju, który wykorzystywała jako gabinet. Stare tomy przemieszane z renesansowymi romansami, wiktoriańskie bibeloty sąsiadujące z doskonałą starą porcelaną, nakrochmalona serwetka na naprawdę pięknym jakobińskim stole...

Judith przypomniła sobie Edge Barton, o wysokich sklepieniach i cudownie obszernych pokojach, wdzięcznych oknach i antycznych drzwiach... Wnętrze wymagało trochę czulej, kochającej ręki - kobiecego dotyku. Część mebli wymaga nowych obić, należało też wymienić draperie. Judith pomyślała, że dobrze byłoby nadać Edge Barton trochę własnego wyrazu...

„Wracaj do pracy. Szpital Królewski!”.

Poczuła się prawie tak, jakby w głowie usłyszała rozkaz. Zaskoczona, odgarnęła włosy z czoła i zauważyła, że blizna na ręce nabrała słabo różowego odcienia. Pójdę do chirurga plastycznego z tą piekielną szramą, przysięgła sobie. Można zwariować, gdy tak ciągle pojawia się i znika.

Przerzuciła maszynopis do miejsca, w którym zaznaczyła ustęp, poświęcony Szpitalowi Królewskiemu w Chelsea. Wspaniały, doskonale zachowany budynek został wzniesiony sumptem Karola II, by pomieścić weteranów i inwalidów wojennych.

*Weterani Karola II. Simonowie Hallettowie tego świata, czepiający się rękawów Wesolego Monarchy! Tak właśnie go nazywali: Wesoly Monarcha. Vincent padł w bitwie, John został stracony, ja sama zostałam oszukana i zamordowana - a Wesoly Monarcha zbudował rezydencję dla swoich żołnierzy, gdzie mogli żyć „jak w college'u czy klasztorze”.*

*Margaret odepchnęła maszynopis na bok, rozmyślnie zrzucając sporą jego część na podłogę wokół biurka. Szybko wstała, przeszła do sypialni i wyjęła z szafy torbę, którą dostała od Roba Watkina. W kuchni było jaśniej. Zaniósła tam torbę i wyłożyła na stół jej zawartość.*

Na zewnątrz Sam Collins przyglądał się z rosnącym zainteresowaniem kolejności, z jaką zapalały się światła w mieszkaniu lady Ardsley. Judith Chase musiała wyjść z gabinetu, nie gasząc lampy, więc prawdopodobnie zamierzała do niego wrócić. Była dopiero za piętnaście ósma. Czy światło w łazience świadczyło, że pani Chase zamierza się położyć, czy też przebrać w wygodniejszy strój? Collins zobaczył, jak zapaliła się lam-

pa w kuchni, po czym przyjrzał się schematowi mieszkania, który dostał od Sloane'a. Okna w gabinecie, kuchni, salonie i sypialni wychodziły na ulicę; drzwi wejściowe i hol znajdowały się w głębi.

Sam zorientował się, że pogoda ulega raptownej zmianie. Wieczór zaczął się bez chmur, a na niebie widać było sierp księżyca. Obecnie nadciągnęły gęste obłoki, wilgotne powietrze przepełniała zapowiedź deszczu. Nieliczni przechodnie przemykali spieszenie, najwyraźniej pragnąc jak najszybciej dotrzeć do celu.

Z wnętrza swojego niczym się niewyróżniającego samochodu Sam nadal obserwował mieszkanie lady Ardsley. Zobaczył, jak kolejno gasną światła w kuchni i sypialni. Zapewne Judith Chase tylko się przebrała i zaparzyła sobie herbatę, pomyślał. Niemal odchylił głowę na oparcie, lecz nagle zamarł. Przez chwilę wyraźnie zobaczył Judith Chase. Patrzyła prosto na jego samochód. Miała na sobie coś, co wyglądało na wyjściowe ubranie.

Sam skulił się głębiej w pogrążonym w cieniu wnętrzu wozu. Wie, że tu jestem, uznał. Zamierza wyjść. Spenetrował teren, gdy pierwszej nocy wykonywał to zadanie, i wiedział, że z tyłu budynku znajduje się wejście dla służby oraz wąski dziedziniec, którym można było wydostać się między budynkami na sąsiednią ulicę.

Odczekał chwilę, po czym uznał, że pisarka zamierza zostawić włączone światło w gabinecie. Wyśliznął się z samochodu i przemknął betonowym chodnikiem, oddzielającym domy. Tylne drzwi się otworzyły, wyszła z nich Judith. Sam cofnął się i wyjrzał zza rogu budynku. Światła było zaledwie tyle, by mógł dojrzeć, że włożyła ciemną pelerynę. Donos mógł okazać się prawdziwy, pomyślał. Judith Chase mogła rzeczywiście mieć jakiś związek z zamachami bombowymi! Co teraz zamierzała zrobić? Spotkać się potajemnie z terrorystami? Collins z przyjemnością uświadomił sobie, że będzie tym, który rozgryzie sprawę londyńskich zamachów. Nie zaszkodzi to dalszej karierze, pomyślał...

*Margaret szła szybko mało uczęszczanymi ulicami. Człowiek ze Scotland Yardu na pewno zapadł w drzemkę w swoim samochodzie. Pod peleryną niosła przygotowaną paczkę, niewinnie zapakowaną w niewielką torbę na zakupy z pobliskiego rynku. Pomiedzy uchwytaami wystawały winogrona i jabłka - oczywista zawartość, jaką można było wnieść do schroniska dla weteranów. Godziny wizyt wkrótce dobiegną końca. Margaret zostało bardzo mało czasu.*

Inspektor ukradkiem podążał za szczupłą postacią, szybko przemierzając miasto w stronę Tamizy. Gdy niemal pół godziny później kobieta skręciła w Royal Hospital Road, Samowi rozszerzyły się ze zdumienia oczy. Czego tu szukała? Czyżby zamierzała po prostu odwiedzić jakiegoś emeryta? Czy zauważyła, że jest śledzona, i skorzystała z tylnego wyjścia tylko po to, by wymknąć się obserwatorowi? Miała na sobie ciemnozieloną pelerynę, ale nawet żona Collinsa uznała, że w tym sezonie są bardzo modne i kupiła takie okrycie córce na urodziny.

Przez sklepiony kopułą westybul wspaniałej budowli przewijał się strumień zaaferowanych ludzi. Zegar na biurku recepcji wskazywał ósmą dwadzieścia pięć. Sam przyglądał się, jak Judith podeszła prosto do lady i położyła na niej niewielką torbę z owocami.

Policjant postanowił po otrzymaniu przepustki dla gości zapytać recepcjonistkę, którego z pensjonariuszy odwiedzała Judith. Niezawodny instynkt sprawił, że podszedł do biurka i ustawił się za pisarką, jakby i on chciał dostać pozwolenie na odwiedzin.

*- Chciałabym zobaczyć się z sir Johnem Carew - powiedziała niskim, nagłym głosem Margaret.*

Carew! Collins wysunął się do przodu.

- Mogę zamienić z panią słówko?

*Margaret obróciła się na pięcie z furią w oczach. Patrzyła, jak krępy mężczyzna, który musiał ją śledzić, utkwił wzrok w jej dłoni. Blizna zapłonęła, nabierając jaskrawoczerwonej barwy.*

*Chwyciła torbę z lady recepcji i rzuciła ją przez westybul w stronę trzech portierów, wychodzących właśnie z przyległego korytarza.*

Sam instynktownie zdał sobie sprawę, że w torbie jest bomba i w następnej sekundzie zanurkował za nią przez salę.

*Margaret znalazła się na dziedzińcu, nim bomba eksplodowała. Z westybulu na wszystkie strony leciały różne strzępy. Słychać było walenie się ścian i jęki ofiar. Sypało się szkło z okien. Nierówny odłamek musnął policzek kobiety, gdy wyśliznęła się na ulicę pod ciemną osłonę cicho spadającego deszczu.*

Reza Patel i Rebecca oglądali razem telewizję w mieszkaniu, kiedy nadano nagły komunikat o tragedii w Szpitalu Królewskim. Pięć ofiar

śmiertelnych, dwanaście osób ciężko rannych. Twarz doktora nabrała popielatej barwy. Natychmiast zadzwonił do Judith. Odebrała bez zwłoki.

- Siedzę przy biurku, doktorze. Pracuję jak zwykle. - Patel miał wrażenie, że jej głos brzmi pogodnie i normalnie. Judith się roześmiała. - Mam jedynie nadzieję, że moi czytelnicy nie zareagują na moją książkę tak samo jak ja dzisiaj wieczorem. Dosłownie zasnęłam przy jej lekturze.

Musiałam widocznie stracić świadomość, pomyślała Judith, dostrzegłszy kartkę, której nie zauważyła, gdy zbierała maszynopis z podłogi. Wyłączyła światło w gabinecie, poszła do sypialni i szybko się rozebrała. Stephen zapowiedział, że będzie na spotkaniu do późna i nie zdoła do niej wieczorem zadzwonić.

Zdała sobie sprawę, że bolą ją nogi. Można by pomyśleć, że startowałam w maratonie, pomyślała. Uznała, że aspiryna pomoże jej się rozluźnić. Przez chwilę przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze apteczki, gdy sięgała po opakowanie leku. Miała zmierzwioną nową fryzurę. Kosmyki włosów wokół twarzy skrzyły się w loki; gdy je wyrównywała, zdała sobie sprawę, że są trochę wilgotne. W gabinecie musiało być za gorąco, uznała. Ale przecież nigdy się nie pocę...

Natarła kremem twarzy i z zaskoczeniem dostrzegła kroplę krwi na policzku. Miała na nim drobne zadrapanie. Nie przypominała sobie, by coś ją zabolalo przy nakładaniu maseczki, lecz kosmetyczka miała długie paznokcie...

Idąc do łóżka, zauważyła z irytacją, że drzwi do szafy z garderobą lady Ardsley znów są lekko uchylone. Chyba zwiąże je sznurkiem, pomyślała. Byłoby okropnie, gdyby wpadła i pomyślała, że grzebię w jej rzeczach.

Położyła się, zgasiła światło i spróbowała się odprężyć, wciąż jednak bolały ją nogi i czuła pulsowanie w skroniach. Ogarnęło ją przemożne uczucie depresji. Wszystko przez tę pracę, pomyślała, i dlatego, że nie rozmawiałam dziś wieczór ze Stephenem.

- Stephen i Polly - szepnęła, jednak te imiona nie przyniosły jej pociechy.

Ze zbolalym sercem czuła, jakby obydwójce oddalali się od niej.

Głębokie bruzdy smutku i gniewu wryły się w twarz podkomisarza Barnes'a. Komendant Sloane i inspektor Lynch z podkrążonymi na czerwono ze zmęczenia oczyma starali się trzymać prosto na krzesłach w gabinecie przełożonego. Wiedzieli, że bez względu na powagę problemu Barnes nie toleruje oznak znużenia. Obydwaj byli przez całą noc na miejscu zamachu, jednak nie znaleźli żadnych śladów. Idący korytarzem le-

karz widział przelatującą przez westybul torbę i krępego mężczyznę, który za nią skoczył. Jakiś instynkt kazał doktorowi rzucić się w tył - reakcja ta niewątpliwie uratowała mu życie. Ranni nie zauważyli nikogo niosącego torbę. Trzej portierzy, u których stóp upadła bomba, recepcjonistka i inspektor Collins zginęli.

- Pytanie brzmi, czy Collins śledził Judith Chase - powiedział ostro Barnes. - Wszystkie dowody wskazują, że tak było. Jedyna inna możliwość to to, iż z jej mieszkania czy innego mieszkania w tym domu wyszedł ktoś, kto wzbudził podejrzenia Sama. Dzwoniłeś do pani Chase, Jack?

- Tak jest, panie komisarzu, około godziny temu. Użyłem dość kulawej wymówki, że rozpaczliwie chcemy znaleźć jakikolwiek trop, bez względu na to, jak nikły. Zapytałem, czy przypomniała sobie cokolwiek niezwykłego, co się wydarzyło, gdy była w skarbcu.

- I co odpowiedziała?

- Prosto z mostu: absolutnie nic. Powtórzyła, że bardzo się skupia, gdy opracowuje materiały. Zapomina wtedy niemal o reszcie świata.

- Wykryłeś nerwowość w jej głosie?

- Nie nerwowość, panie komisarzu. - Sloane zmarszczył brwi. - Myślę, że była raczej przygnębiona. Powiedziała, że skończyła książkę, ale kosztowało ją to mnóstwo wysiłku. Zamierzała cały dzień zostać w łóżku, przeczytać ją, a potem wysłać swojemu agentowi.

Barnes rąbnął pięścią w biurko; gest ten ostrzegał podwładnych, że znajdują się na dywaniku.

- Dlaczego, u diabła, Collins nie zawiadomił nas, że opuszcza samochód? Zajęłoby mu to najwyżej trzydzieści sekund, a mógł zadzwonić z wozu.

- Może nie miał tych trzydziestu sekund.

- A może nie chciało mu się zawracać sobie głowy. Jasny szlag, Sam był jednym z naszych najlepszych ludzi. Uratował dziesiątki ludzi, gdy rzucił się na tę bombę. Jack, a ta stara kobieta, którą odwiedziła Judith Chase? Co dokładnie ci powiedziała?

- Absolutnie nic, ani jednej zbornej myśli. Siostra przełożona wyjaśniła mi, że staruszka potrafi mówić całkowicie logicznie, ale potem na całe dnie traci się z nią kontakt. Udało mi się uzyskać tylko jedną informację: kiedy pani Chase wyszła, pani Bloxham opowiadała siostrze przełożonej o dwuletnich bliźniaczkach, Sarah i Polly, które nazywały ją „Blammy”.

- Bliźniaczki! - Inspektor Lynch zerwał się z miejsca, zapominając o wyczerpaniu. - Panie komisarzu, jak pan wie, Judith Chase znaleziono błąkającą się w Salisbury, gdy miała dwa lata. Nikt się po nią nigdy nie

zgłosił, chociaż była bardzo dobrze ubranym dzieckiem. Może Judith Chase stara się odnaleźć lub już odnalazła swoją rodzinę? I dowiedziała się, gdzie jest jej siostra-bliźniaczka?

Barnes przygryzł dolną wargę i niecierpliwie odgarnął kosmyki włosów, które opadły mu na czoło.

- Bliźniaczka, która może być do niej bardzo podobna i mieć paskudne poglądy polityczne? Jest w tym sens. Boże, pojutrze wybory! Musimy to rozgryźć. Judith Chase wypytywała tę kobietę zaledwie dwa dni temu. Nie wygląda na to, żeby dowiedziała się wszystkiego, czego pragnęła. Możemy w każdym razie założyć, że skontaktowała się z ludźmi ze swojej przeszłości. Jeżeli nie - i jeśli dowiemy się, kim są i w razie konieczności ostrzeżemy ją, by się z nimi nie kontaktowała - może zdołamy utrzymać ją i sir Stephena z dala od tej sprawy. Jeżeli zaś odnalazła ich i w jakiś sposób związała się ze złym towarzystwem, chcę to wiedzieć, zanim sir Stephen zostanie premierem. Jack!

- Tak jest! - Sloane poderwał się z miejsca.

- Wracaj do tego domu opieki, wezwij jakiegoś psychiatrę. Powiedz mu, czego chcesz się dowiedzieć. Może on zdoła wypytać panią Bloxham, jeśli tak się nazywa. Pani Chase przedwczoraj wypytywała żonę portiera w Kent House, prawda?

- Tak.

- Pojedź tam i jeszcze raz z nią porozmawiaj. Chcę mieć również listę wszystkich pensjonariuszy Szpitala Królewskiego na dzień wczorajszy. Dowiedz się, kto z nich miał gości, którzy wychodzili około wpół do dziewiątej. Porozmawiaj z tymi gośćmi. Ktoś mógł zobaczyć wchodzących do środka Collinsa i osobę, którą śledził. I na miłość boską, dopilnujcie, żeby Judith Chase nie zrobiła kroku bez naszej wiedzy.

Telefon na biurku Barnesa rozdzwonił się natarczywie.

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedziała bez tchu jego sekretarka. - Komisarz kazał pana zawiadomić, że sir Stephen zwołał nagłą odprawę, by dowiedzieć się o postępach w śledztwie.

Stephen zadzwonił do Judith o dziewiątej następnego ranka. Obudził ją z głębokiego snu, w jaki zapadła wskutek wyczerpania. Czuli się, jakby pływała w ciepłej wodzie w ciemności, starając się dotrzeć do lądu. Zmuszając się do oprzytomnienia, wymruczała imię narzeczonego i podciągnęła się na łokciu.

- Jestem w samochodzie, kochanie, zaledwie dziesięć minut drogi od ciebie. Przewodniczę nagłej odprawie w Scotland Yardzie. Muszę potem

jechać prosto na wieś, ale może wypijesz filiżankę kawy z człowiekiem, który rozpaczliwie pragnie cię ujrzeć?

- Cudownie, Stephenie! Oczywiście!

Judith odrzuciła słuchawkę i wyskoczyła z łóżka. W lustrze w łazience zobaczyła, że ma podpuchnięte od snu oczy. Kropelka zaschniętej krwi znaczyła drobne zadrapanie na twarzy. Strasznie wyglądam, pomyślała. Błyskawicznie odkręciła kurki prysznic, ściągnęła nocną koszulę, chwyciła czepek do kąpieli i rozmyślnie najpierw oblała się gorącą wodą, a potem zimną, by otrząsnąć się ze snu.

Ukryła zadrapanie pod lekkim podkładem. Odrobina różu pomogła zakamuflować bladeść twarzy, szybkie szczotkowanie przywróciło utraczoną fryzurę. Kaftan z miękkiej wełny w jaskrawe wzory pomarańczowe, błękitne, lila i fuksji na ciemnym tle przydał Judith kolorów. Pośpieszyła do kuchni, nastawiła kawę i zaczęła rozkładać naczynia na stoliku pod oknem. Zauważyła coś na podłodze i się schyliła. Był to kawałek zgiętego kabla. Skąd się tu wziął? - przemknęło jej przez głowę, nim wrzuciła go do kosza. Zabrzączał interkom. Podniosła słuchawkę.

- Kawa gotowa, sir - powiedziała. - Wchodź prosto na górę.

Gdy otworzyła drzwi Stephenowi, padli sobie w ramiona.

Pomiędzy łykami kawy i kęsami tostu z marmoladą przekazał jej wstrząsające szczegóły o zamachu bombowym w Szpitalu Królewskim.

- Pracowałam do późna i w ogóle nie włączyłam telewizora - odrzekła Judith. - Stephenie, jak zdeprawowanego umysłu trzeba, żeby podłożyć bombę w domu dla weteranów?

- Nie wiemy, kto się tego dopuścił. Zwykle winna grupa przyznaje się do odpowiedzialności. Jeśli tak się nie dzieje, znalezienie sprawcy to kwestia czystego szczęścia. Społeczeństwo podniosło dziś rano niezwykłą wrzawę. Nawet Pałac Buckingham oficjalnie wyraził głębokie zatroskanie oraz wystosował kondolencje do rodzin ofiar.

- Co to oznacza dla wyborów?

- Kochanie, nie chciałbym resztę życia myśleć, że zdobyłem stanowisko dzięki temu, że ktoś podkłada bomby w Londynie. - Stephen potrząsnął głową. - Moje nieprzejednane stanowisko w sprawie kary śmierci dla terrorystów odbija się jednak niewątpliwie na wynikach sondaży. Partia Pracy wciąż nie chce zmienić zdania w tej kwestii, a jej nawoływania o karę dożywocia bez prawa amnestii brzmią słabo w uszach ludzi, którzy się zastanawiają, czy następnym razem, gdy dzieci pomaszują ze szkoły pod pomnik czy pójdą do szpitala na usunięcie migdałków, nie zostaną wysadzone w powietrze.

Stephen zapowiedział, że wpadnie na pięć minut, zamieniło się to jednak w pół godziny.

- Judith, naprawdę sądzę, że wygram te wybory - powiedział, wychodząc. - Kiedy - jeśli - do tego dojdzie, zostanę wezwany do Pałacu Buckingham i królowa poprosi mnie o sformowanie nowego rządu. Nie byłoby właściwe, gdybyś uczestniczyła ze mną w tym spotkaniu, czy zechcesz jednak towarzyszyć mi w drodze?

- Niczego bardziej nie pragnę.

- Ja pragnę o wiele więcej, ale będzie to dobry początek dalszego naszego życia.

Pocałował ją znowu i sięgnął do gałki w drzwiach. Judith mimowolnie dotknęła jego ramienia i odwróciła go w swoją stronę.

- Czy kiedykolwiek słyszałeś tę starą piosenkę: „Pozwól, och, pozwól mi zostać w twoich ramionach”? - spytała niemal ze smutkiem.

Obejmowali się przez długą minutę. Judith modliła się w duchu: Proszę, niech nic tego nie zepsuje. Proszę!

Po wyjściu Stephena naląła sobie kolejną filiżankę kawy i wróciła do łóżka. Pewnie złapałam jakiegoś wirusa, powiedziała sobie. Dlatego tak podle się czuła. Wiedziała, że nie zdoła dziś wybrać się do Yorkshire. Zrobi sobie wolny dzień i dokończy redakcję maszynopisu. Nie chciała się tak czuć, kiedy zobaczy Polly.

W południe zadzwonił telefon. Doktor Patel bardzo chciał wiedzieć, kiedy Judith wybiera się do Beverley.

- Najwcześniej jutro - odrzekła. - Postanowiłam to przełożyć. Myślę, że podłapałam jakiegoś wirusa. Cała jestem obolała, ale może być pan pewien, że zadzwonię do pana, kiedy tylko z nią się zobaczę.

- Judith, jest pani ekspertką od siedemnastego stulecia. - Reza Patel silił się na obojętny ton. - Czy podczas swoich badań trafiła pani na nazwisko lady Margaret Carew?

- Oczywiście. Fascynująca kobieta. Najwidoczniej zdołała namówić męża do podpisania wyroku śmierci na Karola I, straciła jedyne syna w jednej z wielkich bitew wojny domowej, a potem usiłowała zabić Karola II, gdy wrócił na tron. Tak go to rozwścieczyło, że dopilnował, by być obecnym przy jej egzekucji.

- Czy zna pani datę tej egzekucji?

- Mam ją gdzieś w notatkach. Dlaczego pan pyta?

- Przypomina pani sobie, jak spotkaliśmy się w galerii portretów? - Patel przewidział to pytanie. - Była tam mój przyjaciel, któremu wydało się, że rozpoznał lady Margaret na zbiorowym portrecie. Przynaj-



mniej bardzo przypominała kobietę, której wyrzekli się jego siedemnastowieczni przodkowie.

- Zajrzę do moich notatek, ale może powinien pan o niej zapomnieć. Lady Margaret sprawiała wielkie kłopoty.

Po przerwaniu połączenia Patel odwrócił się do swej rejestratorki.

- Wiem, że to było ryzykowne, Rebecca, lecz jedyna nadzieja dla Judith polega na tym, by cofnąć ją do chwili śmierci lady Margaret. Jeśli to zrobię, muszę wiedzieć dokładnie, kiedy zginęła. Judith niczego nie podejrzewała.

- Jutro o tej porze Judith może już być pewna, że znalazła nie tylko żyjącą krewną, ale i siostrę-bliźniaczkę - czy się ujawni, czy nie. - Rebecca Wadley czuła się, jakby nieustannie przyszło jej grać rolę Kasandry. - Dlaczego miałyby poddać się raz jeszcze hipnozie? Zamierzasz powiedzieć jej prawdę?

- Nie! - zawołał psychiatra. - Oczywiście, że nie. Nie rozumiesz, co stałoby się wtedy z Judith Chase? Poczwałyby się moralnie odpowiedzialna za te zamachy, bez względu na to, co bym jej powiedział. Muszę znaleźć jakiś sposób tak, by usunąć z niej Margaret i by ona się o tym nie dowiedziała.

Na biurku Rebekki leżały rozłożone poranne gazety, pełne zdjęć jatek w Szpitalu Królewskim.

- Lepiej działaj szybko - powiedziała Patelowi. - Czy ci się to podoba, czy nie, osłaniasz obecnie morderczynię.

Dzień w łóżku nie pomógł Judith. Dokładna lektura maszynopisu umożliwiła jej korektę drobnych literówek i usunięcie zbędnych powtórzeń. Sprawiała również, iż jako pisarka, zdała sobie sprawę, że z jednej strony jest to jej najlepsza dotychczas książka, a z drugiej praca skierowana o wiele bardziej przeciwko Karolowi I i jego synowi, niż leżało w jej zamierzeniach, gdy przystępowała do pisania. Przedstawiłam solidną argumentację popierającą prawa Parlamentu, pomyślała. Musiałabym napisać całą książkę od nowa, żeby to zmienić. Nie wiadomo czemu nie czuła przyływu ulgi i zadowolenia, jakie zwykle towarzyszyły jej przy ukończeniu książki.

Tej nocy znów spała niespokojnie, z przerwami, i o piątej rano zrezygnowała z prób zaśnięcia. Leżała w przeładowanej meblami sypialni lady Ardsley i zadawała sobie pytanie: Co się ze mną dzieje? Kiedy przyjechałam do Anglii sześć miesięcy temu, nie było na świecie człowieka, którego mogłabym nazwać krewnym. Teraz zamierzam poślubić uko-

chanego mężczyzną, a dzisiaj ujrzę swoją siostrę-bliźniaczkę. Dlaczego więc płaczę? Ze zniecierpliwieniem otarła łzy z oczu.

O wpół do siódmej wstała, by przygotować się do wyjazdu do Beverley pociągiem o ósmej. To tylko nerwy, mówiła sobie, gdy brała prysznic i się ubierała. Chcę zobaczyć Polly, a równocześnie boję się tego.

Przemknęło jej przez myśl, że chyba mądrzej byłoby włożyć nową pelerynę, bo mogła ukryć twarz pod kapturem, lecz z jakiegoś powodu myśl ta wydała się Judith niesmaczna. Zamiast peleryny sięgnęła po stary płaszcz burberry i wyszukała w szufladzie miękką, dużą chustę, którą związała na głowie. Uznała, że wielkie ciemne okulary i apaszka powinny wystarczyć do ukrycia jej wyglądu, na wypadek jeśli ona i Polly są bardzo do siebie podobne.

Po drodze na dworzec zatrzymała się, by skopiować maszynopis. Oryginał wysłała do swojego agenta w Nowym Jorku z krótką notatką. Następnie poszła na stację Kings Cross.

Zastanawiała się, czy tylko sobie wyobraża, że obecnie już przypomina sobie wyraźnie moment, kiedy spadły bomby. To, jak wyciągała rękę do matki, krzyki Polly, ciemność, odgłos biegnących stóp i samą siebie szlochającą na myśl, że matka ją zostawiła. Gdy wsiadała do pociągu, poczuła, jak wysokie musiały wydawać się stopnie dwulatte. Usiadła przy oknie i przypomniała sobie - a może tylko wyobraziła - szarpanie pociągu ruszającego ze stacji Waterloo. Czowała pod sobą twardy i sztywny worek, na którym wówczas spała. Torby pocztowe, pomyślała, napchane do pełna i związane sznurkiem. Była tak pochłonięta tym wspomnieniem, że nie zauważyła szczupłego, około czterdziestoletniego mężczyzny, siedzącego w rzędzie za nią po drugiej stronie przejścia. Nie podejrzewała, że mimo pozorów absolutnego zaabsorbowania poranną gazetą inspektor David Lynch nie odrywa od niej wzroku.

W śledztwie Scotland Yardu również nastąpił przełom. Komandor Sloane odwiedził dom opieki i zastał panią Bloxham w stanie absolutnie jasnej pamięci. Drżącym z emocji głosem opowiedziała mu o ślicznych bliźniaczkach, mieszkających obok niej z owdowiałą matką, o tym, jak owa matka - Elaine Parrish - zginęła w nalocie raketowym w dniu, kiedy chciała zabrać dzieci na wieś, i że ciała Sarah nigdy nie odnaleziono, a Polly została właścicielką księgarni w Beverley w Yorkshire. Po powrocie do biura radość Sloane'a ze zdobycia tych informacji przytłumiła jedynie wiadomość, że Judith wyjechała do Yorkshire, śledzona przez inspektora Lyncha.

- Szkoda, że nie mamy szansy dowiedzieć się czegokolwiek o Polly Parrish, nim pani Chase wyjawia jej, kim jest - jeżeli taki ma cel - powiedział podkomisarzowi Barnesowi.

Sloane dowiedział, się, że jest jeszcze jeden sukces, jeśli można to tak określić. Wypytywanie gości, którzy znajdowali się w szpitalu w wieczór podłożenia bomby, przyniosło rezultaty. Pewien odwiedzający, wychodząc dwadzieścia po ósmej, widział kobietę w ciemnozielonej pelerynie, która minęła go bez choćby skinienia głową. Przypomnił sobie, że zauważył na jej ręce rzucającą się w oczy bliznę. Kilka kroków za nią szedł krępy mężczyzna, który dopadł drzwi, nim zdążyły się zamknąć.

- Mamy więc znowu damę z blizną i w pelerynie - rzekł Barnes. - Jutro poprosimy Judith Chase na przesłuchanie.

- Na jakiej podstawie? - spytał Sloane.

- Powiemy, że poszukiwana przez nas osoba bardzo ją przypomina i pragniemy dowiedzieć się, czy udało się jej odnaleźć swoją prawdziwą rodzinę. Zapytamy ją również, czy zna kobietę o nazwisku Margaret Carew.

- A jeżeli tak? - zapytał Sloane.

- Jutro są wybory. Ostrzeżemy sir Stephena, by trzymał się od niej z daleka. Oczywiście, jeśli prasa zwietrzyła ich związek, może mimo wszystko będzie musiał zrezygnować ze stanowiska lidera partii, co oznacza, że ktoś inny zostanie premierem.

- Byłaby to cholerna szkoda dla niego i kraju! - wybuchnął Sloane.

- Jeszcze większą szkodą byłoby, gdyby dama w pelerynie, kimkolwiek jest, kontynuowała swe krwawe dzieło i została powiązana z Hallettem.

Podróż zajęła trzy godziny. Judith przesiadła się w Hull. Stamtąd do Beverley było już blisko. Przechodząc przez rynek, ledwie dostrzegła przepiękną architekturę miasteczka. Konstabl wskazał jej, gdzie jest Queen Mary Lane, wąska boczna uliczka, przy której znajdowała się księgarnia. Wiatr był dość słaby, lecz orzeźwiający. Judith naciągnęła chustkę i postawiła kołnierz płaszczu. Już wcześniej nałożyła wielkie ciemne okulary. Minęła drogerię, sklep warzywny, kwiaciarnię. Wreszcie ujrzała tablicę „Parrish Pages”. Dotarła do księgarni.

Judith otworzyła drzwi i usłyszała cichy dzwonek, oznajmiający jej wejście. Młoda kobieta o przyjemnej twarzy z dużymi okrągłymi okularami siedziała przy kasie. Podniosła wzrok i uśmiechnęła się, po czym dalej obsługiwała klienta.

Judith z zadowoleniem zauważyła, że co najmniej pół tuzina ludzi szpera po półkach. Dało jej to czas na rozejrzenie się po wnętrzu księ-

garni. Była długa i raczej wąska; wykorzystano każdy kawałek wolnego miejsca bez naruszenia komfortowej atmosfery domowej biblioteki. Część w głębi zaaranżowano jak salon ze starą skórzaną sofą, wielkim, obitym welurem fotelem i stolikami przy ścianach z lampkami do czytania. Przy ciężkim dębowym biurku pracowała kobieta - kobieta, której profil sprawił, że Judith poczuła się, jakby spoglądała w lustro. Jej serce zaczęło łomotać, poczuła, że zwilgotniały jej dłonie. Polly! Musiała to być Polly.

- Szuka pani jakiejś konkretnej książki? - spytała młoda kobieta przy kasie.

Judith przelknęła tworzącą się w gardle kulę.

- Na razie się rozglądam, ale na pewno coś dla siebie znajdę. Uroczy sklep.

- Jest tu pani po raz pierwszy? - Sprzedawczyni się uśmiechnęła. - Och, Parrish Pages jest sławna, ludzie przyjeżdżają tu z daleka. Słyszała pani może o pani Parrish? - Judith potrząsnęła głową. - Ma wielki talent narracyjny. Jest zewsząd zapraszana na występy, ale woli mieć własną audycję w lokalnym radiu w niedziele, a na dodatek dwa razy w tygodniu prowadzi kursy opowiadania historyjek dzieciom. O wiele łatwiej jej to robić, niż podróżować. Siedzi tam, przy biurku. Chciałby pani ją poznać?

- Och, chyba nie. Nie chcę zawracać jej głowy.

- Pani Parrish uwielbia poznawać nowych gości.

Judith poczuła, że coś pchają w głąb księgarni. Stała przed biurkiem. Polly podniosła głowę i Judith poczuła, jak serce łomocze jej w gardle.

Polly wydawała się trochę okrągłejsza od niej. Jej ciemnobrązowe włosy były szczerze poprzytykane siwizną. Twarz miała bez makijażu, lecz w naturalny sposób bardzo uroczą, obdarzoną wyrazem zarówno siły jak i ciepła.

- Panno Parrish, mamy tutaj klientkę, która jest u nas pierwszy raz - powiedziała sprzedawczyni.

Polly Parrish uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę.

- Miło, że pani wpadła.

Judith wyciągnęła dłoń i zdała sobie sprawę, że dotyka ręki swojej siostry-bliźniaczki.

- Jestem... jestem Judith Kurner - powiedziała, odruchowo posługując się nazwiskiem męża.

Polly, pomyślała. Polly. Przez chwilę na końcu języka miała słowa: „To ja, Sarah”, ale wiedziała, że musi z tym poczekać. Polly była znaną postacią. Miała własny program i tę uroczą księgarnię. Och, Stephenie, pomyślała Judith, na pewno nie będziemy musieli kryć się z tą krewną!

Inspektor Lynch przyglądał się im spomiędzy półek w kącie. Złożył usta i bezgłośnie zagwizdał. Z wyjątkiem włosów tamta kobieta wyglądała dokładnie jak Judith Chase. Po ufarbowaniu siwizny lub włożeniu ciemnej peruki Polly Parrish stanowiłaby lustrzane odbicie pisarki. Czyż nie byłoby wspaniale przy sprawdzaniu tej Parrish odkryć, że miała powiązania z jakimś terrorystycznym ugrupowaniem? Natychmiast zdał sobie sprawę, że Judith nie zamierza wyjawiać właścicielce księgarni, kim jest. Przyjechała jej się przyjrzeć, pomyślał. Dlatego właśnie włożyła chustkę i ciemne okulary. Bardzo dobrze, że wykazała tyle zdrowego rozsądku!

Lynch wiedział, że ma ochotę oczyścić Judith Chase z wszelkich podejrzeń co do tego, iż jest ona ową kobietą w pelerynie. Lektura książek i przygotowanego przez Scotland Yard dossier pisarki sprawiła, że czuł dla niej podziw. Musiał sobie przypominać, że powinien zachować całkowity obiektywizm. Nagle zmarszczył czoło.

Dokładnie w tej samej chwili, gdy zobaczyła to Judith, zdał sobie sprawę, że Polly Parrish siedzi na wózku inwalidzkim.

Dochodziła szósta, gdy Judith wróciła do mieszkania. Po wyjściu z księgarni Polly napiła się herbaty w restauracyjce za rogiem. Irlandzka kelnerka obszernie odpowiadała na jej zręczne, lecz rzucane pozornie mimochodem pytania. Polly Parrish wychowała się właśnie tutaj, w Beverly. Wzięła ją do siebie bardzo miła rodzina, kiedy wreszcie dziewczynka została wypisana ze szpitala. Miała strzaskany kręgosłup podczas nalołu, w którym zginęły jej siostra i matka. Mieszka sama, w wyjątkowo uroczym domku zaledwie kilka kilometrów dalej. Pisuje do kilku magazynów i gazet. Och, a kiedy opowiada, ludzie w każdym wieku, od dzieci do staruszków, siedzą w podziwieniu i spijają z jej ust każde słowo.

- Mówię pani, ma się wrażenie, jakby odprawiała czary.

- Czy opowiada stare legendy, czy też wymyśla własne historie? - zdołała zapytać Judith mimo ucisku odczuwanego w gardle.

- I to, i to. - Kelnerka przerwała na chwilę, a potem powiedziała: - Wie pani, nie mogę pozbyć się uczucia, że jest samotna, rozumie mnie pani? Ma mnóstwo przyjaciół, ale nikogo naprawdę bliskiego.

Teraz ma jednak kogoś bliskiego, pomyślała znowu Judith, odwieaszając płaszcz. Ma mnie!

W drodze powrotnej do Londynu z głębin jej umysłu wypłynęły inne wspomnienia. Polly i ona, bawiące się w mieszkaniu w Kent House. Miałyśmy takie same wózki dla lalek, przypomniała sobie. Mój był z złotym daszkiem, a Polly - z różowym.

Następnego dnia odbywały się wybory. Na dworcu Judith kupiła najważniejsze gazety. Wszystkie przewidywały miażdżące zwycięstwo konserwatystów. Wszelkie sondaże wykazywały, że ludzie bynajmniej nie popierają nawoływań Partii Pracy do zmiany; przeciętni wyborcy byli zaniepokojeni przede wszystkim terroryzmem i trafiało do nich żądanie sir Stephena Halletta co do przywrócenia kary śmierci. Wielu zatwardziałych zwolenników labourzystów zmieniało front, zapewniając, że sir Stephen zostanie premierem.

Judith skończyła książkę i odnalazła Polly. Następnego dnia konserwatyści powinni wygrać wybory, a jeszcze następnego Stephen zostanie premierem. Jak to możliwe, zastanawiała się, że nie przepełnia jej radość? Dlaczego czuła przemożny smutek i przygnębienie?

Wyczerpanie bitwą, uznała, przygotowując sobie sałatkę i omlęt. Usiadła przy kuchennym stole i przy jedzeniu czytała gazety. Przypomniała sobie, że wczorajszego ranka siedziała na tej wąskiej ławie ze Stephenem. Niemal czuła ciepło jego ramienia i jego dłoń na swojej, gdy popijali kawę. Za kilka dni będą już razem, nie musząc kryć się ze swoimi uczuciami. Po wyborach zniknie potrzeba zachowania tajemnicy. Uśmiechnęła się i nalała sobie herbaty z pękatego dzbanka - ten denerwujący felietonista Harley Hutchinson z pewnością oświadczy, że wiedział o nich od początku!

Dopiero gdy umyła, wytarła i odstawiła nieliczne naczynia, przeszła do gabinetu i zauważyła, że na automatycznej sekretarce została nagrana wiadomość. Komendant Jack Sloane ze Scotland Yardu byłby bardzo wdzięczny, gdyby rano mogła przyjść do niego do pracy. Czy zadzwoni, by umówić się na dogodną godzinę?

O jedenastej rano w dniu wyborów Sloane był w gabinecie podkomisarza Barnes. Obydwaj mężczyźni zachowywali powagę.

- Śliska sprawa - oświadczył Barnes. - Nie jestem przygotowany, aby powiedzieć pani Chase, że toczy się w jej sprawie dochodzenie. Lynch mówi, że Polly Parrish, jej siostra, bez siwizny we włosach mogłaby być klonem Judith. Odszukałeś akty urodzenia i przeczytałeś dossier ojca z RAF?

Sloane pokiwał głową.

- Nie było innego rodzeństwa.

- Nie znaczy to, że nie istnieje kuzynka czy nawet całkowicie obca osoba, która bardzo przypomina panią Chase. Jedyne bezpośrednie powiązanie, jakim dysponujemy, to fakt, że Collins śledził Judith Chase i znalazł się w szpitalu w chwili eksplozji bomby. Wiesz, co obrona zro-

biłaby z tego rodzaju poszlaką? Adwokaci wygrzebaliby pół tuzina sobotników Judith Chase i sprawa by upadła.

- Lecz zniszczylibyśmy reputację pisarki.

- Właśnie.

- Ta blizna, o której wspominali Watkins i świadek ze szpitala - czy możliwe, że to fałszywka, a sprawczyni maluje ją sobie na ręce, bo to jakiś dziwaczny symbol?

- Przycisnęliśmy w tej sprawie Watkinsa, jak tylko się dało. Twierdzi, że przyglądał się jej z bliska i jej dotykał. Mówił, że najwyraźniej nikt nie zwracał sobie głowy zszyciem rany, a skóra wokół niej jest wypukła i nierówna. Aby udowodnić, że mówi prawdę, wspominał o tym, że w łóżku poprosił kobietę, by potarła mu tą blizną plecy. Twierdzi, że było to niezwykle uczucie.

- Judith Chase nie należy do kobiet, które poszłyby do łóżka z tak obrzydliwym łobuzem. - Wyraz twarzy Jacka Sloane'a świadczył o wstręcie.

- Nie wiemy, kim jest Judith Chase - odparł ostro Barnes. - Nadszedł jednak czas, byśmy się tego dowiedzieli. Poprosiłeś ją na jedenastą, prawda?

- Tak jest, panie komisarzu. Jest dokładnie jedenasta.

Sloane miał nadzieję, że Judith nie każe czekać na siebie; Barnes przywiązywał wielką wagę do punktualności. W tej samej chwili sekretarka zaawiadomiła ich o przybyciu pisarki.

Niejasny niepokój, jaki Judith odczuwała przez ostatnie dwa dni, sprawił, że ubrała się starannie. Dzień niósł zapowiedź wiosny, więc włożyła doskonale skrojony kostium barwy fuksji z obcisłą spódnicą i dopasowanym, sięgającym połowy uda żakietem. Na szyi zawiązała czarno-różową apaszkę, do żakietu przypięła złotą broszkę w kształcie jednorożca. Wąska, czarna torba na ramię od Gucciego była doskonale dobrana do pantofli na płaskim obcasie. Judith miała rozpuszczone włosy i starannie nałożony makijaż, podkreślający fiołkowe plamki w niebieskich oczach.

Na jej widok obydwóm mężczyznom równocześnie przyszło do głowy, że jej wygląd i zachowanie doskonale odpowiadają ideałowi przyszłej żony premiera.

Wyciągnęła rękę do Barnes'a. Ujmując podaną sobie dłoń, komisarz szybko rzucił na nią okiem. Absolutnie żadnej blizny. Może ślad jakiegoś dawnego skaleczenia, lecz nic więcej. Na pewno nie było pofałdowanej skóry ani przebarwień. Poczul zdecydowaną ulgę - nie chciał, by ta kobieta okazała się winna.

Komandor Sloane dostrzegł, że Barnes przygląda się dłoni Judith. Przynajmniej to będziemy mieli za sobą, pomyślał.

Barnes przeszedł bezpośrednio do rzeczy. Scotland Yard miał tylko jeden trop: robotnik budowlany twierdził, że dał materiał wybuchowy kobiecie, która przedstawiła się jako Margaret Carew i jest bardzo podobna do Judith.

- Czy zna pani przypadkiem kogoś o tym nazwisku?

- Margaret Carew! - wykrzyknęła Judith. - Była kobieta o tym nazwisku w siedemnastym stuleciu. Natrafiłam na nią podczas zbierania materiałów do książki.

Obydwoj mężczyźni się uśmiechnęli.

- Niewiele nam to pomaga - powiedział Barnes. - Można znaleźć ich dziesięć w książce telefonicznej Londynu, trzy w Worcester, dwie w Bath i sześć w Walii. Dość popularne nazwisko. Pani Chase, czy we wtorek wieczorem miała pani jakichś gości?

- W ostatni wtorek? Nie. Poszłam do fryzjera, zjadłam kolację w pubie i wróciłam prosto do domu. Robiłam ostateczną redakcję książki. Dopiero co ją wysłałam. Dlaczego pan pyta?

Judith poczuła, że poca jej się dłonie. Nie zaproszono jej, by tu wpadła, tylko dlatego, że była w Tower tego samego dnia, kiedy nastąpił tam zamach bombowy.

- Nie wychodziła pani z domu?

- Absolutnie nie. Co pan sugeruje, komisarzu?

- Nic nie sugeruję, pani Chase. Robotnik budowlany, który, jak sądzimy, przekazał materiały wybuchowe podkładającej bomby kobiecie, zauważył pani zdjęcie na okładce książki i oświadczył, że kobieta przedstawiająca się jako Margaret Carew bardzo panią przypomina. Twierdzi jednak stanowczo, że to nie pani. Tamta ma bliznę na dłoni. Wartownik z Tower przed śmiercią mówił bodajże, że znalazła się tam pani „znowu”, więc kolejny raz trafiamy na kobietę, która panią bardzo przypomina. Mamy zdjęcia, zrobione w czasie podłożenia bomby pod pomnik Karola I. Widać na nich kobietę w ciemnej pelerynie i w okularach przeciwsłonecznych; jest do pani podobna. Na jednej z fotografii widać, jak kładzie paczkę z bombą pod cokołem. Zdjęcie to zostało wielokrotnie powiększone i można na nim bez trudu dostrzec bliznę. Chodzi o to, że tych szaleńczych aktów dokonuje ktoś, kto bardzo panią przypomina. Ma pani pojęcie, o kogo może chodzić?

Wiedzą o Polly, pomyślała Judith. Była tego absolutnie pewna. Śledzili ją wczoraj!



- Chodzi wam o kogoś, kto przypomina mnie tak bardzo, że mógłby być moją bliźniaczką - tyle że ona jest kaleką? Od jak dawna mnie obserwujecie?

- Pani Chase, czy kontaktowała się pani z jakimkolwiek innymi członkami swojej prawdziwej rodziny, a zwłaszcza z kimś, kto jest do pani podobny? - Barnes odpowiedział pytaniem na jej pytanie.

Judith wstała. Blizna, myślała. Blizna. Lady Margaret Carew. Luki w pamięci, o których mówiła Patelowi.

- Sir Stephen był tu kilka dni temu na odprawie wysokiego szczebla, dotyczącej postępów w śledztwie. Czy wtedy padło moje nazwisko?

- Nie, nie padło.

- Dlaczego? Wydaje mi się, że powinien zostać poinformowany o waszych supozycjach.

- Pani Chase, nawet po spotkaniach na najwyższym szczeblu dochodzi do przecieków do prasy - odrzekł Sloane za komisarza. - Dla dobra pani, dla dobra sir Stephena nie chcieliśmy, aby choćby szeptem wspomniano pani nazwisko w związku z tą sprawą. Może pani nam jednak pomóc. Ma pani ciemnozieloną pelerynę?

- Tak. Rzadko ją jednak noszę. Szczerze mówiąc, kupiłam ją u Harrodsa, ale okazuje się, że jest to tak popularne okrycie, iż mam wrażenie, jakby w tym sezonie takie same nosiła połowa kobiet w Londynie.

- Wiem o tym. Nigdy pani nie pożyczała swojej?

- Nie. Czy chcecie mnie jeszcze o coś zapytać?

- Nie - odrzekł Barnes. - Proszę, pani Chase, czy mogę podkreślić...

- Niech pan się nie trzyma podkreślaniami czegokolwiek. - Judith zdołała zachować spokojny ton tylko dzięki sile woli.

Jack w milczeniu otworzył przed nią drzwi. Gdy je zamknął, obejrzał się na swojego szefa.

- Kiedy wspomniałem o bliźnie, poblądła pod tym makijażem jak ściana - powiedział Barnes. - Załóżcie jej natychmiast podsłuch na telefon.

Po powrocie do mieszkania Judith zadzwoniła do gabinetu Patela. Nikt nie odbierał. Z serwisu zgłoszeniowego dowiedziała się, że doktor Patel i Rebecca Wadley wyjechali na dwudniowe seminarium do Moskwy i odbiorą wiadomości najwcześniej późnym popołudniem.

- Niech pan doktor zadzwoni do mnie bez względu na porę, gdy tylko się z państwem skontaktuje - powiedziała Judith.

Włączyła telewizor i siedziała przed nim w bezruchu. Przedstawiono materiał, nakręcony podczas głosowania Stephena w jego okręgu. Na

twarży Halletta widoczne było znużenie, ale oczy miały pewny wyraz. Przez chwilę spojrzął prosto w kamerę i Judith miała wrażenie, że patrzy właśnie na nią. Och, Boże, tak bardzo go kocham, pomyślała.

Podeszła do biurka, otworzyła kalendarz i starannie porównała daty zamachów bombowych i jej zajęć. Z narastającą rozpaczą zdała sobie sprawę z tego, że dochodziło do nich wtedy, kiedy albo zasnęła przy pracy, albo traciła przy biurku poczucie czasu.

Tydzień przed zamachami miała okres luk w pamięci. Opowiedziała o nich doktorowi Patelowi. Dlaczego lekarz wypytywał ją o dokładną datę śmierci Margaret Carew? I dlaczego blizna na jej ręce nagle się zaogniała?

Wróciła przed telewizor i żarliwie wyczekiwała migawek ze Stephenem. Pragnęła rozpaczliwie, by był z nią, by tulił ją w ramionach.

- Potrzebuję cię, Stephenie - powiedziała na głos. - Potrzebuję cię. Zadzwoń o trzeciej.

Nie można chwalić dnia przed zachodem słońca, wszystko jednak wskazuje, kochanie, że się nam udało - powiedział triumfalnie.

- Tobie się udało. - Jakimś cudem zdobyła się na podekscytowany i szczęśliwy ton. - Kiedy będziesz pewny?

- Urny zostaną zamknięte dopiero o dziewiątej, a pierwsze wyniki będą znane krótko przed północą. Nad ranem powinniśmy już wiedzieć, jakie są ogólne zarysy wyników. Środki masowego przekazu przewidują nasze miażdżące zwycięstwo, ale wiadomo, że mogą zdarzyć się najprzeróżniejsze niespodzianki. Żałuję, że nie ma cię teraz ze mną, Judith. Łatwiej byłoby mi czekać.

- Wiem, o co ci chodzi. - Ścisnęła słuchawkę w dłoni, czując, że łamie się jej głos. - Kocham cię, Stephenie. Żegnaj, kochanie.

Przeszła do sypialni, przebrała się w ciepłą koszulę nocną i flanelowy szlafrok, po czym położyła się do łóżka. Mimo że otuliła się kocami, nie zdołała opanować drżenia. Obezwładniająca rozpacz czyniła jej ciało ciężkim i nieruchomym. Nawet zrobienie sobie filiżanki herbaty oznaczało zbyt wielki wysiłek. Mijały kolejne godziny, a Judith wpatrywała się w sufit, nie zauważając, jak światło zamienia się w ciemność.

O szóstej rano następnego dnia doktor Patel zadzwonił z Moskwy.

- Czy coś się stało?

Pytanie psychiatry odebrało Judith resztki opanowania.

- Wie pan doskonale, że tak! - powiedziała. - Co pan mi zrobił? - Jej głos zamienił się w krzyk. - Co pan mi zrobił, kiedy byłam w hipnozie? Dlaczego mnie pan pytał o Margaret Carew?

- Judith, zaraz wsiadam w samolot do Londynu - przerwał jej Patel.  
- Proszę przyjść do mojego gabinetu o drugiej. Musi pani do tego czasu odnaleźć dokładną datę śmierci Margaret Carew. Ma pani tę informację?

- Tak, ale po co? Chcę wiedzieć, dlaczego?!

- Chodzi o syndrom Anastazji.

Judith odłożyła słuchawkę i zamknęła oczy. Syndrom Anastazji. Nie, pomyślała. To niemożliwe.

Zmusiła się do wstania, wzięła prysznic, naciągnęła spodnie i gruby sweter, zaparzyła sobie herbatę, zrobiła tost i włączyła telewizję.

Krótko przed południem Partia Pracy przyznała się do porażki. Pełnymi trwogi oczyma Judith patrzyła, jak Stephen obwieszcza o zwycięstwie w County Hall. Jego przemowę z podziękowaniami dla miejscowych zwolenników i oponentów za uczciwą walkę powitano burzliwymi owacjami. Z County Hall pojechał do Edge Barton, gdzie na jego przyjazd czekał już tłum sympatyków. Stephen stał na progu, ściskając dłonie przybyłym, i bez przerwy się uśmiechał.

Judith wpatrywała się w niego i w uroczą rezydencję z kamienia, w której miała znowu zamieszkać.

Znowu? - pomyślała ze zdziwieniem.

Stephen pomachał tłumowi po raz ostatni i wszedł do domu. Chwilę później Judith usłyszała brzęk telefonu. Zorientowała się, że dzwoni właśnie Stephen.

- Wiedziałam! - Gigantycznym wysiłkiem zdobyła się na udawanie podekscytowanej i uradowanej. - Gratulacje, kochanie.

- Wyjeżdżam teraz do Londynu. O czwartej trzydzieści zostanę przedstawiony królowej. Rory odbierze cię z mieszkania za kwadrans czwarta i przywiezie do mnie. Będziemy mogli spędzić kilka minut razem, zanim udamy się do pałacu. Żałuję tylko, że nie mogę zabrać cię ze sobą, ale nie byłoby to właściwe. Na weekend wyjedziemy do Edge Barton i wtedy ogłosimy nasze zaręczyny. Och, Judith, nareszcie! Nareszcie!

Ze spływającymi po policzkach łzami Judith zdołała go przekonać łamiącym się głosem, że płacze ze szczęścia. Gdy odłożyła słuchawkę, zaczęła przeszukiwać mieszkanie.

W Scotland Yardzie Sloane siedział w gabinecie komisarza Barnes a i po raz dziesiąty słuchał zapisu rozmowy Judith z doktorem Patelem.

Barnes wysłuchał ze zdumieniem wyjaśnień Jacka, dotyczących teorii syndromu Anastazji.

- Przywoływanie ludzi z innych stuleci? Co to za bzdury? Możliwe

jednak, że Patel zahipnotyzował Judith Chase i nakazał jej podkładanie bomb. Utnijmy sobie z nim pogawędkę, nim pani Chase do niego dotrze.

Kiedy Judith zjawiała się w gabinecie doktora Patela, miała poszarzałe usta, a oczy jej płonęły w śmiertelnie bladej twarzy. Na ramieniu nosiła ciemnozieloną pelerynę, w dłoni miała pękatą torbę. Nie zdawała sobie sprawy, że komisarz Barnes i komandor Sloane siedzą za jednostronnym lustrem w laboratorium i słuchają jej wyjaśnień.

- Ubiegłej nocy nie mogłam usnąć - powiedziała lekarzowi. - Cały czas zastanawiałam się nad wszystkim, co mi się wydarzyło niezwykle. Wie pan co? Denerwowałam się, że drzwi szafy, w której lady Ardsley pozostawiła swoje rzeczy, cały czas się uchylały. Chodzi o to, że nie otwierały się same z siebie. Ktoś to robił. Ja. To moja peleryna. O ile mi wiadomo, miałam ją na sobie tylko dwa razy i to przy dobrej pogodzie, jest jednak ochlapana błotem. Buty, które nosiłam, też są ubłocone. - Rzuciła je wraz z peleryną na krzesło. - Niech pan na to popatrzy: proch, kable. Można zmajstrować amatorską bombę. - Ostrożnie położyła paczkę na antycznym stoliku z dopasowanym lustrem obok drzwi. - Boję się nawet podchodzić do tych rzeczy. Skąd je mam? Co pan mi zrobił?

- Niech pani usiądzie, Judith - polecił Patel. - Kiedy pokazałem pani taśmę wideo z zapisem sesji hipnozy, nie odtworzyłem jej w całości. Lepiej pani wszystko zrozumie, jeśli obejrzy teraz resztę.

W laboratorium Rebecca Wadley przyglądała się niedowierzającym minom na twarzach oficerów Scotland Yardu, oglądających film z hipnotycznej sesji pisarki.

- Taśmę pokazałem pani do tego miejsca - odezwał się w pewnym momencie psychiatra. - Oto jej pozostała część.

Judith z niedowierzaniem patrzyła na zmianę w swoim zachowaniu, rozpaczliwy krzyk i szarpanie się na kozetce.

- Dałem pani za dużo leku. Cofnęło to panią do okresu historii, którym był zaabsorbowany pani umysł. Udowodniła pani moją teorię, Judith. Można przywołać czyjaś duszę z przeszłości, lecz tej mocy nie powinno się nigdy używać. Kiedy zginęła lady Margaret Carew?

To nie może dziać się ze mną, pomyślała Judith. To nie może dziać się ze mną.

- Ścięto ją dziesiątego grudnia tysiąc sześćset sześćdziesiątego roku.

- Zamierzam znowu poddać panią regresji do tamtej chwili. Przyglądała się pani egzekucji. Tym razem niech się pani odwróci. Niech pani nie będzie jej świadkiem. Proszę nie patrzeć w twarz lady Margaret, kon-

takt wzrokowy może być wyjątkowo niebezpieczny. Niech ona umrze, Judith. Niech pani się od niej uwolni.

Patel nacisnął guzik na biurku. Rebecca wyszła z laboratorium z tacą, na której znajdowały się strzykawka i fiolka z litencum. Sloane i Barnes przyglądali się temu w milczeniu zza jednostronnego lustra, pogrążeni w rozmyślaniach, jakie mogą być konsekwencje wydarzeń, których byli świadkami.

Tym razem doktor podał Judith natychmiast maksymalną dawkę litencum. Monitory wskazały, że znalazła się w stanie głębokiej sedacji, redukującym jej funkcje biologiczne niemal do poziomu śpiączki.

Patel przysiadł na kozetce, na której leżała Judith, i położył jej dłoń na ramieniu.

- Kiedy byłaś tu poprzednim razem, Judith, stało się coś bardzo złego. Byłaś świadkiem egzekucji lady Margaret Carew dziesiątego grudnia tysiąc sześćset sześćdziesiątego roku. Teraz wracasz, cofasz się przez stulecia do tej daty i tego miejsca. Kiedy byłaś tam poprzednim razem, żalowałaś lady Margaret i próbowałaś ją ocalić. Tym razem musisz pamiętać, by się od niej odwrócić. Niech spocznie w swoim grobie. Powiedz mi, Judith. Jest dziesiąty grudnia tysiąc sześćset sześćdziesiątego roku. Czy w twoim umyśle tworzy się jakiś obraz?

*Lady Margaret weszła po stopniach na podwyższenie, na którym czekał kat. Zdołała niemal pokonać Judith, stać się nią, a obecnie zawrócili ją do tej strasznej chwili. Umrzeć teraz znaczyłoby zdradzić Vincenta i Johna. Rozejrzała się dookoła dzikim wzrokiem. Gdzie jest Judith? Nie potrafiła znaleźć jej w tłumie prostackich, czerwonych z podniecenia gąb. Motloch miał wysmienitą zabawę - oglądanie, jak spada jej głowa.*

*- Judith! - zawołała. - Judith!*

- Jest tu wielki tłum - powiedziała cicho Judith. - Wszyscy krzyczą, domagają się egzekucji. Król siedzi w osobnym pawilonie. Och, popatrzcie, kto przy nim stoi. Przypomina Stephena. Wyprowadzają lady Margaret. Właśnie splunęła na króla. Krzyczy na Simona Halletta.

Nie potrafiłaby nikogo rozpoznać, gdyby Margaret Carew wciąż nie była z nią związana, pomyślał Patel.

- Nie zostawaj tam, Judith. Odwróć się. Uciekaj!

*Margaret dojrzała tył głowy Judith, starającej się przecisnąć poza tłum. Motloch jednak napierał naprzód, popychając ją w stronę podwyższenia.*

*Margaret stanęła koło pnia. Silne dłonie przycisnęły jej ramiona i powaliły ją na kolana. Na głowę wetknięto jej biały czepiec.*

*- Judith! - wrzasnęła.*

- Woła mnie. Nie odwróć się! Nie odwróć! - krzyknęła Judith, wyciągając przed sobą dłońmi na oślep. - Przepuście mnie! Puśćcie!

*- Judith! - zawołała Margaret. - Patrz, tu jest Stephen! Chcę stracić Stephena!*

*Judith odwróciła się i spojrzała w rozkazujące, bezwzględne oczy lady Margaret Carew. Zaczęła przeraźliwie, gorączkowo krzyczeć.*

- Co się dzieje, Judith? - zapytał stanowczym tonem Patel. - O co chodzi?

- Krew! Krew tryska z jej szyi. Jej głowa! Zabili ją. Chcę wrócić do domu. Chcę do Stephena!

- Wracasz do domu, Judith. Zaraz się obudzisz. Poczujesz spokój, ciepło i odprężenie. Przez następnych kilka minut będziesz pamiętała wszystko, co się stało, i o tym porozmawiamy. Potem o tym zapomnisz. Lady Margaret nie będzie dla ciebie nic znaczyła, stanie się wyłącznie postacią z twojej książki. Zostawisz u mnie pelerynę, buty, kable i proch, które przyniosłaś ze sobą. Zostaną zniszczone, podobnie jak wszystkie zapisy. Wyjdiesz za sir Stephena Halletta i zaznasz z nim wiele szczęścia. Teraz się obudź, Judith.

Otworzyła oczy i spróbowała usiąść. Patel otoczył ją ramieniem.

- Bardzo powoli - ostrzegł. - Masz za sobą długą i trudną podróż.

- To było straszne - wyszeptła. - Myślałam, że wiem, co zrobiono tym ludziom, ale kiedy zobaczyłam rozszalały tłum... Dla nich wszystkich to była zabawa. Doktorze, jej już nie ma, ale czy mam prawo do Stephena? Muszę mu powiedzieć, co się stało.

- Nie będziesz tego pamiętała. Idź do Stephena. Niech się dowie o twojej siostrze - powinien. Potem pojedź do niej. Jestem pewien, że nie mogłaby być twoją bliźniaczką, gdyby nie była do ciebie podobna także pod względem charakteru.

Łzy spłynęły po jej policzkach. Otarła je niecierpliwie i pośpieszyła do lustra.

- Dlaczego płacę? spytała stropiona. - Chyba dlatego, że jestem bardzo szczęśliwa.

Odsunęła się powoli od lustra.

- Judith już zapomina - oznajmiła Rebecca Wadley komisarzowi Barnesowi i komandorowi Sloane'owi.

- Spodziewa się pani, że uwierzymy w to, co widzieliśmy? - warknął Barnes. - Zażądamy wydania całej waszej dokumentacji. Przyślemy konstabla, żeby pilnował, by niczego nie ruszano. Nie do nas należy rozsądzenie tej sprawy.

Sloane przyglądał się pisarce. Podkreślała oczy tuszem. Dojrzał jej odbicie w lustrze nad stolikiem. Twarz Judith promieniała ze szczęścia.

- Nie powinnam zabierać panu tyle czasu - zwróciła się do Patela. - Jadę ze Stephenem do pałacu, gdzie zostanie zaprezentowany królowej jako nowy premier. Och, doktorze, dziękuję, że pomógł mi pan odnaleźć siostrę.

Pomachała mu ręką i wyszła. Sloane poczuł nagle przejmujący chłód w żołądku. Na prawej dłoni Judith płonęła blizna. W tej samej chwili zorientował się, że torba, którą przedtem odłożyła na stolik, leży pod innym kątem.

- Och, Chryste! - krzyknął. - Uciekajcie!

Otworzył drzwi laboratorium, było jednak za późno. Bomba eksplodowała z grzmiącym hukiem. Strzępy ciała Sloane'a, Barnes'a, Patela i Rebecki Wadley przemieszały się ze szczątkami akt, nagrań i taśm ze zrujnowanego gabinetu. Po chwili wszędzie strzeliły płomienie i cały budynek zamienił się w gorejącą pochodnię.

Lynch podążył ulicą za szybko idącą postacią. Gdy minął róg, usłyszał wybuch i rzucił się biegiem z powrotem. Po chwili zdał sobie jednak sprawę, że w odróżnieniu od innych przechodniów Judith Chase nie przystanąła ani nawet nie odwróciła głowy w stronę źródła huk. Zamiast tego przywołała taksówkę. Policjant złapał następną i kazał jej jechać za pierwszą. Sięgnął do kieszeni po przenośny telefon i zadzwonił do centrali.

Judith wysiadła z taksówki przed swoim mieszkaniem. Przechodziła właśnie do czekającego rolls-royce'a, gdy Lynch dowiedział się, że ostatnia bomba wybuchła przy Welbeck Street. Adres Patela! Poprosił, żeby połączono go z gabinetem Sloane'a. Dowiedział się od sekretarki, że komandor Sloane i komisarz Barnes pojechali na spotkanie z jakimś doktorem Patelem. A kierowca? Nie, pojechali sami. Wzięli jeden z nieoznakowanych samochodów.

Och, Boże, nie! - pomyślał Lynch. Byli w gabinecie Patela, gdy wybuchła bomba!

Pod domem sir Stephena Halletta zebrał się tłum dziennikarzy i kamerzystów. Prezentacja nowego premiera u królowej zawsze stanowiła historyczny moment. Lynch przystanął po drugiej stronie ulicy, ukryty za furgonetką BBC. Zdał sobie sprawę, że nikt tutaj zapewne jeszcze nie wie o eksplozji w gabinecie psychiatry.

Kilka minut później pod dom powoli zajechała limuzyna. Kierowca zaparkował przy krawężniku. Ciemne okna chroniły wnętrze samochodu od natarcywych spojrzeń przechodniów.

Lynch był pewien, że Judith Chase także siedzi w środku. Tłum rzucił się do przodu, gdy otworzyły się drzwi domu i wyszedł z nich sir Stephen Hallett w asyście ochroniarzy. Szofer wysiadł z samochodu i czekał, aż nowy premier zejdzie na chodnik.

Lynch dostrzegł szansę dla siebie. Wszyscy byli odwróceny w stronę budynku; stali plecami do samochodu. Postawił kołnierz płaszcza, opuścił rondo kapelusza, przebiegł przez ulicę i otworzył drzwi limuzyny.

- Pani Chase. - W tym samym momencie dojrzał to, czego szukał - ognistą bliznę na jej dłoni, którą gorączkowo próbowała pokryć podkładem. - Jesteś Margaret Carew - powiedział i sięgnął do kieszeni...

*Margaret podniosła wzrok i zobaczyła wycelowany pistolet. Dotarłam tak daleko, pomyślała. Oszukałam Judith, posługując się imieniem Stephena, unicestwiłam ją i powróciłam, a teraz wszystko się skończyło.*

*Nie trudziła się przymykaniem oczu, gdy Lynch pociągnął za spust.*

Wystrzał z pistoletu zagłuszyły wiwaty tłumu, gdy ściskający wyciągnięte ku sobie dłonie Stephen ruszył w stronę samochodu. Ochroniarz zajął miejsce z przodu, a Rory przytrzymał otwarte drzwi.

- Gotowa, kochanie? - zapytał Stephen. Po chwili zaczął wołać: - Judith! Judith!! Judith!!!

*Margaret poczuła, że bierze ją w ramiona i muska wargami jej policzki. Usłyszała rozpaczliwe wołanie o pomoc. Skończyło się, pomyślała. Gdy zapadała ostateczna ciemność, a lady Carew ruszała w drogę przez wieczność w poszukiwaniu Yincenta i Johna, zdała sobie sprawę, że dokonała największej zemsty. Słyszała szloch Stephena i czuła, jak jego łzy mieszają się z płynącą z jej czoła krwią. Simonie Hallett, pomyślała z triumfem, złamałam jego serce tak, jak ty złamałeś moje.*



# Koszmar na zjeździe absolwentów

**P**rzyglądał się Kay kątem oka. Przez te trzy dni uważał, by trzymać się z dala od niej i nie trafić na żadne grupowe zdjęcie. Nie było to trudne. Na zjazd przybyło niemal sześciuset absolwentów. Przez trzy dni szarpały mu nerwy ich nużące wspominki o idiotycznych wyglądach z okresu nauki w szkole średniej Garden State w Passaic County w New Jersey.

Kay skończyła jeść hot doga. Musiała poczuć coś na wardze, bo otarła ją palcem, po czym roześmiała się i wetknęła go do ust. Zamierzała dziś wieczór trzymać te palce w swoich dłoniach.

Stał na skraju grupy. Wiedział, że zmienił się bardziej niż większość uczniów. W ciągu tych ośmiu lat stracił na wadze, wyrosła mu broda, soczewkami kontaktowymi zastąpił grube okulary, a pomiędzy rzadziejącymi włosami pojawił się placek łysiny. Pewne rzeczy jednak się nie zmieniły. Ani jedna osoba nie podeszła do niego i nie powiedziała: „Wspaniale cię widzieć, Donny”. Jeśli nawet ktokolwiek go rozpoznał, minął go w pośpiechu, dokładnie jak za dawnych czasów. Znow miał przed oczyma szkolną stołówkę, do której wchodził z kanapką w papierowej serwetce i krążył od stolika do stolika. „Przykro nam, Donny, mruzczeni, ale nie ma miejsca”.

Doszło wreszcie do tego, że wykradał się na schody przeciwpożarowe i tam zjadał drugie śniadanie.

Obecnie był jednak zadowolony, że w ciągu tych trzech dni nikt nie poklepał go po plecach ani nie chwycił go za ramię, by zawołać: „Wspaniale cię widzieć”. Dzięki temu mógł krążyć po obrzeżach różnych grup, obserwować Kay i planować, co zrobić. Dokładnie za pół godziny będzie należała do niego.

- W której był pan klasie?

Przez chwilę nie miał pewności, czy pytanie zostało skierowane właśnie do niego. Kay popijała napój ze szklanki, rozmawiając z uczennicą z klasy Donny'ego, Virginią jakąś tam. Miodowej barwy włosy Kay były jaśniejsze, niż zapamiętał, ale mieszkała teraz w Phoenix. Może spłówały od słońca. Ostrzygła je tak, że okalały jej twarz. Może namówi ją, żeby pozwoliła im odrosnąć. „Kay, zapuść włosy. Twój mąż dyktuje tu prawa”. Żartowałby, ale jednocześnie mówiłby poważnie.

O jaki idiotyzm pytał ten dureń, który go zaczepił? Ach, tak - kiedy skończył szkołę. Odwrócił się i poznał pytającego. Był to nowy dyrektor, który utworzył zjazd we wtorek.

- Ukończyłem szkołę osiem lat temu     odpowiedział Donny.

- Dlatego pana nie znam. Jestem tu dopiero cztery lata. Nazywam się Gene Pearson.

- Donny Rubel - wymamrotał.

- To były fantastyczne trzy dni - zachwycał się Pearson. - Wyśmienita frekwencja. Wspaniały szkolny duch. Można tego spodziewać się w college^, ale w szkole średniej... To cudowne.

Donny kiwnął głową. Mrugnął i przesunął się tak, jakby słońce raziło go w oczy. Zobaczył, że Kay ściska dłonie jakimś ludziom. Szykowała się do odjazdu.

- Gdzie pan teraz mieszka? - Pearson za wszelką cenę pragnął podtrzymać rozmowę.

- Około pięćdziesięciu kilometrów stąd. - Aby zapobiec jakimkolwiek dalszym pytaniom, Donny dodał spiesźnie: - Mam własny zakład naprawczy. Mój warsztat to furgonetka. Mogę wybrać się na naprawy wszędzie w promieniu godziny drogi. Cóż, miło mi było pana poznać, panie Pearson.

- Niech pan posłucha, może zgodziłby się pan wystąpić podczas dnia ukierunkowania zawodowego. Uczniowie muszą wiedzieć, że są inne możliwości niż college...

- Muszę już uciekać.     Donny uniósł rękę, jakby nie dosłyszał. - Wybieram się z paroma kumplami z klasy na kolację.

Nie dał Pearsonowi szansy na odpowiedź i ruszył obrzeżem placu piknikowego. Starannie wybrał ubranie - spodnie khaki i niebieską koszulkę polo. Połowa mężczyzn na zjeździe nosiła praktycznie to samo. Zależało mu, by wtopić się w tłum, być niewidzialnym w tym samym stopniu, w jakim zwracał na siebie uwagę podczas lat spędzonych w tej szkole. Jedyny chłopak w klasie, który nosił palto, gdy wszyscy chodzili w kurtkach ze szkolnym godłem Garden State High.

Kay szła właśnie przez kępę drzew, odgradzających teren pikniku od parkingu. Szkoła znajdowała się obok okręgowego parku i idealnie nadawała się na zjazd. Miejsce było idealne również dla celów Donny'ego. Dogonił młodą kobietę w chwili, gdy otwierała drzwi samochodu.

- Panno Wesley - powiedział. - To znaczy, pani Crandell.

Wyglądała na zaskoczoną. Wiedział, że za minutę na parkingu będzie tłoczno. Musiał się pośpieszyć.

- Jestem Donny Rubel - powiedział. - Pewnie mnie pani nie poznaje.

Miała niepewną minę. Potem na jej ustach pojawił się uśmiech, który Donny wyobrażał sobie podczas niezliczonych bezsennych nocy.

- Donny! Miło cię widzieć. Bardzo się zmieniłeś. Długo tu jesteś? Jak to się stało, że cię nie zauważyłam?

- Dopiero tu dotarłem - wyjaśnił. - Tylko panią chciałem zobaczyć. Gdzie się pani zatrzymała?

Już to wiedział. W motelu Garden View przy autostradzie numer osiemdziesiąt.

- Idealnie - odrzekł, gdy mu to powiedziała. Za pół godziny mam mieć podwózkę. Przyjechałem taksówką. Jest szansa, żeby mnie pani podzuciła? Dzięki temu mielibyśmy okazję porozmawiać.

Czy coś podejrzewała? Czy pamiętała ten ostatni wieczór, kiedy powiedziała mu, że nie wraca na następne półrocze, bo wychodzi za męża, a on się rozplakał?

- Oczywiście, Donny - zgodziła się po chwili wahania. - Miło będzie dowiedzieć się, co nowego. Wskakuj.

Zdołał schylić się i rozsypać sznurowadło, obchodząc wkoło samochód. Kiedy wsiadł do środka, opadł w dół i manifestacyjnie je zawiązał. Każdy, kto zauważył auto, powinien przysiąc, że Kay odjechała z pikniku sama.

Kay prowadziła szybko. Starła się stłumić pewne rozdrażnienie, wywołane obecnością młodego mężczyzny obok siebie. Mike miał wrócić do motelu z Nowego Jorku dopiero za godzinę, a po tym, jak paskudnie potraktowała go poprzedniego wieczora przez telefon, rozpaczliwie chciała załagodzić konflikt. Zjazd absolwentów sprawił jej frajdę. Miło było zobaczyć nauczycieli, z którymi pracowała przez dwa lata, fajnie było dowiedzieć się, co nowego u jej uczniów. Uwielbiała nauczać. Był to jeden z problemów w jej relacjach z Mikiem. Pracował przy uruchamianiu nowych zakładów dla swej firmy, co oznaczało, że nigdzie nie zagrzali miejsca dłużej niż rok. Dwanaście przeprowadzek w ciągu ośmiu lat. Kiedy zostawiał ją pod motelem, poprosiła go, żeby powiedział w firmie, że chce mieć stałą posadę.

„To brzmi jak ultimatum”, powiedział.

„Może nim jest, Mike, odparła. Chcę mieć coś stałego. Chcę dziecka. Chcę mieszkać w jednym miejscu wystarczająco długo, żebym mogła wrócić w końcu do nauczania. Nie potrafię tak ciągle się przeprowadzać. Po prostu nie potrafię”.

Zeszłej nocy zaczął jej mówić, że w firmie obiecano mu stanowisko partnera i stały etat w biurze w Nowym Jorku, jeśli podejmie się jeszcze jednej pracy w terenie. Odłożyła słuchawkę w pół zdania.

Była tak pogrążona w myślach, że nie zauważyła milczenia swojego pasażera, dopóki nie oświadczył:

- Twój mąż jest na naradzie firmy w Nowym Jorku. Ma wrócić dzisiaj wieczorem.

- Skąd wiesz?

Kay spojrzała szybko na profil Donny'ego Rubela i z powrotem wlepiła wzrok w szosę.

- Rozmawiałem z ludźmi, którzy z tobą mówili.

- Myślałam, że przyjechałeś tylko na piknik.

- Tak myślałaś. Ja tego nie mówiłem.

Z dmuchawy do wnętrza wozu wpadało chłodne powietrze. Kay nagle zrobiło się zimno, jak gdyby w przyjemny czerwcowy wieczór temperatura gwałtownie spadła. Byli ponad kilometr od hotelu. Coś ostrzegło ją, żeby nie zadawać pytań.

- Wszystko bardzo dobrze się złożyło - powiedziała. - Mąż ma naradę w interesach w Nowym Jorku, a ja dostałam zawiadomienie o zjeździe i...

- Czytałem „Alumni News” - odrzekł Donny Rubel. - Napisało w nim: „Ulubiona nauczycielka ze szkoły Garden State będzie gościem zjazdu absolwentów”.

- Miło z ich strony. - Kay spróbowała się roześmiać.

- Nie poznałaś mnie. - W głosie Donny'ego zabrzmiało zadowolenie. - Założę się jednak, że nie zapomniałaś, że poszłaś ze mną na bal.

Kay uczyła angielskiego i prowadziła chór. Pomagająca uczniom, Marian Martin, pedagog szkolny, zasugerowała, by Donny Rubel zapisał się do chóru. „To jeden z najżałośniejszych dzieciaków, jakie widziałam, powiedziała Kay. Jest beznadziejny w sportach, nie ma żadnych przyjaciół. Jestem pewna, że to inteligentny chłopak, ale ledwie sobie radzi, jeśli chodzi o stopnie. Na dodatek Bóg jeden wie, że dzieciak stanął w niewłaściwej kolejce, kiedy rozdawali wygląd. Jeśli zdołamy wciągnąć go w jakąś aktywność, gdzie mógłby nawiązać przyjaźnię...”.

Kay przypomniała sobie jego szczere wysiłki i uśmiešky innych z grupy, dopóki któregoś dnia, kiedy Donny'ego nie było, porozmawiała z nimi. „Mam dla was wiadomości, cwaniacy. Uważam, że jesteście parszywcy”. Opuścili mu, przynajmniej podczas zajęć chóru. Po wiosennym koncercie wpadał do niej na rozmowy. Wtedy właśnie dowiedziała się, że nie idzie na bal absolwentów. Zapraszał trzy dziewczyny po kolei, ale wszystkie odmówiły. Wiedzioną impulsem, zaproponowała, żeby mimo to przyszedł i siedział obok niej na kolacji. „Jestem jedną z przyzwoitek, powiedziała. Miło mi będzie mieć cię za towarzysza”. Z niepokojem przypomniała sobie, jak chłopak się rozplakał, zanim wieczór dobiegł końca.

Po prawej pojawił się znak motelu. Kay zdecydowała się nie zwracać uwagi na to, że dłoń Donny'ego zaczęła ocierać się o jej nogę.

- Pamiętasz, jak na balu zapytałem, czy mógłbym spotykać się z tobą w ciągu lata? Pamiętasz, jak powiedziałaś mi, że wychodzisz za męża i się wyprowadzasz? Wiele razy zmieniałas miejsce zamieszkania. Próbo-  
wałem cię odnaleźć.

- Naprawdę? - Kay postarała się, by w jej głosie nie zabrzmiała zbyt-  
nia nerwowość.

- Tak. Szukałem cię w Chicago dwa lata temu, ale do tego czasu prze-  
prowadziłaś się do San Francisco.

- Szkoda, że się nie spotkaliśmy.

- Naprawdę lubisz tak często się przeprowadzać?

Jego dłoń spoczywała już na jej kolanie.

- Hej, facet, to moje kolano. - Postarała się, żeby nie mógł wziąć jej  
tonu za rozbawiony.

- Wiem. Tak naprawdę zbrzydły ci te ciągłe przeprowadzki, prawda?  
Już nie będziesz musiała tego robić.

Kay popatrzyła na Donny'ego. Grube, ciemne okulary zakrywały mu  
oczy i pół twarzy; miał ściągnięte i odrobinę uchylone usta. Wydychał  
właśnie przez nie powietrze z niemal niesłyszalnym poświstem, brzmiącym  
jak niesamowite echo.

- Podjedź do końca parkingu i skręć w lewo za głównym budynkiem  
- rozkazał. - Pokażę ci, gdzie zaparkować. - Zacisnął dłoń na jej kolanie.  
Poczuła przyciśnięty do boku pistolet, nim go zobaczyła. - Wiesz, że go  
użyję - wyszeptał Donny.

Niemożliwe, żeby to działo się naprawdę. Nie powinna go była pod-  
wozić. Drżącymi rękami obracała kierownicę zgodnie z jego wskazów-  
kami. Czowała przejmujący chłód w żołądku. Czy powinna spróbować

ściągnąć na siebie uwagę, wjechać na coś samochodem? Usłyszała szcęk bezpiecznika.

- Nie próbuj niczego, Kay. W magazynku jest sześć kul. Potrzebuję tylko jedną dla ciebie, ale nie zmarnuję innych. Zaparkuj przy tej furgonetce, po drugiej stronie, na ostatnim miejscu.

Usłuchała go, po czym natychmiast zdała sobie sprawę, że ciemniejsza furgonetka na lewo całkowicie kryła jej samochód przed oknami motelu.

- Teraz uchyl drzwi. Nie próbuj krzyczeć.

Przytrzymał ją dłonią za ramię i wysunął się za nią na zewnątrz. Usłyszała, jak wyciąga kluczyki ze startera i rzuca je na dół. Jednym szybkim ruchem pchnął ją do przodu i rozsunął boczne drzwi furgonetki. Uniósł Kay jednym ramieniem i wspiął się za nią do wnętrza. Drzwi zasunęły się za jej plecami. Niemal całkowite ciemności zastąpiły późnopołudniowe słońce. Kay zmrzyła oczy.

- Donny, nie rób tego - powiedziała błagalnie. - Jestem twoją przyjaciółką. Porozmawiaj ze mną, ale nie...

Poczuła pchnięcie do przodu, potknęła się i upadła na wąską pryczę. Coś zakryło jej twarz. Knebel. Następnie Donny przytrzymał ją jedną ręką, a drugą zapiął kajdanki na jej nadgarstkach i kostkach. Połączył je grubym metalowym łańcuchem. Rozsunął drzwi furgonetki, wyskoczył na zewnątrz i zatrzasnął je za sobą. Usłyszała stuknięcie drzwi kierowcy i w chwilę później furgonetka ruszyła. Rozpaczliwe wysiłki Kay, by zwrócić czyjąkolwiek uwagę łomotaniem skutymi nogami w bok pojazdu, zostały zagłuszone przez trzask opon na zużłowej nawierzchni.

Mike przygryzł ze zniecierpliwieniem wargi, gdy taksówkarz zwolnił, przepuszczając furgonetkę przy wyjeździe z motelu. Szczupłe, zdyscyplinowane ciało Mike'a wibrowało z napięcia, gdy siłą woli starał się zmusić kierowcę, by jechał szybciej.

Czuł się podle z powodu tego, jak zakończył rozmowę z Kay ubiegłej nocy. Oddzwonił do niej, lecz przerwała połączenie, ale znał Kay - nigdy nie gniewała się długo. A teraz mógł dać jej to, czego chciała. „Jeszcze tylko jedna praca, kochanie. Najwyżej rok... może nawet sześć miesięcy. Wtedy osiadę na stałe w biurze w Nowym Jorku jako partner". Gdyby chciała, mogliby kupić dom w tej okolicy. Podobało jej się tutaj.

Kierowca podjechał pod wejście do recepcji.

Mike wyskoczył z taksówki i długimi krokami wszedł do środka.

Jego pierwszą reakcją, gdy przekręcił klucz i otworzył pchnięciem drzwi do ich pokoju, nr 210, było rozczarowanie. Było jeszcze za wcześnie, żeby Kay wróciła, mimo to spodziewał się, że ją zastanie. Pokój miał typowy motelowy wygląd: włochata wykładzina, beżowo-brązowa narzuta na łóżko, ciężka podwójna toaleta z dębową okleiną, zakamuflowany w szafce telewizor, okna wychodzące na parking. Przedostatniej nocy po prostu zostawił żonę w motelu i pośpieszył do Nowego Jorku na naradę w sprawie rozpoczęcia sprzedaży. Z niechęcią przypomniał sobie, jak Kay zmarszczyła nos i powiedziała: „Ach, te pokoje. Wszystkie są do siebie podobne, a widziałam ich już mnóstwo”.

Mimo to jak zwykle zdołała tchnąć nieco domowej atmosfery w obce miejsce. W wazonie stały świeże kwiaty, a obok trzy małe zdjęcia w srebrnych ramkach. Na jednym z nich Mike trzymał świeżo złapanego pasiastego okonia, drugie migawkowe ujęcie przedstawiało Kay przed domem w Arizonie, trzecim była gwiazdkowa pocztówka z fotografią rodziny jej siostry.

Zabrane przez Kay do przeczytania książki leżały na nocnym stoliku. Grzebień z macicy perłowej, szczotka i ręczne lustro, które dostała po matce, były równo ułożone na toalecie. Gdy Mike otworzył szafę, poczuł ulotną woń z saszetek przy obciążonych satyną wieszakach.

Podświadomie się uśmiechnął. Pedanteria Kay stanowiła dla niego stałe źródło radości.

Pomyślał, że dobrze mu zrobi szybki prysznic. Chciał rozmówić się z Kay po jej powrocie i zabrać żonę na wystawną kolację. „Pełne partnerstwo, Kay. W ciągu roku. Warto było tyle razy się przeprowadzać. Obiecuję ci, że tak będzie”. Odwiesił garnitur. Gdy wrzucał bieliznę, skarpety i koszulę do worka na pranie, przyszło mu do głowy, że stałe przeprowadzki nigdy mu nie przeszkadzały, bo Kay potrafiła zamienić w dom każde wynajęte mieszkanie i każdy motelowy pawilonik, w którym się zatrzymywali.

Kwadrans po szóstej Mike siedział przy okrągłym stole obok wychodzącego na parking okna, oglądał wiadomości i nasłuchiwał, czy nie rozlegnie się dźwięk klucza w zamku. Wcześniej wyjął z barku-zamrażarki butelkę wina. O wpół do siódmej otworzył ją i nalał kieliszek. O siódmej gapił się na Dana RATHERA, donoszącego o nowej fali ataków terrorystycznych. Do wpół do ósmej Mike zdołał wprawić się w stan słusznego zdenerwowania... No dobra, a więc Kay wciąż się na niego wścieka. Skoro wybrała się na kolację ze znajomymi, mogła była zostawić wiadomość. O ósmej po raz trzeci zadzwonił do recepcji i po raz kolejny rozdrażnio-

na operatorka zapewniła go, że: „Nie było absolutnie żadnej wiadomości dla pana Crandella z pokoju 210”. O dziewiątej zaczął kartkować notes z adresami żony. Zdołał odnaleźć adres jej dawnej uczennicy, o której wiedział, że nadal utrzymują kontakt. Virginia Murphy O'Neil. Odebrała po pierwszym sygnale. Tak, widziała się z Kay. Odjechała z pikniku, gdy właśnie dobiegał końca, pani O'Neil widziała, jak Kay odjeżdża. Było to gdzieś między piętnaście po piątej i wpół do szóstej, Virginia była całkowicie pewna, że Kay odjechała sama.

Gdy Mike skończył rozmowę z panią O'Neil, zadzwonił na policję dowiedzieć się, czy doniesiono o jakichś wypadkach między szkołą i motelem. Dowiedział się, że żadnych nie było, po czym zgłosił zaginięcie Kay.

Kajdanki wpijały się jej w nadgarstki, okowy raniły kostki, dławił ją knebel.

Donny Rubel? Dlaczego jej to robił? Kay nagle przypomniała sobie Marian Martin, pedagoga, która poprosiła ją, by przyjęła Donny'ego do chóru. Tydzień przed balem powiedziała Marian, że zaprosiła chłopca, by siedział obok niej przy stole. Marian była zaniepokojona. „Już o tym słyszałam, oświadczyła. Donny przechwalał się przed kimś, że ma z tobą randkę. Chyba to rozumiałe, skoro szczeniaki tak się z niego wyśmiewają, ale mimo to... Zresztą, co za różnica? Przecież wyjeżdżasz i za dwa tygodnie bierzesz ślub”.

Jednak wiedział, co działo się z nią przez te wszystkie lata. Kay czuła, że wpada w panikę. Wytężyła wzrok, ale nie zdołała dojrzeć Donny'ego przez przegrodę. Furgonetka wydawała się niezwykle szeroka. W niemal całkowitych ciemnościach Kay zdołała wypatrzeć zarys blatu roboczego naprzeciw swej pryczy. Na korkowej tablicy powyżej wisiały rozmaite narzędzia. Do czego Donny ich używał? Co zamierzał z nią zrobić? Mike, pomóż mi, proszę.

Droga wydawała się piąć zakosami pod górę. Wąska prycza kołysała się, Kay uderzała ramieniem o ścianę kabiny. Dokąd się udawali? Wreszcie wyczuła, że furgonetka zaczyna zjeżdżać z góry. Kolejne zakręty, jeszcze trochę objiania, aż w końcu samochód stanął.

Kay usłyszała trzask otwieranej tylnej kłapy.

- Jesteśmy w domu. - W wysokim głosie Donny'ego brzmiała nuta triumfu. W chwilę później rozległo się dudnienie odsuwanych bocznych drzwi. Kay skuliła się, gdy mężczyzna pochylił się nad nią. Poczowała ciepły, przyśpieszony oddech na policzku, gdy wyciągnął jej knebel. - Nie chcę,



żebyś krzyczała, Kay. W promieniu wielu kilometrów dookoła nie ma nikogo, kto mógłby cię usłyszeć, więc tylko bardzo byś mnie zdenerwowała. Obiecuj, że będziesz cicho.

Przełknęła chłodne powietrze. Czowała, że ma obrzmiały, wyschnięty język.

- Obiecuję - szepnęła.

Donny zdjął jej okowy z kostek i troskliwie potarł łydki. Następnie rozpiął kajdanki. Otoczył Kay ramieniem i podniósł ją z pryczy. Potknęła się na zdrętwiałych nogach, wobec czego musiał na poły znieść ją z wysoko zawieszanej podłogi na ziemię.

Przywiozł ją do obskurnego drewnianego domu na małej polanie. Na starym ganku znajdowała się zardzewiała huštawka. Okna były zakryte okiennicami. Gęste drzewa wokół polany niemal całkowicie zasłaniały ostatnie, skośnie padające promienie słońca. Donny poprowadził Kay w stronę domu, otworzył drzwi, wepchnął ją do środka i zapalił górną lampę.

Znaleźli się w małym, zaniedbanym pokoju. Pianino w zamierzchłej przeszłości zostało pomalowane na białe, ale spod obłazących łat wyzierał oryginalny czarny kolor. Brakowało kilku klawiszy. Nadmiernie wypchana welurowa sofa i fotel musiały być niegdyś jaskrawoczerwone. Obecnie spłowiały, nabierając purpurowych i pomarańczowych odcieni. Poplamiony dywan z frędzlami zakrywał środek nierównej posadzki. Na metalowym stoliku stała butelka szampana w plastikowym wiaderku z lodem oraz dwa kieliszki. Obok na prymitywnie skleconym regale leżały uczniowskie zeszyty.

- Popatrz! - powiedział Donny.

Obrócił Kay tak, że stanęła twarzą do ściany naprzeciw pianina. Wisiało tam zdjęcie wielkości plakatu, przedstawiające ją z Donnym, siedzących obok siebie na balu absolwentów. Pod sufitem zwisał nieruchomo transparent z niechlujnie wydrukowanymi literami, układającymi się w napis: „Witaj w domu, Kay”.

Do sprawdzenia zgłoszenia Michaela Crandella - faceta, który zameldował o zaginięciu żony - przydzielono detektywa Jimmy'ego Barrotta. Po drodze do motelu Garden View policjant zatrzymał się w barze szybkiej obsługi, by zamówić hamburgera i kawę. Zjadł posiłek po drodze i zanim dojechał na miejsce, przestał odczuwać lekki ból głowy. Znowu stał się cynicznym sobą. Po dwudziestu pięciu latach w biurze śledczym prokuratury uważał, że widział już wszystko.

Instykt podpowiadał Jimmy'emu Barrottowi, że to strata czasu. Trzydziestodwuletnia kobieta przyjeżdża na zjazd absolwentów, nie wraca do domu o umówionej porze, a mąż wpada w panikę. Jimmy Barrott wiedział wszystko o wracaniu późno do domu i niedzwonieniu. Był to podstawowy powód, dla którego miał za sobą dwa rozwody.

Gdy otworzyły się drzwi od pokoju 210, musiał przyznać, że ten nerwowy facet, Michael Crandell, wyglądał na chorego ze zmartwienia. Gość sprawia miłe wrażenie, pomyślał Jimmy Barrott. Mniej więcej metr osiemdziesiąt pięć wzrostu. Hardy wygląd, na który na pewno leciały dziewczyny. Jednak pierwsze pytanie Mike'a zaskoczyło detektywa:

- Dlaczego przyjechał pan tak późno?

Jimmy usiadł na krześle przy stole i otworzył notes.

- Słuchaj pan - powiedział. Pańska żona spóźniła się parę godzin z powrotem do motelu. Oficjalnie można ją uznać za zaginioną dopiero po dobie. Pokłóciliście się? - Nie umknął mu wyraz winy na twarzy Mike'a. - A więc tak - przycisnął go. - Może mi pan o tym opowie, wtedy pomyślimy, dokąd mogła pojechać, żeby ochłonąć.

Mike czuł, że jego relacja brzmi fatalnie. Kay była zdenerwowana, kiedy ubiegłego wieczora rozmawiali przez telefon. Rzuciła słuchawkę, ale było inaczej, niż to się wydawało. Szybko opowiedział, jak wyglądało ich życie. Kay przez dwa lata uczyła w szkole Garden State High. Poznali się u jej siostry w Chicago i tam się pobrali. W ogóle nie znał jej przyjaciół z New Jersey. Nie ma sensu dzwonić do siostry Kay. Jean z mężem była na wakacjach w Europie.

- Proszę opisać mi samochód - polecił Jimmy Barrott.

Biała toyota, rocznik 1986. Tablice rejestracyjne stanu Arizona. Detektyw zapisał numer.

- Dość daleka jazda - zauważył.

- Miałem dostać urlop. Postanowiliśmy zacząć go po naradzie w firmie i zjeździe absolwentów. Chcieliśmy jutro ruszyć do Arizony.

Jimmy zamknął notes.

- Przecucie mówi mi, że pana żona zasiedziała się na zakrapianej kolacji, sama lub z paroma starymi przyjaciółkami, i za parę godzin zjawi się z powrotem. - Popatrzył na zdjęcia w ramkach na stole. - Żona jest na którymś z nich?

- Na tym.

Mike zrobił tę fotografię przed bliźniakiem w Arizonie. Dzień był gorący i Kay miała na sobie szorty i koszulkę z krótkimi rękawami. Włosy ściągnęła opaską. Wyglądała na mniej więcej szesnaście lat. W przylega-

jącej do piersi koszulce i z długimi, smukłymi nogami w sandałach bez nosków wydawała się piekielnie seksowna. Mike wyczuł, że takie samo wrażenie wywarła na detektywie.

- Może pożycz mi pan to zdjęcie? - zaproponował Jimmy Barrott i zrezygnacyjnie wysunął je z ramki. - Jeśli nie wróci w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin, sporządzimy doniesienie o zaginięciu.

Niejasny instynkt podpowiedział policjantowi, by obejść parking przed powrotem do swojego samochodu. O tej porze parking był już niemal pełny. Stało na nim parę białych toyot, lecz żadna z tablicami z Arizony, detektyw dojrzał jednak samotny samochód na końcu parkingu. Podeszedł w jego stronę długimi krokami.

Pięć minut później zastukał energicznie do drzwi pokoju **210**.

- Pański samochód jest na parkingu - powiedział Mike'owi. - Kluczyki leżą na podłodze. Wygląda na to, że żona go panu zostawiła.

Gdy przyglądał się czujnie niedowierzającej minie tamtego, zadzwonił telefon. Obydwaj mężczyźni pośpieszyli, by go odebrać. Jimmy Barrott pierwszy sięgnął po słuchawkę, podniósł ją i przytrzymał tak, by obydwaj mogli słuchać.

Mike powiedział niemal bezdźwięcznie „halo”. On i policjant usłyszeli głos Kay:

- Mike? Przepraszam, że ci to robię, ale potrzebuję czasu na zastanowienie. Zostawiłam samochód na parkingu. Wracaj do Arizony. Między nami wszystko skończone. Skontaktuję się z tobą w sprawie rozwodu.

- Nie... Kay... Proszę... Nie wyjadę bez ciebie.

Rozległo się szczęknęcie przerwane połączenia. Jimmy Barrott poczuł niechętnie współczucie dla zaszokowanego i zdezorientowanego młodego mężczyzny. Wyjął zdjęcie Kay i położył je na stoliku.

- Tak właśnie zostawiła mnie druga żona - oznajmił Mike'owi. - Jedyna różnica polega na tym, że ja byłem w pracy, a ona wezwała facetów od przeprowadzki. Zostawiła mi tylko kufel na piwo i brudne ciuchy.

Uwaga policjanta wytrąciła Mike'a z otępienia.

- O to właśnie chodzi - powiedział. - Nie rozumie pan? - Wskazał toaletkę. - Przybory toaletowe Kay. Nie wyjechałyby bez nich. W łazience są jej kosmetyki do makijażu. Tu jest książka, którą czytała. - Otworzył drzwi szafy. - Jej ubrania. Jaka kobieta nie zabrałaby ze sobą żadnych rzeczy osobistych?

- Byłby pan zaskoczony, jak wiele - odparł Jimmy Barrott. - Przykro mi, panie Crandell, ale muszę to potraktować jako rodzinne nieporozumienie.

Detektyw wrócił do biura sporządzić raport, po czym pojechał do domu. Mimo to nawet po położeniu się do łóżka Jimmy Barrott nie zasnął. Równowieszony ubrania, starannie ułożone przybory toaletowe. Wewnętrzny głos podpowiadał mu, że Kay Crandell zabrałaby to wszystko ze sobą. Ale przecież zadzwoniła.

Rzeczywiście?

Jimmy usiadł wyprostowany na łóżku. Dzwoniła jakaś kobieta. Miał tylko słowo Mike'a Crandella, że to głos jego żony, a Mike Crandell pokłócił się z Kay tuż przed jej zniknięciem.

Mijały godziny, a Mike siedział przy telefonie. Zadzwoni znowu, mówił sobie. Zmieni zdanie. Wróci.

Na pewno?

W końcu wstał. Rozebrał się i wyciągnął na łóżku, po stronie bliższej telefonu, gotów chwycić słuchawkę po pierwszym sygnale. Potem zamknął oczy i się rozplakał.

Kay przygryzła wargę, tłumiąc krzyk protestu, gdy Donny przerwał połączenie. Uśmiechał się do niej.

- Bardzo dobrze się spisałaś, Kay.

Czy spełniły swą groźbę? Ostrzegł ją, że jeśli nie powie dokładnie tego, co napisał, i to przekonująco, pojedzie tej nocy do motelu i zabije Mike'a.

- W zeszłym tygodniu byłem dwa razy w twoim pokoju, wiesz? - powiedział. - Wykonuję różne naprawy w motelu. Łatwo mi było dorobić klucz.

Przed telefonem zaprowadziła ją do sypialni. Jej umeblowanie składało się z zapadniętego pośrodku podwójnego łóżka, przykrytego tanią kordonkową narzutą, nocnej szafki, mogącej też służyć za stolik do kart, oraz poobijanej toaletki.

- Podoba ci się narzuta? - zapytał Donny. - Powiedziałem sprzedawczyni, że to prezent dla mojej żony. Mówiła, że większość kobiet lubi biały kordonek. - Wskazał grzebień, szczotkę i lustro na toalecie. - Są prawie dokładnie w tym samym kolorze co twoje. - Otworzył szafę. - Podobają ci się twoje nowe ubrania? Wszystkie mają rozmiar osiem, tak jak te, które miałeś w motelu. - W szafie wisały dwie bawełniane spódnice, kilka koszulek z krótkimi rękawami, płaszcz przeciwdeszczowy, szlafrok i drukowana sukienka w kwiatki. - W szufladach jest trochę bielizny i koszula nocna - oznajmił z dumą. - Posłuchaj, buty też są

w twoim rozmiarze, średnia siódemka. Kupiłem ci szpilki, pantofle i buty na płaskim obcasie. Chcę, żeby moja żona była dobrze ubrana.

- Nie mogę być twoją żoną, Donny - wyszeptwała.

- Ale nią będziesz - odparł ze zdziwioną miną. - Zawsze chciałaś wyjść za mnie.

Dopiero w tej chwili Kay zobaczyła równo ułożony w rogu przy łóżku łańcuch, przytwierdzony do metalowej płyty w ścianie. Donny zauważył jej przerażoną minę.

- Nie martw się, Kay. Mam łańcuch w każdym pokoju. Po prostu w nocy będę spał w saloniku, ale nie chcę, żebyś spróbowała mnie opuścić. W ciągu dnia natomiast muszę pracować, więc urządziłem to tak, że będzie ci wygodnie w saloniku.

Zabrał ją z powrotem do saloniku i uroczyście otworzył szampana.

- Za nas!

Gdy Kay patrzyła teraz, jak odłożył słuchawkę, czuła w ustach kwaśny posmak na wspomnienie owego ciepłego, przesłodzonego alkoholu i przyrządzonych przez Donny'ego ociekających tłuszczem hamburgerów.

Podczas posiłku mężczyzna milczał. W końcu powiedział Kay, by dopiła kawę, a on wychodzi na parę chwil. Wrócił gładko ogolony.

- Zapuściłem brodę tylko po to, żeby nikt nie rozpoznał mnie w szkole - wyjaśnił z dumą.

Następnie zmusił ją, żeby dokończyła z nim szampana i zadzwoniła do Mike'a.

- Musisz być zmęczona, Kay - powiedział w końcu. - Niedługo pozwolę ci pójść do łóżka, ale najpierw chciałbym ci przeczytać parę rozdziałów z mojej pierwszej książki o tobie.

Niemal zawadiackim krokiem podszedł do regału i wyjął jeden z zeszytów.

To nie dzieje się naprawdę, pomyślała Kay.

Jednak to była rzeczywistość. Donny usadowił się w przesadnie wyściełanym fotelu naprzeciwko niej. W pokoju zrobiło się przenikliwe zimno, ale plamy potu lśniły na twarzy i ramionach mężczyzny oraz znaczyły koszulkę polo. Jego nienaturalnie bladą cerę podkreślały ciemne kręgi pod oczami. Kiedy zdjął okulary przeciwsłoneczne, z zaskoczeniem zobaczyła, że ma niebieskie oczy. Wydawało się jej, że kiedyś były brązowe. Są brązowe, doszła do wniosku. Na pewno nosił barwione soczewki kontaktowe. Wszystko, co się z nim wiąże, to produkt fantazji, pomyślała. Podniósł głowę i popatrzył na nią niemal z nieśmiałością.

- Czuję się jak szczeniak, jakbym znowu był w szkole - powiedział.

Nadzieja podszeptała Kay, że może uda się zmusić go, by jej posłuchał, wrócić do relacji uczeń-nauczycielka. Gdy jednak zaczął czytać, gardło ścisnęło się jej w panice.

- „Trzeci czerwca. Wczoraj wieczorem poszedłem na bal absolwentów z Kay - zaczął uroczystym tonem. - Przetńczyliśmy wszystkie tańce. Kiedy odwoziłem ją do domu, rozplakała się w moich ramionach. Powiedziała, że rodzina zmusza ją do poślubienia człowieka, którego nie kocha, i że pragnie, abym wrócił po nią, kiedy będę mógł się nią zaopiekować. Moja piękna Kay, obiecuję ci, że pewnego dnia zjawię się, żeby wziąć cię za żonę”.

Bezsenność i to, że nie miał ani grama kawy w mieszkaniu, uczyniły Jimmy'ego Barrotta wyjątkowo opryskliwym. Wpadł do kawiarni, po czym udał się do biura. Gdy prokurator był wolny, Jimmy wszedł do jego gabinetu zamaszystym krokiem.

- Coś śmierdzi w sprawie tej awantury rodzinnej, o której złożyłem raport wczoraj wieczorem - oświadczył szefowi. - Proszę o pozwolenie, żeby bliżej przyjrzeć się mężowi zaginionej.

Zwięźle streścił rozmowę z Mikiem i opowiedział o odnalezieniu samochodu oraz telefonie. Prokurator wysłuchał go i skinął głową.

- Zaczynaj kopać - powiedział. - Zawiadom mnie, jeśli będziesz potrzebował pomocy.

Przy pierwszych oznakach świtu Mike wstał, ogolił się i wziął prysznic. Miał nadzieję, że gorące, a po nich zimne kłujące strumyki wody wypłuczają z jego umysłu otępienie.

W którymś momencie mrocznych godzin nocy rozpacz po zniknięciu Kay zamieniła się w pewność, że nie porzuciłaby go w ten sposób. Mike wyciągnął notes z neseseru i pomiędzy łykami kawy zaczął pisać, co mógłby przedsięwziąć. Virginia Murphy O'Neil. Była z jego żoną pod koniec pikniku. Widziała, jak Kay odjeżdża. Może usłyszała od niej coś, co wtedy nie wydawało się jej istotne. Mike postanowił pojechać do domu Virginii i z nią porozmawiać. Detektyw Barrott odnalazł samochód o dzieśiątej, nikt jednak nie wiedział, jak długo wóz tam stał. Mike zdecydował się przepytac również pracowników motelu. Może ktoś widział Kay - samą lub w jakimś towarzystwie.

Miał ochotę siedzieć przy telefonie i wyczekiwać, bo mogła zadzwonić znowu, było to jednak bez sensu. Krew stygła mu w żyłach na myśl, że być może żona nie zdoła zatelefonować raz jeszcze.

Zaczął poszukiwania od tutejszej centralki telefonicznej. Operatorka oświadczyła zdecydowanie, że jest zbyt zajęta, by przekazywać informacje ludziom dzwoniącym do motelu, ale z zadowoleniem zanotuje wszelkie wiadomości, jakie tamci będą chcieli przekazać.

- Niech pani posłucha, pokłóciła się pani kiedyś z chłopakiem? - zniżył konfidencjonalnie głos Mike.

- Mniej więcej co wieczór. - Operatorka się roześmiała.

- Wczoraj wieczorem pokłóciłem się z żoną i zostawiła mnie. Muszę teraz już jechać, ale jestem pewien, że zadzwoni. Czy mogłaby pani podłączyć się do linii lub coś w tym rodzaju, żeby na pewno nie zapomnieć przekazać jej wiadomości? Proszę.

Grubo podmalowane maskarą oczy operatorki zaiskrzyły się z ciekawości. Przeczytała wiadomość na głos. Mike napisał dużymi literami: „Jeśli zadzwoni Kay Crandell, proszę jej powiedzieć, że Mike musi z nią porozmawiać. Zgadza się na wszystko, ale błaga ją, żeby zostawiła numer telefonu lub podała, kiedy zadzwoni ponownie”.

Spojrzenie operatorki wypełniło się sympatią z dozą filuterności.

- Nie mam pojęcia, jak jakakolwiek kobieta mogłaby być taką idiotką, żeby pana zostawić - powiedziała.

Mike wsunął jej w rękę dwudziestodolarowy banknot.

- Liczę, że spełni pani rolę Kupidyna.

Wypytywanie pracowników, mogących widzieć zajeżdżającą na parking białą toyotę, okazało się beznadziejne. Parking nie był strzeżony, nie zatrudniano tu chłopca podstawiającego samochody, a jedyny strażnik motelu przesiedział większość wieczora w środku.

- Dopiero zacząłem pracę - tłumaczył Mike'owi. Trochę wcześniej nikogo by pan nie zastał... Nie. Ani śladu kłopotów. - Poskrobał się po głowie. - Jak się dobrze zastanowić, to w zeszłym roku świeżo samochód, porzucono go jednak trzy kilometry dalej. Właściciel powiedział, że nawet złodziej się domyślił, że to grat - zachichotał.

Dwie godziny później Mike siedział czterdzieści pięć kilometrów dalej przy stole w domu Virginii O'Neil. Była to drobna, zgrabna młoda kobieta, śpiewająca w chórze przez ostatni rok, gdy Kay uczyła w Garden State High. Duża, pogodna kuchnia sąsiadowała z przestronnym pokojem dzieci, pełnym zabawek. Dwuletnie bliźnięta Virginii bawiły się z hałaśliwą, niepoohamowaną energią.

Mike nie starał się wymyślić żadnej nieprawdziwej historyjki, dlatego szuka Kay. Od razu polubił Yirginię i instynktownie jej zaufał. Za-

nim skończył mówić, dojrzał, że w oczach kobiety odbija się jego własna dręcząca troska.

- To niesamowite - powiedziała Virginia. - Kay nie wywinęłaby takiego numeru. Jest po prostu zbyt rozważna.

- Jak długo widziałyście się na zjeździe?

Pluszowy miś przefrunął obok nogi Mike'a. W chwilę później przemknęła obok niego mała figurka i złapała zabawkę w objęcia.

- Spokojnie, Kevin - zarządziła Virginia i wyjaśniła Mike'owi: - Moja ciotka dała wczoraj dzieciom misie. Dina głaszczę swojego, ale Kevin gra z nim w futbol.

Tego właśnie chciała Kay, zauważył w duchu Mike. Takiego właśnie domu, dwójki dzieci. Myśl ta nasunęła mu do głowy nową, niepokojącą możliwość.

- Czy większość uczestników przyjechała na zjazd z dziećmi?

- Och, było tam mnóstwo dzieciaków. - Twarz Virginii przybrała zamyślony wyraz. - Wiesz, Kay rzeczywiście wyglądała trochę smutno, kiedy przedwczoraj wzięła Dinę na ręce. Powiedziała: „Wszyscy moi uczniowie mają rodziny. Nigdy się nie spodziewałam, że ze mną będzie tak, jak jest”.

Po kilku minutach Mike wstał, zbierając się do wyjścia.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytała Virginia.

Wyjął zdjęcie Kay z kieszeni.

- Zamierzam zrobić z niego plakaty i je rozdawać. Nic innego nie potrafię wymyślić.

Kiedy Donny wreszcie uznał, że czas kłaść się spać, polecił Kay przebrać się w miniaturowej łazience. Była tam mała umywalka, sedes i prowizoryczny prysznic. Donny dał jej kupioną wcześniej koszulę nocną - głęboko wycięty, przezroczysty kawałek jedwabiu z imitacją koronki. Szlafrok do niej pasował. Przebijając się, Kay gorączkowo starała się obmyślić, co powinna zrobić, jeśli Donny spróbuje ją napastować. Z pewnością jest silniejszy od niej. Miała jedynie nadzieję, że zdołałaby podporządkować go swojej woli, wymusić powrót do relacji uczeń-nauczycielka. Kiedy jednak wyszła z łazienki, porywacz nawet nie próbował jej tknąć.

- Kładź się do łóżka, Kay - polecił.

Zdjął narzutę. Prześcieradła i poszwy na poduszki były z bawełny w niebieskie kwiatki. Wyglądały na sztywne i nowe. Kay podeszła zdecydowanie do łóżka.



- Jestem bardzo zmęczona, Donny - powiedziała stanowczo. - Chcę się wyspać.

- Och, obiecuję, że cię nie tknę, dopóki nie zostaniemy małżeństwem. - Okrył ją, po czym dodał: - Przepraszam, Kay, ale nie mogę ryzykować, że spróbujesz się wydostać, kiedy zasnę.

Następnie zakuł jej stopę w łańcuch.

Przez całą noc leżała bezsennie, starając się opracować jakiś plan. Była jednak w stanie tylko szeptać: „Mike, pomóż mi! Mike, znajdź mnie!”. Przed świtem zapadła w niespokojny sen. Przebudziła się nagle i zobaczyła, że Donny się w nią wpatruje. Nawet w półmroku nie sposób było nie dostrzec napięcia na jego twarzy.

- Chciałem tylko upewnić się, że jest ci wygodnie, Kay - wyszeptał przez zaciśnięte zęby. - Wyglądasz bardzo uroczo, kiedy śpisz. Nie mogę się doczekać, kiedy będziemy małżeństwem.

Zażyczył sobie, by przyrzadziła mu śniadanie.

- Twój przyszły mąż ma zdrowy apetyt, Kay.

O wpół do dziesiątej zaprowadził ją do saloniku.

- Przykro mi, że muszę znów zamknąć okiennice, ale nie mogę ryzykować, że ktoś przechodzący tędy zajrzy do środka. Nigdy to się nie zdarza, ale chyba mnie rozumiesz. - Zakuł jej nogę w łańcuch w saloniku. - Zmierzyłem go - powiedział. - Możesz dojść do łazienki. Zostawiam ci tu na stole jedzenie na kanapki, dzbanek z wodą i parę butelek napojów. Możesz dosięgnąć pianina. Chciałbym, żebyś ćwiczyła, a jeśli chcesz przeczytać, masz wszystkie moje książki. Wszystkie są o tobie, Kay. Pisałem o tobie przez całe osiem lat. - Przeniósł telefon z automatyczną sekretarką do zamykanej na klucz drucianej klatki pod sufitem. - Zostawię włączony zestaw głośno mówiący, Kay. Będziesz słyszała, jak ludzie dzwonią, żeby prosić mnie o naprawę. Odsłuchuję tych wiadomości przez telefon w furgonetce mniej więcej co godzinę. Wtedy będę mówił do ciebie, ale ty nie będziesz mogła mi odpowiedzieć. Przykro mi. Mam bardzo zajęty dzień, więc mogę wrócić dopiero o szóstej lub siódmej. - Wychoząc, uniósł dłonią jej podbródek. - Będziesz tęsknić za mną, kochanie?

Pocałował ją oficjalnie w policzek, ale konwulsyjnie zacisnął rękę na jej talii.

Przed odjazdem zaryglował okiennice. Mętna żarówka pod sufitem rzucała cienie po całym pokoju. Kay stanęła na sofie, napinając łańcuch, aż okowy otarły jej kostkę, ale nie zdołała dosięgnąć drucianej klatki. Poza tym telefon i tak był zamknięty na kłódkę, więc nie miałyby szansy zadzwonić.

Łańcuch został przytwierdzony do metalowej płyty w ścianie. Przytrzymywały ją cztery śruby. Gdyby Kay zdołała w jakiś sposób je odkręcić, mogłaby wydostać się na zewnątrz. Jak daleko była autostrada? Jak szybko Kay mogłaby się poruszać z łańcuchem na kostce? Czego mogła użyć, by odkręcić śruby?

Gorączkowo rozejrzała się po saloniku. Zostawiony jej przez Donny'ego plastikowy nóż złamał się, gdy próbowała odkręcić nim pierwszą ze śrub. Oczy Kay wypełniły się łzami zawodu. Ściągnęła poduszki z sofy. Wyściółka była poszarpana i widać było pod spodem druty, jednak Kay nie zdołała odłamać żadnego z nich.

Ciągnąc za sobą łańcuch, podeszła do pianina. Gdyby zdołała dobrać się do strun, może znalazłaby coś ostrego, co mogłaby wyrwać.

Okazało się, że nic takiego nie było.

Nie miała sposobu, aby odkręcić metalową płytę ze ściany. Jediną nadzieją było to, że ktoś znajdzie się koło domu pod nieobecność Donny'ego. Ale kto? Na wierzchu regału leżało trochę poczty. Większość była zaadresowana na skrzynkę w Howville. Kilka listów miało adres domowy - Timber Lane 4, Howville. Na każdym z nich na kopercie dopisano numer skrzynki pocztowej, co świadczyło, że listonosz nie dostarcza ich do domu.

Wzrok Kay padł na rzędy czarno-białych zeszytów. Donny powiedział, żeby je przeczytała. Wyciągnęła pół tuzina z nich i dowlokła się do sofy. Światło było mętne, musiały skupiać wzrok, marszcząc czoło. Włożyła sukienkę, którą miała poprzedniego dnia na pikniku, pragnąc zachować poczucie własnej tożsamości. Sukienka była jednak wygnieciona, a Kay czuła się brudna. Zbrukana obecnością w tym miejscu, wspomnieniem dłoni Donny'ego konwulsyjnie obejmujących ją w pasie, poczuciem, że jest zwierzęciem w klatce, więzionym przez szalonego dozorcę. Myśl ta niemal doprowadziła ją do hysterii.

- Weź się w garść - powiedziała na głos. - Mike próbuje cię odnaleźć. Znajdzie cię. - Czuła niemal namacalnie siłę jego miłości. - Mike, Kocham cię, Mike.

Nie chciała się dłużej przeprowadzać, nawet Donny Rubel o tym wiedział. I spełnił jej życzenie. Kay zorientowała się, że śmieje się na głos - zawodzącym, szlochającym śmiechem, który zamienił się w potok łez.

Płacz przyniósł jej jednak pewną ulgę. Po kilku minutach wytarła twarz grzbietem dłoni i zaczęła czytać.

Wszystkie „książki” były podobne. Codzienne koleje życia w świecie fantazji, zaczętego w wieczór balu absolwentów. Niektóre wpisy stanowi-

ty plany na przyszłość: „Kiedy będziemy razem z Kay, pojedziemy na wędrowną podróż po Kolorado. Będziemy mieszkać w namiocie i wieść surowe życie pod gotym niebem jak nasi przodkowie. Będziemy mieli podwójny śpiwór, a ona będzie leżeć w moich ramionach, ponieważ trochę się boi dzikich zwierząt. Będę ją chronić i pocieszać”. W innych miejscach Donny pisał tak, jakby już byli razem: „Kay i ja mieliśmy wspaniały dzień. Pojechaliśmy do Nowego Jorku, na Port South Street. Kupiłem jej nową bluzkę i niebieskie buty na wysokim obcasie. Kay lubi trzymać mnie za rękę, kiedy spacerujemy. Bardzo mnie kocha i ani przez chwilę nie chce być beze mnie. Postanowiliśmy, że jeśli któreś z nas zachoruje, nie będziemy ryzykować rozdzielenia. Nie boimy się umrzeć razem. Będziemy w niebie przez całą wieczność. Jesteśmy kochankami”.

Niekiedy prawie nie sposób było odcyfrować nieczytelny charakter pisma. Nie zwracając uwagi na coraz silniejszy ból głowy, Kay czytała jeden zeszyt po drugim. Ogrom szaleństwa Donny'ego doprowadził ją na skraj paniki. Czuła, że musi poznać zawartość wszystkich zeszytów do końca. Liczyła, że gdzieś w nich natrafi na coś, co pozwoli jej przekonać go, by ją uwolnił, by zabrał ją do jakiegoś uczęszczanego przez ludzi miejsca. Stale przecież pisał o wspólnych wyprawach.

Od około dziesiątej zaczął dzwonić telefon. Kay słuchała zostawianych Donny'emu wiadomości. Każdy nerw w jej ciele wibrował na dźwięk bezosobowych głosów. „Słuchajcie! - pragnęła krzyknąć. Pomóżcie mi!”.

Usługi naprawcze Donny'ego najwyraźniej cieszyły się dużym wzięciem. Telefon z pizzerii: czy mógłby przyjechać jak najszybciej? Zepsuł się jeden z pieców. Kilka gospodyń domowych pytało, czy mógłby rzucić okiem na telewizor. I magnetowid. Złamała się okienna rama. Mniej więcej co godzinę Donny odsłuchiwał wiadomości, po czym nagrywał swoje: „Kay, kochanie, bardzo mi cię brakuje. Widzisz, jaki jestem zajęty? Dziś rano zarobiłem już prawie dwieście dolarów. Będę mógł ci zapewnić bardzo dobre życie”.

Po każdym telefonie Kay wracała do lektury. We wszystkich zeszytach raz po raz Donny wspominał o swojej matce: „Kiedy miała osiemnaście lat, pozwoliła mojemu ojcu posunąć się za daleko. Zaszła w ciążę i musiała wyjść za mąż. Ojciec ją porzucił, kiedy byłem jeszcze niemowlęciem. Za wszystko ją winił. Nigdy nie będę taki, jak ojciec. Nigdy nie tknę Kay nawet palcem, dopóki nie zostaniemy małżeństwem. Inaczej też mogłaby mnie znienawidzić i czuć niechęć do naszych dzieci”.

Z przedostatniego zeszytu Kay poznała jego plany na przyszłość: „Pewien kaznodzieja powiedział w telewizji, że małżeństwo ma największe

szanse powodzenia, jeśli ludzie znają się przez cztery pory roku, że tak samo jak w naturze coś w ludzkiej duszy potrzebuje tego cyklu. Byłem w klasie Kay jesienią i zimą. Zabiorę ją podczas zjazdu absolwentów, wtedy będzie jeszcze wiosna. Złożymy małżeńskie śluby z Bogiem jako jedynym świadkiem pierwszego dnia lata, w niedzielę, dwudziestego pierwszego czerwca. Potem wyjedziemy w podróż po całym kraju - nas dwoje, kochankowie".

Tego dnia był czwartek, osiemnastego czerwca.

O czwartej po południu zatelefonowano z motelu Garden View. Czy Donny mógłby wpaść tego popołudnia? Nie działało parę telewizorów.

Motel Garden View. Pokój 210. Mike.

Donny zadzwonił kilka minut później.

- Widzisz, o co mi chodziło? - Jego głos zawierał rezonujący, pusty ton. - Mam mnóstwo napraw w motelu. Cieszę się, że zadzwonili. Da mi to szansę dowiedzieć się, czy Mike Crandell zbiera się do wyjazdu. Mam nadzieję, że ćwiczyłaś nasze piosenki. Naprawdę mam ochotę pośpiewać z tobą dzisiaj wieczorem. Na razie do widzenia, kochanie.

Gdy Donny wymawiał imię Mike'a, w jego głosie brzmiał gniew. Boi się, pomyślała Kay. Jeśli cokolwiek popsuje mu szyki, wpadnie w szał. Nie wolno teraz mu się sprzeciwiać. Odstawiła zeszyty na półki i przeszła do pianina. Było beznadziejnie rozstrojone. Z powodu brakujących klawiszy wszystko, co próbowała zagrać, dźwięczało dysonansowymi akordami.

Donny wrócił tuż przed ósmą. Jego twarz przecinały posępne, gniewne bruzdy.

- Crandell nie wraca do domu - powiedział Kay. - Zadaje mnóstwo pytań o ciebie. Rozdaje twoje zdjęcie.

Mike jest wciąż w motelu. Domyślił się, że stało się coś złego. Och, Mike, pomyślała Kay. Znajdź mnie. Pojadę za tobą wszędzie, na jak długo zechcesz. Urodzę ci dziecko w Peorii czy byle gdzie. Czy to ważne, jeśli tylko będziemy razem?

Donny jak gdyby czytał w jej myślach. Stojąc w drzwiach, wlepił w nią wrogie spojrzenie.

- Nie przekonałaś go, kiedy wczoraj do niego dzwoniłaś. To twoja wina, Kay.

Ruszył przez pokój w jej stronę. Odsunęła się jak najdalej na sofie, łańcuch napiął się gwałtownie. Cienka strużka krwi, ciepłej i śliskiej, pociekła po poranionej kostce. Donny to zauważył.

- Och, Kay, widzę, że na pewno cię to boli. - Poszedł do łazienki i wrócił z namoczoną ciepłą ścierką. Delikatnie unióś jej stopę i położył

ją sobie na kolanach. - Zaraz poczujesz się znacznie lepiej - zapewnił ją, owijając ranę ścierką. - Kiedy tylko upewnię się, że znowu się we mnie zakochałaś, zdejmę te kajdany. - Wyprostował się i musnął wargami jej ucho. - Czy możemy nazwać nasze pierwsze dziecko Donald Junior? - zapytał. - Jestem pewny, że to będzie chłopiec.

W czwartek po południu Jimmy Barrott wyprawił się do biura pracodawców Michaela Crandella - firmy inżynierskiej Fields, Warner, Quinlan i Brown. Gdy pokazał odznakę, zaprowadzono go do gabinetu Edwarda Fieldsa, który z zaskoczeniem przyjął wiadomość o zniknięciu Kay Crandell. Nie, nie mieli dzisiaj informacji od Mike'a Crandella, ale nie było w tym nic nadzwyczajnego. Mike i Kay zamierzali wrócić do Arizony samochodem. Mike wziął tydzień urlopu. Mike Crandell? Absolutnie najlepszy pracownik. Najlepszy. W istocie właśnie przegłosowano, że zostanie partnerem w firmie, gdy tylko skończy robotę, jaką miał zacząć w przyszłym miesiącu w Baltimore. Tak, wiedzieli, że Kay denerwowała się ciągłymi przeprowadzkami. Większość żon tak reaguje. Czy Jimmy wie, gdzie zatrzymał się Mike?

Jimmy Barrott ostrożnie odparł, że prawdopodobnie cała sprawa to nieporozumienie. Edward Fields nagle zrobił się bardzo oficjalny.

- Panie Barrott, jeśli to mydlenie oczu, a w rzeczywistości sprawdza pan Mike'a Crandella, niech pan wyświadczy sobie przysługę i nie marnuje czasu - powiedział. - Stawiam na niego reputację własną i firmy.

Jimmy zadzwonił do swojego biura z pytaniem, czy nie ma dla niego wiadomości. Nie zostawiono żadnych, więc pojechał prosto do domu. W lodówce było niewiele jedzenia, toteż postanowił wybrać się do chińskiej restauracji po potrawę na wynos. Zorientował się jednak, że mimowolnie skręcił w kierunku motelu Garden View.

Dojechał tam o wpół do dziesiątej. Od recepcjonistki dowiedział się, że Mike rozdawał fotografie Kay wszystkim pracownikom i wręczył operatorce centrali telefonicznej dwadzieścia dolarów za przekazanie żonie wiadomości, jeśli zadzwoni.

- Ubiegłej nocy nie było tu absolutnie żadnych kłopotów - powiedziała nerwowo recepcjonistka. - Nie mogłam mu zabronić rozdawania zdjęć, ale nie zależy nam na takiej reklamie.

Na prośbę Jimmy'ego pokazała mu jedną z odbitek - powiększenie migawkowego zdjęcia z napisem pod spodem dużymi, czarnymi literami: „Zaginęła Kay Crandell. Może być chora. Ma 32 lata, 164 centymetry wzrostu, waży 57 kilogramów. Znaczna nagroda za informacje o jej

miejscu pobytu". Niżej znajdowało się nazwisko Mike'a i numer telefonu do motelu.

O dziesiątej Jimmy zastukał do drzwi pokoju 210. Otworzono je szarpnięciem; detektyw dojrzał wyraz zdecydowanego zawodu na twarzy Mike'a, gdy ten ujrzał, kto do niego zawitał. Jimmy niechętnie przyznał w duchu, że Crandell wygląda na bardzo zmartwionego. Miał wymiętoszone ubranie, jakby robił sobie co najwyżej krótkie drzemki. Jimmy minął go pewnym krokiem i zobaczył na stole stertę powielonych zdjęć Kay.

- Gdzie pan rozdawał je do tej pory? - spytał.

- Przeważnie w motelu. Jutro zamierzam rozwieźć je po dworcach kolejowych i autobusowych w okolicy oraz prosić ludzi, by wywieszali je witrzynach sklepów.

- Niczego się pan nie dowiedział? - Mike się zawahał. - A więc coś pan usłyszał - powiedział za niego Jimmy Barrott. - Co takiego?

- Nie byłem pewien, czy telefonistka będzie pamiętać o mojej prośbie. - Crandell wskazał aparat. - Dziś po południu podłączyłem do niego magnetofon. Kay zadzwoniła, kiedy wyszedłem po hamburgera. Musiało być około wpół do ósmej.

- Zamierzał mnie pan o tym zawiadomić?

- Dlaczego miałbym to robić? - spytał Mike. - Dlaczego miałby się pan przejmować... jak pan to nazwał, rodzinnym nieporozumieniem? - W jego głosie brzmiała lekka nuta hysterii.

Jimmy Barrott podszedł do magnetofonu, przewinął taśmę i włączył odtwarzanie. Rozległ się ten sam głos, który słyszeli poprzedniego wieczora: „Mike, mam naprawdę dość. Wracaj do domu i nie rozdawaj moich zdjęć. To upokarzające. Jestem, gdzie jestem, bo tak chciałam". Następnie rozległ się dźwięk odkładanej słuchawki.

- Moja żona ma delikatny, miły głos - odezwał się Mike. - Tutaj słyszę tylko stres, nic więcej. Niech pan nie zwraca uwagi na to, co powiedziała.

- Niech pan posłucha - odrzekł Jimmy uprzejmym jak na siebie głosem. - Kobiety nie porzucają małżeństwa nie będąc w stresie, coś o tym wiem. Nawet moja pierwsza żona płakała na rozprawie rozwodowej, a była już w ciąży z innym facetem. Rozmawiałem z ludźmi, u których pan pracuje. Mają o panu wspaniałe zdanie. Dlaczego nie wróci pan do pracy i nie uzna się za szczęściarza? Ta damulka nie jest tego warta.

Zobaczył, że twarz Mike'a pobladła.

- Dzwoniono do mnie z biura - powiedział Crandell. - Zaproponowałam, że wynajmą dla mnie prywatnego detektywa. Może się na to zgodzę.

Jimmy Barrott pochylił się i wyjął kasetę z magnetofonu.

- Może mi pan podać nazwisko kogoś, kto potrafiłby zidentyfikować głos pańskiej żony? - spytał.

Przez całą noc Mike siedział z głową w dłoniach. O wpół do siódmej opuścił motel i ruszył w objazd po dworcach kolejowych i autobusowych w sąsiednich miasteczkach. O dziewiątej dotarł do szkoły Garden State. Rozpoczęły się już wakacje, ale administracja jeszcze pracowała. Mike^ zaprowadzono do gabinetu dyrektora, Gene'a Pearsona. Ten wysłuchał go uważnie, ze zmarszczonymi brwiami i namysłem malującym się na szczupłej twarzy.

- Dobrze przypominam sobie pańską żonę - stwierdził. - Powiedziałem jej, że jeśli kiedykolwiek zechce tu znów pracować, ma to zapewnione. Z tego, co mówili mi wszyscy absolwenci, była naprawdę bardzo dobrą nauczycielką.

Zaproponował Kay pracę. Czy skorzystała z jego oferty?

- Jak na to zareagowała?

- Prawdę mówiąc, powiedziała: „Niech pan uważa, mogę skorzystać z tej propozycji”. - Pearson zmrużył oczy; nagle stał się oficjalny. - Pannie Crandell, rozumiem pańską troskę, lecz nie bardzo wiem, jak mógłbym panu pomóc.

Wstał.

- Na zjeździe na pewno robiono zdjęcia - powiedział błagalnym tonem Mike. - Macie fotografa?

- Tak.

- Niech pan mi powie, jak się nazywa. Muszę natychmiast dostać komplet odbitek. Nie może mi pan tego odmówić.

Następnym przystankiem na drodze Mike'a okazał się zakład fotograficzny przy Center Street - sześć przecznic od szkoły. Tutaj przynajmniej jedynym problemem były pieniądze. Mike złożył zamówienie i wrócił do motelu odsłuchać wiadomości. O wpół do dwunastej zajechał z powrotem do fotografa, który wykonał dla niego serię odbitek ze wszystkich klisz, jakie zużył na zjeździe absolwentów. Fotografii było łącznie ponad dwieście.

Ze zdjęciami pod pachą Mike pojechał do domu Virginii O'Neil.

Przez całą czwartkową noc Kay leżała bezsennie na garbatym materacu, przykrytym szorstkim, nowym prześcieradłem. Przepelniało ją uczucie, że emocje porywacza narastają do punktu grożącego eksplozją. Gdy już nagrała wiadomość dla Mike'a, zrobiła Donny'emu

kolację. Przywiózł puszki wołowiny, mrożone warzywa i wino. Spełniała jego polecenia, udając, że miło jest jej przyrządzać razem z nim jedzenie.

Przy kolacji nakłoniła go do mówienia o sobie i jego matce. Pokazał jej zdjęcie szczupłej blondynki po czterdziestce w bikini odpowiednim dla nastolatki. Kay i matkę Donny'ego łączyło zdecydowane podobieństwo. Były jednego typu, jeśli chodzi o wzrost, kolor włosów i rysy twarzy, w obrębie tego typu dzielił je jednak dystans jak od A do Z.

- Wyszła ponownie za mąż siedem lat temu - powiedział pozbawionym wyrazu tonem Donny. - Facet pracuje w jednym z kasyn w Las Vegas. Jest od niej znacznie starszy, ale jego dzieci szaleją na jej punkcie. Są w jej wieku. - Donny wyciągnął kolejne zdjęcie dwóch mężczyzn po czterdziestce, obejmujących jego matkę. - Ona również za nimi szaleje. - Skierował uwagę najedzenie na swoim talerzu. - Bardzo dobrze gotujesz, Kay. Podoba mi się to. Moja matka nie lubiła gotować i przeważnie dostawałem wyłącznie kanapki. Rzadko bywała w domu.

Po kolacji Kay zagrała na pianinie i śpiewała razem z Donnym. Pamiętał słowa wszystkich piosenek, które ćwiczyli w szkolnym chórze. Pozwolił otworzyć okiennice, by wpuścić chłodne nocne powietrze. Najwyraźniej nie obawiał się, że ktokolwiek ich usłyszy. Zapytała go o to.

- Nikt tu już nie przyjeżdża - wyjaśnił. - W jeziorze nie ma ryb i jest zbyt zanieczyszczone, by w nim pływać. Wszystkie inne domy po prostu się rozlatują. Jesteśmy tu bezpieczni, Kay.

Kiedy uznał, że nadszedł czas spać, zdjął jej łańcuch z nogi i znowu zaczekał pod drzwiami łazienki. Gdy wyszła spod prysznica, usłyszała otwierające się drzwi, kiedy jednak je zatrzasnęła, nie próbował uchylić ich ponownie.

- Co chcesz na ślubną kolację, Kay? - zapytał Donny, gdy pośpiesznie przechodziła do sypialni. - Powinniśmy zaplanować coś specjalnego.

Udała, że poważnie zastanawia się nad tym pytaniem, po czym potrząsnęła głową.

- Absolutnie nie mogę robić jakichkolwiek planów ślubnych, dopóki nie będę miała białej sukni - oświadczyła zdecydowanie. - Będziemy musieli zaczekać.

- O tym nie pomyślałem, Kay - odpowiedział, gdy okrywał ją kocem, po czym zapiął łańcuch na jej kostce.

Tej nocy zapadała w sen i ponownie się budziła. Za każdym razem, gdy odyskiwała świadomość, widziała stojącego w nogach łóżka i wpa-



trującego się w nią Donny'ego. Otwierała oczy i na siłę je zamykała, wiedziała jednak, że go tym nie oszuka. Mętne światło, palące się wciąż w saloniku, padało na poduszkę.

- Wszystko w porządku, Kay. Wiem, że nie śpisz. Mów do mnie, kochanie. Zimno ci? Za kilka dni, kiedy zostaniemy już małżeństwem, będę cię ogrzewał.

O siódmej przyniósł jej kawę. Wsparła się na łokciach, uważając, by prześcieradło i koc nie wysunęły się jej spod ramion. Jej mruknięcie podzięki stłumił pocałunkiem.

- Nie będę pracował przez cały dzień - oznajmił. - Przez całą noc zastanawiałem się nad tym, co mówiłaś że nie masz sukni na nasz ślub. Dzisiaj ci ją kupię.

Kubek z kawą w jej dłoni zaczął drżeć. Z wielkim wysiłkiem Kay zdołała się opanować. Mogła to być jej jedyna szansa.

- Przepraszam, Donny - powiedziała. - Naprawdę nie chcę wyjść na niewdzięcznicę, ale ubrania, które mi kupiłeś, niezbyt dobrze pasują. Każda kobieta chce sama sobie wybrać suknię ślubną.

- Nie zastanawiałem się nad tym - odrzekł i na jego twarzy znów pojawił się wyraz zastanowienia i dezorientacji. - To znaczy, że będę cię musiał zabrać do sklepu. Nie jestem pewny, czy mam na to ochotę, ale zrobię wszystko, żebyś była szczęśliwa.

W piątek rano o wpół do siódmej Jimmy Barrott zrezygnował z prób zaśnieć i poczłapał do kuchni. Zaparzył sobie dzbanek kawy, znalazł na stole długopis i zaczął spisywać uwagi na odwrocie koperty.

1. Czy to Kay Crandell telefonowała? Poprosić Virginię O'Neil, żeby zidentyfikowała głos.

2. Jeśli mówiła Kay Crandell, sprawdzić poziom stresu w laboratorium.

3. Jeśli istotnie telefonowała Kay Crandell, wiedziała o plakatach w kilka godzin po tym, gdy Mike Crandell zaczął rozdawać je w motelu. Jak się o nich dowiedziała?

Ostatnie pytanie przegoniło resztki senności z mózgu Jimmy'ego. Czyżby był to jakiś obłądny szwindel, wysmażony przez Mike'a i Kay Crandellów?

O dziesiątej trzydzieści Jimmy stał się z konieczności partnerem do rzucania i łapania piłki dla dwuletniego Kevina O'Neila. Cisnął piłkę

chłopczykowi, który schwycił ją jedną dłonią, gdy jednak Kevin ją odrzucił, zawołał „skrzucha!”. Jimmy nie zdołał jej złapać, chociaż nie powinien mieć z tym żadnego kłopotu.

- Woła „skrzucha”, kiedy chce, aby komuś coś się nie powiodło - wyjaśniła Virginia. Zidentyfikowała głos Kay bez najmniejszych wątpliwości. Tyle tylko, że ona tak normalnie nie mówi - dodała. - Panna Wesley - to znaczy pani Crandell - och, rany, stale mi powtarzała, żebym jej mówiła Kay... Kay mówi bardzo melodyjnie. Zawsze ciepło i pogodnie. To jej głos, ale to nie jej sposób mówienia.

- Gdzie jest pani mąż? - zapytał Jimmy.

- W pracy - odrzekła Virginia ze zdumioną miną. - Pracuje w firmie handlowej.

- Jest pani szczęśliwa?

- Oczywiście, że jestem szczęśliwa - odparła lodowatym tonem Virginia. - Można wiedzieć, dlaczego pan pyta?

- Jak by pani mówiła, gdyby zostawiała pani męża i dzieci? Byłaby pani zestresowana?

Virginia pochwyciła Kevina moment przedtem, zanim wpadł na swoją bliźniaczkę.

- Gdybym miała zostawić swojego męża, detektywie, usiadłabym naprzeciwko niego przy stole i oznajmiłabym mu, kiedy i dlaczego go opuszczam. I chce pan coś wiedzieć? Kay Wesley Crandell postąpiłaby dokładnie tak samo. W oczywisty sposób rzutuje na pana opinię o niej to, co pan sam sądzi o zachowaniu kobiet. Jeśli nie ma pan więcej żadnych pytań, to jestem bardzo zajęta.

Wstała.

- Pani O'Neil, rozmawiałem z Mikiem Crandellem tuż przed przyjazdem tutaj - odezwał się Barrott. - Dowiedziałem się, że zamówił skopiowanie zdjęć robionych na zjeździe i około południa przyjedzie z nimi do pani. Do tego czasu niech pani postara się przypomnieć sobie, czy Kay chodziła na randki z kimś z tych stron. Albo niech mi pani poda nazwiska nauczycieli, z którymi się przyjaźniła.

Młoda kobieta rozdzieliła bliźnięta, które walczyły teraz o jedynego pluszowego misia w pokoju. Jej nastawienie uległo wyraźnej zmianie.

- Zaczynam pana lubić, detektywie - powiedziała.

Jadącemu do Virginii O'Neil ze stertami zdjęć ze zjazdu absolwentów Mike'owi przysłała do głowy ta sama myśl, co Jimmy'emu Barrotto- wi: Kay wiedziała już po kilku godzinach, że mąż pokazuje jej zdjęcie w motelu.

Gdy Virginia otworzyła drzwi, znajdował się w stanie niemal hysterii. Widok posępnej twarzy Jimmy'ego Barrotta spowodował jeszcze silniejsze naciągnięcie napiętych drutów, w które zmieniły się nerwy Mike'a.

- Co pan tu robi? - prawie wyrzyczał pytanie.

Zdał sobie sprawę, że gospodyni położyła mu dłoń na ramieniu i tego, że w domu zdawała się panować nienaturalna cisza.

- Mike - odezwała się Virginia. - Detektyw Barrott chce ci pomóc. Przyjechało też parę innych dziewczyn z naszej klasy. Zrobiliśmy trochę kanapek i razem obejrzymy zdjęcia.

Po raz drugi w ciągu dwóch dni Mike poczuł wzbierające w oczach łzy. Tym razem zdołał powstrzymać się od płaczu. Został przedstawiony pozostałym młodym kobietom: Margery, Joan i Doty. Wszystkie chodziły do szkoły Garden State wtedy, gdy uczyła w niej Kay. Usiadły razem i zaczęły studiować przywiezione przez Mike'a fotografie.

- To Bobby... mieszka w Pleasantwood. Na tym zdjęciu Kay rozmawia z Johnem Durkinem. Jest z nim żona. A to...

Jimmy Barrott przykleił taśmą fotografie do tektury wielkości plakatu, zaznaczył numery przy głowach kolejnych postaci i poprosił kobiety, by zidentyfikowały wszystkich, których znały. Wkrótce stało się oczywiste, że w otaczających Kay grupkach było zbyt wiele osób, których nie potrafiły rozpoznać.

- Przykro mi, ale do niczego nie dochodzimy - uznał detektyw o trzeciej. - Wiem, że szkoła ma nowego dyrektora. Nie zdoła nam pomóc, ale czy nie znajdzie się jakiś nauczyciel, który pracuje tu wystarczająco długo, by pomóc zidentyfikować dawnych uczniów, których wy nie znacie?

Virginia i jej przyjaciółki wymieniły długie, poważne spojrzenia.

- Marian Martin - odpowiedziała w końcu w ich imieniu Virginia. - Pracowała w Garden State High od dnia, kiedy otwarto szkołę. Dwa lata temu przeszła na emeryturę. Mieszka teraz w Lichtfield w Connecticut. Miała przyjechać na zjazd, ale przeszkodziły jej inne zobowiązania, z których nie mogła zrezygnować.

- Właśnie kogoś takiego potrzebujemy - powiedział Jimmy Barrott. - Czy którakolwiek z pań ma jej adres lub numer telefonu?

Otwierając sklep sieci Clothes Cartel w Pleasantwood w New Jersey, Vina Howard zrealizowała ambicję całego życia. Była asystentką akwizytora w firmie J. C. Penney przed małżeństwem, które okazało się jednym ciągłym niepowodzeniem. Gdy po osiemnastu latach wreszcie opuściła Nicka Howarda, wróciła do rodzinnego domu na czas, by zaopiekować

się dwojgiem starzejących się rodziców podczas ciągu udarów i ataków serca. Po ich śmierci Vina sprzedała rodzinny dom, kupiła niewielki segment w szeregowcu i zrealizowała pielęgnowane w sercu marzenie o otwarciu sklepu z ubraniami, nastawionego na nowoczesne mieszkancki przedmieść, niemogące szastać pieniędzmi. Dla rozszerzenia oferty po namyśle uzupełniła asortyment o stroje, mogące przypaść do gustu nastoletniej córce nowoczesnej mieszkanki przedmieścia. Okazało się to wszakże pomyłką, która codziennie budziła jej rozdrażnienie.

W piątkowy poranek dziewiętnastego czerwca Vina wyrównywała sukienki na stojakach, przecierała taflę szkła nad ladą z biżuterią oraz przesuwiała odrobinę tam i z powrotem krzesła obok małej, zasłanianej przymierzalni.

- Straszne dziewczuchy - mrucała przez cały czas do siebie. - Pakują się do środka i mierzą wszystko, co popadnie. Świnią kołnierzyki makiżajem. Wszystko zostawiają na podłodze. Ostatni sezon sprzedają cokolwiek tym flejtuchom.

Vina miała autentyczne powody do zdenerwowania. Właśnie wyłożyła miniaturową przymierzalnię drogą tapetą, a jakaś bezczelna szczeniara zasmarowała całą ścianę standardowymi brzydkimi słowami. Vina zdołała je wreszcie zetrzeć, tapeta była jednak poplamiona i podarta.

Mimo to dzień zaczął się dość przyjemnie. Do wpół do jedenastej, kiedy przychodziła jej pomocnica Edna, w sklepie panował ruch, a kasa bez przerwy brzękała.

Kwadrans po trzeciej nastąpił zastój, więc Vina i Edna zdołali wypić w spokoju po filiżance kawy. Edna obiecała, że jej mąż na pewno zaklei resztą tapety zniszczoną ścianę w przymierzalni. Wyraźnie rozpogodzona Vina uśmiechnęła się ciepło, a w tej samej chwili drzwi do sklepu się otworzyły i do środka weszła para klientów: ładna młoda kobieta w wieku około dwudziestu sześciu czy ośmiu lat, w taniej koszulce z krótkimi rękawami, w towarzystwie wychudzonego mężczyzny mniej więcej w tym samym wieku, obejmującego ją ciasno ramieniem. Ciemnorude włosy mężczyzny wyglądały, jakby właśnie wyszedł od fryzjera; oczy barwy chińskiej porcelany błyszcząły. Obydwoje wyglądają na trochę nieobecnych duchem, pomyślała Vina i jej uśmiech przygasł. Ostatnio w tych okolicach doszło do serii rabunków, dokonanych przez narkomanów.

- Chcemy kupić długą, białą suknię - powiedział mężczyzna. - Rozmiar osiem.

- Sezon balów absolwentów się skończył - odrzekła zaniepokojona Vina. - Mam mały wybór długich sukni.

- Chodzi o taką, która nadałaby się na ślub.
- Ma pani na myśli jakiś konkretny styl? - zwróciła się Vina bezpośrednio do kobiety.

Kay rozpaczliwie starała się wymyślić sposób, by zasygnalizować sprzedawczyni swoje położenie. Kątem oka dostrzegła, że kasjerka wyczuła coś dziwnego w nich obojgu. Może chodziło o wściekle rudą perukę? Kay wiedziała również, że Donny trzyma prawą rękę w kieszeni na rękojeści pistoletu i najmniejsze staranie, by zwrócić na siebie uwagę tych kobiet, oznacza dla nich wyrok śmierci.

- Coś z bawełny - powiedziała. - Macie coś azurowego? A może gładki dżersej? - Wypatrzyła zasłoniętą przymierzalnię. Musiała tam wejść sama, żeby się przebrać... Może zdoła zostawić jakąś wiadomość. Im więcej sukienek będzie przymierzała, tym więcej czasu zyska.

Ale w sklepie była tylko jedna biała azurowa suknia.

- Bierzemy - oświadczył Donny.
- Chcę ją przymierzyć - sprzeciwiła się zdecydowanie Kay. - Tam jest przymierzalnia - dodała, wskazując ją. Podeszła i odciągnęła zasłonkę. - Widzisz?

W środku ledwie mieściła się jedna osoba. Zasłonka nie sięgała podłogi.

- No dobrze, możesz ją przymierzyć - zgodził się Donny. - Zaczekam na zewnątrz. - Zdecydowanie odrzucił propozycję Viny, że pomoże Kay. - Proszę jej tylko podać suknię.

Kay ściągnęła z siebie błyskawicznie koszulkę i spódnicę i gorączkowo rozejrzała się po małym pomieszczeniu. Na wąskiej półeczce stało pudełko ze szpilkami, nie było jednak krawieckiego ołówka. Nie miała jak zostawić wiadomości. Tapeta na jednej ścianie była podarta i poplamiona. Kay spróbowała wydrapać po przeciwnej stronie słowo „Pomocy”. Szpilka okazała się jednak za cienka i nie można było szybko nią poruszać. Zdołała wyskrobać duże, nierówne „P”.

- Pośpiesz się, kochanie.
- Odsunęła zasłonkę.
- Nie mogę dosięgnąć guzików na plecach - powiedziała do sprzedawczyni.

Zapinając guziki sukni, Vina nerwowo spojrzała na kasę. Edna nieznacznie pokręciła głową, dając w ten sposób do zrozumienia, że szefowa powinna pozbyć się tej pary.

Kay przyjrzała się sobie w sięgającym podłogi lustrze.

- Chyba nie najlepiej pasuje - powiedziała. - Macie coś innego?

- Weźmiemy tę - przerwał jej Donny. - Pięknie w niej wyglądasz. - Wyciągnął plik banknotów. - Pośpiesz się, kochanie, bo się spóźnimy - rozkazał.

W przebiegłości Kay wysunęła się z sukni, podała ją przez zasłonkę, naciągnęła spódnice i koszulkę, po czym chwyciła kolejną szpilkę. Udawała, że jedną ręką poprawia włosy, natomiast drugą starała się wydrapać „O” na tapecie, ale okazało się to niemożliwe. Odwróciła się na pięcie, gdy usłyszała, że Donny odciąga zasłonę.

- Dlaczego się nie pośpieszysz, kochanie? - zapytał.

Kay zasłaniała plecami miejsce, w którym pisała. Nadal przeczesywała palcami włosy, jakby chciała je przygładzić. Niepostrzeżenie upuściła szpilkę i patrzyła, jak Donny czujnie omiół wzrokiem miniaturową przymierzalnię. Potem, najwidoczniej usatysfakcjonowany, ujął Kay pod ramię i niosąc pudło pod pachą, wyprowadził ją ze sklepu.

Marian Martin właśnie skończyła sadzić nowe azalie, gdy dzwonek telefonu przywołał ją do domu. Była wysoką, sześćdziesięciosiedmioletnią kobietą o szczupłym, wygimnastykowanym ciele, krótko przyciętych, wijących się wokół twarzy włosach, żywych brązowych oczach i uprzejmym, rzeczowym sposobie bycia. Przez dwa lata od przejścia na emeryturę ze stanowiska konsultantki dla młodzieży w szkole Garden State i przeprowadzki do miasteczka w Connecticut z radością oddała się pasji, na którą nigdy wcześniej nie miała czasu. Obecnie angielski ogród był jej nieskrywaną dumą. Telefon w to piątkowe popołudnie nie był więc mile widzianą atrakcją. Nim jednak Marian skończyła słuchać Virginii O'Neil, zapomniała o nieposadzonych daliach.

Kay Wesley, pomyślała. Urodzona nauczycielka. Zawsze chciała zajmować się dziećmi, które nie radziły sobie najlepiej. Wszyscy uczniowie za nią szaleli. Kay, która zaginęła.

- Mam parę spraw do załatwienia - powiedziała Virginii. - Do szóstej zdążę jednak ruszyć w drogę. Powinna mi zająć mniej więcej dwie godziny. Trzymajcie te zdjęcia na podorędziu. Nie ma ucznia Garden State High, którego twarzy bym nie poznała.

Gdy Marian odłożyła słuchawkę, przyszła jej do głowy Wendy Fitzgerald, uczennica ostatniej klasy szkoły, która przed dwudziestu laty zaginęła podczas szkolnego pikniku. Okazało się, że została zamordowana przez Rudy'ego Klugera, woźnego. Rudy pewnie mniej więcej w tym czasie wychodził z więzienia. Marian zaschło w ustach. Tylko nie to, proszę, pomyślała.

Za kwadrans szóstą wrzuciła na tył wozu torbę z rzeczami potrzebnymi do przenocowania i ruszyła w drogę do New Jersey. Jej myśli wypełniały wspomnienia owych strasznych dni od zgłoszenia zaginięcia Wendy Fitzgerald do znalezienia jej ciała. Marian tak bardzo pograżyła się w posępnych rozmyślaniach o Rudym, że zepchnęła głęboko w podświadomość przelotne uczucie, że uchodzi jej coś ważnego, co wiązało się z Kay.

Virginia odłożyła słuchawkę.

- Panna Martin powinna być tu około ósmej - powiedziała.

- Muszę sprawdzić, co słychać w biurze. Jimmy Barrott odepchnął się z krzesłem. - Jeśli ta dama coś - cokolwiek - wymyśli, proszę zadzwonić pod ten numer. W przeciwnym razie przyjadę tu rano.

Podał Virginii wizytówkę z nieco pozaginanymi rogami. Pozostałe młode kobiety również wstały. One także zamierzały wrócić tu rano, żeby pozostanawiać się wspólnie z Marian Martin.

- Porozwożę jeszcze trochę ulotek. - Mike wstał. - Potem wrócę do motelu. Zawsze jest szansa, że Kay zadzwoni jeszcze raz.

Tym razem Mike przyczepiał fotografie żony na słupach telefonicznych na głównych ulicach miasteczek, przez które przejeżdżał, oraz w największych centrach handlowych w tej okolicy. W Pleasantwood niemal wpadł na furgonetkę, która minęła go pędem, kiedy wjeżdżał na publiczny parking. Cholerny głupiec, pomyślał Mike. Jeszcze kogoś zabije.

Donny zaparkował furgonetkę na publicznym parkingu za budynkiem Clothes Cartel. Kiedy wyszli ze sklepu, obejmował ciasno ramieniem Kay, aż dotarli do samochodu. Następnie otworzył boczne drzwi i pchnął ją do przodu. Gorączkowo oglądała się na krępego młodego mężczyznę, usiłującego uruchomić swój samochód dwa miejsca dalej. Przez chwilę zdołała nawiązać z nim kontakt wzrokowy, ale poczuła przyściśnięty do boku koniec lufy pistoletu.

- Na tyle tamtego wozu siedzi małe dziecko, Kay - powiedział cicho Donny. - Odezwij się tylko, a facet i dzieciak zginą. - Poczuła, że jej nogi zamieniły się w gumę, gdy wsiadała do furgonetki. - Weź paczkę, kochanie - dodał głośno.

Przyglądał się, jak samochód ich mija, po czym wskoczył do furgonetki i zatrzasnął za sobą drzwi.

- Chciałaś dać znak tamtemu facetowi, Kay - syknął.

Wepchnął jej w usta okropnie duży knebel. Nie zwracał uwagi, że sprawia Kay ból, gdy zatrzaskiwał kajdanki na jej nadgarstkach, spętał

nogi i przeciągnął między nimi kawałek łańcucha. Cisnął pudło na pryczę obok niej.

- Przypomnij sobie lepiej, dlaczego kupiliśmy tę suknię, Kay, i nie rób min do obcych mężczyzn.

Uchylił odrobinę drzwi, rozejrzał się, po czym rozsunał je nieco szerzej i wyslizgnął się na zewnątrz. W chwili gdy do wnętrza furgonetki wpadło światło, wzrok Kay spoczął na długim, cienkim przedmiocie na podłodze pod ławą roboczą.

Śrubokręt.

Gdyby go zabrała, może zdołałaby odkręcić metalową płytę ze ściany w domku Donny'ego. Zyskałaby szansę na ucieczkę, w czasie gdy pracował.

Furgonetka wyrwała do przodu. Donny najwidoczniej był na krawędzi załamania, skoro jechał tak prędko. Proszę, niech go zobaczy policja, modliła się Kay. Po chwili jednak furgonetka zwolniła. Na pewno Donny zdał sobie sprawę, że prowadzi za szybko.

Kay obróciła się na bok, powoli opuściła skute ręce i wyciągnęła palce w stronę śrubokrętu. Łzy gniewu i zawodu zamgłiły jej pole widzenia. Ze zniecierpliwieniem potrząsnęła głową, by się ich pozbyć. W niemal całkowitych ciemnościach ledwie mogła dostrzec długi, cienki zarys narzędzia, jednak mimo desperackich starań i bólu ocieranych przez kajdanki nadgarstków nie mogła go osiągnąć.

Przetoczyła się na plecy i podciągnęła ręce, aż spoczęły na jej kolanach. Prycza zaskrzypiała, gdy Kay usiadła, spuściła nogi i wysunęła się jak najdalej, sięgając stopami w stronę śrubokrętu. Był ze dwa centymetry poza jej zasięgiem. Nie zwracając uwagi na przeszywający ból od wrzynających się w kostki oków, wystawiła jeszcze dalej noski sandałów, aż zdołała ścisnąć narzędzie między podszewkami. Przyciągnęła śrubokręt bliżej i wreszcie znalazł się tuż obok niej. Przewróciła się na plecy i znów wyciągnęła ręce nad krawędzią pryczy ku podłodze. Posiniaczone ciało wysyłało gniewne sygnały bólu, których jednak nie czuła - bowiem dosięgła palcami rączki śrubokrętu, zacisnęła je na niej, podniosła go... nareszcie trzymała go w dłoniach.

Przez chwilę odpoczywała, dysząc z wysiłku i radując się zwycięstwem. Zacisnęła palce na narzędziu jeszcze silniej, gdy do głowy przyszła jej nowa myśl. Jak przemycić go do domu? Nie miała go gdzie ukryć przy sobie. Tania koszulka z krótkimi rękawami była zbyt obcisła, bawełniana spódnica pozbawiona kieszeni, a sandały nie miały nosków.

Dotarli już prawie do domku na polanie. Kay czuła podskakiwanie i kołysanie furgonetki na krętej, bitej drodze. Pudło z suknią przewróci-



•o się na bok i szturchnęło ją w ramię. Pudło z suknią! Ekspedientka związała sznurek na podwójny węzeł, więc Kay nie miała szans go rozwiązać, ale ostrożnie wsunęła dłoń między pokrywę i dno pudła, a potem powoli przełożyła śrubokręt przez powstałą szczelinę. Poczuela, że tektura naddarła się z tego boku.

Furgonetka stanęła. Kay rozpaczliwie wepchnęła śrubokręt głębiej, starając się wsunąć go między fałdy sukni. Zdołała przewrócić pudło na bok, nim drzwi się rozsunęły.

- Jesteśmy w domu, Kay - oznajmił zimnym tonem Donny.

Wszystkie zmysły podpowiadały Kay, że musi go w jakiś sposób uspokoić.

- Jesteś pewnie głodny - zauważyła. - Od wielu godzin nic nie jadłeś. - Gdy o pierwszej wrócił do domu, podała mu obiad, był jednak zbyt podniecony, żeby jeść. - Zrobię ci kanapkę, napij się lemoniady - zaproponowała. - Potrzebujesz tego.

Rzucił pudło z suknią na sofę i popatrzył na Kay.

- Powiedz mi, jak bardzo mnie kochasz - rozkazał.

Miał rozszerzone źrenice, zaciskał dłonie na jej nadgarstkach silniej, niż wcześniej obejmowały je kajdanki. Z jego ust wydobywał się przyśpieszony, nierówny oddech. Przestraszona Kay cofała się, aż szorstki welur sofy dotknął jej nóg. Miała wrażenie, jakby Donny rozlaził się w szwach. Zorientowałby się natychmiast, gdyby próbowała uspokoić go kłamstwami. Zamiast tego powiedziała zdecydowanym tonem:

- Donny, chcę usłyszeć coś więcej o tym, dlaczego ty mnie kochasz. Twierdzisz, że tak jest, lecz stale się na mnie złościsz. Jak mogę ci wierzyć? Poczytaj mi jedną z twoich książek, a ja zrobię nam coś do zjedzenia. - Zmusiła się do mówienia zimnym, autorytatywnym tonem. - Donny, masz mi natychmiast poczytać.

- Oczywiście, proszę pani. - Z jego głosu znikła nuta gniewu; stał się dla odmiany wysoki, niemal dziecinny. - Najpierw jednak muszę odsłuchać wiadomości.

Kiedy odjeżdżali, zostawił telefon na stoliku przy sofie. Teraz wyjął z kieszeni notes oraz ołówek i nacisnął klawisz odtwarzania. Nagrały się trzy wiadomości. Jedna ze sklepu żelaznego: Czy Donny mógłby jutro wpaść? Ich konserwator miał zwolnienie lekarskie. Drugi telefon był z motelu Garden View: potrzebowali dodatkowej pomocy przy instalowaniu sprzętu elektronicznego przed jakimś seminarium. Chciano, żeby pracował przez cały wieczór.

Ostatni telefon był od najwyraźniej starszego człowieka. W jego urywanym głosie słychać było świstanie, gdy mężczyzna się przedstawiał: Clarence Gerber. Czy Donny mógłby wpaść do niego i rzucić okiem na toster? Nie chciał grzać, a żona przypalała chleb za każdym razem, kiedy próbowała robić grzanki w piecyku. Rozległ się pełen wysiłku śmiech, a po nim słowa: „Wciśnij nas na pierwsze miejsce swojej listy, Donny. Zadzwoń i daj znać, kiedy przyjedziesz”.

Donny odłożył notes, przewinał taśmę i tym razem stanął na sofie, by schować aparat do drucianej klatki.

- Nie znoszę tego starego piernika Gerbera - powiedział do Kay. - Nieważne, ile razy powtarzam mu, żeby tego nie robił, kiedy coś dla niego naprawiam, pakuje się do furgonetki i brzęczy mi nad uchem. I tak najpierw muszę pojechać do motelu. Zapłacą mi od ręki. Zaoszczędziłem dla nas mnóstwo pieniędzy, Kay. - Zszedł z sofy. - Teraz ci poczytam. Pokaż mi, których książek jeszcze nie widziałś.

- „Od pierwszego dnia w chórze, gdy Kay położyła mi dłonie na piersi i powiedziała, żebym śpiewał, poczułem, że łączy nas coś pięknego i wyjątkowego” - zaczął czytać, popijając lemoniadę. Uspokoił się, gdy wspominał, ile razy dzwoniła do niego i prosiła, by do niej przyszedł. Siedząc naprzeciwko niego, Kay niemal nie mogła przełknąć. Raz po raz powtarzał, jak byłby szczęśliwy, mogąc umrzeć wraz z nią, jak wspaniale byłoby zginąć, broniąc swego prawa do niej. Uśmiechnął się, gdy skończył czytać. - Och, byłbym zapomniał - powiedział. Zdjął kędzierzawą rudą perukę, kryjącą przeredzone, brązowe włosy, pochylił się i po raz pierwszy wyjął niebieskie soczewki kontaktowe. Ujrzała jego własne tęczówki, barwy mętnego brązu, nakrapiane nierównymi zielonymi plamkami. - Czy kochasz mnie najbardziej, kiedy jestem prawdziwym sobą? - zapytał. Nie czekając na odpowiedź, obszedł stół i podniósł Kay na chwilę do góry. Muszę jechać do motelu. Zostawię cię w saloniku, Kay.

W sklepie Clothes Cartel Vina Howard i jej pomocnica Edna spędziły pięć minut na komentowaniu zachowania pary, która kupiła białą ażurową suknię.

- Przysięgłabym, że obydwoje byli naćpani - powiedziała Edna. - Posłuchaj, obydwie się zgodziłyśmy, że ta suknia to niewypał. Miałaś obniżyć jej cenę, prawda? A dostałaś za nią tyle, ile chciałaś na początku. Na dodatek w gotówce!

Vina przyznała jej rację.

- Nadal uważam, że ten facet wyglądał dziwacznie. Jestem gotowa przysiąc, że farbuje włosy.

Otworzyły się drzwi i weszła nowa klientka. Vina pomogła wybrać jej kilka spódnic, po czym zaprowadziła kobietę do przymierzalni. Wybuch rozdrażnienia właścicielki sklepu zaskoczył zarówno Ednę, jak i kupującą.

- Patrzcie! - zawołała, drżącym palcem pokazując nierówne „P” na ścianie. - Była jeszcze gorsza od niego! - prychnęła. - Teraz nie wystarczy nam tapety, żeby pokryć obie ściany. Szkoda, że nie mogę dostać jej w swoje ręce.

Nawet współczujące westchnienia klientki i powtórna uwaga Edny, że Vina sprzedała ażurową suknię za pełną cenę, nie zdołały uspokoić wzburzenia właścicielki sklepu.

W Vinie nadal się wszystko gotowało - do tego stopnia, że o szóstej, gdy zamknęła sklep i ruszyła do znajdującego się w odległości trzech przecznic domu, popatrzyła prosto na wiszący na słupie telefoniczny plakat i do jej świadomości nie dotarło, że kobieta, której twarz ma przed sobą, jest tym samym podłym stworzeniem, które zniszczyło resztę jej tapety.

Dochodziła dziewiąta, gdy Mike wrócił do motelu Garden View. Noc zrobiła się gorąca i parna, krople potu pokryły mu czoło natychmiast, gdy wysiadł z klimatyzowanego wnętrza samochodu. Ruszył w stronę motelu. Poczuł zawrót głowy; musiał przystanąć i przytrzymać się mijanego samochodu - ciemnoszarej furgonetki. Zdał sobie sprawę, że poza kanapką w domu Virginii nic nie miał w ustach. Poszedł prosto do swojego pokoju i sprawdził magnetofon. Nic się nie nagrało.

Kawiarnia była jeszcze otwarta. Jedyne trzy czy cztery stoliki były zajęte. Mike zamówił kanapkę z plasterkiem steku oraz kawę. Kelnerka uśmiechnęła się do niego ze współczuciem.

- To pana żona zaginęła? Życzę panu szczęścia. Na pewno wszystko dobrze się skończy - takie mam przeczucie.

- Dziękuję.

Modłę się do Boga, aby móc czuć to samo, pomyślał Mike. Z drugiej strony okazało się, że przynajmniej ludzie zwracają uwagę na fotografie Kay.

Kelnerka zostawiła go, po czym wróciła z torbą jedzenia na wynos i rachunkiem dla mężczyzny siedzącego dwa stoliki dalej.

- Pracujesz dzisiaj do późna, prawda, Donny? - spytała.

Było po szóstej, kiedy Donny odjechał furgonetką. Gdy tylko ucichł odgłos silnika, Kay wsunęła rękę do pudła z suknią. Gdyby zdołała odkręcić metalową płytę od ściany, mogłaby dostać się do telefonu. Przyglądając się jednak masywnej kłodce na klatce, zorientowała się, że jej nadzieje są płonne. Musiała odkręcić śruby; nic innego jej nie pozostawało.

Podciągnęła łańcuch w swoją stronę i przykucnęła na podłodze. Śruby były wkręcone tak dokładnie, jakby je przyspawano. Śrubokręt okazał się za mały. Mijały minuty, pół godziny, godzina. Nie zdając sobie sprawy z gorąca, oblewającego ją potu i drętwienia palców, Kay trudziła się dalej. Jej wysiłki zostały wreszcie nagrodzone. Jedna ze śrub poddała się z paraliżującą powolnością i zaczęła się obracać. Kay zdołała obluźować ją do reszty. Ostrożnie dokręciła ją trochę z powrotem, by się nie chwiała, po czym zabrała się do kolejnej. Ile czasu minęło? Ile zostało do powrotu Donny'ego?

Wreszcie zmogło ją zmęczenie. Pracowała jak robot, nie zwracając uwagi na ból przenikający jej dłonie i ramiona oraz skurcze w nogach. Właśnie poczuła, że druga śruba zaczyna się poruszać, gdy zdała sobie sprawę, że ulotny dźwięk, jaki dobiega do jej uszu, to szum motoru. Gorączkowo przesunęła się na sofę, wcisnęła śrubokręt między sprężyny i wzięła do ręki zeszyt.

Skrzypnęły otwierane drzwi i rozległy się ciężkie kroki Donny'ego. W ręce niósł torbę.

- Przywiozłem ci hamburgera i napój, Kay - powiedział. - Widziałem w kawiarni Mike'a Crandella. Wszędzie wiszą twoje zdjęcia. Nakłonił mnie, żebym zabrał cię na zakupy, nie było najlepszym pomysłem. Będziemy musieli o dzień przyspieszyć nasz ślub. Rano muszę pojechać do motelu - wyda się im dziwne, jeśli się nie pokażę. Poza tym są mi winni pieniądze. Kiedy jednak wrócę, pobierzemy się i uciekniemy stąd. - Podjęta decyzja najwyraźniej go uspokoiła. Podszedł do Kay i położył torbę na sofie. - Nie cieszysz się, że kiedy kupuję coś dla siebie, zawsze myślę o tobie? - spytał i złożył przeciągły pocałunek na jej czole.

Starła się nie okazywać odrazy. W mętym świetle przynajmniej nie mógł zobaczyć, jakie ma opuchnięte dłonie. Do tego jutro rano wracał do pracy w motelu. Znaczyło to, że zostało jej tylko kilka godzin, zanim stąd znikną.

Donny chrząknął.

- Będę bardzo nerwowym panem młodym, Kay - powiedział. - Przećwiczmy teraz naszą małżeńską przysięgę. „Ja, Donald, biorę cię, Kay...”

Nauczył się dokładnie na pamięć tradycyjnego obrządku ślubnego. Myśli Kay przepełniło wspomnienie o tym, jak mówiła: „Ja, Katherine, biorę ciebie, Michaelu...”. Och, Mike, pomyślała, Mike!

- No, Kay? - W głosie Donny'ego pojawiła się ponownie nuta napięcia.

- Nie mam tak dobrej pamięci jak ty - odrzekła. - Może lepiej zapiszesz mi słowa, żebym mogła przeciwyczyć je jutro, kiedy będziesz w pracy.

Donny uśmiechnął się. W mętym, rzucającym cienie blasku jego oczy wydawały się zapadnięte w oczodołach, a twarz była przeraźliwie chuda.

- Myślę, że to będzie miłe - powiedział. - No, może teraz zjesz swojego hamburgera?

Tej nocy Kay zdecydowanie nie otwierała oczu i zmuszała się do równego oddechu. Zdawała sobie sprawę, że Donny chodzi po domu i co jakiś czas się jej przygląda, ale skupiała myśli wyłącznie na tym, że jeśli nawet zdoła zdjąć metalową płytę przed jego powrotem, nie ma gwarancji, że uda się jej uciec. Jak daleko mogła wędrować po nieznanymi lasach, ze skutą nogą, dźwigając ciężką płytę i łańcuch?

Na autostradzie panował duży ruch. O wpół do siódmej Marian Martin zdała sobie sprawę, że drażniący ją lekki, uporczywy ból głowy to zapewne skutek tego, iż na lunch zjadła tylko małą kanapkę. Filizanka kawy i drożdżówka, pomyślała tęsknie. Narastające w niej ciągle poczucie obowiązku sprawiało jednak, że nie zdejmowała stopy z pedału gazu, aż za dziesięć ósma zaparkowała na podjeździe domu Virginii O'Neil w Jefferson Township.

Na Marian czekały krakersy, ser i karafka ze schłodzonym winem. Z wdzięcznością zaczęła pogryzać brie, popijając chablis i przyglądając się ładnie umeblowanemu pokojowi, w którego niszy stał fortepian z rozłożonymi nutami.

Arkusze nut pobudziły jej pamięć.

- Grałaś na fortepianie na zajęciach Kay Wesley, prawda?

- Niecały rok - tylko podczas ostatniego semestru, kiedy Kay tu uczyła.

- Co staram się przypomnieć sobie o tej klasie? - zastanowiła się na głos Marian.

Kolacja składała się z zapiekanki z kurczaka z niełuskany ryżem i sałatki. Chociaż Marian była głodna, ledwie zdawała sobie sprawę, co je. Uparła się, by podczas posiłku przeglądać zdjęcia. Rudy Kluger był wysoki i szczupły. Miał niewiele ponad trzydzieści lat, kiedy zamordo-

wał Wendy Fitzgerald. Znaczyło to, że obecnie był po pięćdziesiątce. Marian szybko przerzuciła zdjęcia. Najstarsi absolwenci mieli około czterdziestu lat; na fotografiach nie powinno być zbyt wielu starszych mężczyzn.

Okazało się, że tak jest w istocie. Tych kilku, których wypatrzyła Marian, w niczym nie przypominało Rudy'ego. Podczas gdy przekładała fotografie, Virginia opowiedziała jej, że Mike porozlepiał zdjęcie Kay w okolicznych miasteczkach, a zajmujący się sprawą detektyw początkowo powątpiewał, czy rzeczywiście doszło do zaginięcia, teraz jednak aktywnie pomagał w poszukiwaniach.

- O ile się zorientowałam, będzie dzisiaj siedział do późna w biurze - rzekła Virginia. - Powiedział, żebyśmy zadzwoniły, jeśli tylko na coś wpadniemy. - Przsunęła krzesło bliżej Marian, natomiast Jack sprzątnął stół i rozstawił filiżanki z kawą. Virginia ujęła jedno ze zdjęć. - Zrobiono je tuż pod koniec zjazdu - wyjaśniła. - Kay właśnie skończyła jeść hot doga i zaczynała się żegnać z tymi, którzy wokół niej stali. Byłam ostatnią osobą, z którą rozmawiała. Potem poszła ścieżką na parking.

Marian przyjrzała się uważnie fotografii. Kay stała tuż obok ścieżki. Uwagę Marian zwróciły jednak drzewa obok przejścia na parking.

- Masz lupę? - spytała.

Kilka minut później obydwie się zgodziły, że za wielkim wiązem przy dróżce na parking widać było sylwetkę starającego się chyba pozostać w ukryciu mężczyzny.

- Pewnie to absolutnie bez znaczenia - powiedziała Marian, starając się zachować opanowany ton. - Mimo to może będzie lepiej, jeśli zaraz porozmawiam z tym detektywem.

Jimmy Barrott siedział za swoim biurkiem, kiedy rozległ się dźwięk telefonu. W istocie studiował właśnie akta niejakiego Rudy'ego Klugera, który przed dwudziestu laty „zabił i zamordował” szesnastoletnią uczennicę Garden State High, po tym jak zaczął się na nią w lesie niedaleko polanki, gdzie urządzano pikniki. Rudy Kluger został przed sześcioma tygodniami wypuszczony z więzienia stanowego Trenton i już pogwałcił zasady warunkowego zwolnienia, nie zgłaszając się do kuratora.

Jimmy Barrott poczuł ciężar w piersiach, gdy usłyszał od dawnej konsultantki uczniów, że na jednym ze zdjęć dostrzegła kogoś, kto mógł kryć się w lesie, w chwili gdy Kay Crandell zbierała się do odjazdu. Opanował go strach, że to Kluger.

- Pani Martin, będę z panią szczery - oświadczył. - Rudy Kluger wyszedł z więzienia. Mamy nakaz, żeby go zatrzymać. Może jednak spróbo-

walibyśmy czegoś innego. Niech pani udaje, że Kluger nie istnieje, i jeszcze raz przejrzy zdjęcia z otwartym umysłem. Nie wiem dlaczego, ale mam uczucie, że znajdzie pani coś, co nam pomoże.

Marian wiedziała, że Barrott ma całkowitą rację co do otwartego umysłu. Odłożyła słuchawkę i zaczęła od nowa przeglądać zdjęcia.

O wpół do dwunastej jednak nie potrafiła dłużej utrzymać otwartych oczu.

- Nie jestem tak młoda jak kiedyś - powiedziała przepraszająco.

Pokój gościnny był na piętrze, w przeciwnym końcu korytarza niż sypialnia dzieci. Mimo to Marian słyszała, jak jedno z bliźniąt rozpląkało się w środku nocy. Zapadła znów w sen, lecz zanim to się stało, uświadomiła sobie, że coś ją dręczy - coś, co zobaczyła na zdjęciach i koniecznie musiała sobie przypomnieć.

Clarence Gerber nie spał dobrze tej piątkowej nocy. Brenda lubiła najbardziej na śniadanie tosty, natomiast opiekacz był od dwóch dni zepsuty. Zona oświadczyła, że nie ma sensu kupować nowego tostera, skoro Donny Rubel mógł naprawić za dziesięć dolarów stary.

Tej niespokojnej nocy Clarence zdał sobie sprawę, że prawdziwy problem z emeryturą polega na tym, iż po wstaniu rano nie ma się niczego do roboty, wobec czego nie ma też o czym rozmawiać. Dwie siostry Brendy przesiadywały u niej teraz tak często, że Clarence'owi trudno było wtrącić słowo. Zawsze mu przerywały, kiedy zaczynał mówić.

O piątej rano, podczas gdy Brenda sapała i chrapała obok niego, odsunięty od niej tak daleko, jak tylko można było na podwójnym łóżku, by nie spaść, Clarence wpadł na pewien pomysł. Może Donny'emu nie kalkuluje się jechać aż tutaj, by wykonać naprawę za dziesięć dolarów. Clarence znalazł jednak doskonałe rozwiązanie. Raz czy dwa zabrakło mu gotówki, gdy Donny coś naprawił, więc wysyłał mu czek pocztą. Miał zapisany jego adres. Gdzieś w Howville. Timber Lane. Właśnie tak. Niedaleko tych jezior, w których Clarence pływał jako chłopak. Postanowił, że przed południem znajdzie dom Donny'ego, zostawi toster, jeśli go nie zastanie, oraz karteczkę, że odbierze go natychmiast po naprawie.

Senność sprawiła, że Clarence'owi zaczęły opadać powieki. Gdy zapadł w sen, na jego twarzy widniał półuśmiech. Dobrze było mieć jakieś zajęcie, coś do zrobienia po wstaniu rano.

Długo przed świtem Kay usłyszała odgłosy energicznej krzątany w saloniku. Co Donny robił? Rozlegał się stukot upuszczanych przed-

miotów. Na pewno się pakował. Niezrozumiałe dźwięki ciągnięcia i pchania ciężkich rzeczy sprawiły, że Kay przycisnęła pięści do ust. Jeśli kiedykolwiek musiała zachować spokój, by nie wzbudzić podejrzeń, to właśnie w ciągu następnych kilku godzin. Miała tylko jedną szansę ucieczki - kiedy Donny będzie kończył swoje prace i dostarczał ostatnie naprawione sprzęty tego ranka. Gdyby zaczął cokolwiek podejrzewać, wyjechałby z nią natychmiast.

Zdołała udać senny uśmiech, gdy o siódmej rano podał jej kawę.

- Jesteś taki troskliwy, Donny - mruknęła i usiadła, teraz też uważając, by koc nie wysunął się jej spod ramion.

Wyglądał na zadowolonego. Miał na sobie ciemnoniebieskie spodnie i białą koszulę z krótkimi rękawami. Zamiast zwykłych pantofli nałożył doskonale wyglansowane jasnobrązowe półbuty. Najwidoczniej zadał sobie wiele wysiłku, by ułożyć włosy. Przylegały do jego czaszki, jakby użył lakieru. Jego mętnobrązowe oczy płonęły z podniecenia.

- Wszystko dograłem w szczegółach, Kay - powiedział. - Przed odjazdem zapakuję większość rzeczy do furgonetki. W ten sposób natychmiast po powrocie będziemy mogli wziąć ślub i zjeść weselny obiad. Musi to być obiad, gdyż nie mogę czekać aż do wieczora. A zaraz potem wyjeżdżamy. Zostawię wiadomość na automatycznej sekretarce, że jadę na długi urlop. Zawiadomię dziś rano moich najlepszych klientów, że się żenię. W ten sposób nikomu nie wyda się dziwne, że długo nie wracam. - Był najwyraźniej zadowolony ze swoich planów. Pochylił się i pocałował ją w czubek głowy. - Może kiedy urodzisz dziecko, pojedziemy z wizytą do mojej matki. Zawsze się ze mnie śmiała, kiedy mówiłem jej, że nie wychodzi mi z dziewczynami. Mawiała, że jedyna dziewczyna, jaka ze mną zostanie, to związana. Założę się jednak, że kiedy zobaczy, jaka jesteś piękna i jak bardzo kochamy nasze dziecko, to mnie przeprosi.

Nie pozwolił Kay ubrać się przed śniadaniem.

- Wystarczy, że włożysz szlafrok.

Napięcie widoczne w jego postawie osiągało coraz wyższy poziom, toteż Kay nie miała ochoty chodzić przy nim w szlafroku i przezroczystej, przylegającej do ciała koszuli nocnej.

- Donny, jest strasznie zimno. Pożycz mi na razie swój płaszcz.

Zostawił dwa komplety sztućców, dzbanek do kawy, toster i dwa talerze. Całą resztę już zapakował.

- Większość czasu spędzimy w namiotach i domkach letniskowych, zanim dotrzemy do Wyoming, Kay. Lubisz wakacje w surowych warunkach, prawda?



Musiała przygryźć wargę, żeby powstrzymać się od histerycznego śmiechu. Do tej pory za „surowe warunki” uważała wynajęte umeblowane mieszkania, często bardzo atrakcyjne. Mike, Mike. Wspomnienie imienia męża zmieniło wzbierający śmiech w potok łez. Nie rób tego, ostrzegła się. Nie rób tego.

- Płaczesz, Kay?

Donny przechylił się przez stół i przyjrzał się jej uważnie. Jakimś cudem zdołała stłumić pragnienie płaczu.

- Oczywiście, że nie. - Zdołała powiedzieć to z kokieterijnym westchnieniem. - Każda panna młoda ma stracha przed ślubem.

- Dokończ śniadanie, Kay. - Donny wyszczerzył zęby, szeroko otwierając usta, co stanowiło karykaturę uśmiechu. - Musisz się spakować. - Wyciągnął jaskrawoczerwoną walizkę. - Niespodzianka! Kupiłem ją dla ciebie. - Nie chciał jej jednak pozwolić na włożenie koszulki z krótkimi rękawami i džinsów. - Nie, Kay, zapakuj wszystko oprócz swojej sukni ślubnej.

O wpół do dziesiątej odjechał, obiecując, że wróci najdalej za dwie lub trzy godziny. W saloniku stały jego dwie stare walizki obok jej nowej, czerwonej. Na ścianach pozostała jedynie powiększona do formatu plakatu fotografia ich obojga z balu absolwentów. „Złożymy przed nią przysięgę”, zapowiedział Donny.

Ażurowa suknia była za ciasna i piła w ramionach, a potem rozdarła się, gdy Kay sięgnęła po śrubokręt między sprężyny sofy. Chwyliła go w dłoń, następnie odłożyła i starannie porwała na strzępy kartkę, na której Donny napisał dla niej małżeńską przysięgę. I tak zamierzał ją zabić. Równie dobrze mogła mu się sprzeciwić od razu, tutaj, gdzie jej ciało zostanie kiedyś odnalezione i wtedy Mike wreszcie przestanie jej szukać.

Ze zrodzonym z desperacji spokojem wzięła z powrotem śrubokręt do ręki, wstała z sofy i podeszła do metalowej płyty, ciągnąc za sobą ciężki łańcuch. Przykucnęła, odkręciła już obluźowaną śrubę, upuściła ją na podłogę i wetknęła szpic narzędzia w rowek na główce drugiej śruby - tej, która zaczęła się ruszać poprzedniego wieczora.

Mike przyjechał do domu O'Neilów o dziewiątej.

Był piękny, rozjaśniony słońcem czerwcowy dzień. Niedorzeczne, że takiego dnia coś może się nie układać, pomyślał Mike. Jak we śnie zobaczył młodego mężczyznę na sąsiednim trawniku, włączającego zraszac. Dookoła niego ludzie zajmowali się normalnymi w sobotni poranek pracami lub wybierali się na wycieczki z dziećmi albo na partię golfa. Mike

dla odmiany przez minione trzy godziny rozlepił kolejne zdjęcia Kay na słupach telefonicznych w pobliżu okolicznych klubów pływackich.

Zastukał do siatkowych drzwi, po czym sam wpuścił się do środka. Pozostali zebrali się już przy kuchennym stole: Virginia i Jack O'Neil, Jimmy Barrott, trzy koleżanki Virginii z klasy. Mika przedstawiono Marian Martin. Natychmiast wyczuł, że w pokoju panuje wzmożone napięcie. Bojąc się zapytać, o co chodzi, popatrzył na Jimmy'ego Barrotta.

- Niech pan mi powie, czego się dowiedzieliście.

- Niczego nie wiemy - odrzekł detektyw. - Uważamy, że pani Martin mogła dostrzec kogoś ukrywającego się koło ścieżki, gdy Kay zbierała się do powrotu z pikniku. Powiększamy teraz tę odbliskę. Nie jesteśmy nawet pewni, czy to nie gałąź lub coś w tym rodzaju. Zawahał się, jakby chciał kontynuować, po czym dodał: - Proponuję, żebyśmy nie marnowali czasu. Postarajmy się zidentyfikować jak najwięcej osób na tych zdjęciach.

Mijały minuty. Mike siedział bezradnie. Nie mógł w niczym pomóc. Zastanawiał się, czy nie wyruszyć ze zdjęciem Kay do jeszcze odleglejszych miasteczek, do których jeszcze nie dotarł, coś jednak trzymało go na miejscu. Miał poczucie, że czas nagli i był pewny, że ze wszystkimi pozostałymi jest tak samo.

O wpół do dziesiątej Marian ze zniecierpliwieniem potrząsnęła głową.

- Wydawało mi się, że potrafię rozpoznać wszystkie twarze. Ale ze mnie frajerka. Ludzie bardzo się zmieniają. Potrzebna mi raczej lista uczniów, którzy zgłosili swój udział w zjeździe. To na pewno pomoże.

Mamy sobotę - powiedziała Virginia. - Szkoła jest zamknięta, zadzwonię jednak do Gene'a Pearsona do domu, mieszka cztery przecznice dalej. To dyrektor Garden State High - poinformowała Mike'a.

Spotkałem go. Mike'owi przypomniała się niedawna niechęć tamtego mężczyzny.

Kiedy jednak po półgodzinie dyrektor przyjechał, było oczywiste, że podobnie jak Jimmy Barrott zmienił swoje nastawienie. Gene Pearson był nieogolony i wyglądał, jakby narzucił na siebie, co tylko miał pod ręką. Przeprosił, że dotarcie tu trwało tak długo.

Pearson podał Marian listę absolwentów, którzy przyjechali na zjazd.

- Jak mogę pomóc? - zapytał.

W tym samym momencie zadzwonił telefon. Wszyscy się wzdrygnęli. Virginia podniosła słuchawkę.

- Do pana - powiedziała Jimmy'emu Barrottowi.

Mike próbował odgadnąć coś z wyrazu twarzy detektywa, ale nie zdołał.

- No dobrze. Odczytajcie mu jego cholerne prawa i dopilnujcie, żeby podpisał oświadczenie - rzucił detektyw. - Zaraz tam jadę. - W pokoju zapanowała śmiertelna cisza. Jimmy odłożył słuchawkę i popatrzył na Mike'a. - Staraliśmy się wytropić człowieka nazwiskiem Rudy Kluger, którego niedawno wypuszczono z więzienia. Odsiedział dwadzieścia lat za zamordowanie dziewczyny, porwanej spod terenu piknikowego blisko Garden State High. - Mike poczuł ucisk w sercu, czekając na następne słowa. Detektyw zwilżył wargi. - Może to nie mieć nic wspólnego ze zniknięciem pana żony, ale Kluger został właśnie zatrzymany w tych samych lasach. Zaczaił się na jakąś młodą amatorkę joggingu.

- I mógł być tam we środę - dodał Mike.

- Możliwe.

- Jadę z panem.

Kay, pomyślał Mike, Och, Kay.

Wszyscy przy stole odłożyli fotografie, jak gdyby poczuli jednocześnie, że ich zadanie jest beznadziejne. Jedna z koleżanek Virginii zaczęła szlochać.

- Mike, przecież Kay dzwoniła do ciebie przedwczoraj w nocy - przypomniała mu Virginia.

- Ale nie wczoraj. A ten Kluger zaczął się na kolejną kobietę.

Crandell przeszedł za Jimmym Barrottem do samochodu. Zdawał sobie sprawę, że jest w szoku. Nie czuł absolutnie nic, nawet gniewu, bólu czy smutku. Znów wyszeptał imię Kay, nie wiązały się z tym jednak żadne emocje.

Jimmy Barrott wycofywał samochód z podjazdu, gdy z domu wypadł Jack O'Neil.

- Niech pan stanie! - krzyknął. - Dzwonią z pańskiego biura. Kobieta nazwiskiem Vina Howard zobaczyła jeden z plakatów ze zdjęciem Kay i przysięga, że pańska żona była wczoraj po południu w jej sklepie odzieżowym w Pleasantwood.

Jimmy Barrott przycisnął hamulce, razem z Mikiem wyskoczyli z samochodu i wbiegli do domu. Jimmy chwycił słuchawkę. Mike i pozostali stłoczyli się wokół niego. Detektyw zadawał pytania i rzucał spieszenie polecenia. Odłożył wreszcie słuchawkę i zwrócił się do Mike'a:

- Ta cała Howard i jej pomocnica przysięgają, że widziały Kay. Była z jakimś facetem przed trzydziestką. Howard pomyślała, że obydwoje są naćpani, ale po rozmowie z moimi ludźmi uświadomiła sobie, że Kay pewnie była przerażona. Wydrapała literę „P” na ścianie przy-mierzalni.

- Facet przed trzydziestką! - zawołał Mike. - To znaczy, że to nie mógł być Kluger. - Jego ulga mieszała się z nową trwogą. - Próbowała coś napisać w przymierzalni. Słowo zaczynające się na „P”... - wyszeptał zdławionym głosem.

- Mogła starać się napisać „Pomocy” - przerwał mu Jimmy Barrott. - Przynajmniej wiemy, że nie była z Klugerem.

- Ale co robiła w sklepie odzieżowym? - zapytał Jack O'Neil.

- Wiem, że zabrzmi to obłądnie, lecz kupowała suknię ślubną. - Na twarzy detektywa odmalowało się niedowierzanie.

- Muszę porozmawiać z tą kobietą - powiedział Mike.

- Ona i jej pomocnica będą tutaj najszybciej, jak tylko zdoła dowiedzieć je radiowóz - oświadczył Barrott. Wskazał na stół. - Mamy sporą szansę, że zdołają rozpoznać na tych zdjęciach mężczyznę, z którym była pańska żona.

Clarence Gerber ze zdumieniem przyglądał się zmianom, jakie nastąpiły w okolicach Howville. Za jego czasów była to naprawdę wiejska okolica, górzysta i poprzetykana ukrytymi jeziorami. Nie dotknął jej rozwój przemysłu jak większość okolicznych miasteczek, jednakże już wiele lat temu zaczęły się tu skażenia. Ścieki z fabryk przekreśliły możliwość kąpiele i łowienia ryb. Clarence nie był jednak przede wszystkim przygotowany na to, że okolica całkowicie opustoszała. Domy podupały, jakby porzucono je na zawsze. Pobocza pokrywały sterty śmieci i porozbijane samochody, przypominające kopce rdzy. Ciekawe, dlaczego facet w rodzaju Donny'ego Rubela jeszcze tu siedzi, pomyślał Clarence.

Wróciły do niego dawno pogrzebane wspomnienia. Timber Lane nie odchodziła wprost od autostrady. Powinien był skręcić w boczną drogę półtora kilometra czy dwa wcześniej, przejechać około siedmiu prosto, a potem skręcić w prawo w bity trakt, skręcający w Timber Lane.

Clarence cieszył się słonecznym dniem i tym, że jego jedenastoletni samochód bardzo dobrze się sprawuje. Dopiero co zmienił olej i wydawało mu się, że wóz posapuje na podjazdach. „Dokładnie jak ja”, mawiał. Samochód był porządny i masywny - nie tak, jak blaszanki, które obecnie nazywano wozami i sprzedawano za sumy, za jakie dawniej kupowało się rezydencje.

Siostry Brendy przyszły, zanim Clarence zdołał choćby wypić kawę. Wszystkie miały radochę, że wybiera się w drogę; paplały o jakimś facecie, który rozlepił po całym okręgu zdjęcia swojej zaginionej żony. Clarence spróbował wyobrazić sobie, że to Brenda znikła. Zachichotał. Ni-

gdy by nie oskarżyli go o zakłócanie spokoju w postaci walenia młotkiem przy przybijaniu jej fotografii.

Znalazł właściwy rozjazd. Trzymaj się prawej strony, powtórzył sobie. Tablica z napisem „Timber Lane” pewnie znikła, ale będzie wiedział, gdzie skręcić, gdy dotrze do tej drogi. Toster leżał obok niego na siedzeniu. Pamiętał, żeby zabrać dużą czystą kartkę i kopertę. Jeśli Donny'ego nie ma w domu, zostawi mu wiadomość. Może kiedy wróci po toster, uda się mu złożyć Donny'emu miłą wizytę. Na pewno musiał czuć się samotnie, mieszkając na takim bezludziu. Wyglądało na to, że w promieniu kilometrów naokoło nikt nie mieszka.

Druga śruba leżała na podłodze, a trzecia zaczynała się poruszać. Kay przenosiła ciężar ciała z boku na bok, przekręcając rękojeść śrubokrętu. Poczula, że gwint obraca się swobodniej. Och, Boże, żeby się tylko nie ukręcił. Jak długo nie było Donny'ego? Co najmniej godzinę? Telefon zadzwonił dwa razy i rozległa się nagrana wiadomość o długim urlopie, sam Donny jednak jeszcze się nie odezwał. Kay wyprostowała się i otarła pot z czoła. Zawrót głowy ostrzegł ją, że jest już wyczerpana. Poczula skurcz w nogach. Nie miała za nic ochoty tracić czasu, ale musiała wstać i się przeciągnąć. Odwróciła się i jej spojrzenie padło na zdjęcie z balu absolwentów na przeciwnej ścianie. Zrobiło się jej niedobrze na jego widok. Przykucnęła z powrotem i z nowym przypiływem sił chwyciła za rączkę śrubokrętu. Narzędzie nagle poruszyło się zupełnie luźno - wykręciła trzecią śrubę. Wyciągnęła ją i otworu i po raz pierwszy pozwoliła sobie na nadzieję, że może rzeczywiście ma szansę.

I wtedy usłyszała to, czego się obawiała. Odgłos samochodu, pisk opon. Nie, nie, nie! Odepiała, odłożyła śrubokręt na podłogę i złożyła ręce. Niech widzi, co zrobiła. Niech ją tu i teraz zabije.

Z początku myślała, że fantazjuje. Niemożliwe. Działo się to jednak naprawdę. Ktoś dobijał się do drzwi.

- Hej, jest ktoś w domu? - rozległ się starczy głos.

Wycie syreny radiowozu i opętająca jazda na czerwonych światłach sprawiły, że piętnastokilometrowa droga z Pleasantwood do domu O'Neilów w Jefferson Township wydała się Vinie Howard i jej pomocnicy Ednie wiecznością.

Wczoraj wieczorem widziałam zdjęcie tej kobiety, robiła sobie w duchu wyrzuty Vina. Martwiłam się wyłącznie o tapetę. Gdybym tylko... Powinnam była od razu zorientować się, że dzieje się coś złego. Faceto-

wi strasznie się śpieszyło. Kobieta uparła się, żeby przymierzyć sukienkę, starała się grać na zwłokę, prosząc o pokazanie innych. Mężczyzna odciągnął zasłonę przymierzalni, jakby nie ufał swej dziewczynie. A ja miałam w głowie tylko tapetę.

- Już dobrze, pani Howard. - Jimmy Barrott przerwał Vinie, kiedy próbowała to wszystko powiedzieć w domu O'Neilów. - Jesteśmy przekonani, że ktokolwiek porwał Kay Crandell, może być na tych fotografiach. Może pani im się teraz przyjrzeć? Jest pani pewna, że ten mężczyzna miał rude włosy i niebieskie oczy?

- Całkowicie - oświadczyła Vina. - W istocie nawet mówiłyśmy, że wygląda, jakby właśnie wyszedł od fryzjera.

- Niech pani tu usiądzie. - Marian Martin wstała od stołu. - Chcę jeszcze raz przejrzeć listę.

Dlaczego ciągle dręczyły ją przekonanie, straszliwie męczące uczucie, że coś przeoczyła? Przeszła do saloniku. Gene Pearson ruszył za nią.

Virginia dała znak swoim koleżankom. Zbiły się w grupkę na półkolistej sofie po przeciwnej stronie pokoju niż Marian Martin i Gene Pearson.

Mike stanął przy stole, obserwując poważne twarze dwóch kobiet w średnim wieku, które poprzedniego dnia widziały Kay. Pleasantwood. Był tam.

- O której godzinie Kay była u pani w sklepie? zapytał Vinę.

- Około trzeciej. Może kwadrans po.

Mike wyjechał stąd o trzeciej i ruszył prosto do Pleasantwood. Musiał zjawić się w mieście w tym samym czasie co Kay. Ironia tego faktu sprawiała, że miał ochotę walić pięściami w ściany.

Jack O'Neil układał na stosiki odrzucone przez Vinę i Ednę fotografie.

- Nie sposób go przegapić - powiedziała Vina do Jimmy'ego. - Wystarczy rozglądać się za tą strzechą, którą ma na głowie. - Urwała i przyjrzała się jednemu ze zdjęć. - Wie pan, to zabawne. W tym mężczyźnie jest coś...

- O co chodzi? - zainteresował się detektyw.

- Coś dziwnie znajomego. - Vina przygryzła wargę ze zdenerwowania. - Och, marnuję czas. Wiem, o co chodzi. To jego fotografia. - Wskazała na drugi pokój, gdzie Gene Pearson przeglądał z Marian listę uczestników zjazdu.

Edna wyjęła jej zdjęcie z ręki.

- Rozumiem, o co ci chodzi, ale... - Zawiesiła głos i nadal wpatrywała się w fotografię. - Zabrzmiało głupio - powiedziała - lecz w tym mężczyźnie z brodą i w ciemnych okularach jest coś dziwnego...

W pokoju Marian sprawdzała listę uczestników zjazdu z innego punktu widzenia. Szukała nazwiska, które z jakiegoś powodu wcześniej pominęła. Właśnie dotarła do litery „R”, gdy jej uwagę zwróciły słowa Virginii.

- Pamiętajcie, że wszystkie chciałyśmy ubierać się jak Kay Wesley? Mogła być królową naszego balu, chociaż przyszła na niego tylko jako opiekunka.

Bal absolwentów, pomyślała Marian Martin. Właśnie to starałam się sobie przypomnieć. Donny Rubel, ten dziwny, nieśmiały chłopiec, który tak się zadurzył w Kay. Przesunęła błyskawicznie palec w dół strony. Zgłosił uczestnictwo w zjeździe, lecz Marian nie zauważyła go na żadnym ze zdjęć. Dlatego właśnie jego nazwisko nie pojawiło się do tej pory w jej pamięci.

- Virginio, czy widziałas Donny'ego Rubela na zjeździe? - zapytała.

- Nie, nie widziałam. - Virginia popatrzyła na koleżanki, które zgodnie pokiwały głowami. - Słyszałam, że prowadzi jakiś warsztat naprawy, ale zawsze był samotnikiem - kontynuowała. - Wątpię, czy chciało mu się utrzymywać kontakt z kimkolwiek ze szkoły, kiedy ją skończył. Myślę, że bym go zauważyła, gdyby zjawił się na pikniku.

- Donny Rubel? - przerwał jej Gene Pearson. - Jestem pewny, że z nim rozmawiałem. Mówił nawet o swoim warsztacie. Spytałem, czy nie wystąpiłby w dniu ukierunkowania zawodowego. Było to pod koniec pikniku. Tak bardzo się śpieszył, że mnie zbył.

- Trochę przy tuszy - wyrzuciła z siebie Marian. - Ciemnobrązowe włosy, brązowe oczy. Niespełna metr osiemdziesiąt wzrostu.

- Nie, ten facet był chudy jak szczapa, miał brodę i bardzo rzadkie włosy. Prawdę mówiąc, byłem zdziwiony, kiedy powiedział, że skończył szkołę dopiero osiem lat temu. Zaczekajcie minutę. - Gene Pearson wstał i przejechał dłonią po szczecinie na podbródku. - Jest na jednym ze zdjęć ze mną. Zaraz je przyniosę.

Pearson, Marian Martin, Virginia i jej koleżanki razem wpadli do kuchni. W tej samej chwili Vina Howard wyrwała zdjęcie Pearsona i Donny'ego Rubela z dłoni swojej pomocnicy.

- Włożył perukę! - zawołała Vina. - Dlatego wyglądał, jakby miał świeżo ułożone włosy. To ten mężczyzna przyszedł do mojego sklepu!

Marian Martin, Virginia i jej koleżanki utkwily wzrok w fotografii szczupłego, brodatego mężczyzny, którego żadna z nich nie rozpoznała.

- To Rubel! - zawołał jednak Gene Pearson. - To Rubel!

Jimmy Barrott wyrwał listę z ręki Marian. Obok nazwiska Donny'ego Rubela był jego adres.

- Timber Lane, Howville - odczytał. - Około dwudziestu kilometrów stąd. Radiowóz stoi pod domem - powiedział do Mike'a. - Jedziemy.

Clarence Gerber nie dowierzał własnym uszom. Jakaś kobieta z wnętrza domu wołała bez ustanku, żeby jechał po pomoc, dzwonił po policję, powiedział, gdzie jest Kay Crandell. Zakładał jednak, że może być to jakiś dowcip albo że kobieta jest pod wpływem narkotyków czy czegoś podobnego. Postanowił zajrzeć do środka, nie sposób było jednak uchylić drzwi ani okiennic.

- Niech pan nie marnuje czasu! - krzyczała Kay. - On zaraz wróci! Niech pan jedzie po pomoc! Zabije pana, jeśli pana tu zastanie!

Clarence ostatni raz szarpnął za okiennicę od frontu. Była zaryglowana od środka.

- Kay Crandell - powtórzył na głos.

W tej samej chwili zorientował się, dlaczego to nazwisko brzmi znajomo. O tej właśnie kobiecie Brenda rozmawiała rano z siostrami - to mąż Kay rozlepił plakaty z jej fotografią. Rzeczywiście lepiej, jeśli od razu pojedzie na policję. Całkowicie zapomniawszy o postawionym na ganku tosterze, Clarence wsiadł z powrotem do samochodu i spróbował wydusić jak największą prędkość z rżącego i pojękującego silnika podskakującego na nierównej, bitej drodze wozu.

Kay usłyszała, że samochód odjeżdża. Niech zdąży na czas. Niech tylko zdąży na czas. Jak daleko jest jakiś telefon? Ile czasu zajmie dotarcie tutaj policji? Dziesięć minut? Piętnaście? Pół godziny? Może przyjadą za późno. Czwarta śruba nie chciała nawet drgnąć, Kay nie miała szans jej odkręcić. A może? Skoro odkręciła już trzy, mogła podważyć płytę i odgiąć ją od ściany. Gdy to zrobiła, wsunęła w szparę łańcuch i ujęła go w obie ręce. Napięła mięśnie, wyprostowała ramiona i zaczęła szarpać za łańcuch, aż nagroził ją zgrzyt i chrzęst. Przewróciła się na plecy, gdy płyta odpadła od ściany razem z kawałkiem starego tynku.

Kay wstała, czując ciekącą po twarzy stróżkę krwi - uderzyła głową o kant sofy. Metalowa płyta okazała się ciężka. Chwyliła ją pod ramię, owinęła łańcuch wokół nadgarstka i ruszyła w stronę drzwi.

Jej uszy zaatakował nagle znajomy odgłos wjeżdżającej na polanę furgonetki.

Podniecenie Donny'ego osiągnęło szczytowy poziom. Zrezygnował ze wszystkich prac. Wszystkim swoim klientom wytłumaczył, że żeni się i wyjeżdża na długie wakacje. Robili zdziwione miny, a potem mówili,



że jest im bardzo miło i na pewno będzie im go brakować. Prosili, żeby ich zawiadomił, kiedy wróci.

Nie zamierzał tu wracać. Wszędzie, gdzie jeździł, widział zdjęcia Kay. Mike Crandell szukał jej we wszystkich miejscach. Donny dotknął broni w wewnętrznej kieszeni kurtki. Wolałby zabić Mike'a, Kay i siebie, niż ją stracić.

Nie zamierzał jednak o tym myśleć. Był pewny, że wszystko dobrze się ułoży. Zadał o wszystko. Za parę minut pojmie Kay za żonę i zjedzą weselny obiad. Kupił w delikatesach szampana, jedzenie i ciasto kokosowe, przypominające nieco tort weselny. Potem wyjadą. Tego wieczoru będą w Pensylwanii. Znał tam trochę dobrych miejsc kempingowych. Martwił się, że nie znalazł czasu na wyszukanie dla Kay specjalnej koszuli na noc poślubną, ale ta, którą kupił wcześniej, była bardzo ładna.

Dotarł do rozwidlenia drogi. Jeszcze dziesięć minut. Miał nadzieję, że Kay nauczyła się na pamięć przysięgi małżeńskiej. Czerwcową narzeczona. Pożałował, że nie pomyślał o kupieniu jej kwiatów. Jakoś jej to wynagrodzi.

- Twój mąż zajmie się tobą - powiedział na głos.

Słońce tak paliło, że musiał mrużyć oczy nawet mimo przyciemnianych okularów. Szczęśliwa ta panna młoda, dla której świeci słońce. Pomyślał o wylóconych przez nie włosach Kay. Dzisiaj wieczorem jej głowa będzie spoczywała na jego ramieniu. Kay będzie go obejmowała. Będzie mu mówiła, jak bardzo go kocha.

Usłyszał stary samochód, zanim zobaczył, jak nadjeżdża z naprzeciwka. Musiał skrócić na pobocze, by go przepuścić. Przez moment dostrzegł zwichrzone siwe włosy jakiegoś wychudzonego staruszka, zgiętego nad kierownicą. Donny postawił tabliczkę z napisem: „Zakaz wjazdu” na ostatnim zakręcie przed swoim domem; tak czy inaczej nikt nie powinien zawracać sobie głowy podjeżdżaniem pod zabity na głucho budynek. Mimo to Donny poczuł, że ogarnia go gniew. Nie chciał, by jacyś ludzie kręcili się koło jego posesji.

Z furią nacisnęła pedał gazu i furgonetka potoczyła się w podskokach po krętej drodze. Zwichrzone siwe włosy. Ten samochód. Już kiedyś go widział. Zatrzymując furgonetkę, Donny przypomniał sobie telefon z poprzedniego dnia. Clarence Gerber. Właśnie on siedział w tamtym samochodzie!

Donny wyskoczył z furgonetki i rzucił się biegiem w stronę domu. Po chwili dostrzegł toster na ganku. Przypomniał sobie, z jakim napięciem

Gerber prowadził wóz, jakby starał się wycisnąć z niego jeszcze większą szybkość. Stary jechał po policję!

Donny wskoczył z powrotem do furgonetki. Musiał dogonić Gerbera. Jego stary grat nie mógł jechać szybciej niż sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Trzeba tylko zepchnąć go z drogi, a potem... Uruchomił furgonetkę z ustami zaciśniętymi w wąską, bezlitosną kreskę. A potem wróci tutaj i zajmie się Kay. Wiedział, że go zdradziła.

Mike siedział obok Jimmy'ego Barrotta na tyle radiowozu, wsłuchując się w zawodzące wycie syreny. Kay jest dwadzieścia kilometrów stąd, piętnaście, dziesięć... Boże, proszę, jeśli istniejesz, a wiem, że tak jest, przysięgam, że zrobię wszystko, czego ode mnie zażadasz. Proszę. Proszę! - modlił się w duchu.

Wygląd okolicy uległ raptownej zmianie. Nagle skończyły się elegancje przedmieścia ze starannie utrzymanymi trawnikami i krzewami róż w pączkach. Autostradę otaczały zawalone śmieciami rowy. Na drodze niemal nie było samochodów.

Jimmy Barrott studiował mapę drogową.

- Założę się, że nigdzie tutaj nie było ani jednego drogowskiego przez ostatnich dwadzieścia lat - mruknął. - Mniej więcej za półtora kilometra dotrzemy do rozwidlenia dróg - burknął do funkcjonariusza za kierownicą. - Masz skręcić w prawo.

Niemal dotarli do rozjazdu, gdy kierowca wcisnął hamulec, by ominąć starego mężczyznę, który szedł chwiejnie środkiem drogi. Zlepione krwią włosy przylegały mu do czaszki. W jarze obok drogi widać było płonący samochód. Jimmy otworzył drzwi, wyskoczył z radiowozu i wciągnął staruszka do środka.

- Zepchnął mnie z drogi! - stęknął Clarence Gerber. - Donny Rubel! Trzyma w domu Kay Crandell!

Z absolutnym niedowierzaniem Kay wsłuchiwała się w pisk opon zawracającej na drogę furgonetki. Donny na pewno zobaczył prowadzony przez starego mężczyznę samochód i zaczął coś podejrzewać. Niech tylko nie zrobi mu krzywdy, modliła się w duchu do Boga, który w tym momencie wydawał się milczący i odległy. Pokuśtykała do drzwi, odrygłowała zasuwę i otworzyła je jednym szarpnięciem. Jeśli staruszkowi udało się dotrzeć do telefonu, miała szansę. Mogła ukryć się w lesie do czasu nadejścia pomocy. Nie była w stanie biec - ledwie zdołała się poruszać z wleczonym ciężarem. Instynkt podpowiedział jej, żeby

zamknęła drzwi. Jeśli Donny przeszuka dom, da jej to kilka dodatkowych minut.

Gdzie powinna się ukryć? Jaskrawe słońce wisiało wysoko na niebie, bezlitośnie oświetlając każdy zakątek między nisko zwisającymi gałęziami przerośniętych drzew. Donny na pewno dojdzie do wniosku, że skierowała się w stronę drogi. Potykając się, ruszyła ku kępie klonów po drugiej stronie polany. Ledwie zdążyła pod nie dotrzeć, gdy furgonetka ponownie przejechała drogą i stanęła pod domem. Kay patrzyła, jak Donny z wyciągniętą bronią rozmyślnie powoli i ostrożnie podchodzi do drzwi.

- Zaufajcie mi. Wiem, jak jechać - powiedział Clarence Gerber do Jimmy'ego Barrotta nierównym, drżącym głosem. - Byłem tam pięć minut temu.

- Z mapy wynika... - Detektyw najwyraźniej myślał, że staruszek się pogubił.

- Daj pan sobie spokój z mapą - odezwał się kategorycznie Mike. - Posłuchajcie lepiej jego.

- To taki skrót - wyjaśnił Clarence.

Trudno mu było mówić. Ledwie potrafił uwierzyć w to, co go spotkało. W jednej chwili gnał tak szybko, jak tylko mógł swoim dobrym starym samochodem, a w następnej zablokowano mu drogę i musiał zjechać na prawo. Ledwie zdążył dojrzeć Donny'ego Rubela, zanim poczuł, jak prawe koła zsuwają się na pobocze. W każdym innym wozie by zginął. Trzymał się jednak ze wszystkich sił kierownicy, aż samochód zniechęciał. Poczul benzynę i zrozumiał, że musi się szybko wydostać. Drzwi po stronie kierowcy były wbite w ziemię, ale zdołał otworzyć te po przeciwnej stronie i wygramolił się z jaru.

- Niech pan tutaj skręci - polecił kierowcy radiowozu. - Słuchaj się mnie pan, dobra? Teraz niech pan jedzie w prawo, przy tablicy z zakazem wjazdu. Facet ma dom na polanie, kilkaset metrów dalej.

Mike patrzył, jak Jimmy Barrott i policjant wyciągają broń. Kay, bądź tam dla mnie. Bądź tam żywa, proszę.

Radiowóz wjechał na polanę i zatrzymał się za furgonetką-warsztatem Donny'ego Rubela.

Kay patrzyła, jak porywacz otwiera drzwi i kopie je ze złością. Niemal czuła jego furię, gdy zdał sobie sprawę, że znikła. Domek stał niecałe trzydzieści kroków od kępy drzew, w której się ukryła. Niech zacznie szukać od drogi, pomyślała błagalnie.

W chwilę później Donny pojawił się w drzwiach z wycelowanym prosto przed siebie pistoletem, rozglądając się dookoła z miną szaleńca. Kay przycisnęła ręce do boków. Gdyby popatrzył w stronę drzew, mogłaby ją zdradzić biel azurowej sukni, widocznej poprzez liście i gałęzie. Łańcuch zaszczełałby przy najdrobniejszym ruchu.

Usłyszała odgłos zbliżającego się pojazdu i w tej samej chwili zobaczyła, że Donny wskoczył z powrotem do domu. Nie zamknął jednak drzwi; stanął za nimi, wyczekując. Samochód zatrzymał się za furgonetką. Kay zobaczyła obracające się czerwone światło. Radiowóz. Uważajcie, pomyślała. Uważajcie. Nie obchodzi go, kogo zabije. Patrzyła, jak ze środka samochodu wysiada dwóch funkcjonariuszy w mundurach. Wóz zatrzymał się z boku domku. Okna były szczelnie pozastłaniane i policjanci nie mogli dostrzec Donny'ego, który w tej chwili wyszedł na ganek. Bezczelny uśmiech na jego twarzy stanowił wręcz karykaturę. Otworzyły się tylne drzwi radiowozu i wysiedli jeszcze dwaj mężczyźni. Mike! Mike tu jest! Policjanci dobyli broni i ostrożnie zbliżali się z boku do domu. Mike był razem z nimi. Donny siedł na palcach po ganku. Szykował się do strzału, gdy wyłonił się zza rogu. Nie obchodziło go, że może zginąć. Chciał zabić Mike'a!

Na polanie panowała absolutna cisza. Umilkły nawet piski sójek i brzęczenie much. Kay doznała przelotnego uczucia, że to koniec świata. Mike siedł dalej naprzód. Znajdował się tylko kilka kroków od rogu ganku, gdzie zaczął się zabójca.

Kay wyszła zza drzewa.

- Tu jestem, Donny - zawołała.

Zobaczyła, że ruszył biegiem w jej stronę i przycisnęła się do drzewa. Poczula, że kula muska jej czoło, usłyszała odgłosy wystrzałów z pistoletów i ujrzała, jak Donny pada na ziemię. Po chwili Mike biegł już w jej kierunku. Szlochając z radości, Kay wyszła, potykając się, na polanę - wprost w wyciągnięte ramiona męża.

Jimmy Barrott nie był sentymentalny, ale jego oczy zrobiły się podejrzanie wilgotne, gdy patrzył na Kay i Mike'a, obejmujących się, jakby nie zamierzali już nigdy wypuścić się z uścisków.

Jeden z policjantów pochylił się nad Donnym Rubelem.

- Po nim - odezwał się do detektywa.

Drugi funkcjonariusz bandażował głowę Clarence'owi Gerberowi.

- Twardy z pana gość - powiedział. - O ile widzę, to tylko skaleczenia. Zabierzemy pana do szpitala.

Clarence chłonał wszystkie szczegóły, by opowiedzieć Brendzie i szwa-

gierkom o tym, jak Kay Crandell postanowiła ściągnąć na siebie ogień Donny'ego Rubela, a porywacz pobiegł w jej kierunku, strzelając z pistoletu. I jak młoda para obejmowała się teraz, płacząc z radości i ulgi. Rozejrzał się dookoła, by móc później opisać domek. Zona i jej siostry na pewno będą chciały znać każdy detal. Jego spojrzenie padło na ganek i pośpieszył w tę stronę. Choć został bohaterem, po Brendzie można było się spodziewać, że wytknie mu, iż zapomniał zabrać zepsuty toster do domu.

# Szczęśliwy dzień

**I**stopadowa środa była przejmująco zimna. Nora przyśpieszała kroku, zadowolona, gdyż stacja metra znajdowała się zaledwie -1- Jdwie przecznice od jej domu. Nora i Jack mieli szczęście, że udało się im dostać mieszkanie w oddanym do użytku przed sześcioma laty Claridge House. Ceny dla nowych chętnych poszły tak gwałtownie w górę, że obecnie nie mogliby sobie pozwolić na jego kupno. Dom stał na rogu Osiemdziesiątej Siódmej Ulicy i Trzeciej Alei, więc mieli też niedaleko do metra czy na przystanek autobusowy. Łatwo też było o taksówki - ale nie mieściły się w rodzinnym budżecie.

Nora pożałowała, że nie włożyła czegoś cieplejszego niż żakiet. Dostała go na przyjęciu z okazji ukończenia ostatniego filmu, w którym grała. Wyszyty na kieszonce na piersi jego tytuł stanowił jednak widomy dowód, że Nora ma solidne aktorskie doświadczenie.

Zatrzymała się na rogu. Paliło się zielone światło, ale cały czas skręcały samochody i nie warto było ryzykować życia, przechodząc przez ulicę. Za tydzień było święto Dziękczynienia. Pomiędzy nim a Bożym Narodzeniem Manhattan zamieniał się w jeden olbrzymi parking. Nora starała się nie myśleć o tym, że Jack nie dostanie gwiazdkowej premii w Merrill Lynch. Właśnie tego dnia przy śniadaniu przyznał się, że objęły go redukcje w firmie, lecz dzisiaj zaczyna nową pracę. Kolejną nową pracę.

Przemknęła przez ulicę w chwili, gdy światło zmieniało się na czerwone. Ledwie zdołała umknąć spod kół cygańskiej dorożce, która wtoczyła się pędem na skrzyżowanie.

- Nie będziesz taka śliczna, jak cię rozjadę! - zawołał za nią woźnica.

Nora obróciła się na pięcie. Mężczyzna pokazywał jej wystawiony palec. Odruchowo zrewanżowała się mu tym samym i poczuła się zawsty-

dzona. Ruszyła jeszcze szybciej ulicą, nie zwracając uwagi na sklepowe wystawy. Bez zastanowienia wyminęła śpiącą bezdomną kobietę, rozłożoną pod drzwiami magazynu.

Nora właśnie miała zbiec po schodach do metra, gdy usłyszała za sobą wołanie:

- Hej, Nora! Nie przywitasz się?

Prowadzący stoisko z gazetami Bill Regan zmarszczył twarz w uśmiechu, ukazującym jego nadmiernie białe, sztuczne zęby. Wyciągnął w stronę Nory rękę ze złożonym egzemplarzem „Timesa”.

- Bujasz myślami w obłokach - zarzucił jej.

- Pewnie tak.

Codziennie spotkania sprawiły, że Bill został jej znajomym. Emerytowany doręczyciel wypełniał czas, pomagając ślepemu gazeciarszowi podczas porannej godziny szczytu. Dorabiał sobie również jako goniec. „Dzięki temu mam zajęcie, wyjaśnił Norze. Odkąd May umarła, w domu jest tak pusto. Tutaj przynajmniej coś robię, spotykam mnóstwo miłych ludzi i mam okazję pogadać. May zawsze mówiła, że jestem strasznym gadułą”.

Cztery miesiące wcześniej, w rocznicę śmierci May, Nora pod wpływem impulsu zaprosiła Billa na drinka. Okazało się to błędem. Staruszek nabrał zwyczaju dzwonić co tydzień czy dwa i wpraszać się z wizytą. Jackowi doszczerźnie to obrzydło. Bill siedział u nich zawsze co najmniej dwie godziny, aż wreszcie Norze udawało się go spławić lub była zmuszona zaprosić gościa na kolację.

- Mam wyjątkowe uczucie, Nora - powiedział Bill. - Czuję, że to mój szczęśliwy dzień. Dziś po południu losują wielką wygraną.

Ponieważ przez sześć tygodni nie padło zwycięskie trafienie, stawka w państwowej loterii wynosiła trzystaście milionów dolarów.

- Zapomniałam kupić los - odrzekła Nora. - I tak czuję, że nie miałabym szczęścia. - Wyciągnęła drobne z kieszeni. - Lepiej już pogonię. Mam próbę.

- Połamania nóg. - Bill najwyraźniej był dumny ze znajomości żargonu aktorskiego. - Mówiłem ci, że wyglądasz kropka w kropkę jak Rita Hayworth w „Gildzie”. Jeszcze zostaniesz gwiazdą.

Przez chwilę ich spojrzenia się skrzyżowały i Nora poczuła osobliwy chłód. Z bładniebieskich oczu Billa zniknął zwykły żalony wyraz. Po czole staruszka wiły się kosmyki żółtobiałych włosów. Jego uśmiech wydawał się na trwałe przylepiony do twarzy.

- Tak czy inaczej, może oboje będziemy mieli szczęście - powiedziała. - Do zobaczenia, Bill.

W teatrze okazało się, że Norę poprzedza dziewięćdziesiąt chętnych do roli. Dostała numerek i rozejrzała się za miejscem, by usiąść. Wypatrzyła znajomą twarz; podeszła do niej Sam. W zeszłym roku ona i Nora zagrały epizody w filmie Petera Bogdanovicha.

- Ile jest ról do obsadzenia? - spytała Nora.
- Dwie. Jedna dla ciebie, druga dla mnie.
- Bardzo śmieszne.

Nastała pierwsza, nim miała okazję się zaprezentować. Nie sposób było ocenić, jak wypadła: producent i autor siedzieli z nieprzeniknionymi minami.

Nora poszła do agencji zamówić ogłoszenie w gazecie, a potem drugą próbę - do reklamówki J.C. Penneya. Nie miałyby nic przeciwko temu, by w niej wystąpić; oznaczałoby to pracę przez przynajmniej trzy dni.

Było jeszcze jedno miejsce, w którym chciała zostawić swoje zdjęcie, ale o wpół do piątej postanowiła, że da sobie z tym spokój i wróci do domu. Towarzyszące jej przez cały dzień nieustające uczucie niepokoju urosło do rozmiarów czarnej chmury trwogi. Nora przespacerowała się przez miasto do stacji metra, zeszła na peron w chwili, gdy jej pociąg odjeżdżał i usiadła, zmęczona i zrezygnowana, na zasmarowanej napisami ławce.

Teraz miała czas na to, czego unikała przez cały dzień. Na rozmyślanie. O Jacku. O tym, że dom zamieniano w kamienicę własnościową, a ich nie było stać na wykupienie mieszkania. O tym, że Jack znowu zmienił pracę. Nawet na Manhattanie liczba biur inwestycyjnych była ograniczona. Nora nie dowiedziała się, jak nazywa się nowa firma męża.

Powinna przestać się okłamywać. Jack nienawidził handlu obligacjami. Zajął się tym tylko po to, by zapewnić im źródło dochodu na czas, gdy Nora starała się przebić jako aktorka, on sam zaś pisał podczas weekendów. Przyjechali do Nowego Jorku z dyplomami, na których nie wyschł jeszcze tusz, i ze świeżymi obrączkami. Byli pewni, że wezmą Manhattan szturmem. Sześć lat później frustracja Jacka przejawiała się na setki sposobów.

Na stację wtoczył się zatłoczony pociąg. Nora wcisnęła się przez drzwi do środka i chwyciła za poręcz. Gdy przyszło jej walczyć o zachowanie równowagi w rozkołysanym wagonie, zdała sobie sprawę, że pociąg ruszył z miejsca. Otaczali ją ludzie w wilgotnych płaszczach; ciężki, zatęchły odór mokrych butów przenikał wagon.

Po całym dniu zajęć mieszkanie stanowiło utęsknioną przystań. Z jego okien widać było East River, most Triborough i rezydencję burmi-



strza Grace Mansion. Nora nie potrafiła już sobie wyobrazić, że zarówno ona jak i Jack nie urodzili się na Manhattanie. Po prostu byli nowojorczykami. Gdyby tylko zdołała dostać stałą rolę w jakiejś mydlanej operze, mogłaby przez jakiś czas utrzymywać dom i dać Jackowi szansę na pisanie. Czuła, że jej się to uda. Parę razy była już blisko.

Nie powinna była czepiać się Jacka tego ranka. Był bardzo zażenowany, gdy przyznał się, że stracił pracę w Merrill Lynch. Czy podświadomie krytykowała męża tak ostro dlatego, że nie potrafił już z nią rozmawiać, czy też dlatego, że tracił do reszty wiarę w siebie? Kocham cię, Jack, pomyślała. Wpadła do kuchni i wyciągnęła z lodówki cheddar oraz kiść winogron. Zamierzała ustawić je, wraz z winem w karafce, by czekały na jego powrót. Uporała się w pewnym stopniu ze swoimi zmartwieniami, szykując jedzenie, rozstawiając kieliszki, poprawiając poduszki na sofie i przygaszając światła tak, że ich delikatny blask efektownie podkreślał panoramę miasta. Dopiero gdy przeszła do sypialni, aby się przebrać, zauważyła migające światelko na automatycznej sekretarce.

Nagrała się jedna wiadomość - od Billa Regana. Podekscytowany, chrapliwy głos powiedział: „Nora, nie wychodź. Mamy co uczcić. Dotrę na siódmą. Mówiłem ci, Nora. Wiedziałem! To mój szczęśliwy dzień”.

Och, Boże drogi! Tego tylko potrzeba było Jackowi - żeby Bill Regan przylazł tu dzisiaj wieczorem. Szczęśliwy dzień. Na pewno chodziło o loterię. Pewnie Bill znowu wygrał kilka setek. Teraz na pewno zasiedzi się przez cały wieczór albo będzie nalegać, żeby wyciągnąć ich na kolację.

Jack zawsze dzwonił, kiedy miał dłużej pracować. Dzisiaj jednak nie zatelefonował. O szóstej Nora pogryzała kawałek sera. O wpół do siódmej naląła sobie kieliszek wina. Gdyby tylko Jack wrócił dzisiaj wcześniej, mieliby przynajmniej trochę czasu dla siebie, zanim zwali się Bill.

Do wpół do ósmej żaden z nich nie przyszedł. Spóźnianie się nie było w stylu Billa. Gdyby się rozmyślił, na pewno by zadzwonił. Nora czuła niechęć przemieszaną z niepokojem. Czy przyjdzie, czy nie, i tak zepsuł cały wieczór. I gdzie był Jack?

Do ósmej nie zdecydowała się jeszcze, co powinna zrobić. Nie przypomniała sobie, jak nazywa się nowa firma Jacka. Biuro gońców w Fisk Building przy Zachodniej Pięćdziesiątej Siódmej, gdzie zatrudnił się Bill, było już zamknięte. Może zdarzył się jakiś wypadek? Nora żałowała, że nie obejrzała lokalnych wiadomości. Bill zawsze szedł piechotą przez Central Park, gdy wybierał się do nich z wizytą. Mówił, że to dla niego tre-

ning. Robił to nawet wtedy, kiedy padało. Trzydzieści przecznic przez park. W taką noc na pewno nie było tam amatorów joggingu. Może coś mu się stało?

Jack wrócił o wpół do dziewiątej. Jego szczupła, wyrazista twarz była blada jak płótno, źrenice miał rozszerzone. Nora podbiegła do niego. Wzięła ją w ramiona i zaczął delikatnie kołysać.

- Nora, Nora - szepnął.

- Co się stało, Jack? Tak się martwiłam. I ty, i Bill się spóźnialiście...

- Nie mów mi, że czekasz na Billa Regana?

- Tak. Zadzwoił i powiedział, że przyjdzie na siódmą. Kochany, co się z tobą działo? Przepraszam za dzisiejszy ranek. Nie chciałam cię zdemotywować, Jack. Nie martwię się tym, że zmieniłeś pracę. Martwię się tylko o ciebie... Może na razie powinnam dać sobie spokój z aktorstwem i znaleźć jakąś stałą posadę? Chcę ci dać szansę, Jack. Kocham cię. - Usłyszała zduszony szloch i poczuła, że ramiona męża zaczynają drżeć. Jack się rozplakał. Nora skłoniła jego głowę ku sobie i przytuliła do niej twarz. - Przepraszam... nie wiedziałam, że jest ci aż tak źle.

Nie odpowiedział, tylko przycisnął ją do siebie. Poznali się przed dziesięcioma laty, pierwszego dnia w Brown College. Norę pociągała wyczuwana w nim utajona pasja, a także szczupła, inteligentna twarz Jacka oraz uśmiech, rozpraszający jego zwykle poważną minę. Po prostu: chłopiec poznaje dziewczynę. Od tego spotkania żadne z nich nie zawracało sobie głowy nikim innym.

Nora pomogła mężowi zdjąć podróbkę płaszcza marki Burberry.

- Przemokłeś do suchej nitki, Jack!

- Pewnie tak. Och, Boże, chciałem z tobą porozmawiać, kochanie, ale zaczekam, skoro ma przyjść Bill.

Roześmiał się, po chwili jednak w jego oczach ponownie ukazały się łzy. Posłusznie jak dziecko wypełnił jej polecenie, by wziąć gorący prysznic. Coś się wydarzyło, ale na pewno nie mogli o tym podyskutować przed wyjściem Billa Regana.

Co się działo z Billem? Mieszkał w Queens. Pokazywał im zdjęcia swojego obskurnego bungalowu. Może jego numer znajduje się w książce telefonicznej? Wydawało się niemożliwe, że po prostu zapomniał przyjść, ale miał przecież siedemdziesiąt pięć lat.

W książce telefonicznej Queens był tuzin Williamów Reganów. Nora rozpaczliwie grzebała w pamięci, starając się przypomnieć adres. Odłożyła słuchawkę i wyszukała listę świątecznych pocztówek. W ubiegłym roku poprosiła Billa o adres, by mogła mu wysłać życzenia. Uzbrojona we

właściwe informacje ponownie dodzwoniła się do operatorki i uzyskała numer. U Billa jednak nikt nie podnosił telefonu.

Z wnętrza sypialni dobiegł ją ostry, metaliczny odgłos. Na miłość boską, co Jack wyprawia? Ta myśl przemknęła jej przez głowę i znikła, gdy Nora ponownie wybrała numer Billa. Zapewne po prostu staruszka nie było w domu.

Jack wyszedł z sypialni w pidżamie i szlafroku. Wydawał się teraz spokojniejszy, chociaż pod wpływem jego napięcia powietrze niemal iskrzyło jak od statycznej elektryczności. Wypił jednym haustem kieliszek wina i łapczywie rzucił się na talerz z serem.

- Musisz umierać z głodu. Zostało trochę sosu do spaghetti z wczorajszego wieczoru.

Nora z przeproszącą miną ruszyła do kuchni. Jack podążył za nią.

- Potrafię sobie poradzić - powiedział.

Zaczął przygotowywać sałatkę, podczas gdy Nora nastawiła wodę na makaron. W chwilę później dobiegło ją gwałtowne westchnienie. Odwróciła się od kuchenki. Jack zaciął się paskudnie w palec; tryskała z niego krew. Drżały mu obie ręce.

- Ale ze mnie fajtłapa! - Spróbował zbyć jej troskę. - Nóż mi się po prostu omsknął. Nic mi nie będzie, Nora. Daj mi tylko plaster lub coś takiego.

Nie zdołała go przekonać, że zaciął się głęboko i może należałoby to zszyć.

- Mówię ci, że nic mi nie będzie - powtórzył.

- Jack, dzieje się coś złego. Powiedz mi, proszę. Nie przejmuj się, jeżeli straciłeś tę przeklętą nową pracę. Jakoś damy sobie radę.

Zaczął się śmiać bez radości. Jego śmiech zdawał się dobywać gdzieś z głębi klatki piersiowej, sztydzić z niej i usuwać ją na margines.

- Och, przepraszam, kochanie - zdołał wreszcie wykrztusić. - Boże, co za wariacki wieczór. Daj spokój. Znajdź jakieś plastry i zjedzmy. Później porozmawiamy - na razie jesteśmy zbyt spięci.

- Rozłożę trzy nakrycia, na wypadek jeśli Bill się zjawi.

- A może cztery? Może poderwał jakąś blondynkę?

- Jack!

- Och, do diabła, zjedzmy coś wreszcie, będziemy mieli z tym spokój.

Jedli w milczeniu. Puste miejsce po prawej stronie Nory stanowiło milczące przypomnienie niezaprzeczanego faktu, że Bill jest już bardzo spóźniony. W migotliwym blasku świec bandaż na palcu Jacka zaczął nabierać jaskrawoczerwonego odcienia i wkrótce zamienił się w ciemnobrązową plamę.

Sos boloński był specjalnością Nory, ale dziś nie mogła go przełknąć. Barwa potrawy zbytnio przypominała krew na palcu Jacka. Lęk wzbudził w niej napięcie, wskutek którego mięśnie karku zamieniały się w twarde węzły. Wreszcie odepchnęła krzesło od stołu.

- Muszę zadzwonić na policję. Dowiem się, czy nie zdarzył się jakiś wypadek, którego ofiara odpowiada rysopisowi Billa.

- Nora, Bill doręcza przesyłki po całym Manhattanie. Rany julek, od którego posterunku chcesz zacząć?

- Od tego, któremu podlega Central Park. Jeśli Bill miał jakiś wypadek albo zachorował, ktoś pewnie zabrał go do szpitala. Poza tym sam wiesz, że ma fioła na punkcie spacerów po parku.

Zatelefonowała na miejscowy posterunek.

- Central Park ma odrębny posterunek - dowiedziała się. - Podam pani numer.

- Nie, proszę pani, nie mieliśmy doniesień o jakichkolwiek kłopotach w parku. - Pełniący dyżur sierżant, do którego się dodzwoniła, starał się ją serdecznie uspokoić. - Nawet bandyci nie chcą dziś wieczór zmoknąć. - Roześmiał się z własnego dowcipu. - Pewnie, chętnie zapiszę nazwisko, rysopis i pani dane, ale proszę się nie martwić. Pewnie po prostu gość się spóźnia.

- Czy dowiedzielibyście się, jeśliby zgłosił się do szpitala, bo źle się poczuł?

- Chyba pani żartuje. Jedyni pacjenci z izby przyjęć, jakich sprawdzamy, to ci, którzy zgłaszają się z ranami postrzałowymi bądź od noża lub ci, których sami tam wlecemy. Nie można przecież wzywać policji za każdym razem, kiedy kogoś zabił brzuch, prawda?

- W takim razie sądzi pan, że powinnam sama podzwonić po szpitalach?

- Nie zaszkodzi.

Nora szybko powiedziała Jackowi, czego dowiedziała się od policjanta. Zorientowała się, że dzięki temu mąż wygląda na trochę spokojniejszego.

- Sprawdzę numery, a ty dzwoń - powiedział.

Zaczęli od największych szpitali na Manhattanie. Mężczyznę odpowiadającego opisem Billowi przyjęto do szpitala imienia Roosevelta bez żadnych dokumentów. Około wpół do siódmej potrafił go samochód na Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy niedaleko Ósmej Alei. Czy Nora mogła przyjechać i go zidentyfikować? Ranny był w śpiączce, a lekarze musieli skontaktować się z rodziną, by uzyskać zgodę na operację.

Nora była pewna, że to Bill.

- Ma siostrzenicę gdzieś w Marylandzie - powiedziała. - Jeśli to Bill, mogę pojechać do niego do domu i sprawdzić, jak ona się nazywa.

Nie chciała, żeby Jack z nią jechał, ale się uparł. Ubrali się w posępnym milczeniu. Wciąż wilgotny od krwi bandaż na palcu męża zostawiał ślady na bieliźnie, swetrze i džinsach. Wkładając adidasy, Jack wskazał na łóżko.

- Sama nie wiesz, jak bardzo cieszyłem się na myśl, że będziemy dziś spać razem.

- Czas przeszedł? - odparła automatycznie.

Przed oczyma stanęła jej twarz Billa. Drogi staruszek, który tak często dawał wyraz swojej samotności, lubił gadać do znużenia i starał się wzbudzić ich życzliwość i zainteresowanie. „No i powiedziałem sobie, Nora, że nie mogę zostać dłużej w Queens. Dom bez May jest na nic. Trzeba naprawić dach, za ciężko odgarniać śnieg. Przy odrobinie szczęścia trafię na Florydę z całą resztą seniorów. Może nawet znajdę jakiś dom opieki jak w «Kokonie», gdzie naprawdę będę miał wielu nowych przyjaciół”.

Jack i Nora pojechali do szpitala imienia Roosevelta taksówką. Ofiara wypadku leżała za parawanem w kącie izby przyjęć. Z nozdrzy ranego sterczały rurki, nogę miał w łupkach, a do żyły w ramieniu podłączono mu kroplówkę. Nora chwyciła Jacka za rękę, przyglądając się mężczyźnie. Miał zamknięte oczy, bandaż spowijał pół jego twarzy. Dostrzegła jednak rzadkie kosmyki siwych włosów. Bill miał wciąż gęstą czuprynę, powinna była pamiętać, by o tym powiedzieć przez telefon.

- To nie pan Regan - oświadczył Jack lekarzowi.

Gdy szli do wyjścia. Nora poprosiła Jacka, żeby jeszcze zostali i by pozwolił opatrzeć swój palec.

- Chodźmy już stąd - odrzekł.

Wyszli spiesznie na zewnątrz, pragnąc pozbyć się woni szpitala i środków dezynfekujących. Minęli wtaczane do środka nosze.

- Motocyklista - mówił sanitariusz. - Idiota wciął się przed autobus. - W jego tonie brzmiały gniew i frustracja, jak gdyby przytłaczało go brzemień nieszczęścia, które ludzie sami sobie ściągali na kark.

Gdy dotarli z powrotem do domu, dzwonił właśnie telefon. Nora podbiegła go odebrać. Okazało się, że to sierżant policji, który starał się dowcipkować, kiedy z nim wcześniej rozmawiała.

- Pani Barton? Obawiam się, że pani przecucie się sprawdziło. Znaleźliśmy ciało w Central Parku niedaleko Siedemdziesiątej Czwartej Uli-

cy. W portfelu są dokumenty na nazwisko William Regan. Chcielibyśmy panią prosić, by przyjechała go pani zidentyfikować.

- A włosy? Gęste... żółtawosiwe, ale naprawdę gęste jak na starszego mężczyznę? Widzi pan, w szpitalu okazało się, że to nie nasz znajomy. Pomyłka. Może to też pomyłka?

Wiedziała jednak, że jest inaczej. Czuła tego ranka, że coś stanie się z Billem. W chwili, gdy się zegnali, wiedziała. Czuła, że Jack wyjmuje jej słuchawkę z ręki. Oszołomiona słuchała, jak mówi, że zgadza się na przyjazd do kostnicy w celu identyfikacji.

Wolałbym, żeby nie musiało to spotkać mojej żony... No dobrze, rozumiem. - Odłożył słuchawkę.

Jak przez potrząskane szkło widziała, że wokół jego ust pojawił się szarawy cień, a tik ogarnął drobny mięsień policzka. Jack wyciągnął dłoń, by podtrzymać Norę, ale na jej oczach skrzywił się z bólu. Na bandaż wyciekła świeża czerwona strużka. Po chwili Nora znalazła się w jego ramionach.

- Kochanie, jestem pewien, że to Bill. Chcą, żebyśmy przyjechali oboje. Żałuję, że nie mogę ci tego oszczędzić, ale muszę z tobą porozmawiać. Bill ma pękniętą czaszkę. Nie miał w portfelu żadnych pieniędzy. Myślą, że to rabunek.

Jego ramiona przypominały opasujące ją stalowe taśmy. Spróbowała go odepchnąć.

- Robisz mi krzywdę...

- Nora, musimy jakoś to przetrwać. - Zdawało się, że jej nie słyszy. - Spróbuj myśleć, że Bill miał za sobą długie życie. Jutro... och, kochanie, nadejdzie jutro - zaczekaj, sama zobaczysz. Cały świat, wszystko będzie wydawało się inne... będzie inne.

Mimo przewalających się przez Norę fal szoku, przyprawiających ją o poczucie bólu i niedowierzania, zdawała sobie sprawę, że głos męża brzmi inaczej: zrobił się wysoki, niemal histeryczny.

- Puść mnie, Jack! - zawołała.

Opuścił ramiona i popatrzył na nią.

- Tak mi przykro, Nora. Sprawilem ci ból? Nie zdawałem sobie sprawy... Och, Boże, załatwmy to wreszcie.

Po raz trzeci w ciągu niecałych dwóch godzin łapali taksówkę. Tym razem przyszło im wyczekiwać długo na zimnie. Na Manhattanie było dwanaście tysięcy taksówek, ale wszystkie wydawały się zajęte.

Deszcz zamieniał się w śnieg. Twarde kuleczki wnikały pod osłonę parasola i trafiały Norę w twarz. Nawet palto podbite jagnięcą skórką

przerobione z kurtki, którą nosiła w college'u, nie zapobiegło dreszczom. Płaszcz Jacka był zbyt przemoczony, żeby mógł go włożyć, jesionka też przesiąkła mu wilgocią, gdy biegał tam i z powrotem po ulicy. Wreszcie zatrzymała się przed nimi taksówka z włączonym znakiem, że kierowca skończył pracę. Okno uchyliło się odrobinę.

- Jak daleko jedziecie?

- Na... No, na róg Trzydziestej Pierwszej i Pierwszej.

- Dobra, wsiadajcie.

Kierowca okazał się gadułą.

- Syfsiadać w taki dzień za kółko, zwijam się dziś wcześniej. Noc nadaje się tylko do tego, żeby leżeć w łóżku.

O tej porze Bill powinien być w swoim domu - obskurnym drewnianym parterowym budynekczku, który kupili z May w 1931 roku. Powinien był umrzeć we własnym łóżku, pomyślała Nora. Nie zasługiwał na to, żeby leżeć na zimnie i deszczu. Jak długo trwało, zanim go znaleźli? Czy umarł natychmiast? Żeby przynajmniej tak było, modliła się w duchu.

Mężczyzna, który podszedł do nich, gdy weszli do kostnicy, najwyraźniej ich oczekiwał. Wyglądał na prawie czterdzieści lat, miał piaskowe włosy i wąskie bystre oczy. Przedstawił się jako detektyw Peter Carlson i zaprowadził ich do niewielkiego gabinetu.

- Jestem całkowicie pewien, że potwierdzą państwo tożsamość zmarłego po zobaczeniu ciała - powiedział. - Jeśli czują się państwo na siłach, chciałbym, żebyśmy zrobili to natychmiast. Jeżeli jednak sądzicie państwo, że widok zwłok wytrąci was z równowagi, możemy najpierw porozmawiać.

- Chcę mieć pewność.

Nora zdawała sobie sprawę, że policjant przygląda im się badawczo. Co widział? Musieli wyglądać jak para obszarpańców. Czy zastanawiał się, dlaczego wydzwaniali z takim uporem, by zameldować o potencjalnej ofierze, zanim jeszcze ją znaleziono? Ale wszystkie zawiadomienia o zaginięciu wyglądały zapewne podobnie, czyż nie? „Mógł paść ofiarą przestępstwa”.

Jack postukiwał stopą o podłogę w równym, denerwującym staccato - Jack, który zawsze wydawał się tak spokojny, z którego trzeba było wyciągać, że coś go boli czy jest zmartwiony. Dzień zaczął się od tego, że Nora go się czepiała. Czy w jakiś sposób naruszyła potrzebną mu ochronną skorupę?

Jak gdyby na znak ukrytego inspicjenta wszyscy troje wstali.

- Nie zajmie to długo.

Nora spodziewała się, że detektyw zaprowadzi ich na salę z rzędami stołów. Tak było na filmach. Carlson poprowadził ich jednak korytarzem do zasłoniętego okna. Norze w nedorzeczny sposób przypomniało to okna sal dla noworodków w szpitalach i pierwszy rzut oka na dziecko jej brata. Po odsunięciu zasłonki ujrzała jednak nie krzyczącego noworodka, ale nieruchome, bezkrwiste oblicze Billa Regana. Miał naciągnięte po szyję prześcieradło, usta zaklejono mu taśmą. Na czole widniał szkaradny guz, zakryty zlepionymi włosami, po śmierci wyglądającymi na rzadkie i wiotkie.

- Nie ma wątpliwości - powiedział Jack.

Oparł dłonie na ramionach Nory, próbując odwrócić ją od okna. Przez chwilę zamarła, wpatrując się w usta Billa. Miała wrażenie, jakby taśma została zdjęta i zastąpiła ją zbyt pogodny uśmiech. W uszach rozległy się jej ponownie słowa, wypowiedziane chrapliwym, pełnym nadziei głosem: „Mam wyjątkowe uczucie, Nora. Czuję, że to mój szczęśliwy dzień”.

Po powrocie do gabinetu na gorze opowiedziała detektywowi Carlsonowi o tej rozmowie i o tym, że Bill rzeczywiście miał szczęście na loterii. Kilka razy wygrał po kilkaset dolarów i zawsze był pewien, że zdobędzie główną nagrodę.

- Kiedy powiedział „szczęśliwy dzień”, chodziło mu o loterię, jestem tego pewna. Uważam nawet za możliwe, że był jednym z głównych zwycięzców.

- Dzisiaj padła tylko jedna główna wygrana - odrzekł detektyw Carlson. - O ile mi wiadomo, jeszcze nikt się po nią nie zgłosił. - Zauważyła, że robiąc notatki, bazgrał po notesie. - Jest pani pewna, że Bill Regan kupił los?

- Powiedział mi, że tak.

- Cóż, nie miał go przy sobie, kiedy go znaleźliśmy. Ktokolwiek go jednak obrabował, mógł zabrać los z pieniędzmi, nie zdając sobie nawet sprawy, co ma w rękach. Załóżmy jednak nawet, że pan Regan zdobył główną wygraną. Czy rozpowiadałby o tym na prawo i lewo? Noszenie losu na loterię to jak noszenie gotówki.

Nora nie zdawała sobie sprawy, że na jej twarzy pojawił się półuśmiech. Odgarnęła włosy z czoła, czując, że poskręcały się pod wpływem deszczu. „Wyglądasz jak Rita Hayworth w «Gildzie»”, mówił jej często Bill. Pożałowała, że nie powiedziała mu, iż wypożyczyła kasetę z tym filmem i istotnie dostrzegła duże podobieństwo. Bill przyjąłby to z zachwytem. Trudno było jednak wtrącić słowo, kiedy zaczynał mówić. O to właśnie pytał detektyw Carlson.



- Bill był gadułą - odrzekła. - Na pewno by się tym chwalił.
- Sama mi pani jednak powiedziała, że nie wyjawiał przez telefon niczego konkretnego. Mówił tylko, że to jego szczęśliwy dzień. Może oznaczało to podwyżkę, duży napiwek przy dostarczeniu jakiejś przesyłki albo to, że znalazł pieniądze na ulicy. Mogło to być cokolwiek, prawda?
- Po prostu sądzę, że chodziło o loterię - upierała się Nora.
- Sprawdźmy, ale w tym rejonie była seria rabunków w ciągu ostatnich trzech tygodni. Dopadniemy tego, kto to zrobił, obiecuję pani... i jeśli zabił pana Regana, zapłaci za to.

„Zabił pana Regana”. Nora nigdy nie myślała o Billu jako o „panu Reganie”.

Obejrzała się na Jacka. Wpatrywał się w okno i na nowo zaczął postukiwać stopą w rytmie staccato o podłogę. W tym momencie coś zaczęło się z nią dziać. Poczowała, że ściany zблиżają się do niej. Miała wrażenie, że się zapada i nie może oddychać. Spróbowała zawołać „Jack”, ale nie mogła otworzyć ust. Czuła, że osuwa się z krzesła.

Kiedy otworzyła oczy, leżała na twardym, obitym plastikiem łóżku, a Jack przyciskał mokrą ściereczkę do jej czoła. Ze zdawałoby się niesamowitej oddali usłyszała pytanie detektywa Carlsona, czy życzą sobie, by wezwać karetkę.

- Nic mi nie jest. - Odzyskała zdolność mowy, szeptała jednak tak cicho, że Jack musiał się pochylić, by dosłyszeć jej słowa. - Chcę wrócić do domu - poprosiła.

Tym razem nie musieli czekać na taksówkę. Detektyw, zachowujący się teraz mniej oficjalnie, wezwał radiowóz.

- Chyba nie zemdlałam ani razu w życiu - próbowała przeproszać go Nora. - Po prostu przez cały dzień miała straszne przeczucie, aż w końcu się sprawdziło.

- Okazała nam pani wielką pomoc. Szkoda, że nie wszyscy tak martwią się o biednych, starszych ludzi.

Podeszli do frontowych drzwi, znów jako posuwające się osobliwie zgodnym krokiem trio. Obydwaj mężczyźni podtrzymywali ją pod ramiona. Deszcz na zewnątrz ustawał, ale temperatura znacznie spadła. Nora z zadowoleniem przyjęła zimne powietrze. Czy tylko to sobie wyobrażała, czy też istotnie w budynku śmierdziało formaldehydem?

- Co teraz się stanie? - zapytał Jack Carlsona, gdy podjeżdżał radiowóz.

- Wiele zależy od wyników sekcji. Zwiększymy liczbę patroli w parku. Obłąd, że komukolwiek chciało się iść tak daleko w taki wieczór. Mo-

żemy jednak tylko rozsyłać radiowozy, a nie ludzi w cywilu. Będziemy z państwem w kontakcie.

Tym razem to Jack uparł się, by Nora wzięła gorący prysznic, i on czekał z gorącym napojem i tabletką nasenną, gdy żona wyszła z łazienki.

- Tabletkę nasenną? - Nora zapatrzyła się na czerwono-żółtą kapsułkę. Skąd je wzięłeś?

- Och, przy badaniu kontrolnym w zeszłym miesiącu wspomniałem, że mam kłopoty ze snem.

- Jak myślisz, dlaczego?

- Odrobina depresji. Nic wielkiego, lecz nie chciałem, żebyś się martwiła. Chodź, idziemy do łóżka.

Odrobina depresji. I nic jej nie powiedział. Nora pomyślała o wszystkich nocach, kiedy paplała o dobrych rolach, jakie zdołała złapać - „To tylko kilka dni pracy, ale posłuchaj, reżyseruje Mike Nichols” - oraz krytycznych recenzjach, dotyczących jej pierwszego przyzwoitego występu w teatrze off-Broadway ubiegłej wiosny. Jack podzielał jej entuzjazm, wypytywał, czy zostanie z nim, kiedy będzie już gwiazdą, sam zaś szukał kolejnych posad w handlu obligacjami inwestycyjnymi. Powieść, którą wreszcie zdołał skończyć, niemal została zakupiona przez kilka wydawnictw. „Niezupełnie nam odpowiada, proszę jednak próbować”. W jego oczach widniało zniechęcenie, gdy wyznał: „Po całym dniu wysiłków przy sprzedawaniu, gdy zdaję sobie sprawę, że żaden ze mnie sprzedawca, i prób przejmowania się tym, że odsetki poszły w górę albo jakaś przekłeta emisja otrzymała najlepsze notowania, kiedy mi to po prostu wisi - rany, sam nie wiem, Nora, czuję się, jakbym się wypalił. Siadam przed maszyną i wszystko, co staram się przelać na papier, po prostu nie wychodzi mi tak, jak chcę. Mimo to wiem, że mam to w sobie. Nie potrafię tylko odnaleźć właściwego tonu, skoro wiem, że w poniedziałek wracam do tego cyrku”.

Nie słuchała go uważnie. Mówiła mu, że jest bardzo dumna, iż jego pierwsza powieść nie została po prostu odrzucona ze standardową notką, że pewnego dnia będzie sławny i będzie opowiadał, jak z początku nie chciano kupować jego utworów. Wszystko to stanowiło część gry.

Sypialnia pełniła podwójną rolę - była też gabinetem Jacka. Jego maszyna do pisania stała na ciężkim dębowym stole, który kupili na garażowej wyprzedazy. Towarzyszyły jej buteleczki z korektorem oraz kubek bez ucha, pełniący rolę pojemnika na ołówki i markery. A także sterta

papieru, stanowiąca nowy tekst - sterta, która, jak sobie właśnie Nora uprzytomniła, wcale ostatnio nie rosła.

- Chodź, wypij lemoniadę i obydwójce weźmiemy po tabletkę.

Usłuchała się, nie pozwalając sobie na otwarcie ust, bo czuła, że powiedziałaaby coś głupiego. Zastanawiała się, czy miłość do męża wyziera jej z oczu. Nic dziwnego, że Billowi tak bardzo zależało na towarzystwie. Ona też nie chciała by się więcej obudzić, gdyby coś stało się z Jackiem.

Wsunął się pod pościel z drugiej strony łóżka, wyjął jej kubek z dłoni i zgasił światło. Wyciągnął do niej rękę.

- Jak brzmi ta piosenka o „dwojgu sennych ludzi”? Gdyby ktokolwiek powiedział mi, że ten dzień tak się skończy...

Nora spała twardo i obudziła się rano z uczuciem, że śniło się jej coś, czego nie potrafi sobie przypomnieć. Z trudnością otworzyła oczy; zdawało się, że ma zlepione powieki. Kiedy wreszcie dzwignęła się na łokciu, zobaczyła, że Jack już wyszedł. Obydwie wskazówki na zegarze były na dziewiątce. Za kwadrans dziewiąta. Nigdy nie spała tak długo. Starając się otrząsnąć z oszołomienia, włożyła szlafrok i przeszła do kuchni. Parzyła się kawa, a Jack wycisnął świeży sok pomarańczowy - jeszcze jeden z dziesiątków drobnych gestów, które Nora przyjmowała jako coś oczywistego. Wiedział, jak bardzo lubiła świeży sok, chociaż jemu samemu w zupełności odpowiadał konserwowany.

Jack był już ubrany do pracy. Wyglądało na to, że odczuwane przez niego poprzedniego wieczora napięcie nie opuściło go ani trochę. Ciemne kręgi pod oczami sugerowały, że tabletkę nasenna niewiele mu pomogła. Gdy pocałował Norę, poczuła, że miał suche i rozpalone wargi.

- Teraz wiem, jak sprawić, żeby rano było tu trochę ciszy i spokoju. Wystarczy podsunąć ci prochy na spanie.

- Kiedy wstałeś?

- Około piątej. A może czwartej, sam nie wiem.

- Jack, nie idź do pracy. Usiądź i porozmawiajmy. Porozmawiajmy tak naprawdę. - Spróbowała stłumić ziewnięcie. - Och, Boże, nie mogę się dobudzić. Jak ludzie mogą brać co noc takie świństwo?

- Słuchaj, muszę pójść. Jest kilka spraw, którymi powinienem się zająć -jestem to winien firmie... Tak czy inaczej, wracaj do łóżka i wszystko odeśpij. Wróć do domu wcześniej, najpóźniej o czwartej, a wieczorem... wieczorem zrobimy coś wyjątkowego.

Jeszcze jedno ziewnięcie i uczucie, że oczy zamykają się jej same, sprawiły, że Nora uznała, iż nie jest najlepsza pora na próbę wysondowania Jacka.

- Zadzwoń tylko, jeśli się zasiedzisz. Wczoraj wieczorem martwiłam się o ciebie.

- Przysięgam, że się nie spóźnię.

Nora wyłączyła ekspres, wypła szklanekę soku pomarańczowego po drodze do łóżka i w trzy minuty pogrążyła się na powrót we śnie. Tym razem nic się jej nie śniło i kiedy dwie godziny później obudził ją dzwonek telefonu, miała jasną głowę.

- Pani Barton? - Był to detektyw Carlson. - Pomyślałem, że chciałyby to pani wiedzieć. Sprawdziłem w agencji gońców, w której pracował Bill Regan. Wczoraj wieczorem wrócił do biura około szóstej, tuż przed zamknięciem. Paru innych pracowników właśnie kończyło pracę. Regan był podniecony i szczęśliwy. Mówił i im, że to jego szczęśliwy dzień, ale kiedy zaczęli go pytać, o co mu chodzi, nabrał wody w usta i tylko robił tajemniczą minę. Sekcja zwłok wyznaczona została na dzisiejsze popołudnie. Z uwagi jednak na cios w głowę i pusty portfel, można uznać, że został prawdopodobnie zaatakowany przez poszukiwanego przez nas sprawcę rozbojów.

Myli się pan, pomyślała Nora.

- Zastanawia mnie jedno; skoro został obrabowany, dlaczego nie zabrano portfela? - spytała, starając się nie ujawniać swojego krytycyzmu. - Nie sądzę, żeby Bill kiedykolwiek nosił więcej niż parę dolarów. Czy miał w kieszeniach dużo drobnych albo żetony?

- Parę dolarów bilonu i około sześciu żetonów. Pani Barton, zdaję sobie sprawę, że nie jest pani usatysfakcjonowana, bo martwiła się pani o pana Regana. Jeśli ktoś, kto dopuszcza się rozboju, ma czas, zostawia portfel przy ofierze. Dzięki temu jest czysty, jeśli zostanie złapany. Staruszek miał głębokie kieszenie. Jeżeli napastnik sprawdził portfel i znalazł, czego szukał, pewnie nie zwracał sobie głowy szukaniem drobnych. Nie wie pani na pewno, czy pan Regan nosił przy sobie jakieś większe pieniądze, prawda?

- Nie, oczywiście, że nie. A szukaliście losu na loterię?

- Nie było żadnego losu na loterię, pani Barton. - Głos Carlsona stał się bardziej oficjalny; zabrzmiała w nim wyraźna nuta dezaprobaty.

Gdy Nora odkładała słuchawkę, w głowie dźwięczało bez ustanku słowo: „Nieusatysfakcjonowana”. Istotnie, nie była usatysfakcjonowana.

Oszalałaś, powiedziała sobie, gdy wychodziła spieszenie na ulicę. Pogoda zmieniła się diametralnie. Był słoneczny dzień z łagodnym wietrzykiem - bardziej pasujący do kwietnia niż listopada. I bardzo dobrze. No-

ra ucieszyła się, że mogła wyjść w zakiecie. Jej palto i jesionka Jacka wciąż nie wyschły po wyprawie do kostnicy ubiegłej nocy. Burberry, które Jack miał na sobie wczoraj w pracy, też było jeszcze przemoczone. Tego ranka mąż musiał włożyć stary płaszcz nieprzemakalny.

Jakiś biedak sortował kanapki, wygrzebane ze śmietnika. Gdzie podziała się wczorajsza nędzarka? - zastanowiła się Nora. Czy znalazła sobie schronienie na tę noc?

Przechodząc obok kiosku z gazetami, odwróciła oczy. Ślepiec - jego właściciel - na pewno był zaskoczony, że Bill nie pojawił się tego ranka. Nora nie mogła się jednak zmusić, by mu o wszystkim powiedzieć.

Przejechała linią Lexington Avenue Express do Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy, przesiadła się na kolejkę RR i dotarła do Fisk Building. Firma Dynamo Express Messenger Service miała siedzibę w pojedynczym pokoju na czwartym piętrze. Całe umeblowanie biura stanowiło biurko z centralną telefoniczną, kilka stalowoszarej barwy trójszufladowych szafek na akta oraz dwie długie ławki, na których siedziało kilku byle jak ubranych mężczyzn.

- Ty! Louey, śmigaj na Czterdziestą! - powiedział mężczyzna za biurkiem, gdy Nora zamykała drzwi. - Przeczytaj, żebyś wiedział, że się nie pomyliš. Nie mogę pozwolić, żebyś tracił czas na chodzenie pod złe adresy.

Kościsty starszy mężczyzna siedzący na środku ławki zerwał się na równe nogi. Wydawał się zdenerwowany i pragnął zadowolić szefa. Nora przyglądała się, jak z mozołem i przerwami odczytuje instrukcje.

- No dobra. Bierz się do roboty.

Mężczyzna za biurkiem po raz pierwszy popatrzył na nią. Miał na ciemieniu niedopasowany tupecik. Przesadne bokobrody zakrywały pulchne policzki, osobliwie kontrastujące z ostrym, małym nosem. Oczy w odcieniu wytłuszczonych monet powędrowały w górę i w dół po Norze, rozbierając ją w myślach.

- Czym mogę służyć, uroczą damo? - spytał dla odmiany służalczym tonem, jakże innym od sarkastycznego poganiania sprzed chwili.

Gdy skierowała się w jego stronę, na centralce zapaliło się kilka światełek i zabrzmiał dzwonek. Mężczyzna nacisnął parę guzików.

- Gońcy Dynamo Express, proszę chwilę zaczekać. - Uśmiechnął się do Nory. - Nie pali się.

Okazało się, że wie już o Billu.

- Jakiś gliniarz rozpytywał tu rano o niego. Stary gaduła. Boże, gęba mu się nigdy nie zamykała. Stale musiałem drzeć się na niego, żeby nie

marnował czasu wszędzie, gdzie został posłany. Miałem skargi na niego. - Nora zdała sobie sprawę, że się skrzywiła. - Oczywiście, że jak mówię „drzeć się”, to znaczy, że mówiłem tylko, daj sobie siana, Regan, świat nie musi chcieć poznać historii twojego życia. Może się pani założyć, że i o pani mi opowiadał. Pani jest tą aktorką, prawda? Mówił, że wygląda pani jak Rita Hayworth. Przynajmniej raz miał rację. Zaczeka pani, muszę odebrać parę zgłoszeń.

Nora stała przy biurku, mężczyzna zaś rozmawiał przez telefon, notował informacje i wysyłał gońców, podczas gdy kolejni wracali do biura. W przerwach zdołała wcisnąć kilka pytań.

- Pewnie, Bill był wczoraj wieczorem cały podniecony - powiedział kierownik. Paplał, że to jego szczęśliwy dzień, ale nie chciał powiedzieć, dlaczego. Pytałem, czy może poderwał jakąś mewkę, tak dla żartu.

- Przypuszcza pan, że mógł się zwierzyć komuś innemu?

- Możesz się pani tylko domyślać, tak samo jak ja.

- Czy ma pan listę miejsc, do których był wczoraj wysyłany? Chciałabym porozmawiać z ludźmi, którzy go widzieli. Czy zwykle zgłaszał się do biur? Może znał recepcjonistów albo coś w tym stylu?

- Pewnie tak.

Mężczyzna zaczynał okazywać rozdrażnienie, ale wygrzebał listę. Wczorajszy dzień był ruchliwy. Bill miał piętnaście zleceń. Nora zaczęła od pierwszego miejsca: Park Avenue 101, Sandrell and Woolworth, odebrać kopertę od recepcjonistki na siedemnastym piętrze i dostarczyć ją na Central Park South 205.

- Och, pewnie, to taki miły staruszek. - Miła, matronowata recepcjonistka z siedemnastego piętra pamiętała Billa. - Bardzo często go widujemy. Pokazał mi kiedyś zdjęcie swojej żony. Coś się stało?

Nora spodziewała się tego pytania i obmyśliła, jak powinna na nie odpowiedzieć.

- Ubiegłej nocy miał wypadek. Chcę napisać do jego siostrzenicy. Zostawił mi wiadomość na automatycznej sekretarce, że miał szczęśliwy dzień. Chciałabym ją o tym powiadomić, cokolwiek miał na myśli. Mówił pani coś?

Recepcjonistka najwyraźniej uświadomiła sobie, że chodziło o śmiertelny wypadek, i chwilowy żal po przelotnie znanym człowieku przemknął jak obłok po jej twarzy.

- Och, tak mi przykro. Nie, cóż, prawdę mówiąc, byłam tak zajęta, że tylko podałam mu kopertę i rzuciłam: „Życzę udanego dnia, Bill”, a on odrzekł coś w rodzaju: „Czuję, że to mój szczęśliwy dzień”. - Kobieta

podświadomie naśladowała głos Regana. Słuchając jej, Nora poczuła, że przeszył ją dreszcz. - Tak właśnie mi powiedział.

Następnym przystankiem Nory była kamienica przy Central Park South. Dozorczyni przypomniała sobie Billa.

- Och, tak pewnie, zostawił kopertę dla pana Parkera. Od księgowego, tak mi się wydaje. Zadzwoiłam, żeby zapytać, czy mam go zaprowadzić pod drzwi, ale pan Parker powiedział, żeby go nie zostawić kopertę u mnie, bo on i tak schodzi na dół. Nie, nic nie mówił. Pewnie nie dałam mu okazji. O tej porze przychodzi mnóstwo poczty.

Wydawało się, że wczoraj wszyscy byli zbyt zajęci dla Billa. Chuda jak szczapa sekretarka w biurze na Broadwayu oświadczyła Norze, że nigdy nie zachęca gości, by tu przesiadywali.

- Są dokładnie tacy sami jak doręczyciele. Odwrócisz się i zwiną ci portmonetkę.

Jej wzruszenie ramion, mówiące: „wiadomo, jak to jest”, stanowiło zachętę do podzielenia pogardy do złodziejasków, z którymi miała do czynienia.

Po tym epizodzie Nora zdała sobie sprawę, że nigdy nie dotrze do końca listy, jeśli nie zorganizuje sobie lepiej czasu. Bill krążył ze wschodu na zachód, zatrzymał się w kilku miejscach w śródmieściu, trzech na poziomie ulic Pięćdziesiątych, dwóch w okolicach Trzydziestych, czterech na początku Piątej Alei i dwóch niedaleko Wall Street. Zamiast podążać dokładnie jego śladem, Nora pogrupowała miejsca zgłoszeń według lokalizacji. Wizyty w dwóch pierwszych okazały się daremne. Nikt nawet nie przypominał sobie, kto zgłosił się po przesyłki. W trzecim autorka, która wysłała maszynopis do agenta, porozmawiała z Norą przez telefon. Tak, korzystała wczoraj z posłańca. Na pewno nie wdawała się z nim w rozmowę. Był jakiś problem? Niech pani tylko nie mówi, że maszynopis nie został doręczony.

O trzeciej po południu Nora zdała sobie sprawę, że nie przyszło jej do głowy nic zjeść, że te poszukiwania są bezsensowne, że Jack wraca wcześniej do domu, a ona chce być tam, kiedy mąż się zjawi. Tuż potem trafiła na młodego sprzedawcę w salonie fortepianów.

Na widok Nory sprzedawca podniósł wzrok z nadzieją. Salon był pusty z wyjątkiem fortepianów i organów, rozstawionych pod różnymi kątami, by uwydatnić ich najlepsze cechy. Plakat z napisem: „Uczyń muzykę częścią swojego życia” umieszczono tuż za małymi domowymi organami, przy których na ławeczce usadzono lalkę wielkości czteroletniego dziecka ze wspartymi na klawiszach króciuchnymi paluszkami.

Chwilowe rozczarowanie sprzedawcy, że Nora nie jest potencjalną klientką, znikło wobec perspektywy spędzenia kilku chwil z inną istotą ludzką. Mężczyzna powiedział Norze, że nie zamierza pozostać w przemyśle muzycznym. Obroty były naprawdę kiepskie. Nawet kierownik przyznawał, że najlepszy okres skończył się sześć lub siedem lat temu. Wtedy wszyscy chcieli mieć fortepian. A teraz? Lepiej nie mówić.

Posłaniec? Wczoraj? Z takimi śmiesznymi zębami. Och, pewnie, miły staruszek. Mówił coś? Był cały podekscytowany. Powiedział, że ma szczęśliwy dzień.

- Chodzi panu o to, że czuł się szczęśliwy? - spytała szybko Nora.

- Nie, nie o to. Pamiętam z całą pewnością, jak powiedział, że ma szczęśliwy dzień. Ale nie wyjawiał niczego więcej, a kiedy zapytałem, o co mu chodzi, tylko puścił do mnie oko.

Po dostarczeniu tej przesyłki Billa wysłano jeszcze tylko w jedno miejsce. W salonie muzycznym był dziesięć po czwartej, tuż po tym, jak nagrał wiadomość na automatycznej sekretarce Nory. Przedtem natomiast był u księgowego, który powiedział:

- Taa, przypominam sobie, że facet gadał mi, że czuje się szczęśliwy czy coś w tym rodzaju. Rozmawiałem przez telefon i pewnie tylko zbyłem go machnięciem ręki. Mówiłem z szefem i nic nie mogłem dosłyszeć.

- Czuł się szczęśliwy? Na pewno nie powiedział, że miał szczęście?

- Jestem pewny, że powiedział, że czuł się szczęśliwy, bo pamiętam, że pomyślałem, iż ja czuję się parszywie.

Czuł się szczęśliwy kwadrans przed czwartą. O czwartej dziesięć w kolejnym miejscu miał szczęście. Zgadza się, pomyślała Nora. Wiedziałam. Losowanie loterii odbywało się między wpół do czwartej a czwartą. Czy Bill miał jeden z wygrywających losów? Zatrzymała się na szybką kawę przy Madison Avenue. Grało radio. Poprzedniego dnia tysiąc dwieście osób wygrało po tysiącu dolarów, a trzy zdobyły po pięć tysięcy. Na jeden los padło natomiast trzynaście milionów dolarów. Spiker namawiał wszystkich, którzy kupili losy na Manhattanie, żeby sprawdzili numery.

Załóżmy, że Bill wygrał pięć tysięcy dolarów. Byłaby to dla niego fortuna. Parę razy wygrał po kilkaset dolarów. Obłąd, że niektórzy ludzie zdawali się stale wygrywać. Nora sprawdziła listę. Mogła wyeliminować wszystkie miejsca, w których Bill był przed wpół do czwartej. Został jej w ten sposób jeszcze tylko jeden adres do sprawdzenia. Z niechęcią uświadomiła sobie, że to w World Trade Center. Skoro jednak zaszła tak daleko, postanowiła, że tam zajrzy, a później wróci do domu.



Gdy po raz ósmy tego dnia wchodziła na stację metra, zastanawiała się, w jaki sposób Bill wytrzymał tę pracę. Czy kiedykolwiek przyznał się sam przed sobą, że inni nie mają ochoty go wysłuchiwać, czy też jego dzień okraszały spotkania z takimi ludźmi, jak młody sprzedawca, który ucieszył się z jej towarzystwa?

W kolejce podziemnej panował tłok. Był kwadrans po drugiej. Dawniej w dni powszednie nie było najgorzej i tylko w godzinach szczytu wisało się na uchwycie czy trzymało drążka. Teraz jednak zwalisty mężczyzna obok Nory z rozmysłem oparł się o nią, gdy wagon się zakołysał. Szybko odsunęła się od natręta.

Na parterze World Trade Center było tłoczno od krzątających się, zajętych własnymi sprawami ludzi, którzy znikali w głębi pasażu, schodzili do metra, zaglądali do restauracji i sklepów. Większość z nich była dobrze ubrana. Nora straciła pięć minut, ponieważ przez pomyłkę weszła do drugiego budynku zamiast pierwszego.

Cel jej wędrówki znajdował się na czterdziestym pierwszym piętrze. Wjeżdżając na górę, zastanawiała się, dlaczego nazwa firmy brzmi dla niej znajomo. Prawdopodobnie dlatego, że spoglądała na ten adres przez cały dzień.

Lyons and Becker była firmą inwestycyjną. Nora zorientowała się, że niezbyt wielką. I dobrze. Dzięki temu miała większe szanse znaleźć kogoś, kto zapamiętał Billa.

Recepcja okazała się niewielka, ale dobrze urządzona. Dalej widać było niektóre odgrodzone stanowiska pracy oraz poważnych mężczyzn i kobiety, handlujących akcjami i obligacjami.

Recepcjonistka nie przypominała sobie, żeby widziała Billa.

- Proszę jednak chwilę poczekać. Mniej więcej w tym czasie miałam przerwę. Zawołam dziewczynę, która mnie zastępowała.

Blondynka ze szczupłymi nogami i nadmiernie rozwiniętym biustem przez chwilę słuchała Nory zdezorientowana, po czym na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- Och, pewnie - powiedziała. - Gdzie ja mam głowę? Oczywiście, że pamiętam tego staruszka. O mało co nie zapomniał o przesyłce. - Nora czekała na dalszy ciąg. - Właśnie mu ją podawałam, kiedy rozejrzył się i zobaczył jednego z naszych sprzedawców. - Odwróciła się do swojej koleżanki. - Wiesz, kogo, Jacka Bartona, tego nowego przystojniaka.

Nora poczuła zimny ból, ściskający jej żołądek. Dlatego właśnie nazwa firmy wydawała się jej znajoma. O niej właśnie z taką niechęcią mówił jej wczoraj Jack. Jego nowa praca.

- Tak czy inaczej, staruszek wypatrzył Jacka i zrobił naprawdę zaskoczoną minę. Zapytał „To Jack Barton? On tu pracuje?”. - Dziewczyna wskazała skinieniem głowy wejście dla urzędników w przeciwnym końcu sali. - Staruszek bardzo się podniecił. Zawołał: „Muszę powiedzieć Jackowi o moim szczęśliwym dniu”. Musiałam za nim krzyknąć, żeby zabrał przesyłkę. Rany julek, przecież po nią tutaj przyszedł, prawda?

Musiał istnieć powód, dla którego Jack nie powiedział jej, że widział Billa. Jaki?

Nora starała się stłumić lęk, stanowiący potwierdzenie wczorajszego niepokoju. Kupiła gazetę i czytała ją podczas jazdy metrem, lecz druk tańczył jej przed oczami. Po przyjeździe do domu natychmiast poszła do łazienki, gdzie płaszcze obojga wciąż wisiały na drążku zasłony od prysznic. Jej palto wyschło całkowicie, chociaż stała na deszczu przez dziesięć minut. Jesionka, w której Jack był w szpitalu i w kostnicy - jego lepsze okrycie - była nadal wilgotna, ale burberry, w którym wrócił wczoraj do domu po pracy, nadal było doszczętnie przemoczone. Mąż nie przyszedł prosto ze stacji metra. Nora przypomniała sobie, że Jack niemal jarknął się z podniecenia, a napięcie wręcz potrzaskiwało wokół jego ciała, gdy przytulił ją i się rozplakał.

Jak daleko zaszedł wczorajszego wieczora? Dlaczego szedł piechotą? I kto z nim był?... Lub też za kim szedł?

- Proszę, Boże, nie - wyszeptwała. - Nie.

Jack wrócił do domu, namówiła go na prysznic i zadzwoniła na policję. Gdy wyszedł z sypialni, pomógł jej telefonować. Sprawdzał numery. Rozmawiała jednak, kiedy wszedł do pokoju. A przedtem usłyszała osobliwy dźwięk, jakieś trzaśnięcie, i zastanawiała się, co takiego robił.

Jak więzień, zmierzający na spotkanie nieuniknionego losu, przeszła do sypialni i sięgnęła do szafy po metalową kasetkę, w której trzymali ważne papiery: świadectwo ślubu, polisy ubezpieczeniowe, akty urodzenia. Przeniosła kasetkę na łóżko i otworzyła. Na wierzchu leżał akt urodzenia Jacka. Nora powoli wyjmowała dokumenty jeden po drugim, aż dotarła do ostatniej kartki - różowo-białego losu na loterię. Nie, Jack, pomyślała. Nie. Nie ty. Nie za tysiąc dolarów. Nie mógłbyś. Nie mogłeś. Musiało być jakieś wyjaśnienie.

Kiedy jednak porównała cyfry z zamieszczonym w gazecie wygrującym numerem, zrozumiała. Trzymała w dłoni los, za który można było dostać trzysta milionów dolarów.

Bill Regan wiedział, że miał szczęście. Nora czuła, że zawisło nad nią coś strasznego. Rozejrzała się po pokoju, starając się znaleźć odpowiedź. Tekst książki Jacka leżał obok maszyny do pisania - książki, która się nie posuwała, bo Jack się wypalił. Brał tabletki nasenne z powodu „odrobiny depresji”. Nora przypomniała sobie po chwili, jak niemiłosiernie go wypytywała poprzedniego ranka, aż zawstydzonym szeptem wymamrotał nazwę nowej firmy i powiedział, że został zwolniony z Merrill Lynch... a potem dodał, siląc się na spokój: „Część ogólnych redukcji. Po prostu byłem jednym z szeregowych pracowników. Nie miało to nic wspólnego z moją wydajnością”.

Tak więc wczoraj Bill powiedział mu o wygrywającym losie i w Jacku coś pękło. Musiał patrzeć, jak staruszek wychodzi z Fisk Building i poszedł za nim do parku.

Co miała zrobić? Z gwałtowną odrazą Nora odrzuciła myśl, że powinna zawiadomić policję. Jack był całym jej życiem. Zabiłaby się, zanimby się go wyrzekła.

„To mój szczęśliwy dzień”. Bill chciał przenieść się na Florydę, gdzie zamieszkałby w domu seniora z ciekawymi ludźmi, jak w „Kokonie”. Zasłużył sobie na tę szansę.

Nora siedziała na sofie w saloniku, gdy klucz obrócił się w drzwiach i Jack wszedł do mieszkania. Zdołała skupić się na myśli, że obicia są naprawdę w fatalnym stanie, a nowe narzuty nie ukryją wygniecionych poduszek. Chociaż był dopiero kwadrans po czwartej, zapadał zmierzch. Nora przypomniała sobie, że pozostał jedynie miesiąc do najkrótszego dnia w roku.

Wstała, gdy drzwi się otworzyły. Jack niósł naręczce róż o długich łodygach.

- Nora. - Jego napięcie znikło. Zeszłej nocy żałował z nią Billa Regana, ten wieczór należał jednak do niego. - Nora, usiądź i zaczekaj. Kochanie, zaczekaj, aż dowiesz się, co nas spotkało. Będę mógł pisać, a ty możesz zatrudnić pokojówkę. Kupimy to mieszkanie, będziemy mieli dom na Cape Cod. Jesteśmy ustawieni na resztę życia. Jesteśmy ustawieni. Zamierzałem ci o tym powiedzieć wczoraj, kiedy wróciłem do domu, ale nie chciałem, żeby w takiej chwili napatoczył się Bill Regan. Dlatego czekałem. A po tym, co się wydarzyło, nie sposób było ci powiedzieć.

- Widziałeś się wczoraj z Billem?

- Nie, nie widziałem go - odrzekł Jack ze zdziwioną miną.

- Wybiegł za tobą, kiedy o czwartej wyszedłeś z biura.

- W takim razie mnie nie dogonił. Nora, nie rozumiesz? Usłyszałem, jaki numer wygrał na wczorajszej loterii. Brzmiał znajomo. Czysty obłąd. Wybierałem cyfry na ślepo. Wiesz, że gdy kupuję los, zwykle obstawiam naszą rocznicę, twoje urodziny lub coś w tym rodzaju. A potem nie mogłem znaleźć tego przekłętego losu.

Jack, nie kłam. Nie kłam.

- Dostawałem szału, aż wreszcie sobie przypomniałem. Leżał na wierzchu, kiedy w zeszłym tygodniu uprzątałem swoje biurko w Merrill Lynch. Jeśli go nie wyrzuciłem, musiał być w jednej z teczek, które porządkowałem. Pogoniłem tam i przeszukałem wszystkie, co do jednej. Nora, po prostu wariowałem, aż wreszcie go znalazłem. Nie mogłem w to uwierzyć! Pewnie dostałem szoku. Szedłem pieszo całą drogę do domu. Kiedy zaproponowałaś, że dla mnie zrezygnujesz z kariery, a ja zacząłem płakać, pewnie uznałaś, że oszalałem. Roznosiło mnie, żeby ci powiedzieć, lecz kiedy pomyślałem, że biedny Bill zwali się nam na głowę, postanowiłem zaczekać. Chciałem, żeby to był tylko nasz wieczór.

Wydawało się, że nie zauważyła jej braku reakcji. Podsunął jej kwiaty pod nos.

- Zaczekaj tylko, aż ci pokażę - powiedział i pogonił do sypialni.

Zadzwoił telefon. Nora automatycznie podniosła słuchawkę i natychmiast tego pożałowała, było jednak za późno.

- Halo?

- Pani Barton? Z tej strony detektyw Carlson. - Głos policjanta brzmiał przyjacielsko. - Muszę pani powiedzieć, że miała pani rację.

- Miałam rację?

- Tak, kiedy się pani tak upierała, żebyśmy jeszcze raz przeszukali jego ubranie. Biedny dziadek wetknął los na loterię pod podszewkę kapelusza. Wygrał wczoraj tysiąc dolarów. Na pewno też będzie pani zadowolona, że go nie obrabowano. Chyba zbyt się podniecił. Umarł na rozległy zawał serca i zapewne rozbił sobie głowę o kamień, kiedy upadł.

- Nie... nie... nie...!

Krzyk Nory rozległ się w tej samej chwili, co jęk Jacka, który wypadł z sypialni z kasetką w ręce. Spomiędzy palców jego drugiej dłoni wzbijały się w górę strzępki popiołu z losu na loterię.

# Podwójne widzenie

Jimmy Cleary czał się w krzakach w ogrodzie koło domu Caroline w Princeton. Gęste, brązowe włosy opadały mu na czoło. Odgarnął je wystudiowanym gestem, który stał się manierą. Majowy wieczór był nietypowo wietrzny i przejmująco zimny. Mimo to pot przesiąkł dres Jimmy'ego. Zwilżył wargi koniuszkiem języka. Od nerwowego uniesienia w całym ciele czuł mrowienie.

Dokładnie pięć lat temu popełnił największą omyłkę w życiu. Zabił niewłaściwą dziewczynę. On, najlepszy aktor na całym świecie, spartaczył swoją najważniejszą scenę. Zamierzał teraz naprawić ów błąd. Tym razem nie będzie pomyłek.

Tylne drzwi mieszkania Caroline wychodziły na parking. Przez kilka ubiegłych nocy Jimmy sprawdzał teren. Ubiegłego wieczora wykręcił zarówno pod domem, tak że tylne wejście pogrążone było teraz w głębokim cieniu. Było piętnaście po ósmej; czas ruszać.

Jimmy wyciągnął z kieszeni przypominające szpikulec narzędzie, wsunął je w dziurkę od klucza i zaczął je obracać, aż usłyszał szcęknięcie bębna. Dłońmi w rękawicach obrócił gałkę w drzwiach i uchylił je wystarczająco szeroko, by wsunąć się do środka. Zamknął drzwi za sobą i na powrót zaryglował zamek. Wyżej znajdował się łańcuch, który właścicielka mieszkania zapewne zakładała na noc. I bardzo dobrze. Dzisiejszej nocy zamknie w środku ich oboje. Myśl o Caroline starannie zabezpieczającej wejście sprawiła Jimmy'emu wyraźną przyjemność. Przypominało to opowieść o duchach, kończącą się słowami: „Pozamykaliśmy już wszystko na noc”.

Jimmy znalazł się w kuchni, z której łukowato sklepione przejście prowadziło prosto do salonu. Ubiegłego wieczora ukrył się pod kuchennym

oknem i przyglądał się dziewczynie. Na parapecie stały rośliny, przez które roleta nie była opuszczona do końca. O dziesiątej Caroline wyszła z sypialni w pidżamie w czerwone i białe pasy. Oglądając wiadomości, ćwiczyła skłony, przy których jej jasne włosy przelewały się z ramienia na ramię. Potem wróciła do sypialni, gdzie prawdopodobnie przez jakiś czas czytała, światło zgasło bowiem dopiero po godzinie. Jimmy mógłby ją bez trudu wtedy zabić, lecz jego wycucie dramatyizmu domagało się, by doczekał dokładnej rocznicy.

Jedyne światło padało od ulicznych lamp, ale w mieszkaniu było niewiele miejsc, w których można było się ukryć. Jimmy mógł wcisnąć się pod łóżko, przykryte welwetową narzutą. Ciekawy pomysł: mógłby tam poczekać, aż Caroline będzie miała dosyć czytania, zrobi się senna i zgasi światło. Czekać, aż przestanie się poruszać, a jej oddech się wyrówna. Wówczas mógłby wysunąć się po cichu, przyjrzeć się jej tak, jak przyglądał się tamtej dziewczynie, a potem ją zbudzić. Postanowił jednak sprawdzić inne możliwości, zanim podejmie ostateczną decyzję.

Gdy otworzył drzwi szafy w sypialni, automatycznie zapaliła się lampka. Jimmy zobaczył niemal pełną torbę podróżną. Szybko zamknął drzwi. Było tam za mało miejsca, by schować się w środku.

„Wyobraźcie sobie kobietę, której zostały niecałe dwie godziny życia. Czy to czuje? Czy zajmuje się swoimi zwykłymi sprawami?“. Takie hipotetyczne pytanie rzucił któregoś dnia Cory Zola klasie aktorskiej. Cory był słynnym nauczycielem, przyjmował jedynie uczniów, w których dostrzegał zadatki na gwiazdy. Włączył mnie do swojej prywatnej klasy po pierwszej próbie, przypomniał sobie Jimmy. Potrafił poznać się na talencie.

W salonie nie było gdzie się ukryć, jednakże frontowe wejście znajdowało się na wprost niego, a obok w holu pod kątem prostym stała szafa z uchylonymi nieco drzwiczkami. Jimmy szybko podszedł, by do niej zajrzeć.

Tutaj nie było automatycznej lampki. Jimmy wyciągnął z kieszeni cienką jak ołówek latarkę i skierował wiązkę światła do środka. Szafa okazała się zaskakująco głęboka. Z przodu wisiał ciężki pokrowiec na ubrania, spowity w grube warstwy plastiku. Właśnie przez nie drzwiczki nie mogły się domknąć. Jimmy był gotów założyć się o wszystko, że w pokrowcu jest suknia ślubna. Gdy ubiegłego wieczora śledził Caroline, zatrzymała się na prawie pół godziny w sklepie, prawdopodobnie na ostatnią przymiarkę. Może pogrzebią ją w tej sukni.

Plastikowe osłony tworzyły idealne schronienie. Jimmy wszedł do środka, wcisnął się między dwa zimowe palta i zamknął za sobą drzwiczki. Ale

jeśli Caroline zajrzy od razu do szafy i go zobaczy? Najgorsze, co może nastąpić, to to, że zabijają niezgodnie z planem. Torba podróżna w drugiej szafie wydawała się jednak prawie pełna. Prawdopodobnie Caroline była już zupełnie spakowana. Wiedział, że rano ma lecieć do St. Paul. Wychodzi za mąż w przyszłym tygodniu. Myślała, że wychodzi za mąż.

Jimmy wysunął się z szafy. O piątej czekał w wynajętym samochodzie na Caroline pod siedzibą władz stanowych w Trenton. Zasiadła się w pracy. Pojechał za nią do restauracji, w której spotkała się z Wexfordem. Sterczał na zewnątrz i odszedł dopiero wtedy, kiedy zobaczył przez okno, że składają zamówienie. Potem przyjechał prosto do jej domu. Był pewny, że dziewczyna nie wróci jeszcze co najmniej przez godzinę. Znalazł w lodówce puszkę z gazowanym napojem i rozsiadł się na sofie. Nadzedł czas, by przygotować się do trzeciego aktu.

Wszystko zaczęło się pięć i pół roku wcześniej, na ostatnim semestrze w college<sup>^</sup> Rawlings w Providence. Jimmy uczył się aktorstwa teatralnego, natomiast przedmiotem kierunkowym Caroline była reżyseria. Wystąpił w kilku sztukach, które reżyserowała. W drugiej klasie zagrał Biffa w „Śmierci komiwojażera”. Był tak fantastyczny, że pół szkoły zaczęło wołać na niego „Biff\

Jimmy wypił łyk napoju. Myślami był z powrotem w college'u, wśród dekoracji sztuki wystawianej na ostatnim roku. Grał główną rolę. Przewodniczący rady college'u zaprosił na premierę starego przyjaciela, producenta z Paramount; rozeszła się pogłoska, że producent poszukuje nowych talentów. Dwa tygodnie przed premierą Caroline odebrała jednak Jimmy'emu rolę i dała ją Brianowi Kentowi. Wciąż ją widział - jasne włosy upięte w kok na czubku głowy; samodzielowa koszula wetknięta w dżinsy; poważne, zmartwione spojrzenie. „Po prostu nie pasujesz do tej roli, Jimmy. Myślę jednak, że idealnie nadajesz się na brata - do drugoplanowej roli męskiej”.

Rola drugoplanowa! Brat wypowiadał najwyżej sześć kwestii. Jimmy chciał prosić i błagać, ale wiedział, że to na nic. Kiedy Caroline Marshall dokonywała zmiany w obsadzie, nic nie mogło jej wzruszyć. Czuł natomiast instynktownie, że główna rola w tej sztuce miałyby kluczowe znaczenie dla jego kariery. W tym samym ułamku sekundy postanowił, że zabije tę dziewczynę i od razu zaczął grę. Roześmiał się, pozornie pogodnie i ze skrucą, po czym oświadczył: „Caroline, zbierałem się na odwagę, by ci powiedzieć, że mam takie zaległości w pracach semestralnych, iż nawet nie powinienem myśleć o sztuce”.

Dała się nabrać. Wyglądało na to, że poczuła ulgę. Producent z Paramount rzeczywiście przyjechał i zaprosił Briana Kenta na Zachodnie Wybrzeże na zdjęcia próbne do nowego serialu. Reszta, jak mawiamy w Hollywood, jest historią, pomyślał Jimmy. Po prawie pięciu latach serial wciąż miał oglądalność w pierwszej dziesiątce, a Brian Kent właśnie podpisał kontrakt na występ w filmie za trzy miliony dolarów.

Dwa tygodnie po ukończeniu college'u Jimmy pojechał do St. Paul. Dom rodziny Caroline był okazałą rezydencją, lecz Jimmy szybko odkrył, że boczne wejście nie jest zamknięte. Przeszedł przez parter, po szerokich kręconych schodach, obok głównej sypialni. Drzwi znalazł otwarte. Łóżko było puste. Po chwili Jimmy otworzył kolejne drzwi i zobaczył ją: spała spokojnie. Wciąż miał w pamięci zarysy jej pokoju, łóże z czterema kolumnkami z brązu, jedwabisty połysk miękkich, drogich prześcieradeł z perkalu. Przypominał sobie, jak pochylił się nad zwiniętą w kłębek dziewczyną, i jej lśniące włosy na poduszce. „Caroline”, wyszeptał, a ona otworzyła oczy, popatrzyła na niego i powiedziała: „Nie”.

Przygniótł ją ramionami i zakrył dłońmi jej usta. Słuchała z paniką w oczach, jak wyszeptał, że zamierzają zabić, że gdyby nie odebrała mu głównej roli, to jego, a nie Briana Kenta zauważyłby producent z Paramount. Powiedział w końcu: „Niczego nie będziesz już reżyserowała, Caroline. Masz nową rolę. Ofiary”.

Próbowała mu się wyrwać, ale powalił ją z powrotem na łóżko i okrecił sznur wokół jej szyi. Jej oczy się rozszerzyły, dostrzegł w nich błysk trwogi. Uniosła ręce z błagalnie wyciągniętymi dłońmi, które po paru chwilach opadły jednak bezwładnie na pościel.

Następnego ranka Jimmy nie mógł doczekać się nagłówków w gazetach: „Córka ważnego bankiera z St. Paul zamordowana”. Przypominał sobie, jak się roześmiał, a potem rozplakał z zawodu po lekturze kilku pierwszych zdań artykułu: „Ciało dwudziestojednoletniej Lisy Marshall zostało znalezione dzisiaj rana przez jej siostrę-bliźniaczkę”.

Lisa Marshall. Siostra-bliźniaczka.

Dalej pisano: „Młoda kobieta została uduszona. Bliźniaczki były same w rodzinnym domu. Policja nie zdołała przesłuchać Caroline Marshall. Na widok ciała siostry doznała głębokiego wstrząsu i konieczne było podanie jej znacznej ilości środków uspokajających”.

Jimmy zamierzał opowiedzieć o tym Caroline później tej nocy. O wszystkich latach w Los Angeles, gdy prenumerował gazety aglomeracji Minneapolis-St. Paul, szukając jakichkolwiek wiadomości na jej te-



mat. Wreszcie wyczytał, że Caroline jest zaręczona i ma wziąć ślub trzydziestego maja - w przyszłym tygodniu. Caroline Marshall, pracująca w dziale prawnym biura prokuratora generalnego w Trenton, stolicy stanu New Jersey, wychodziła za mąż za wykładowcę z Uniwersytetu Princeton, doktora Seana Wexforda. Wexford był na studiach doktoranckich, gdy Jimmy uczył się w Rawlings. Jimmy poznał go na kursie zajęć z psychologii. Zastanawiał się, w jaki sposób Caroline i Wexford nawiązali bliższą znajomość. Nie chodzili ze sobą, kiedy Caroline studiowała w Rawlings, tego był pewien.

Jimmy potrząsnął głową. Zaniósł pustą puszkę do kuchni i wyrzucił ją do kosza na śmieci. Caroline mogła wrócić w każdej chwili. Poszedł do łazienki. Skrzywił się, słysząc hałaśliwy plusk wody w toalecie. Następnie z bezgraniczną ostrożnością wsunął się do szafy i zasłonił zimowymi paltami. Namacał kawałek linki w kieszeni dresu. Odciął go z tego samego zwoju, co narzędzie mordu jej siostry. Był gotów.

- Cappuccino, kochanie? - Sean uśmiechnął się z drugiej strony świec na stole. W ciemnoniebieskich oczach Caroline widniało zamyślenie i pojawiający się w nich od czasu do czasu cień absolutnego smutku. Dzisiejszego wieczora to zrozumiała. Była rocznica ostatniego wieczora, jaki spędziły we dwie z Lisą. Próbując odwrócić jej uwagę, Sean powiedział: - Czułem się jak słoń w składzie porcelany, kiedy odbierałem dzisiaj po południu twoją suknię.

- Nie oglądałeś jej? - Caroline uniosła brwi. - To przynosi nieszczęście.

- Nie pozwolono mi się do niej zbliżyć. Sprzedawczyni ciągle przepraszała, że nie mogli jej przysłać.

- Ostatni miesiąc byłam tak zagoniona, że straciłam na wadze. Musieli zrobić zakładki.

- Jesteś za chuda. Będziemy musieli cię podtuczyć we Włoszech. Trzy razy dziennie *pasta* z sosem.

- Nie mogę się doczekać. - Caroline uśmiechnęła się przez stół. Uwielbiała okazałą posturę Seana, jego zawsze nieco potargane piaskowe włosy i humor widoczny w szarych oczach. - Moja matka dzwoniła dziś rano. Wciąż się martwi, że wybrałam suknię bez rękawów. Dwa razy przypomniła mi, że w Minnesocie pytają żartem: „Którego dnia było lato?”.

- Zgłaszam się na ochotnika, żeby cię ogrzewać. Schowałem twoją suknię do szafy przy drzwiach. Przy okazji, lepiej oddam ci zapasowe klucze.

- Zatrzymaj je. Jeżeli czegoś zapomnę, będziesz mógł zabrać to ze sobą w przyszłym tygodniu.

Gdy wyszli z restauracji, Caroline pojechała za Seanem do dużego wiktoriańskiego domu, do którego mieli wprowadzić się po powrocie z miodowego miesiąca. Na czas nieobecności Caroline zostawiała swój samochód w drugim garażu. Sean zaparkował na podjeździe i przesiadł się do jej wozu. Przesunęła się na miejsce obok kierowcy. Otoczył ją ramieniem i odwiózł do domu.

Jimmy był dumny, że nawet po godzinie stania w bezruchu nic mu nie dolegało. Był to skutek formy, jaką utrzymywał dzięki wysiłkom na sali gimnastycznej i lekcjom tańca.

Pięć minionych lat strawił na nauce, stukaniu do drzwi i próbach umawiania się z ludźmi organizującymi obsadę. Nawet gdy znalazł się już blisko, w końcu był spychany na margines. Aby zdobyć agenta, trzeba było udowodnić, że zagrało się kilka dobrych ról. Aby dostać się do właściwych ludzi od obsady, potrzebny był energiczny agent. Czasami Jimmy słyszał nawet dobijające go zdanie: „Jesteś w typie Briana Kenta, a to wcale ci nie pomaga”.

Wspomnienia te budziły w nim furię. Potrzęsął głową. Musiał znieść takie rzeczy po tym, gdy jego matce udało się wreszcie przekonać ojca, by finansował przez rok to, co nazywał „próbami grania”.

Jimmy poczuł zadawniony gniew. Ojcu nigdy nie podobało się to, co robił. Czy był dumny, gdy jego syn zaprezentował się tak wspaniale w „Śmierci komiwojażera”? Nie. Wolałby kibicować Jimmy'emu na boisku do futbolu amerykańskiego podczas rozgrywek o Puchar Heismana.

Jimmy nie zawracał sobie głowy proszeniem ojca o dalsze fundusze, gdy pieniądze od niego się skończyły. Mniej więcej co miesiąc matka przysyłała mu tyle, ile zdołała zaoszczędzić na domowych wydatkach. Stary miał mnóstwo forsy, ale i węża w kieszeni. Byłby jednak na pewno szczęśliwy jak wszyscy diabli, gdyby to właśnie James junior, a nie Brian Kent, podpisał w zeszłym tygodniu kontrakt na trzy miliony dolarów. Na pewno wołałby: „Mój chłopiec!”.

Stałoby się tak, gdyby pięć lat temu Caroline nie wyszarpała mu roli i nie oddała jej Brianowi Kentowi.

Jimmy zeszytniał. Pod frontowym wejściem rozległy się głosy. Caroline. Nie była sama. Drugi głos należał do mężczyzny. Jimmy skulił się pod ścianką szafy. Gdy drzwi się otworzyły i tamci włączyli światło, opuścił wzrok i zamarł. Blask przesączał się do jego kryjówki. Był pewien.

że nie można go dostrzec, ale sterczące czubki jego zdeptanych butów do biegania wręcz zdawały się krzyczyć o jego obecności.

Zapaliwszy światło, Caroline rozejrzała się po salonie. Tego wieczora mieszkanie z jakiegoś powodu wydawało się jej odmienione, obce. Oczywiście, tylko ze względu na to, iż był to wyjątkowy dzień. Rocznica śmierci Lisy. Caroline objęła ramieniem Seana. Delikatnie pomasaował jej kark.

- Cały wieczór byłaś myślami daleko stąd, wiesz o tym?

- Zawsze wsłuchuję się w każde twoje słowo. - Głos jej się załamał; próba zachowania pogody ducha spełzła na niczym.

- Nie chcę, żebyś dzisiejszej nocy była sama, Caroline. Pozwól mi ze sobą zostać. Posłuchaj, wiem, dlaczego chcesz być sama, i to rozumiem. Idź do sypialni, a ja prześpię się na sofie.

- Nie, naprawdę nic mi nie jest. - Spróbowała się uśmiechnąć i zarzuciła Seanowi ręce na szyję. - Przytul mnie tylko na chwilę i jedź do siebie - powiedziała. - Nastawię budzik na wpół do siódmej. Lepiej będzie, jeśli dokończę pakowania rano. Wiesz, jaka jestem. Do południa pobierana, ale później gasnę.

- Nie zauważyłem.

Usta Seana musnęły jej szyję i czoło, a potem znalazły usta. Objął ją Caroline, czując napięcie w jej szczupłym ciele.

Tego wieczora powiedziała mu: „Gdy rocznica mija, znów jestem w porządku. Chodzi o to, że wcześniej przez kilka dni zawsze mam wrażenie, jakby Lisa była ze mną. To uczucie ciągle narasta, tak jak dzisiaj. Wiem jednak, że jutro już nic mi nie będzie. Wrócę do domu, będę się przygotowywała do ślubu i czuła szczęśliwa”.

Sean niechętnie wypuścił Caroline z objęć. Wyglądała na bardzo zmęczoną i może paradoksalnie właśnie dzięki temu sprawiała wrażenie młodziutkiej. Miała dwadzieścia sześć lat, lecz w tym momencie mogłaby uchodzić za uczennicę pierwszej klasy college'u. Powiedział jej to.

- Ale jesteś o wiele śliczniejsza od którejkolwiek z nich - dokończył. - Będzie strasznie miło przez resztę życia budzić się i rano widzieć ciebie pierwszą.

Jimmy Cleary zalewał się potem. A jeśli ona pozwoli Wexfordowi zostać tu na noc? Na pewno znajdą go rano, kiedy Caroline zechce wyjąć suknię z szafy. Stali w objęciach niecałe pół metra od kryjówki Jimmy'ego. A jeśli któreś z poczuje woń jego potu? Wexford zebrał się jednak do wyjścia.

- Będę tu o siódmej, kochanie - powiedział Caroline.

I znajdziesz ją tak, jak ona znalazła swoją siostrę, pomyślał Jimmy. Tak właśnie będziesz wyobrażał ją sobie rano przez resztę swojego życia.

Caroline zaryglowała drzwi za Seanem. Przez chwilę miała ochotę natychmiast otworzyć je z powrotem, zawołać go i powiedzieć: „Tak, zostań ze mną. Nie chcę być sama”. Ale przecież nie jestem, pomyślała, zdejmując rękę z gałki. Lisa jest bardzo blisko mnie tej nocy. Lisa. Lisa.

Przeszła do sypialni i szybko się rozebrała. Gorący prysznic pomógł nieco zmniejszyć napięcie, jakie odczuwała w mięśniach karku i pleców. Przypomniała sobie, jak Sean ją masował. Tak bardzo go kocham, pomyślała. Pidzama w czerwone i białe pasy wisiała na haczyku na drzwiach łazienki. Wynałazła ją, gdy rozglądała się za bielizną i koszulkami nocnymi w butik przy Madison Avenue. „Jeśli się pani podoba, niech się pani lepiej szybko decyduje”, powiedziała sprzedawczyni. „Mamy tylko jedną w tych kolorach. Jest wygodna i strasznie elegancka”.

Jeden komplet. To przesądziło o decyzji Caroline. Jedną z najtrudniejszych rzeczy przez minione pięć lat było zerwanie z nawykiem kupowania dwóch sztuk wszystkiego. Przez lata kupowała automatycznie parę, jeśli zobaczyła cokolwiek, co się jej podobało. Lisa postępowała tak samo. Nosiły dokładnie ten sam rozmiar, były jednakowego wzrostu, tyle samo ważyły. Nawet rodzice mieli trudności z ich odróżnianiem. Gdy kończyły szkołę średnią, matka namawiała je, żeby kupiły sobie na bal absolwentów dwie różne sukienki. Wybrały się oddzielnie na zakupy i wróciły do domu z takimi samymi biało-niebieskimi sukienkami ze szwajcarskiej bawełny.

Rok później ze łzami zgodziły się z rodzicami i psychologiem ze szkoły, że wyświadczą sobie przysługę, jeśli pójdą do różnych college'ów i nie będą opowiadać o siostrze-bliźniaczce. „Bliskość jest cudowna, powiedział psycholog. Każda z was musi jednak myśleć o sobie jako o indywidualności. Nie będziecie żyły pełnią życia, dopóki nie nauczycie się pozostawiać między sobą trochę wolnego miejsca”.

Caroline poszła do Rawlings, Lisa do college'u uniwersytetu Południowej Kalifornii. W szkole Caroline sprawiało ukrytą radość, iż znajomi myśleli, że sama sobie zadedykowała zdjęcie: „Mojej najlepszej przyjaciółce”. Nawet dyplomy zdobyły tego samego dnia. Matka pojechała do Lisy; ojciec przybył na uroczystość, na której Caroline wygłaszała mowę pożegnalną.

Caroline przeszła do salonu. Przypomniała sobie o założeniu łańcucha na tylnych drzwiach, włączyła telewizję i półświadomie zaczęła kiwać się z boku na bok. Zaczęła się reklama ubezpieczenia na życie: „Czyż nie jest

pociechą wiedzieć, że twoja rodzina pozostanie zabezpieczona, gdy ciebie już nie będzie?". Caroline gwałtownie zgasiła telewizor. Wyłączyła światło w salonie, przeszła spiesznie do sypialni i wsunęła się w pościel. Leżąc na boku, podciągnęła nogi pod siebie i ukryła twarz w dłoniach.

Sean Wexford nie potrafił otrząsnąć się z uczucia, że zdecydowanie nie powinien był zostawiać Caroline. Przez kilka minut siedział w samochodzie, patrząc na drzwi jej domu. Pragnęła jednak zostać sama. Pokręciwszy głową, Sean sięgnął po kluczyki.

W drodze do domu jego emocje wahały się od troski o Caroline po zniecierpliwienie, że dopiero za tydzień od jutra zostaną mężem i żoną. Przypomnił sobie własne zdumienie, gdy w zeszłym roku zobaczył, jak biegnie przed nim, gdy uprawiał jogging na kampusie w Princeton. Chodziła na tylko jeden kurs zajęć, jaki prowadził w Rawlings. W tym okresie pracował tak ciężko nad swoim doktoratem, że nawet nie myślał o umawianiu się na randki. Tego ranka przed rokiem Caroline powiedziała mu, że ukończyła Akademię Prawa Stanu Columbia, była asystentką sędziego Sądu Najwyższego New Jersey, a następnie podjęła pracę w biurze prokuratora generalnego w Trenton. Skręcając samochodem na podjazd swojego domu, Sean pomyślał: już przy pierwszej filiżance kawy wiedzieliśmy oboje, co będzie dalej. Zaparkował samochód Caroline za swoim i wszedł do domu, uśmiechając się na myśl, że już niedługo ich wozy zawsze będą stały razem na podjeździe.

Jimmy Cleary był zaskoczony tym, jak nagle Caroline wyłączyła telewizor. Pomyślał ponownie o pytaniach, jakie Cory Zola rzucił klasie aktorskiej: „Wyobraźcie sobie kobietę, której zostały niecałe dwie godziny życia. Czy to czuje? Czy zajmuje się swoimi zwykłymi sprawami?”. Caroline mogła wyczuwać niebezpieczeństwo. Gdyby Jimmy znów był w klasie, wróciłby do tego pytania. „Moim zdaniem duch się ożywia, gdy przygotowuje się do opuszczenia ciała”, powiedziałby. Czuł, że Zola uznałby to za natchnioną myśl.

Jimmy poczuł skurcz w nodze. Nie przywykł do stania bez końca nieruchomo, mógł jednak pozostać w tej pozycji tak długo, jak będzie to konieczne. Jeśli intuicja ostrzegła Caroline o zagrożeniu, dziewczyna na pewno nasłuchiwała najdrobniejszych odgłosów. Ściany mieszkania były cienkie. Jeden krzyk mógł wystarczyć, by ktoś ją usłyszał. Jimmy był zadowolony, że Caroline zostawiła otwarte drzwi od sypialni. Nie musiał się martwić, że zaskrzypią, gdy będzie do niej wchodził.

Przymknął oczy. Pragnął odtworzyć dokładną pozycję, w jakiej się znajdował, gdy obudził jej siostrę. Kolano na podłodze obok łóżka, ramiona w pogotowiu do przyciśnięcia jej, ręce ułożone tak, by zatkać jej usta. W istocie klęczał minutę czy dwie, zanim obudził tamtą dziewczynę. Prawdopodobnie teraz nie będzie miał czasu na taki luksus. Caroline zapewne śpi płytko. Duch będzie szeptał jej, by dawała baczenie.

„Baczenie” - piękne słowo. Słowo, które doskonale brzmiało, wymawiane szeptem na scenie. Jimmy mógł zrobić karierę teatralną. Na Broadwayu. Dostawałby o wiele mniej pieniędzy niż w filmach, ale miałby prestiż. Jego nazwisko widniałoby na afiszach.

Caroline rzuciła na niego zły wzrok. Zamierzał się go pozbyć.

Caroline leżała zwinięta w łóżku i dygotała. Miękką puchową kołdra nie mogła ukoić drżenia. Caroline się bała. Okropnie się bała. Dlaczego?

- Lisa - szepnęła. - Tak właśnie się czułaś, Lisa? Czy się obudziłaś? Czy wiedziałaś, co się z tobą dzieje?

Czy słyszałam tamtej nocy twój krzyk i zapadłam z powrotem w sen?

Wciąż tego nie wiedziała. Miała tylko wrażenie, niejasny, senny obraz, powracający do niej w ciągu tygodni po śmierci Lisy. Rozmawiała o tym z Seanem. „Myślę, że mogłam ją usłyszeć. Może gdybym zmusiła się, żeby nie zasnąć...”.

Sean przekonał ją, że jest to reakcja typowa dla rodzin ofiar. Syndrom „gdyby tylko”. Przez miniony rok dzięki niemu i z jego powodu Caroline zaczęła odnajdywać spokój i równowagę. Wszystko to jednak znikło dzisiejszego wieczora.

Obróciła się na łóżku i zmusiła do rozprostowania nóg i ramion. Irracjonalny lęk i przejmujący smutek to objawy depresji - wyczytała gdzieś. Smutek - no dobrze, pomyślała. To rocznica, ale nie poddam się lękowi. Będę myślała o szczęśliwych czasach z Lisą. O ostatnim wieczorze.

Matka i ojciec polecieli na seminarium dla bankierów do San Francisco. Caroline i Lisa zamówiły pizzę ze wszystkimi dodatkami, napiły się wina i gadały jak najęte. Rozmawiały o decyzji Lisy, by wybrać się na wydział prawa. Caroline również zdała testy kwalifikacyjne na prawo, ale jeszcze nie zdecydowała, czym chce zająć się w przyszłości.

„Naprawdę kochałam być w grupie teatralnej, powiedziała Lisie. Jestem marną aktorką, lecz potrafię poznać się na dobrej grze. Myślę, że byłabym zupełnie niezłym reżyserem. Sztuka została dobrze przyjęta, a producent wybrał Briana Kenta - wiedziałam, że idealnie nadaje się do głównej roli. Mimo to jeśli zdobędę dyplom prawnika, mogłybyśmy otwo-

rzyć własne biuro i mówić klientom, że dostają podwójną usługę za te same pieniądze".

Położyły się spać około jedenastej. Ich pokoje przylegały do siebie. Zwykle zostawiały otwarte drzwi, Lisa jednak chciała obejrzeć jakiś program w telewizji, a Caroline była śpiąca, więc posłały sobie w powietrzu pocałunki i Caroline zamknęła drzwi.

Gdybym tylko zostawiła je otwarte, pomyślała. Na pewno bym ją usłyszała, jeśli tylko miała szansę krzyknąć.

Następnego ranka obudziła się dopiero po ósmej. Pamiętała, jak usiadła, przeciągnęła się i pomyślała, że dobrze jest mieć już college za sobą. W prezencie z okazji ukończenia szkoły ona i Lisa miały tego lata pojechać na wycieczkę do Europy.

Caroline przypomniała sobie, jak wyskoczyła z łóżka, chcąc zaparzyć kawę i przynieść ją razem z sokiem Lisie na tacy. Wycisnęła świeży sok, podczas gdy kawa sączyła się przez filtr, ustawiła na tacy szklanki, filiżanki i dzbanek, po czym wróciła po schodach na górę.

Drzwi do pokoju Lisy były odrobinę uchylone. Otworzyła je pchnięciem nogi i zawołała: „Zbudź się, dziewczyno! Za godzinę mamy mecz tenisa!”.

Wtedy zobaczyła siostrę. Jej nienaturalnie przekrzywioną głowę, wrzynającą się w szyję linkę, szeroko otwarte, przepełnione strachem oczy i ręce wyciągnięte, jakby starała się coś od siebie odepchnąć. Caroline upuściła tacę, ochlapując sobie nogi kawą, zdołała dojść chwiejnym krokiem do telefonu, wykręciła 911 i zaczęła krzyczeć - krzyczeć, aż z jej gardła wydobywał się tylko chrapliwy, charczący odgłos. Odzyskała świadomość w szpitalu trzy dni później. Powiedziano jej, że policja znalazła ją leżącą obok Lisy z jej głową na swoim ramieniu.

Jedynym tropem był błotnisty częściowy odcisk buta do biegania, znaleziony w domu tuż koło bocznych drzwi. Inspektor powiedział im później: „On - czy ona - był potem łaskaw zetrzeć resztę błota z wycieraczki”.

Gdyby tylko morderca Lisy został odnaleziony, pomyślała leżąc w ciemności Caroline. Wszyscy detektywi byli przekonani, że to ktoś, kto znał Lisę. Nie znaleziono śladów usiłowania rabunku ani gwałtu. Policjanci przesłuchiwali mnóstwo przyjaciół Lisy i chłopaków, z którymi umawiała się w college'u. W jej klasie był młody mężczyzna z obsesją na jej punkcie. Pozostawał głównym podejrzanym, policji jednak nie udało się dowieść, że tej nocy znalazł się w St. Paul.

Policja sprawdzała też hipotezę pomyłki co do osoby ofiary, zwłaszcza gdy dowiedziała się, że żadna z siostr nie mówiła przyjaciołom w college^, że ma identyczną bliźniaczkę.

„Nie mówiłyśmy o tym dlatego, że tak nam polecono. Stało się to dla nas pewną grą”, powiedziała Caroline.

„Czy pani przyjaciele z college'u odwiedzali panią w domu?”

„Nie zabierałyśmy znajomych do domu. Cieszyłyśmy się, że możemy spędzać razem wakacje i ferie”.

Och, Liso, pomyślała Caroline. Gdybym tylko wiedziała, dlaczego. Gdybym tylko mogła ci pomóc tamtej nocy. Odechciało się jej spać, ale poczuła nagłe znużenie.

W końcu jej powieki zaczęły się same zamykać. Och, Liso, chciałam, żebyś była szczęśliwa tak samo jak ja, pomyślała. Gdybym tylko potrafiła to jakoś nadrobić.

Dolna połowa okna była nieco uchylona. Ochronne zamki z boków uniemożliwiały uniesienie jej wyżej. Nagły powiew wiatru sprawił, że okiennica zakołatała. Caroline poderwała głowę, zdała sobie sprawę, co się stało, i zmusiła się do położenia z powrotem na poduszce. Przestań, powiedziała sobie. Przestań. Z rozmysłem zamknęła oczy i po chwili zapadła w lekką, pełną majaczeń drzemkę - sen, w którym Lisa wołała ją i starała się ostrzec.

Nadszedł czas. Jimmy Cleary to wyczuwał. Ustał szelest pościeli i w sypialni zapanowała absolutna cisza. Wyśliznął się spośród ubrań i odsunął na bok torbę z suknią Caroline. Zawiasy wydały cichy dźwięk, gdy pechnął drzwiczki szafy, ale z sypialni nie słychać było żadnej reakcji. Jimmy przekradł się przez salon do drzwi. Caroline miała włączoną nocną lampkę, która rzucała dość światła, by można było zobaczyć, że młoda kobieta śpi niespokojnie. Jej oddech był równy, lecz płytki. Kilka razy przewróciła głowę z boku na bok, jak gdyby przeciwko czemuś protestowała.

Jimmy namacał w kieszeni sznur. Poczuł dziwną satysfakcję na myśl, że linka pochodziła z tego samego zwoju, co kawałek, którego użył do zabicia siostry Caroline. Miał na sobie nawet ten sam dres co pięć lat temu i te same buty do biegania. Wiedział, że zatrzymanie tych rzeczy jest trochę ryzykowne, gdyby policja kiedykolwiek chciała go przesłuchać, ale nie zdołał się zmusić, by je wyrzucić. Zamiast tego schował je z innymi przedmiotami w wynajmowanej przechowalni, gdzie nikt nie zadawał żadnych pytań. Oczywiście posłużył się fałszywym nazwiskiem.

Podszedł na palcach do łóżka Caroline i ukląkł. Przyglądał się jej pełną minutę, nim powieki dziewczyny uchyliły się z trzepotem. Zacisnął dłoń na jej ustach.



Sean obejrzał dziennik o dziesiątej. Zdał sobie sprawę, że w ogóle nie chce się mu spać i otworzył książkę, którą miał ochotę przeczytać. Kilka minut później jednak odrzucił ją ze zniecierpliwieniem na bok. Działo się coś złego, wyczuwał to równie pewnie, jakby dostrzegł dym przenikający z sąsiedniego pokoju i domyślił się, że w domu wybuchł pożar. Postanowił zadzwonić do Caroline i dowiedzieć się, co robi. Z drugiej strony może jednak zdołała zasnąć. Sean podszedł do barku i nalał do szklanki dużą porcję szkockiej. Kilka łyków pomogło mu uświadomić sobie, że zapewne zachowuje się jak nerwowa stara ciotka.

Caroline otworzyła oczy, gdy usłyszała swoje wypowiedziane szeptem imię. To koszmar, pomyślała. Coś mi się przyśniło. Chciała krzyknąć, ale poczuła zaciskającą się na jej ustach dłoń - twardą, muskularną, ugniatającą jej kości policzkowe, zasłaniającą usta i na poły zakrywającą nozdrza. Stęknęła, walcząc o oddech. Dłoń zsunęła się nieco, dzięki czemu Caroline zdołała wciągnąć powietrze w płuca. Usiłowała odsunąć się w tył, lecz mężczyzna przytrzymał ją drugą ręką. Przynal do niej twarz.

- Zjawiłem się, aby naprawić swoją omyłkę, Caroline - wyszeptał.

Nocna lampka rzuciła niesamowite cienie na łóżko. Ten głos... Caroline słyszała go wcześniej. Znała śmiały zarys czoła, kwadratową szczękę, twardą linię barków. Kto to był?

- Caroline, przebojowa pani reżyser.

Rozpoznała wreszcie głos. Jimmy Cleary. Jimmy Cleary - i w tym samym momencie zrozumiała, dlaczego. Jak scena z filmu przed oczami mignęła jej chwila, kiedy powiedziała mu, że po prostu nie nadaje się do tej roli. Przyjął to bardzo dobrze. Za dobrze. Nie chciała dopuścić do świadomości, że to tylko gra. Łatwiej było uważać, że zgadzał się z jej decyzją. Zabił Lisę, ale to mnie chciał odebrać życie. To moja wina. Spomiędzy jej warg wydobył się jęk, stłumiony przez jego dłoń. Moja wina. Moja wina!

W tej samej chwili usłyszała głos Lisy równie wyraźnie, jakby siostra szeptała jej do ucha, powierzając swe sekrety jak wtedy, kiedy były dziećmi.

*To nie twoja wina, lecz zawinił, jeśli teraz pozwolisz mu, żeby znów zabił. Nie pozwól, żeby to spotkało tatę i mamę. Nie pozwól, żeby to spotkało Seana. Dożyj dla mnie starości. Miej dzieci. Nazwij jedno po mnie. Musisz żyć. Posłuchaj mnie, powiedz mu, że się nie pomylił. Powiedz mu, że ty też mnie nienawidziłaś. Pomogę ci.*

Caroline czuła na policzku gorący oddech Jimmy'ego Cleary'ego. Mówił o roli, o tym, że producent zaangażował Briana Kenta, o nowym kontrakcie tamtego.

- Zabiję cię dokładnie tak, jak zamordowałem twoją siostrę. Aktor szlifuje rolę, aż staje się w niej perfekcyjny. Chcesz usłyszeć, co na koniec powiedziałem twojej siostrze?

Uniósł odrobinę dłoń, by mogła mu odpowiedzieć.

*Powiedz mu, że ty to ja.*

Przez ułamek sekundy Caroline miała znowu sześć lat. Razem z Lisą bawiły się na fundamentach stawianego obok domu. Lisa, zawsze śmielsza, zawsze pewnie stąpająca, prowadziła ją po stertach żuźlowych pustaków. „Nie bądź strachajło, ponagliła Caroline. Po prostu idź za mną”.

- Marzę, żeby to usłyszeć. - Usłyszała, jak szepcze te słowa. - Chcę wiedzieć, jak umarła, żeby się z tego pośmiać. Zabiłeś Caroline, a ja jestem Lisa.

Poczuła gwałtownie wymierzony sobie policzek.

Ktoś zmienił scenariusz. Jimmy z furią wbił palce w jej twarz. Czyje to policzki? Caroline? Jeśli już ją zabił, dlaczego jego życie się nie odmieniło? Nie poruszając ramieniem, którym przygniatał jej pierś, sięgnął do kieszeni na piersi po sznurek. Skończ to wreszcie, powiedział sobie. Jeśli zabijesz obydwie, będziesz miał pewność, że dopadłeś i Caroline.

Przypominało to jednak wyjście na scenę w trzecim akcie, gdy nie wiesz, jak kończy się sztuka. Jeśli aktor nie znał punktu kulminacyjnego, jak można oczekiwać, że publiczność poczuje napięcie? Istniała bowiem publiczność - niewidoczna, której było na imię: przeznaczenie. Musiał się upewnić.

- Jeśli spróbujesz krzyknąć, nie zdołasz nawet wydać jęku - powiedział kobiecie. - Tylko tyle zdołała wykrztusić z siebie twoja siostra. - Zatem Caroline rzeczywiście usłyszała Lisę tamtej nocy. - Kiwnij więc głową, jeśli obiecujesz, że nie będziesz krzyczała. Porozmawiamy. Może, jeśli zdołasz mnie przekonać, pozwolę ci żyć. Wexford chce spoglądać na ciebie rano przez resztę swojego życia, prawda? Sam słyszałem, jak to powiedział.

A więc Jimmy Cleary był w domu, kiedy oni oboje tu przyszli. Caroline poczuła, że ogarniają ciemność.

*Rób, co mówi! Nie wolno ci zemdleć!* - słyszała w myślach rozkazującej głos Lisy.

„Księżniczka rzekła”, mawiała Caroline w takich wypadkach i obydwie się z tego śmiały.

Jimmy uniósł ramię, którym przyciskał Caroline do łóżka, zarzucił jej sznurek na szyję i zawiązał pętlę. Linka była dwukrotnie dłuższa od tej, której użył za pierwszym razem. Przyszło mu do głowy, że tym razem zawiąże podwójny węzeł - wspaniały finałowy gest, gdy będzie wychodził z zasięgu reflektorów śmierci.

Dodatkowy odcinek linki pozwalał mu kierować ruchami dziewczyny. Spokojnie nakazał jej, żeby wstała z łóżka, gdyż jest głodny i chce, żeby zrobiła mu kanapkę i kawę. Zapowiedział, że będzie trzymał koniec sznura. Pociągnie za niego i udusi ją, jeśli tylko Caroline krzyknie lub spróbuje mu wyciąć jakiś numer.

*Usluchaj go.*

Posłusznie usiadła, gdy Jimmy zdjął ramię z jej klatki piersiowej. Stopami dotknęła chłodnego drewna podłogi. Odruchowo zaczęła poruszać nimi w poszukiwaniu pantofli. Mogę za kilka sekund nie żyć, a martwię się, że jestem bosa, pomyślała. Gdy się pochyliła, poczuła, jak sznur wrzywna się w jej szyję.

- Nie... Proszę! - Usłyszała panikę w swoim głosie.

- Zamknij się! - Dłonie Jimmy'ego Cleary'ego rozluźniły linkę. - Nie poruszaj się tak gwałtownie i nie krzycz.

Bok w bok przeszli przez salon do kuchni. Ręka Jimmy'ego spoczywała na karku Caroline, jego palce wpijały się w sznur. Chociaż go rozluźnił, wciąż czuła nacisk linki, jakby to była stalowa obręcz. W myślach ciągle widziała szarawy pas, odcisnięty na gardle Lisy. Po raz pierwszy zaczęła przypominać sobie resztę tamtego poranka. Zadzwoiła pod 911 i zaczęła krzyczeć. Potem upuściła słuchawkę. Ciało siostry leżało niemal na brzegu łóżka, jakby w ostatniej chwili próbowała uciec. Miała tak siną skórę, myślałam, że jest jej zimno, musiałam ją ogrzać, przypomniała sobie Caroline, otwierając drzwiczki lodówki. Obiegrałam łóżko, położyłam się na nim, zaczęłam mówić do Lisy i próbowałam zdjąć sznur z jej szyi, a potem poczułam, że się zapadam.

Linka otaczała teraz jej szyję. Czy rano Sean znajdzie ją tak, jak ona znalazła Lisę?

*Nie. Nie wolno do tego dopuścić. Zrób mu kanapkę. Zaparz kawę. Zachowuj się, jakbyście oboje odgrywali wielką scenę. Powiedz mu, jaka byłam władcza. Weź się w garść. Pomyśl o wszystkich dobrych rzeczach i wróć je na drugą stronę. Obwiniaj mnie tak, jak on obwinia ciebie.*

Caroline rozejrzała się po wnętrzu lodówki i poczuła przelotne zadowolenie, że odłożyła jej opróżnienie. Zawsze trzymała pod ręką wiktuały na kanapki dla Seana; rano miała przyjąć sprzątaczkę, żeby sobie zabrać

pozostałą żywność. Caroline wyjęła szynkę, ser i indyka, sałatę, majonez i musztardę. Przypomniała sobie, że w szkole, kiedy całą grupą wybierali się na późny posiłek, Jimmy zawsze zamawiał sandwicze z wszystkimi dodatkami.

*Skąd miałabym to wiedzieć? Zapytaj go, czego chce.*

Podniosła wzrok. Jedyne światło padało z lodówki, ale oczy Caroline przystosowały się do ciemności. Wyraźnie widziała charakterystyczną kwadratową szczękę, nadającą twarzy Jimmy'ego Cleary'ego twardszy wyraz, oraz gniew i zamęt, malujące się na jego obliczu. W ustach zaschło jej ze strachu.

- Co chcesz do kanapki? - wyszeptała. - Indyka? Szynkę? Mam chleb żytni i włoskie bułeczki.

Wyczuła, że zdała pierwszy test.

- Wszystko. Z bułką.

Poczuła, że sznur nieco się rozluźnia. Postawiła czajnik na płycie. Szybko przyrządziła kanapkę, układając indyka i szynkę na serze. Rozpostarła na wierzchu sałatę i polała wszystko hojnie majonezem i musztardą.

Zmusił ją, by usiadła obok niego przy stole. Nalała sobie kawy i zmusiła się, by upić łyk. Sznur wpijał się jej w szyję. Podniosła dłoń, by go poluzować.

- Nie ruszaj. - Sam rozluźnił go lekko.

- Dziękuję.

Przyglądała się, jak pochłania łapczywie kanapkę.

*Mów do niego. Musisz go przekonać, zanim będzie za późno.*

- Chyba powiedziałeś mi, jak się nazywasz, ale to do mnie nie dotarło. Przełknął ostatni kęs kanapki.

- Na afiszach nazywam się James Cleary. Mój agent i przyjaciele mówią mi Jimmy.

Wypił kawę wielkimi haustami. Jak mogła zmusić go, by jej uwierzył, zaufał? Z miejsca, w którym siedziała, Caroline widziała zarys szafy koło wejścia. Wcześniej drzwiczki były niemal do końca przymknięte. Tam właśnie musiał się ukryć. Sean chciał z nią zostać. Gdyby tylko mu pozwoliła! W pierwszym okresie po śmierci Lisy czasami miała wrażenie, że przetrwanie dnia kosztuje ją zbyt wiele wysiłku. Jedyne twarde wymogi, stawiane na wydziale prawa, chroniły ją przed popadnięciem w autodestruktywną depresję. Przed oczyma stanęła jej niewymownie droga twarz Seana. Chcę żyć, pomyślała. Chcę mieć resztę życia.

Jimmy Cleary poczuł się lepiej. Nie zdawał sobie sprawy, jaki jest głodny. W pewien sposób obecna scena była lepsza od poprzedniej. Ba-

wił się teraz w kotka i myszkę. Stał się sędzią. Czy miał przed sobą Caroline? Może tamtym razem się nie omylił. Jeśli jednak zlikwidował Caroline, dlaczego nie został z niego zdjęty zły urok? Dopił kawę. Zaciśnął palce na końcówce sznura, zaciągając go odrobinę ciasniej. Wyciągnął rękę i zapalił lampę na stole. Chciał przyjrzeć się dokładnie twarzy swej ofiary.

- No to mów - odezwał się ze spokojem. - Dlaczego miałbym ci uwierzyć? A jeśli nawet ci uwierzę, dlaczego miałbym pozwolić ci żyć?

Sean rozebrał się i wziął prysznic. Przyjrzał się sobie uważnie w łazienkowym lustrze. Za dziesięć dni kończył trzydzieści cztery lata. Następnego dnia Caroline miała obchodzić dwudzieste siódme urodziny. Zamierzali uczcić obydwie okazje w Wenecji. Cieszył się na myśl, że będzie siedział z nią na placu Świętego Marka, popijał wino, wsłuchiwał się w słodki dźwięk skrzypiec i przyglądał przepływającym gondolom. Był to obraz, który niejednokrotnie przychodził mu do głowy w ciągu ostatnich tygodni. Dziś wieczór nie chciał się jednak pojawić w jego umyśle. Na nic zdawały się najusilniejsze starania.

Musiał porozmawiać z Caroline. Owinął się grubym ręcznikiem kąpielowym i podszedł do telefonu przy łóżku. Dochodziła północ. Mimo to wystukał jej numer. Do diaska z wymówkami, pomyślał. Po prostu muszę jej powiedzieć, że ją kocham.

- Niełatwo jest być bliźniaczką. - Caroline przekrzywiła głowę, by móc patrzeć wprost w twarz Jimmy'ego Cleary'ego. - Bardzo często kłóciłyśmy się z siostrą. Przezywałam ją Księżniczką, bo była bardzo władcza. Kiedy byłyśmy małe, psociła, a potem zwałała winę na mnie. W końcu ją znienawidziłam. Dlatego właśnie poszłyśmy do college'ów na przeciwnych końcach kontynentu. Byłam jej cieniem, lustrzanym odbiciem, nikim. Tego ostatniego wieczora chciała oglądać telewizję, a jej aparat był zepsuty, więc namówiła mnie, żebyśmy zamieniły się pokojami. Kiedy znalazłam ją następnego ranka, chyba po prostu zemdłam. Jednak nawet mój ojciec i matka nie zauważyli pomyłki, rozumiesz? - Caroline otworzyła szerzej oczy i zniżyła głos do poufalego, intymnego tonu: - Jesteś aktorem, Jimmy. Na pewno to zrozumiesz. Kiedy doszłam do siebie, zwracali się do mnie „Caroline”. Wiesz, jakie były pierwsze słowa matki, kiedy odzyskałam przytomność? „Och, Caroline, dziękujemy Bogu, że to ty”.

*Bardzo dobrze. Trafiasz do niego.*

Znów miała sześć lat. Bawiły się na fundamentach domu. Lisa biegła coraz szybciej. Caroline popatrzyła w dół i poczuła zawrót głowy, mimo to wciąż starała się dogonić siostrę.

Jimmy doskonale się bawił. Czuł się jak ustalający obsadę agent, ka-  
żący aspirującej do roli aktoreczce czytać swoje kwestie.

- I tak po prostu postanowiłaś, że zostaniesz Caroline? Jak ci się to udało? Caroline uczyła się w Rawlings. Co zrobiłaś, kiedy spotkałaś się z jej przyjaciółmi z college'u?

Caroline dopiła kawę. Dostrzegając błyski szaleństwa w oczach zabójcy.

- Naprawdę nie było to trudne. Wstrząs - tym się tłumaczyłam. Uda-  
wałam, że nie poznaję mnóstwa ludzi, których obie znałyśmy. Lekarze  
nazwali to psychologiczną amnezją. Wszyscy byli bardzo wyrozumiali.

Albo jest piekielnie dobrą aktorką, albo mówi prawdę; Jimmy był za-  
intrygowany. Zaczynał czuć, jak jego gniew przygasa. Ta dziewczyna jest  
inna niż Caroline. Delikatniejsza. Milsza. Czuł, chociaż z niechęcią, że  
staje się dla niego siostrzaną duszą. Bez względu na wszystko nie mógł  
jednak pozwolić, by żyła. Jedyny kłopot polegał na tym, że jeśli zabił Car-  
oline, jeżeli ta kobieta nie kłamała - a tego wciąż nie był pewny - to dla-  
czego zły urok nie został z niego zdjęty pięć lat temu?

Miała na sobie bardzo seksowną pidżamę w czerwone i białe pasy.  
Położył kobiecie rękę na ramieniu, po czym ją zdjął. Nagle przyszło mu  
coś do głowy.

- A co z Wexfordem? Jak się z nim związałaś?

- Po prostu wpadliśmy na siebie. Zawołał „Caroline” i zdałam sobie  
sprawę, że to ktoś, kogo powinnam była znać. Przedstawił mi się natych-  
miast, gdy mnie dogonił - uprawiał wtedy jogging - a gdy tylko nabrał  
znowu powietrza w płuca, zaczął gadać, że byłam w jego klasie, więc mu-  
siałam przed nim udawać.

*Przypomnij Jimmy'emu, że Sean nie interesował się prawdziwą Caroli-  
ne w Rawlings. Podkreśl, że tobą zainteresował się natychmiast.*

Jimmy poprawił się niespokojnie na krześle.

- Nie potrafię ci powiedzieć, ile razy Sean powtarzał, że stałam się  
o wiele milsza - kontynuowała Caroline. - Dlatego że nie jestem tą samą  
osobą. Czyż to nie wspaniałe? Cieszę się, że poznałeś mój sekret, Jimmy.  
Przez ostatnich pięć lat byłeś moim tajemnym dobroczyńcą i wreszcie cię  
poznałam. Chcesz jeszcze kawy?

Starała się wcisnąć mu kit czy też mówiła serio? Dotknął jej łokcia.

- Dolewka? Brzmi niezłe.

Stanął za jej plecami, nieco z boku, gdy włączyła płytkę. Śliczna dziewczyna. Uświadomił sobie jednak znowu, że nie może pozwolić jej żyć. Postanowił dopić kawę, zaprowadzić tę dziewczynę do sypialni i zabić. Najpierw zamierzał wyjaśnić jej, na czym polegał jego zły urok. Popatrzył na zegarek. Było wpół do pierwszej. Jej siostrę zabił za dwadzieścia pierwsza, pora pasowała więc idealnie. Przed oczyma pojawiło się mu wspomnienie, jak tamta dziewczyna wyciągnęła ręce, jakby chciała rozorać mu skórę paznokciami, jak płonęły jej wytrzeszczone oczy. Czasami mu się to śniło. W ciągu dnia wspomnienie to sprawiało, że od razu czuł się lepiej. W nocy natomiast zalewał się potem.

Zadzwoił telefon.

Caroline konwulsyjnie ścisnęła uchwyt czajnika. Wiedziała, że musi to być Sean. Dzwonił już w inne noce, kiedy wyczuwał, że ona jest w strasznym dołku i zapewne nie śpi.

*Przekonaj Jimmy'ego, że musisz odebrać telefon. Musisz dać Seanowi znać, że go potrzebujesz.*

Dzwonek telefonu rozległ się po raz drugi, potem trzeci.

Pot zalśnił na czole i górnej wardze mężczyzny.

- Nawet o tym nie myśl - powiedział.

- Jimmy, to na pewno Sean. Jeśli nie odbiorę, uzna, że stało się mi coś złego. Nie chcę, żeby tutaj przyjechał. Chcę z tobą porozmawiać.

Jimmy się zastanowił. Jeśli to Wexford, dziewczyna zapewne mówiła prawdę. Telefon zadzwonił raz jeszcze; był połączony z automatyczną sekretarką. Jimmy nacisnął klawisz, uruchamiający głośnik, podniósł słuchawkę i podał ją dziewczynie. Zacisnął sznur tak mocno, że wpił się jej w gardło.

- Halo?

Caroline zdawała sobie sprawę, że nie może ujawnić drżenia w głosie. Zdołała powiedzieć to tak, jak ktoś śpiący. W nagrodę poczuła lekkie zmniejszenie ucisku sznura na kark.

- Caroline, kochanie, spałaś, więc przepraszam. Martwiłem się, że czujesz się tak podle. Wiem, co oznacza dla ciebie dzisiejsza noc.

- Nie, cieszę się, że zadzwoniłeś. W gruncie rzeczy nie spałam, dopiero zaczynałam przysypiać.

Co mam mu powiedzieć? - zastanowiła się z desperacją.

*Suknia. Twoja ślubna suknia.*

- Jest dość późno - usłyszała głos Seana. - Skończyłaś mimo wszystko się pakować?

Cleary postukała ją po ramieniu i skinął głową.

- Tak. Czułam się zupełnie rozbudzona, więc skończyłam.

Jimmy zniecierpliwiał się. Dał jej znak, by skróciła pogaduszki. Caroline przygryzła wargę. Gdyby jej się nie udało, oznaczałoby to koniec.

- Sean, kocham cię za to, że zadzwoniłeś. Naprawdę nic mi nie jest. Będę gotowa na wpeł do ósmej. Tylko jedno: pamiętałeś, żeby powiedzieć, kiedy pakowano moją suknię, by napchano dużo bibuły w rękawy, aby się nie pogniotły?

Oby Sean mnie nie wydał, pomyślała.

Sean poczuł, że jego palce, ściskające słuchawkę, robią się mokre. Suknia. Suknia Caroline nie miała rękawów. Było coś jeszcze. Jej głos brzmiał głucho. Nie leżała w łóżku. Rozmawiała przez telefon w kuchni przy włączonym klawiszu głośnika. Nie była sama. Z najwyższym wysiłkiem zmusił się, by zachować spokojny ton.

- Kochanie, przysięgam na stertę Biblii, że sprzedawczyni coś o tym mówiła. Wydaje mi się, że twoja matka do nich dzwoniła, aby też o tym przypomnieć. Posłuchaj, teraz się wreszcie prześpij. Zobaczymy się rano. I pamiętaj: kocham cię.

Zdołał odłożyć słuchawkę, nie upuszczając jej na widelki. Ściągnął ręcznik i wyszarpnął dres z szafy. Klucze do mieszkania Caroline leżały na szafce razem z kluczykami do jego samochodu. Czy powinien tracić czas na powiadomienie policji? Przypomniał sobie, że ma telefon w samochodzie i zdecydował się zadzwonić po drodze. Boże drogi, pomyślał, proszę...

Sean zrozumiał. Caroline odłożyła słuchawkę i popatrzyła na Jimmiego.

- Niezłe się spisałaś - powiedział. - I wiesz co? Zaczynam ci wierzyć.

Zaprowadził ją z powrotem do sypialni i zmusił, żeby się położyła. Wspierał się na niej ramieniem, dokładnie tak samo, jak poprzednim razem na jej siostrze. Potem opowiedział, co jego instruktor, Cory Zola, mówił mu o złym uroku.

- Tydzień wcześniej pracowaliśmy z klasą nad sceną pojedynku i chyba się solidnie wściekłem. Zaciąłem innego ucznia. Zola naprawdę się na mnie wkurzył. Próbowałem mu wytłumaczyć, że myślałem o uroku, który ktoś na mnie rzucił, i że to wszystko psuje. Powiedział mi, żebym trzymał się z dala od klasy, aż się pozbędę tego pecha. Dlatego chociaż jestem przekonany, że poprzednim razem załatwiłem Caroline, nadal muszę się pozbyć złego uroku, bo nie mogę wrócić do klasy, póki się od niego nie uwolnię. A według mnie, Lisa - tak się naprawdę nazywasz, co? - ty go odziedziczyłaś po siostrze.



Zabłyły mu oczy. Miały zimny, nieobecny wyraz. Jest szalony, pomyślała Caroline. Dotarcie tutaj zabierało Seanowi piętnaście minut. Minęły trzy, zostało dwanaście. Lisa, pomóż mi.

*To Brian Kent rzucił urok. „Nieznamomi z pociągu”.*

Bardzo zaschło jej w ustach. Jimmy trzymał twarz blisko niej. Wyczuwała woń potu, spływającego po jego ciele. Poczwała, że palcami szarpie za sznur.

- Zabicie mnie niczego nie rozwiąże. - Zdobyła się na rzeczowy ton. - To Brian Kent rzucił na ciebie zły urok, nie ja. Jeśli go usuniesz, będziesz miał swoją szansę. A jeśli to ja go zabiję, będziesz miał na mnie tak samo wielkiego haka jak ja na ciebie. - Zdumienie, z jakim wciągnął powietrze, dało jej nadzieję. Dotknęła jego ręki. - Przestań wygłupiać się z tym sznurem, Jimmy, i posłuchaj mnie przez dwie minuty. Daj mi usiąść.

Z jej umysłu znów wychynęło wspomnienie zabawy w berka po fundamentach nowego domu. W pewnej chwili dotarły do otworu, pozostawionego na okno. Lisa przeskoczyła na drugą stronę. Biegająca kilka kroków za nią Caroline zawahała się, zamknęła oczy i wreszcie skoczyła, lądując tuż za skrajem otworu. Teraz też musiała skoczyć. Gdyby jej się nie udało, byłoby po wszystkim. Wiedziała, że Sean jedzie do niej. Musiała utrzymać się przy życiu jeszcze przez jedenaście minut.

Jimmy odsunął ramię i pozwolił, by usiadła. Podciągnęła pod siebie nogi i splotła ręce pod kolanami. Sznur wpijał się w mięśnie jej karku, ale nie próbowała go poluzować.

- Jimmy, powiedziałeś mi, że twój problem polega na tym, iż za bardzo przypominasz Briana Kenta. Załóżmy, że coś przytrafi się Brianowi? Potrzebny będzie zastępca. Ty nim zostań. Zastąp go tak, jak ja stałam się Caroline. Jeśli przydarzy się mu nagły wypadek, będą rozglądali się za kimś, kto przejmie jego filmy. Dlaczego nie miałbyś to być ty?

Jimmy strząsnął pot z czoła. Caroline sugerowała nową interpretację roli, jaką Brian odegrał w jego życiu. Zawsze chciał zostać gwiazdą większą niż Brian - prześcignąć go, dostawać lepsze stoliki w restauracjach, patrzeć, jak tamten ginie w cieniu. Ani razu nie pomyślał, że Kent mógłby całkowicie zniknąć ze sceny. Jeśli nawet zabiłby tę dziewczynę, tę Lisę - uwierzył bowiem, że to Lisa - Brian Kent nadal będzie podpisywał kontrakty i pozował do rozkładówek w magazynie „People”. Co gorsza, agenci nadal będą wytykać Jimmy'emu, że jest w typie Briana Kenta.

Czy jej wierzył? Caroline spróbowała zwilżyć usta językiem. Wargi miała tak zaschnięte, że trudno było jej mówić.

- Jeśli mnie teraz zabijesz, znajdą cię, Jimmy. Policjanci nie są głupi.

Zawsze wypytywali, czy nie została zabita niewłaściwa bliźniaczka. - Słuchał jej uważnie. - Jimmy, możemy zrobić taki numer jak w „Nieznajomych z pociągu”. Pamiętasz fabułę? Dwaj podróżni zamienili się morderstwami. Nie było żadnego motywu. Różnica polega na tym, że nam się uda. Ty już zrobiłeś swoje, usunąłeś mi z drogi Caroline. Teraz pozwól, że ja dla ciebie pozbędę się Briana Kenta.

„Nieznajomi z pociągu”. Jimmy zagrał rolę w tej scenie w klasie. Był wspaniały. Cory Zola powiedział: „Jimmy, masz wrodzony talent”. Przemknął wzrokiem po twarzy dziewczyny. Patrzyła na niego i się uśmiechała. Miała zimną krew. Skoro udało się jej przekonać rodzinę, że jest Caroline, mogła być również zdolna do tego, żeby skutecznie pozbyć się Briana Kenta. Jaką miał jednak gwarancję, że nie wezwie glin, w chwili kiedy on ją zostawi? Zapytał ją o to.

- Cóż, Jimmy, masz najlepszą gwarancję na świecie. Wiesz, że jestem Lisa. Nigdy nie porównali odcisków Caroline z naszymi świadectwami urodzenia. Możesz mnie wydać. Wiesz, jak zareagowaliby na to moi rodzice czy Sean? Myślisz, że kiedykolwiek by mi wybaczyli?

Popatrzyła zabójcy prosto w oczy, czekając na jego decyzję.

Sean wybiegł z domu, po czym przygryzł wargi z frustracji. Samochód Caroline blokował mu wyjazd. Chciał zadzwonić na policję po drodze. Wbiegł z powrotem do domu, chwycił kluczyki, odjechał jej wozem na bok i wsiadł do własnego samochodu. Cofając się z wściekłą prędkością na drogę, wyszarpnął telefon z obudowy i wybrał numer 911.

Jimmy doświadczał oszałamiającego uczucia, że rodzi się na nowo. Ile razy w Los Angeles widział, jak Brian Kent mija go swoim porsche? Przez cztery lata chodzili razem do szkoły, ale Brian nigdy nie obdarzył go czymś więcej niż chłodnym skinieniem głowy, gdy na siebie wpadali. O ile lepiej byłoby, gdyby Brian nie istniał. A Lisa - była nią, przekonał się o tym - miała rację. Z namysłem rozluźnił sznur, ale nie zdjął go jej z szyi.

- Powiedzmy, że ci wierzę. Jak chcesz go dopaść?

Caroline starała się zwalczyć uczucie lekkości i zawrotów głowy, jakie ogarnęło ją wraz z nadzieją. Co miała mu powiedzieć?

*Pojedziesz na Zachodnie Wybrzeże. Dowiesz się, gdzie mieszka Brian.*

Rozpaczliwie starała się obmyślić przekonujący plan. Znów miała sześć lat i skakała po fundamentach. Ziejące pod nią otwory między fragmentami muru były coraz szersze.

*Trucizna. Trucizna.*

- Sean ma przyjaciela, profesora, specjalizującego się w historii medycyny. W zeszłym tygodniu opowiadał przy kolacji, ile jest absolutnie niemożliwych do wykrycia trucizn. Opisał, jak przygotować jedną z nich ze składników, które są w każdej apteczce. Wystarczy kilka kropli. W przyszłym miesiącu po powrocie z miodowego miesiąca muszę pojechać do Kalifornii, żeby odebrać oświadczenie od klienta. Zadzwoń do Briana. Tak czy inaczej, dzięki mnie... to znaczy dzięki Caroline zyskał swoją wielką szansę, prawda?

*Uważaj.*

Przejęczyła się, lecz Jimmy najwyraźniej tego nie zauważył. Wsłuchiwał się bacznie w jej słowa. Jego spocone włosy zaczęły się skręcać i układać wilgotnymi kosmykami na czole. Nie pamiętała, że miał aż tak kędzierzawe włosy. Najwyraźniej je wyprostował, przez co wyglądał dokładnie tak, jak Brian Kent na ostatnim zdjęciu, które widziała.

- Na pewno ucieszysz się, że mnie widzi - dodała. Jak gdyby walcząc ze skurczem w nogach, zsunęła je przez krawędź łóżka. Wyciągnęła rękę i zacisnął palce na końcu sznura. Poglądziła go po dłoni. - Jimmy, istnieje trucizna, która działa po tygodniu do dziesięciu dni. Pierwsze objawy pojawiają się dopiero po trzech lub czterech dniach. Jeśli nawet będzie dochodzenie, kto skojarzy śmierć Briana z tym, że spotkał się na kawie ze swoją starą przyjaciółką z college'u, która właśnie wyszła za profesora z Princeton? Idealny scenariusz.

Jimmy zdał sobie sprawę, że jej przytakuje. Noc zamieniła się w marzenie - sen, który mógł odmienić całe jego życie. Mógł zaufać tej kobiecie. Z oszałamiającą jasnością zrozumiał, że to, co mu mówiła, jest prawdą. Dopóki Brian Kent żyje, on, największy aktor na świecie, pozostanie niezauważony. Nocna lampka w sypialni zamieniła się w światło rampy, a pogrążony w ciemności salon - w teatr, gdzie już czekała publiczność. Stał na scenie. Audytorium klaskało z aprobatą. Smakował ten moment, po czym stuknął Caroline - nie, Lisę - w brodę.

- Naprawdę ci wierzę - szepnął. - Kiedy jedziesz do Kalifornii?

*Trzymaj się. Jesteś już prawie bezpieczna.*

Biegła coraz szybciej za siostrą po fundamentach. Nie mogła dotrzymać jej kroku.

- W drugim tygodniu lipca. - Caroline usłyszała, że przy odpowiedzi załamuje się jej głos.

Ostatnie wątpliwości Jimmy'ego znikły. Kent zaczynał nowy film pierwszego sierpnia. Gdyby przedtem zginął, rozpaczliwie szukano by zastępstwa.

Jimmy wstał i pociągnął Caroline za sobą.

- Pozwól, że zdejmę ci linkę z szyi. Pamiętaj tylko, że będę nosił ją w kieszeni, na wypadek gdyby kiedykolwiek była potrzebna. Już sobie pójdę. Dobiliśmy targu, ale jeśli nie dotrzymasz swojej części umowy, będę czekał na ciebie któreś nocy, kiedy twojego profesorka nie będzie w domu albo któregoś popołudnia, gdy staniesz na czerwonym świetle.

Caroline poczuła, jak sznur całkiem się rozluźnia. Jimmy ściągnął go jej przez głowę. Wzbierał jej w gardle histeryczny szloch ulgi.

- Umowa stoi - zdołała odpowiedzieć.

Wbił palce w jej barki i pocałował ją w usta.

- Nie pieczętuję umów uściskami dłoni - oznajmił. - Szkoda, że nie mam więcej czasu. Jesteś warta uwagi. - Jego karykaturę uśmiechu zastąpiło rozbawione wyszczerzenie zębów. - Czuję, że zły urok już został zdjęty. Chodźmy.

Podprowadził ją pod tylne wyjście i wyciągnął rękę, by zdjąć łańcuch.

Caroline ujrzała w przelocie zegar na ścianie w kuchni. Minęło dwaście minut od telefonu Seana. Za trzydzieści sekund Jimmy zniknie, a ona będzie mogła założyć łańcuch i zabarykadować drzwi. Za parę minut Sean tu będzie.

Znow przypomniała sobie, jak miała sześć lat i biegła po fundamentach. Spojrzała w dół. Znajdowała się niemal trzy metry nad ziemią. Walały się po niej sterczące kawałki potrzaskanego betonu. Lisa skoczyła po raz ostatni nad szerokim otworem, pozostawionym na drzwi...

Jimmy otworzył drzwi. Poczula chłodną strugę nocnego powietrza na twarzy. Odwrócił się w jej stronę.

- Nigdy nie miałaś szansy oglądać mojej gry, ale jestem naprawdę wielkim aktorem.

- Wiem, że jesteś świetny. - Caroline usłyszała swój głos. - Przecież po „Śmierci komiwojażera” wszyscy w szkole mówili na ciebie „Biff”.

Zawahala się na chwilę przed ostatnim skokiem za Lisą. Straciła rozpęd, potknęła się i uderzyła czołem o beton. Z przyprawiającą o mdłości trwogą zdała sobie sprawę, że znowu nie zdołała pójść w ślady siostry.

Drzwi się zatrzasnęły. Przez ułamek sekundy Caroline i Jimmy wparywali się w siebie.

- Lisa nie mogła tego wiedzieć - wyszeptał. - Okłamałaś mnie. To ty jesteś Caroline!

Wyciągnął ręce do jej szyi. Próbowana krzyknąć, cofając się przed nim, odwróciła się i pognąła do frontowych drzwi. Z jej ust wydobył się jedynie stłumiony jęk.

Sean pędził przez opustoszałe ulice. Operatorka spod numeru 911 wy-  
pytywała go o nazwisko, skąd dzwoni, o jaki wypadek chodzi.

- Wyślijcie radiowóz na Priscilla Lane osiemdziesiąt jeden, mieszka-  
nie jeden „A” - krzyknął. - Nieważne, skąd wiem, że dzieje się tam coś  
złego. Wyślijcie zaraz radiowóz!

- A o jaki właściwie wypadek chodzi? - powtórzyła operatorka.

Jimmy walnął ręką we frontowe drzwi w chwili, gdy Caroline próbo-  
wała je otworzyć. Przemknęła pod jego ramieniem i zanurkowała za klu-  
bowy fotel. W półcieniu dostrzegła przez chwilę swoje odbicie w lustrze  
nad sofą oraz górującą nad nią sylwetkę napastnika. Czuła na karku je-  
go gorący oddech. Jeśli zdoła utrzymać się przy życiu jeszcze przez minu-  
tę, Sean tu dotrze. Zanim zdołała pomyśleć to do końca, Jimmy przesko-  
czył przez fotel i znalazł się przed nią. Zobaczyła sznur w jego rękach.  
Zabójca obrócił ją i poczuła, że szarpie ją za włosy. Sznur otoczył jej szy-  
ję. Dojrzała odbicie ich obojga w lustrze nad sofą. Opadła na kolana,  
sznur zacisnął się jeszcze bardziej. Próbowwała odsunąć się od Jimmy'ego  
na kolanach, ale się nad nią pochylił.

- Po wszystkim, Caroline. Teraz nadeszła twoja pora, aby stać się  
ofiara.

Sean skręcił w ulicę, przy której mieszkała Caroline. Hamulce zapisz-  
czyły, gdy przycisnął pedał przed jej domem. W oddali słyszał wycie sy-  
ren. Podbiegł do drzwi i szarpnął za gałkę. Załomotał w drzwi, drugą  
dłonią szukając kluczy w kieszeni. Przypomniał sobie, że ten przekłety  
zamek nie został zainstalowany jak należy. Trzeba było przyciągnąć drzwi  
do siebie, nim dawało się go otworzyć. Ogarnięty lękiem, nie potrafił  
zgrać położenia bębna i zamka. Dopiero po trzech obrotach klucza zdo-  
łał zwolnić zamek. Został mu jeszcze jeden - zwykły. Proszę...

Caroline klęczała, szarpiąc za sznur. Dusila się. Słyszała, jak Sean wa-  
li w drzwi i ją woła. Tak blisko, tak blisko. Oczy jej się rozszerzyły, gdy  
sznur odciął dostęp powietrza do płuc. Zaczęły się nad nią przetaczać fa-  
le ciemności. Lisa... Lisa... Próbowалаm...

*Nie szarp się do przodu. Odchyl się w tył. Odchyl się w tył, mówię ci!*

W ostatecznym wysiłku ratowania życia Caroline zmusiła się do prze-  
chylenia głowy do tyłu. Osunęła się na Jimmy'ego, zamiast szarpać się  
w drugą stronę. Przez chwilę ucisk na jej szyi zelżał. Złapała wielki haust  
powietrza, nim sznur zacisnął się ponownie.

Jimmy wyrzucił z myśli krzyki i odgłosy walenia w drzwi. Nie liczyło się dla niego nic na świecie oprócz zabicia kobiety, która zrujnowała jego karierę. Nic.

Klucz się obrócił. Sean pchnął drzwi tak, że trzasnęły o ścianę. Jego spojrzenie padło na lustro nad sofą i krew odpłynęła mu z twarzy.

Caroline miała płonące, wybałuszone oczy, otwarte desperacko usta, wyciągnięte ręce z zagiętymi jak szpony palcami. Pochylała się nad nią zwalista postać w dresie, dusząc ją sznurem. Przez chwilę Sean stał jak przykuty, nie mogąc się poruszyć. Zabójca wreszcie podniósł wzrok. Ich spojrzenia spotkały się w lustrze. W tej jednej chwili wciąż znieruchomiały Sean dostrzegł, że na twarzy obcego mężczyzny pojawia się wyraz zgrozy. Patrzył, jak sznur wypada z rąk napastnika, który zakrył oczy dłońmi.

- Nie podchodź do mnie! - zawołał Jimmy. - Nie zbliżaj się! Nie podchodź!

Sean obrócił się na pięcie. Caroline leżała na podłodze, szarpiąc dławiący ją sznur. Sean zanurkował przez pokój i zderzył się z zabójcą. Siła ciosu odrzuciła Jimmy'ego pod okno. Dźwięk tłukącego się szkła zmieszał się z jego krzykami i wyciem syren hamujących radiowozów.

Caroline poczuła szarpiące za sznur dłonie i usłyszała dobiegający z własnego gardła cichy jęk. Po chwili ucisk zelżał i do jej płuc wpadł strumień powietrza. Otoczyła ją ciemność - słodka, witana z zadowoleniem ciemność.

Kiedy odzyskała świadomość, leżała na sofie z gardłem obłożonym lodowato zimnym kompresem. Sean siedział obok, rozcierając jej ręce. Pokój był pełen policjantów.

- Jimmy? - zdołała wydobyć z siebie gardłowy, skrzeczący głos.

- Zabrali go. Och, moja droga!

Sean uniósł ją, otoczył ramionami, przycisnął jej głowę do swojej piersi i pogładził Caroline po włosach.

- Dlaczego zaczął krzyczeć? - wyszeptała. - Co się stało? Za parę sekund już bym nie żyła.

- Zobaczył to samo, co ja. Twoje odbicie w lustrze nad sofą. To skończony wariat. Wydawało się mu, że widzi Lisę. Myślał, że wróciła, żeby się zemścić,

Sean ani myślał jej zostawić. Po wyjściu policjantów położył się obok niej na obszernej sofie, naciągnął narzutę i przytulił Caroline do siebie.

- Postaraj się zasnąć - polecił.

Bezpieczna w jego ramionach, całkowicie wyczerpana, zdołała wreszcie zapaść w sen.

Obudził ją o wpół do siódmej.

- Lepiej zacznij się przygotowywać - powiedział. - Jeśli na pewno nic ci nie jest, pogonię do domu, żeby wziąć prysznic i zmienić ubranie.

Pokój zalewał jaskrawy blask słońca. Pięć lat temu Caroline znalazła martwą Lisę w swoim pokoju. Tego ranka obudziła się w ramionach Seana. Wyciągnęła ręce i ujęła jego twarz w dłonie, zachwycając się słabą szczecinią na jego policzkach.

- Nic mi nie jest. Naprawdę.

Po wyjściu Seana przeszła do sypialni. Z rozmysłem popatrzyła na łóżko, przypominając sobie, jak otworzyła oczy i zobaczyła Jimmy'ego Cleary'ego. Wzięła prysznic, pozwalając gorącej wodzie obmywać przez długie minuty całe ciało i włosy. Chciała zmyć z siebie wszystkie ślady obecności mordercy. Ubrała się w kombinezon barwy khaki i pleciony pasek. Szczotkując włosy, ujrzała czerwono-purpurową pręgę na szyi. Szybko odwróciła wzrok.

Było tak, jakby czas zawiesił bieg, czekając, aż dopełni się to, co miało się stać. Caroline spakowała walizkę i ustawiła ją obok torby przy drzwiach. Następnie zrobiła to, czego nie mogła i nie chciała uniknąć.

Uklękała na podłodze dokładnie tak, jak klęczała, gdy Jimmy Cleary próbował ją udusić. Wygięła się do tyłu i popatrzyła w lustro. Tak jak się spodziewała, dół lustra znajdował się trochę nad jej włosami. Jimmy w żaden sposób nie mógł dostrzec odbicia Caroline. Miał rację: ujrzał Lisę.

- Lisa... Dziękuję ci, Liso - szepnęła.

Nie było żadnej odpowiedzi. Lisa odeszła - Caroline wiedziała, że już na zawsze. Po raz ostatni jej świadomość wypełniło przekonanie, że była winna śmierci siostry, po czym owa myśl znikła. Był to akt przeznaczenia i Caroline nie zamierzała obrażać pamięci Lisy jego roztrząsaniem. Wstała i wreszcie zobaczyła swoje odbicie w lustrze. Z czułością uniosła dłoń do warg i posłała pocałunek.

- Żegnaj - powiedziała na głos. - Kocham cię.

Usłyszała podjeżdżający ulicą samochód. Wóz Seana. Caroline pośpieszyła do drzwi, otworzyła je energicznie, wypchnęła za próg torbę i walizkę, sięgnęła po owinięty w plastik pokrowiec z suknią ślubną, zartaszęła za sobą drzwi i wybiegła mu na spotkanie.

# Zaginiony aniołek

**P**rzez noc przed Wigilią padało - równe strugi małych, lecących z wiatrem płatków, osiadających na gołych gałęziach i piętrzących się na dachach. Przed świtem zamieć zaczęła ustępować, aż wreszcie przez chmury przedarło się niepewne słońce.

O szóstej rano Susan Ahearn wstała, podkręciła termostat i zaparzyła kawę. Dygocząc, przyłożyła dłonie do dzbanka. Stale było jej zimno; prawdopodobnie na skutek spadku wagi po zniknięciu Jamie.

Pięćdziesiąt pięć kilogramów nie wystarczało na metr siedemdziesiąt siedem wzrostu. Jej oczy tego samego niebieskozielonego odcienia co u Jamie wydawały się za duże w stosunku do twarzy; policzki były zapadnięte i nawet kasztanowe włosy nabrały ciemnobrązowej barwy, podkreślającej typową teraz dla niej bladość i ściągnięte rysy.

Czuła się nieskończenie starsza, niż sugerowałoby jej dwadzieścia osiem lat; trzy miesiące temu spędziła tę ważną rocznicę, podążając jeszcze jednym fałszywym tropem. Okazało się, że dziecko z sierocińca w Wisconsin to nie Jamie. Susan spiesznie wsunęła się z powrotem pod kołdrę, podczas gdy ciepłe powietrze świszczalo i burczało w wolno stojącym domu trzydzieści trzy kilometry od Chicago.

Sypialnia miała osobiwie niewykończony wygląd. Na ścianach nie powieszono obrazów, okna były pozbawione firanek, na sosnowych posadzkach nie leżały dywany. Zaklejone pudła stały byle jak poukładane w kącie przy szafie. Jamie znikła tuż przed tym, gdy miały wyprowadzić się z tego domu.

Noc ciągnęła się bez końca. Większość niej Susan nie spała, starając się przewyciężyć stale towarzyszący jej strach. A jeśli nigdy nie odnajdzie Jamie? A jeśli Jamie jest jednym z tych dzieci, które znikają bez śladu?



Aby odpędzić od siebie poczucie pustki, żalosne zawrotenie wiatru i szczykowanie okien, Susan zaczęła udawać.

- *Ranny z ciebie ptaszek - powiedziała.*

*Wyobraziła sobie, że Jamie w czerwono-białej flanelowej koszulce nocnej człapie przez pokój i wchodzi do niej do łóżka.*

- *Masz lodowate stopy...*

- *Wiem, babcia zawsze mówiła, że zaziębię się na śmierć. Zawsze tak mówi. Wiesz, jaka babcia jest ponura. Opowiedz mi bajkę na Gwiazdkę.*

- *Nie powtarzaj, co mówi babcia. Ma okropne poczucie humoru. - Trzymała małą w ramionach, otulając ją mocniej kocem. - Pomyślmy o Nowym Jorku w Wigilię. Gdy już przejeździemy się dorożką po Central Parku, zjemy obiad w hotelu Plaża. To wielki, piękny hotel. A po drugiej stronie ulicy...*

- *Zajrzymy do sklepu z zabawkami.*

- *Najślawniejszego sklepu z zabawkami na świecie. Nazywa się FAO Schwartz. Są w nim koleżki, lalki, marionetki, książki i wszystko.*

- *Mogę wybrać sobie trzy prezenty.*

- *Myślałam, że dwa. No dobrze, niech będą trzy.*

- *A potem odwiedzimy Dzieciątka Jezus u Świętego Pata.*

- *Tak naprawdę to katedra Świętego Patryka, ale my, Irlandczycy, nie obstawiamy przy formalnościach. Wszyscy mówią na nią „Święty Pat”.*

- *Opowiedz mi o choince... i wystawach jak z krainy baśni...*

Susan przełknęła resztę kawy, walcząc z kulą w gardle. Zaczął dzwonić telefon. Spróbowała stłumić szaleńczy przypływ nadziei, sięgając po słuchawkę. Jamie! Niech to będzie Jamie!

Okazało się, że to matka telefonuje z Florydy. Zrozpaczony ton, który stał się jej normalnym głosem, był tego ranka wyjątkowo wyraźny.

- Nie, mamó - Susan z determinacją zmusiła się, by w jej głosie zabrzmiał optymizm. - Ani słowa. Oczywiście zadzwoniłabym do ciebie... Wszystkim nam jest trudno. Nie, na pewno chcę tu zostać. Nie zapominaj, że raz zadzwoniła... Na miłość boską, mamó, nie, nie myślę, że nie żyje. Daj spokój, Jeff jest jej ojcem i na swój sposób ją kocha...

Odłożyła słuchawkę ze łzami, przygryzając wargę, by nie wpaść w gniewną histerię, by nie spuścić z uwięzi wszystkich potworów. Nawet jej matka nie wiedziała, jak strasznie się czuła.

Do tej pory na Jeffa wydano sześć nakazów aresztowania. Myślała, że wyszła za biznesmena, podczas gdy mąż okazał się międzynarodowym złodziejem biżuterii. Powodem, dla którego wybrał dom na odległym przedmieściu, było to, że stanowił dobrą kryjówkę. Susan dowiedziała się prawdy ubiegłej wiosny, gdy agenci FBI zjawili się, by aresztować

Jeffa tuż po tym, gdy wyjechał w jedną ze swoich „podróży w interesach”. Nigdy nie wrócił, więc wystawiła dom na sprzedaż. Załatwiała przeprowadzkę do Nowego Jorku - cztery lata, które spędziła tam w college'u, były najszczęśliwsze w jej życiu. Kilka tygodni po swoim zniknięciu Jeff pojawił się jednak w przedszkolu Jamie i zabrał małą. Było to siedem miesięcy temu.

W drodze do pracy Susan nie potrafiła pozbyć się strachu, jaki obudził w niej telefon od matki. „Myślisz, że Jamie nie żyje?”. Jeff był całkowicie nieodpowiedzialny. Gdy córeczka miała sześć miesięcy, zostawił ją samą w domu i poszedł po papierosy. Kiedy miała dwa lata, nie zauważył, że weszła w wodę głębszą od niej; ocalił ją ratownik. Jak mógłby troszczyć się o nią teraz? Do czego mu była potrzebna?

Biuro handlu nieruchomościami było przystrojone w gwiazdkowe dekoracje. Szesnaścioro ludzi, z którymi Susan pracowała, stanowiło miłą grupę; doceniała pełne nadziei spojrzenia, jakie rzucali jej co rano. Wszyscy pragnęli usłyszeć dobre wieści o Jamie. Dzisiaj nikt nie był zbyt zainteresowany pracą, Susan zajęła się jednak przeglądaniem dokumentacji finalizowanych kontraktów. Wszystko, co wzięła do rąk, przypominało jej o własnej sytuacji. Wilkesowie byli parą, kupującą pierwszy dom, ponieważ spodziewali się dziecka. Conwayowie sprzedawali swój wielki dom, aby przeprowadzić się bliżej wnuków. Gdy kończyła rozmawiać z panią Conway, poczuła, że w oczach wzbierają jej znajome łzy, i odwróciła głowę.

Joan Rogers, zajmująca sąsiednie biurko agentka, czytała jakieś pismo. Z ukłuciem bólu Susan przeczytała tytuł artykułu: „W Boże Narodzenie dzieci nie zawsze są aniołkami”. Strona była upstrzona lukrowanymi fotografiami dzieci w białych szatkach i z aureolami.

Susan wyteńczyła wzrok, po czym wyciągnęła drżącą rękę i wyszarpnęła magazyn z dłoni Joan. Aniołek w prawym górnym rogu. Mała dziewczynka. Z włosami tak jasnymi, że były niemal białe. Ale jej oczy... Usta. Zaokrąglona linia policzka...

- Jamie - wyszeptała Susan.

Otworzyła szufladę, pogrzebała w jej zawartości i odszukała marker. Drżącymi palcami zamalowała jasne włosy dziecka na fotografii pisakiem o ciepłej brązowej barwie. Patrzyła, jak wizerunek aniołka staje się identyczny z oprawionym zdjęciem, stojącym na jej biurku.

Jamie wyjrzała z namysłem przez okno sypialni na zimową scenę na zewnątrz, starając się nie słuchać odgłosów kłótni. Tata i Tina znów się pożarli. Ktoś w kamienicy pokazał tacie jej fotografię w gazecie.

- Co ty kombinujesz? - wrzeszczał tata. - Wszyscy wylądujemy w pudle! Ile razy pozowała?

Przyjechali do Nowego Jorku pod koniec lata, a tata zaczął często wyjeżdżać gdzieś bez nich. Tina narzekala, że jest znudzona, więc mogłaby trochę zarobić jako modelka. Kobieta, do której poszła, powiedziała jednak: „Nie potrzebujemy nikogo więcej w twoim typie, ale mogłabym wykorzystać tę dziewczynkę”.

Pozowanie do fotografii aniołka było łatwe. Poproszono Jamie, by pomyślała o czymś miłym, więc pomyślała o Wigilii i tym, jak mama planowała spędzić tegoroczne święta w Nowym Jorku. Chociaż Jamie była teraz w tym mieście, nie odwiedziła żadnego z miejsc, do których zamierzała zabrać ją mama - z tatą i Tiną nie byłoby to jednak to samo.

- Pytałem cię, ile razy pozowała?! - krzyczał tata.

- Dwa lub trzy razy - odwrzasnęła Tina.

Zmyślała. Chodziły do studia mnóstwo razy, kiedy taty nie było. Kiedy jednak wracał do Nowego Jorku, Tina „wyrejestrowywała” Jamie.

- A jak myślisz, co mam robić, kiedy wyjeżdżasz? - mówiła Tina. - Czytać jej historyjki doktora Seussa\* i grać w kulki?

Na ulicy w dole ludzie śpieszyli się, jakby było im zimno. Przez noc padał śnieg, który teraz topniał pod kołami samochodów i zamieniał się w zwalę brudnej brei. Jedynie kątem oka Jamie mogła zobaczyć Central Park, w którym śnieg był tak śliczny, jak powinien.

Przełknęła ślinę, czując kulę w gardle. Wiedziała, że Dzieciątko Jezus zjawia się w noc wigilijną. Każdego dnia bez wyjątku modliła się, żeby w tym roku, kiedy Bóg ofiarowuje ludziom Dzieciątko Jezus, dał jej też mamę. Tata jednak mówił, że mama wciąż jest bardzo chora. Dzisiaj wieczorem mieli znowu wsiąść do samolotu i polecieć gdzieś indziej. Nazywało się to jak banany. Nie: ba-ha-ma.

- Jamie!

Tina zawsze wołała ją gniewnym tonem. Jamie wiedziała, że Tina jej nie lubi. Zawsze powtarzała tacie: „To twój dzieciak”.

Tata siedział przy stole w szlafroku. Magazyn z jej zdjęciem rzucił na podłogę i czytał gazetę. Zwykle mówił: „Dzień dobry, księżniczko”, ale dzisiaj nawet nie zwrócił na nią uwagi, kiedy go pocałowała. Tata nigdy nie był dla niej niedobry. Tylko raz dał klapsa Jamie, kiedy próbowała zadzwonić do mamy. Właśnie usłyszała głos mamy w telefonie: „Proszę zostawić wiadomość”, kiedy tata ją przyłapał. Zdążyła powiedzieć „Mam nadzieję,

\* Autor książek dziecięcych, sygnowanych jedynie „Dr Seuss”

że czujesz się lepiej, mamó, brakuje mi ciebie", gdy tata uderzył słuchawką o widełki i dał Jamie klapsa. Potem zamykał telefon za każdym razem, kiedy jego i Tyny nie było w domu. Tata mówił, że mama jest tak chora, że zrobiłaby sobie krzywdę, gdyby próbowała rozmawiać. Ale mama nie mówiła jak ktoś chory, kiedy poleciła: „Proszę zostawić wiadomość”.

Jamie usiadła przy stole, na którym czekały na nią płatki kukurydziane i sok pomarańczowy. Tina nigdy nie przygotowywała jej nic innego.

- „Służący odnieśli wrażenie, że niższy z dwóch złodziei był kobietą” - przeczytał wścickłym tonem tata, marszcząc brwi, po czym dodał: - Mówiłem ci, że twój strój nas zdradzi.

Tina pochyliła się nad jego ramieniem. Szlafrok się rozchylił; ciało wylewało się jej z koszuli nocnej. Miała kompletnie potargane włosy.

- „Być może złodzieje mieli współnika pośród domowników” - przeczytała, wydmuchując kółka dymu. - Czego ci więcej trzeba?

- Bardzo dobrze, że wyjeżdżamy - powiedział tata. - Za bardzo wyeksploatowaliśmy to miasto.

Jamie pomyślała o wszystkich mieszkaniach, jakie chodzili oglądać.

- Musimy lecieć na ba-ha-ma? - zapytała. Czuli, że to bardzo daleko. Jeszcze dalej od mamy. - Podobało mi się mieszkanie, w którym wczoraj byliśmy - dodała, by wymóc na tacie odpowiedź. Pogrzebała nieuważnie łyżką w płatkach kukurydzianych. - Mówiliście, że czegoś takiego właśnie szukamy, pamiętacie?

- No, w pewnym sensie tak właśnie było - zaśmiała się Tina.

- Siedź cicho. - Tata sprawiał wrażenie bardzo rozeźlonego.

Jamie przypomniała sobie, że kobieta, pokazująca im wczoraj mieszkanie, powiedziała, że są piękną rodziną. Tata i Tina wystroili się w ubrania, które zawsze wkładali na oglądanie mieszkań; Tina miała włosy upięte w kok i zrobiła sobie dyskretny makijaż.

Po śniadaniu Tina i tata poszli do sypialni. Jamie postanowiła włożyć czerwone spodnie i koszulkę z rękawami w paski. Te rzeczy miała na sobie wtedy, gdy tata przyjechał do przedszkola i powiedział, że mama jest chora i musi zabrać Jamie prosto do domu. Chociaż ubranko robiło się na nią za małe, lubiła je bardziej od wszystkich nowych. Pamiętała, jak mama je kupowała.

Wyszczotkowała włosy i jak zawsze zdumiała się, jak śmiesznie wyglądają. Były dokładnie koloru włosów Tyny. Kiedy wychodzili, tata kazał jej mówić do Tyny: „matko”. Wiedziała, że Tina nie jest jej matką, ale zawsze mówiła do mamy „mamusiu”, więc za bardzo się nie przejmowała. Dla niej było to zupełnie inne określenie dla innej osoby.

Gdy wróciła do salonu, tata i Tina ubierali się do wyjścia. Tata trzymał neser, który wyglądał na ciężki.

- Nie będzie mi szkoda wyjeżdżać stąd dzisiaj wieczorem - powiedział.

Jamie też tu się nie podobało. Wiedziała, że fajnie jest mieszkać zaledwie przecznice od Central Parku, ale mieszkanie okazało się ciemne i zagracone, meble były stare, a dywan miał dziurę. Tata powtarzał ludziom, pokazującym im inne mieszkania, że bardzo chcą mieć naprawdę eleganckie lokum w Nowym Jorku.

- Tina i ja wychodzimy na jakiś czas - powiedział tata Jamie. - Zamknę drzwi na obydwie zamki, żebyś była bezpieczna. Poczytaj sobie albo pooglądaj telewizję. Później Tina zabierze cię do sklepu, żeby kupić lekkie ubrania na wyjazd. Będiesz mogła wybrać sobie parę świątecznych prezentów. Będzie fajnie, prawda?

Jamie zdołała odpowiedzieć mu uśmiechem, chociaż w tej samej chwili rzuciła wzrokiem na telefon. Tata zapomniał go zamknąć, pomyślała. Kiedy wyjdą, znowu zadzwonię do mamy. Chcę zapytać mamę, co będzie z Gwiazdką. Tata o niczym się nie dowie.

Odczekała kilka minut, żeby się upewnić, że już poszli, a potem podniosła słuchawkę. Każdego wieczora bez wyjątku powtarzała sobie numer przed zaśnięciem, żeby go nie zapomnieć. Wiedziała nawet, że najpierw trzeba wybrać jedynkę. Powtarzając na głos cyfry - jeden... trzy, jeden, dwa, pięć, cztery... - zaczęła wykręcać numer.

Usłyszała obrót klucza w zamku i przekleństwo taty. Rzuciła słuchawkę, zanim zdążył ją jej wyrwać. Przycisnął słuchawkę do ucha, usłyszał sygnał wybierania, po czym odłożył ją i zamknął zainstalowany przy telefonie zamek.

- Przyrznęłbym ci, gdyby to nie była Wigilia - powiedział.

Znow sobie poszedł. Jamie skuliła się w wielkim fotelu, objęła nogi ramionami i złożyła głowę na kolanach. Wiedziała, że jest za duża, żeby płakać. Miała prawie cztery i pół roku. Mimo to musiała przygryźć wargę, żeby jej nie drżała. Minutę później zdołała jednak zmusić się do zabawy na niby.

Była z mamusią i czekała je ta wyjątkowa Wigilia. Najpierw miały przejechać się po Central Parku. Konie będą pobrzękiwać dzwoneczkami. Potem we dwie zjedzą obiad w wielkim hotelu. Jamie ze zmartwieniem pomyślała, że nie potrafi przypomnieć sobie jego nazwy. Zmarszczyła brwi, starając się ze wszelkich sił przywołać ją z pamięci. Oczywiście duszy widziała ten hotel. Namówiła tatę, żeby go jej pokazał. Mogła sobie przypo-

mnieć. Właśnie: Piąza. Po obiedzie miały przejść na drugą stronę ulicy, do sklepu z zabawkami. F A O Swarzzz... Miała wybrać sobie dwie rzeczy. Nie, pomyślała Jamie, mama powiedziała, że mogę wybrać sobie trzy. „Przejdziemy się Piątą Aleją, żeby odwiedzić Dzieciątko Jezus, a potem...”

Tina mówiła, że Jamie to zaraza, bo zawsze dopytuje się, gdzie co jest. Teraz jednak dziewczynka dokładnie wiedziała, jak dostać się z mieszkania na Piątą Aleję i jak odnaleźć wszystkie miejsca, które zamierzały zobaczyć razem z mamą. Mama chodziła do szkoły w Nowym Jorku, lecz to było dawno... Może już zapomniała, jak odnaleźć właściwe miejsca, ale Jamie wiedziała. Z zamkniętymi oczami wsunęła rączkę w dłoń mamy i powiedziała:

- Wielka, piękna choinka jest dokładnie tutaj...

W stopce zamieszczono numer telefonu redakcji magazynu. Palce Susan zatańczyły na klawiaturze telefonu: Nie zwracając uwagi na to, że pracownicy biura gromadzą się wokół niej, czekała, aż rozlegnie się sygnał połączenia. Niech tylko ktoś będzie w redakcji... Niech tylko ktoś podnieśnie słuchawkę.

Zgłosiła się operatorka. Starła się być pomocna.

- Przykro mi, prawie nikogo już nie ma. Dziecko-model? Mogłaby pani dowiedzieć się tego w dziale księgowości, ale jest zamknięty. Może pani zadzwonić dwudziestego szóstego?

Susan zalała ją potokiem słów, opowiadając o Jamie.

- Bezwzględnie musi mi pani pomóc. Jak płacicie dzieciom, które pozują do zdjęć? Rejestrujecie ich adresy?

- Niech pani zaczeka - przerwała jej operatorka. - Musi być jakiś sposób, żeby się tego dowiedzieć.

Mijały minuty. Susan ścisnęła słuchawkę, niejasno zdając sobie sprawę, że ktoś trzyma ją za ramię. Joan, droga Joan, która przypadkiem czytała właśnie ten artykuł.

- Skontaktowałam się z jedną z redaktorek w domu - powiedziała wrzescie z triumfem operatorka. - Dzieci, których fotografie wykorzystaliśmy w tym artykule, są zatrudniane przez Agencję Modelek Lehman. Podam pani numer.

Susan dodzwoniła się do Dory Lehman. W tle słychać było odgłosy świątecznego przyjęcia.

- Pewnie, Jamie to jeden z moich dzieciaków - odparła przenikliwym, ale przyjaznym tonem właścicielka agencji. - Pewnie, że jest w mieście. Świetnie się dla nas spisała w ubiegłym tygodniu.

- Jest w Nowym Jorku! - zawołała Susan, niejasno zdając sobie sprawę, że rozlegają się wokół niej okrzyki radości.

Dora Lehman nie miała adresu Jamie.

- Czeki dla Jamie odbierała ta cała Tina. Na szczęście dała mi numer telefonu. Miałam z niego skorzystać tylko wtedy, jeśli nadarzy się jakaś naprawdę duża robota. Tina mówiła, że mam udać, iż to pomyłka, jeśli odbierze jej mąż.

Susan zanotowała numer z szaleńczym zniecierpliwieniem i z trudem zdołała się nie rozłączyć, gdy Dora Lehman mówiła, żeby wpadła do niej z Jamie, kiedy będzie w Nowym Jorku. Joan powstrzymała ją od wystukania numeru.

- Tylko ich spłoszysz. Musimy się skontaktować z nowojorską policją. Dowiedzą się, jaki to adres, a ty szukaj miejsca w samolocie.

Po wielu miesiącach wyczekiwania Susan wreszcie mogła coś zrobić. Ktoś sprawdził rozkład lotów. Najbliższy samolot, na który mogła zdążyć, startował z lotniska O'Hare w południe. Kiedy jednak spróbowała zarezerwować bilet, urzędniczka prawie się roześmiała.

- Nie ma wolnych miejsc w żadnym samolocie, jaki startuje dzisiaj z Chicago - powiedziała.

Susan zdołała ostatecznie wyblagać, by połączono ją z zastępcą kierownika.

- Niech pani zaraz tu przyjeżdża - powiedział. - Wsadzimy panią do tego samolotu, nawet jeśli będziemy musieli wywalić pilota.

Joan skończyła rozmawiać z policją w Nowym Jorku, w momencie gdy Susan odkładała słuchawkę. Dopiero po chwili Susan zorientowała się, że przyjaciółka ma poważną minę, a podniecenie znikło z jej oczu.

- Jeff właśnie został aresztowany za kradzież, której dokonał z kobietą - Tiną - zeszłej nocy. Jednemu z sąsiadów wydaje się, że widział, jak Jamie i ta kobieta przejeżdżały taksówką obok domu w chwili, gdy Jeffa ładowano do radiowozu. Jeśli Tina zorientowała się, że Jeff został zatrzymany, Bóg jeden wie, gdzie zniknie z Jamie.

Tata i Tina nie wyszli na długo. Jamie знаła się na zegarku: wrócili, gdy obie wskazówki były na jedenastej. Tina powiedziała, żeby Jamie włożyła paletko, bo pojedą do Bloomingdale's.

Zakupy z Tiną nie należały do przyjemności. Jamie zorientowała się, że nawet kobieta, która sprzedawała im ubrania, była zaskoczona, że Tina zachowuje się, jakby nie obchodziło jej, co ma kupić dla dziewczynki.

- Och, potrzebuje parę kostiumów kąpielowych, do tego kilka szortów i koszulek. To powinno jej wystarczyć.

Potem poszły do działu z zabawkami.

- Twój ojciec powiedział, że możesz wybrać sobie parę rzeczy - oświadczyła Tina.

Jamie tak naprawdę na nic nie miała ochoty. Lalki z lśniącymi jak guziki oczami i w plisowanych sukieneczkach nie wyglądały nawet w połowie tak ładnie jak szmaciana Myszka Minnie, z którą zawsze zasypiała w domu. Tina jednak wyglądała na tak złą, kiedy Jamie powiedziała, że nie chce niczego, że dla świętego spokoju poprosiła o kilka książeczek i sama je sobie wybrała.

Pojechały taksówką do mieszkania, ale kiedy kierowca skręcał pod krawężnik, Tina zaczęła się dziwnie zachowywać. Stały tam dwa radiowozy, a Jamie zobaczyła, że tata wychodzi z dwoma policjantami. Chciała pokazać to Tinie, ta jednak uszczypnęła ją w kolano i powiedziała do kierowcy:

- Zapomniałam o czymś. Proszę nas zawieźć z powrotem do Bloomingdale's.

Jamie skuliła się na siedzeniu. Tata mówił tego ranka o policji. Może miał kłopoty? Nie śmiała o to zapytać Tyny. Usta Tyny wykrzywiły się pośpiesnie i wciąż trzymała w powietrzu palce, gotowa znowu uszczypnąć Jamie w kolano.

Po powrocie do Bloomingdale's Tina robiła zakupy tylko dla siebie. Kupiła walizkę, sukienkę, płaszcz i kapelusz oraz wielkie ciemne okulary. Kiedy zapłaciła za wszystko, odcięła metki i powiedziała sprzedawczyni, że chce włożyć nowe rzeczy od razu.

Gdy wyszły z magazynu, Tina wyglądała jak ktoś zupełnie inny. Białą kurtkę z norek i skórzane spodnie schowała do walizki. Nowy płaszcz był czarny jak ten, w którym chodziła oglądać mieszkania. Kapelusz dokładnie zakrywał jej włosy, a ciemne okulary okazały się tak duże, że z trudem można było dojrzeć twarz.

Jamie bardzo zgłodniała. Przez cały dzień zjadła tylko trochę płatków kukurydzianych i napiła się soku pomarańczowego. Na ulicy było tłoczno. Mijali ich dźwigający paczki ludzie. Niektórzy z nich wyglądali na zmartwionych i zmęczonych, inni - na szczęśliwych. Na rogu stał Święty Mikołaj, a przechodnie rzucali pieniądze do stojącej obok niego puszkii.

W pobliżu Jamie dojrzała wózek z hot dogami, napojami i rozpiętym nad nim parasolem. Nieśmiało pociągnęła Tinę za rękaw.

- Mogłabym dostać... Nic się nie stanie, jeśli dostanę...?



Z jakiegoś powodu czuła wielką kulę w gardle. Była strasznie głodna. Nie wiedziała, dlaczego tata był z policjantami i nie miała pojęcia, dlaczego Tinajej nie lubi.

- Zaraza z ciebie - powiedziała Tina, próbująca właśnie przywołać taksówkę. - No dobrze, ale ruszaj się.

Jamie poprosiła o hot doga z musztardą i coca-colę. Taksówka podjechała, zanim sprzedawca położył musztardę.

- Pośpiesz się! - zawołała Tina. - Daj sobie spokój z musztardą!

W taksówce Jamie starała się jeść ostrożnie, żeby nie zostawiać okruszków. Kierowca odwrócił się do Tyny.

- Wiem, że dzieciak nie umie czytać, ale pani? - zapytał.

- Och, przepraszam, nie zauważyłam. - Tina wskazała tabliczkę. - Tu jest napisane, że nie można jeść w tej taksówce. Zaczekaj, aż dojedziemy do Port Authority.

Dworzec Port Authority był strasznie wielkim budynkiem, w którym znajdowało się mnóstwo ludzi. Stanęły w długiej kolejce. Tina cały czas się rozglądała, jakby czegoś się przestraszyła. Kiedy dotarły do lady, zapytała o autobusy do Bostonu. Pan powiedział, że mogą zabrać się tym o drugiej dwadzieścia. Potem ruszył w ich stronę policjant, a Tina odwróciła głowę.

- Och, mój Boże - westchnęła pod nosem.

Jamie zastanawiała się, czy policjant każe wsiąść im do samochodu tak samo jak tamci, którzy zabrali tatusia, on jednak minął ich z daleka. Mama mówiła, że policjanci to przyjaciele, ale dziewczynka wiedziała, że w Nowym Jorku jest inaczej, bo tata i Tina ich się bali.

Teraz doprowadziła Jamie do rzędu ławek, na których siedziało trochę ludzi. Jakaś starsza pani spała z dłońią na walizce.

- Zaczekaj tutaj na mnie, skarbie - powiedziała Tina. - Mam coś do załatwienia, co może potrwać dużo czasu. Dokończ hot doga i coca-colę i nie rozmawiaj z nikim. Jeśli ktokolwiek się do ciebie odezwie, powiedz, że jesteś z tą panią.

Jamie ucieszyła się, że może usiąść i dokończyć jedzenie. Hot dog wystygł. Żałowała, że nie ma na nim musztardy, ale mimo to jej smakował. Przyglądała się, jak Tina wraca do ruchomych schodów.

Czekała długo, bardzo długo. Po jakimś czasie zaczęły jej się kleić oczy i zapadła w sen. Kiedy się obudziła, biegało wokół niej mnóstwo ludzi, jakby się gdzieś spóźnili. Siedząca obok niej starsza pani potrząsała ją za ramię.

- Jesteś sama? - Miała zmartwioną minę.

- Nie, Tina zaraz wróci. Jamie odpowiadała z trudnością, bo wciąż była bardzo senna.

- Długo tu siedzisz?

Jamie nie wiedziała, więc powtórzyła:

- Tina zaraz wróci.

- No to dobrze. Muszę złapać mój autobus. Nie rozmawiaj z nikim, póki Tina nie wróci.

Starsza pani podniosła najwidoczniej ciężką walizkę i odeszła.

Jamie musiała pójść do toalety. Tina by się złościła, gdyby Jamie na nią nie zaczekała, ale ona po prostu nie mogła dłużej wytrzymać bez toalety. Zastanawiała się, gdzie to jest i jak ją znajdzie, skoro nie wolno jej nikogo zapytać. Wreszcie usłyszała, jak kobieta na ławce za nią mówi do swojej przyjaciółki:

- Chodźmy do klopa przed odjazdem.

Jamie wiedziała, że chodzi o toaletę, bo Tina zawsze mówiła: „klop”. Jamie podniosła paczkę ze swoimi nowymi ubrankami i książeczkami, po czym ruszyła tuż za kobietami, by sprawić wrażenie, że jest z nimi.

W środku była masa kobiet, a niektóre miały ze sobą dzieci, więc łatwo było wejść do środka i znaleźć kabinę tak, by nikt nie zwrócił na to uwagi. Jamie umyła ręce i wyszła jak najszybciej z niechlujnej toalety. Po raz pierwszy zauważyła wielki zegar na ścianie. Mała wskazówka stała na czwórce, duża - na jedynce. Znaczyło to, że jest pięć po czwartej. Pan przy ladzie powiedział Tinie, że następny autobus odjedzie o drugiej dwadzieścia.

Jamie stanęła nagle w miejscu, uświadamiając sobie, że Tina w ogóle nie zamierzała zabrać jej ze sobą... Nie zamierzała po nią wrócić.

Dziewczynka wiedziała, że jeśli będzie tu stać, zacznie ją wypytywać jakiś policjant. Nie miała pojęcia, dokąd pójść. Taty nie było w domu, a Tina sobie pojechała. Może gdyby zadzwoniła do mamy, ta przysłałaby kogoś po nią, nawet jeśli była chora. Jamie nie miała jednak pieniędzy. Bardzo chciała zobaczyć mamę. Wiedziała, że zaraz się rozplacze. Była Wigilia, więc ona i mama powinny być razem.

Ludzie wchodzili i wychodzili przez wielkie drzwi w końcu hali. Na pewno można by tędy wyjść na ulicę. Paczka była ciężka. Sznurek, którym ją obwiązano, wrzynał się Jamie w rękawiczki. Wiedziała, co może zrobić. Mieszkanie znajdowało się na rogu Pięćdziesiątej Ósmej Ulicy i Siódmej Alei. Właśnie ten adres Tina i tata zawsze podawali kierowcom taksówek. Jeśli Jamie zdołałaby odnaleźć mieszkanie, mogłaby przejść jeszcze przecnicę dalej, do Central Parku. Wiedziała już, jak

stamtąd trafić do hotelu Plaża. Postanowiła znowu zabawić się na niby. Zamierzała udawać, że razem z mamą przejadą się dorożką po Central Parku i zjedzą obiad w hotelu. Potem pójdą do sklepu z zabawkami po drugiej stronie ulicy, dokładnie tak, jak sobie z mamą zaplanowały. Jamie chciała przejść Piątą Aleją, odwiedzić Dzieciątko Jezus, obejrzeć wielką choinkę oraz wystawy u Lorda i Taylora.

Wyszła na ulicę. Robiło się ciemno, wiatr szczypał ją w policzki. Bez czapeczki było jej zimno w głowę. Jakiś mężczyzna w szarym swetrze i białym fartuchu sprzedawał gazety. Jamie nie chciała, żeby domyślił się, że jest sama, więc pokazała kobietę, która trzymała na rękach dziecko, starając się rozłożyć spacerówkę.

- Chcemy się dostać na róg Pięćdziesiątej Ósmej Ulicy i Siódmej Alei - powiedziała.

- Czekaj, czeka cię długa droga - odparł i machnął ręką. Osiemnaście przecznicy w tę stronę i przecznicy w tamtą.

Jamie odczekała, aż zaczął wydawać komuś resztę, po czym przemknęła przez ulicę i ruszyła Ósmą Aleją - drobna figurka w różowej kurteczce narciarskiej z okalającymi twarzyczkę białozłotymi włosami.

Samolot miał opóźniony odlot i dotarł na lotnisko LaGuardia po godzinie i czterdziestu minutach. Była trzecia, gdy wylądował. Susan przebiegła przez terminal, starając się nie słyszeć radosnych powitań, jakie spotykały innych wysiadających z samolotu pasażerów.

Gdy taksówka przedzierała się z mozołem przez most na Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy, Susan próbowała zapomnieć o tym, że właśnie ten dzień planowały z Jamie spędzić w Nowym Jorku. Było zimno i pochmurno, a kierowca powiedział jej, że znów ma padać śnieg. Osłonę przeciwsłoneczną z przodu pokrywały zdjęcia jego rodziny.

- Po tym kursie zbieram manatki i wracam do domu do dzieciaków. Ma pani dzieci?

Na posterunku czekał na nią w gabinecie niejaki porucznik Garrigan.

- Znaleźliście Jamie?

- Nie, ale zapewniam panią, że patrolujemy wszystkie lotniska i dworce autobusowe. - Pokazał jej zdjęcie z policyjnej kartoteki. - Czy to pani były mąż, Jeff Randall?

- Takie podał nazwisko?

- W Nowym Jorku nazywa się Jeff Randall. W Bostonie, Waszyngtonie, Chicago i tuzinie innych miast przedstawia się inaczej. Wygląda na to, że razem ze swoją dziewczyną udawali parę zamożnych przyjezd-

nych, szukających mieszkania do wynajęcia w Nowym Jorku. Ponieważ mieli ze sobą małą dziewczynkę, ich słowa były bardziej przekonujące. Miał przy sobie bilety lotnicze - zamierzali dziś wieczorem wybrać się do Nassau.

Susan widziała współczucie w jego oczach.

- Mogę porozmawiać z Jeffem?

Nie zmienił się przez miniony rok. Te same kręcone brązowe włosy, te same niewinne niebieskie oczy, beztroski uśmiech, zatroskana i opiekuńcza poza.

- Dobrze, że cię widzę, Susan. Świetnie wyglądasz. Zeszczupłałaś, ale dobrze ci z tym.

Mogliby być parą starych przyjaciół, którzy nieoczekiwanie wpadli na siebie.

- Dokąd ta kobieta mogła zabrać Jamie? - zapytała, zaciskając pięści i obawiając się, że zaraz zacznie go okładać po twarzy.

- O czym ty mówisz?

Siedzieli naprzeciwko siebie w małym, zatłoczonym gabinecie. Nonszalanckie zachowanie Jeffa sprawiało, że kajdanki na jego nadgarstkach mogły się wydawać złudzeniem. Tak kompletnie ignorował policjantów po jego obu stronach, jakby byli statuami. Porucznik nadal siedział za biurkiem; współczucie znikło z jego oczu.

- Czeka cię wystarczająco dużo lat w więzieniu, żebyś chciał jeszcze oskarżenia o porwanie - powiedział. - Myślę, że twoja była żona mogłaby z niego zrezygnować, jeśli dziewczynka natychmiast się odnajdzie.

Jeff nie reagował na żadne pytania, nawet gdy Susan straciła opanowanie i krzyknęła:

- Zabiję cię, jeśli cokolwiek jej się stanie!

Przygryzła dłoń, by stłumić wstrząsające ją szlochy, gdy wyprowadzano Jeffa.

Porucznik zabrał ją do poczekalni. Była tam obita skórą ława i trochę starych magazynów. Ktoś przyniósł Susan kawę. Próbowwała się modlić, ale nie potrafiła znaleźć jakichkolwiek słów. W głowie tłukła jej się tylko jedna natrętna myśl: „Chcę odzyskać Jamie... Chcę odzyskać Jamie...”.

Dziesięć po czwartej porucznik Garrigan powiedział jej, że kasjer z dworca Port Authority przypomniał sobie, iż widział kobietę z dzieckiem, odpowiadającym opisem Jamie. Kobieta kupiła bilety na autobus odchodzący dwadzieścia po drugiej do Bostonu. Policja rozesłała polecenia, by przeszukać go na jednym z przystanków. O wpół do piątej ustalono, że Tiny i Jamie nie było w autobusie. Za kwadrans piąta Tinę za-

trzymano na lotnisku Newark, gdy próbowała wsiąść do samolotu do Los Angeles.

Porucznik Garrigan sił się na optymizm, gdy mówił Susan, czego się dowiedziano.

- Tina zostawiła Jamie w ławce w poczekalni dworca Port Authority. Funkcjonariusz policji dworcowej pełni jeszcze służbę. Przypomniał sobie, że dziewczynka zgadzająca się z opisem wyszła z dwiema kobietami.

- Mogły ją zabrać wszędzie - szepnęła Susan. - Jacy ludzie nie zabrałby zagubionej dziewczynki na policję?

- Niektóre kobiety zabierają zgubione dziecko najpierw do domu i pytają mężów, co powinny zrobić - odrzekł porucznik. - Proszę mi wierzyć, o wiele lepiej, jeśli tak właśnie się stało. Znaczyłoby to, że jest bezpieczna. Nie chciałbym, żeby Jamie wędrowała dzisiaj samotnie po Manhattanie. W święta na ulicę wylęga mnóstwo zboczeńców, rozglądających się za dziećmi, które zgubiły się rodzicom. - Zapewne dojrzał zgrozę na twarzy Susan, ponieważ szybko dodał: - Postaramy się nadać apel przez radio i pokazać jej zdjęcie w wieczornych wiadomościach. Ta cała Tina mówi, że Jamie zna adres mieszkania i numer telefonu. Może zechciałaby pani tam poczekać? To tylko kilka przecznic stąd. Zawieziemy panią radiowozem.

Młody policjant oglądał telewizję w salonie. Susan obeszła mieszkanie i zauważyła miskę z resztą zaschniętych płatków kukurydzianych na stole w kąciku śniadaniowym obok ułożonych w stosik książeczek do kolorowania. Mniejsza sypialnia... Niezaścielone łóżko, odcisk głowy na poduszce. Jamie spała tu tej nocy. Złożona koszulka nocna na krześle... Susan podniosła ją i przytuliła do siebie, jakby miała nadzieję, że dziewczynka się zmaterializuje. Córeczka była w tym pokoju zaledwie kilka godzin wcześniej, ale Susan nie czuła jej obecności.

Krtań jej się zacisnęła, usta drżały, a w piersi wzbierało histeryczne łkanie. Podeszła do okna, otworzyła je i wciągnęła ustami świeże powietrze. Opuściwszy wzrok, zobaczyła ruch na Siódmej Alei. Po lewej stronie przy Central Park South stał równy rząd dorożek. Oczy Susan zamglily się, kiedy ujrzała, jak jakaś rodzina skręca z Siódmej Alei na Central Park South. Matka i ojciec szli z przodu, za nimi maszerowała trójka dzieci. Dwaj chłopcy popychali się nawzajem, mała dziewczynka posuwała się tuż za nimi...

Wigilia. Susan i Jamie miały być tu dzisiaj razem. Zamierzały spędzić razem wyjątkowy dzień. Nagła irracjonalna myśl przemknęła Susan przez głowę: Może Jamie nie poszła jednak z tymi kobietami... Może była gdzieś sama.

Policjant dal się oderwać od telewizora i uważnie zanotował miejsca, które mu podała.

- Zadzwońię do pana porucznika - obiecał. - Przecheszymy całą Piątą Aleję.

Susan schwyciła płaszcz.

- Ja też.

Jamie bardzo bolały nogi. Szła, szła i szła. Najpierw liczyła każdą przecnicę, aż zorientowała się, że na tabliczkach na rogach są numery ulic. Czterdzieści trzy, czterdzieści cztery... Nie podobało jej się tutaj. Nie było ślicznych wystaw w sklepach, a panie, opierające się o ściany czy drzwi, wyglądały podobnie jak Tina.

Jamie pilnowała się, żeby iść blisko tatusiów, mamus i innych dzieci. Nauczyła ją tego mama: „Jeśli się kiedykolwiek zgubisz, zawsze idź z kimś, kto ma dzieci”. Dziewczynka jednak nie chciała rozmawiać z tymi ludźmi. Chciała dalej bawić się na niby.

Wiedziała, kiedy dotarła do Pięćdziesiątej Ósmej ulicy, poznała to po sklepach. Właśnie tu zamawiali sobie pizzę. W tym kiosku tata kupował gazety. Mieszkanie znajdowało się przy tej ulicy.

Jakiś mężczyzna podszedł do Jamie i wziął ją za rękę. Usiłowała mu się wyrwać, ale nie mogła.

- Jesteś sama, prawda, moja droga? - wyszeptał.

Nie chciał wypuścić jej ręki. Uśmiechał się, lecz i tak wyglądał strasznie. Nie mogła dojrzeć jego oczu, tak były wąskie. Miał na sobie brudną kurtkę, a spodnie wisiały na nim luźno. Jamie czuła, że nie może mu się przyznać, iż jest sama.

- Nie - odparła szybko. - Mama i ja jesteśmy głodne.

Pokazała pizzerię, a kobieta, która właśnie stała przy ladzie, popatrzyła w jej stronę i tak jakby się uśmiechnęła. Mężczyzna puścił dłoń Jamie.

- Myślałem, że potrzebujesz pomocy.

Jamie zaczęła, aż przeszedł na drugą stronę ulicy, po czym zaczęła biec ku jej końcowi. Kiedy była trzy domy dalej, zobaczyła, że pod kamienicę, w której ostatnio mieszkała, zajeżdża radiowóz. Przez minutę poczuła przerażenie, że policjanci przyjechali zabrać i ją. potem jednak z radiowozu wysiadła kobieta, weszła do domu, a samochód odjechał. Dziewczynka otarła oczy grzbietem dłoni i powiedziała sobie, że płacz to dziecinada.

Obok kamienicy przeszła ze spuszczoną głową. Nie chciała, by ktokolwiek ją zobaczył, a może zatrzymał i również zabrał do więzienia.

Zakupy były jednak bardzo ciężkie. Gdy Jamie minęła budynek, przystanąła na minutę i wsunęła paczkę za kamienne kwietniki. Może na razie nikt tego nie zabierze. Tak czy inaczej, nawet gdyby ktoś zabrał te rzeczy, i tak nie potrzebowała kostiumu kąpielowego ani szortów. Nie leciała na ba-ha-my.

Bez paczki było o wiele lżej iść. Skręciła na rogu i obejrzała się za siebie; trochę się przestraszyła, bo mężczyzna w wyświechtanej kurtce nadal ją śledził. Była zadowolona, że minęło ją kilkoro ludzi - matka, ojciec i dwóch chłopców. Przyśpieszyła kroku, by iść razem z nimi. Grupka dotarła do rogu i skręciła w prawo. Jamie wiedziała, że powinna pójść właśnie tam, gdyż Central Park był po drugiej stronie ulicy. Patrzyła, jak kilkoro ludzi wysiadło z jednej z dorożek. Od tej chwili mogła wrócić do zabawy na niby.

Susan szła spiesznie Central Park South, zaczepiając kolejnych woźniców. W uprząże koni powplataną wstążki i dzwonki, powoziki ozdobiło czerwonymi i zielonymi lampkami.

Dorożkarze byli chętni do pomocy. Wszyscy oglądali uważnie zdjęcie Jamie z magazynu. „Śliczna dziewczynka... Wygląda jak aniołek”. Wszyscy obiecywali, że będą się za nią rozglądać. W hotelu Plaża porozmawiała z odźwiernym, pracownikami recepcji i kelnerkami z Palm Court. Westybul aż skrzył się od świątecznych dekoracji. W restauracji Palm Court na środku foyer mnóstwo dobrze ubranych par popijało koktajle, zmęczeni ludzie robili w ostatniej chwili zakupy lub pili z zadowoleniem herbatę, jedząc delikatne kanapki.

Susan trzymała magazyn otwarty na stronie ze zdjęciem Jamie. „Czy ktoś ją widział?” - wypytywała bez ustanku.

Ujrzała przez chwilę swoje odbicie w lustrze przy windach. Od wilgoci jej włosy poskręcały się wokół jej twarzy i na ramionach. Była bardzo blada, lecz tak właśnie powinna wyglądać Jamie, kiedy dorośnie. Jeśli dorośnie.

Nikt w hotelu nie przypominał sobie, by widział samotne dziecko. Ostatnim przystankiem Susan był sklep F A O Schwarz. Magazyn z zabawkami był pełen ludzi, robiących zakupy w ostatniej chwili, wyrwywających sobie pluszowe misie, przytulanki i lalki. Nikt nie przypominał sobie pozostawionego bez opieki dziecka. Susan weszła na piętro. Jedna ze sprzedawczyń przyjrzała się z namysłem zdjęciu.

- Nie mogę być pewna. Jestem za bardzo zajęta, ale była tu mała dziewczynka, która poprosiła, by mogła potrzymać przez chwilę szmacia-

na Myszkę Minnie. Ojciec chciał ją jej kupić, odmówiła jednak. Wydało mi się to dziwne. Istotnie, tamto dziecko było uderzająco podobne do tego na zdjęciu.

- Przecież była ze swoim ojcem - mruknęła Susan i dodała: - Dzięki.

Odrzuciła się za szybko, by usłyszeć, że sprzedawczyni myślała, że to oczywiście ojciec małej.

Ekspedientka utkwiała wzrok w idącej w stronę ruchomych schodów Susan. Jeśli się nad tym zastanowić, jakie dziecko, które najwyraźniej chciałoby zabawkę, nie pozwala jej kupić swojemu ojcu? Facet zresztą był jakiś dziwny... Nie zwracając uwagi na natarcywego klienta, sprzedawczyni wybiegła zza lady, by dogonić Susan. Spóźniła się wszakże - kobieta już znikła.

Widok Myszkę Minnie sprawił, że Jamie miała ochotę się rozpłakać. Wiedziała jednak, że nie może pozwolić temu mężczyźnie, aby kupił jej prezent. Przeraziła się, że wciąż szedł za nią.

Teraz ulice nie były już tak zatłoczone i Jamie domyślała się, że wszyscy wracali do domów. Na jednym z rogów ludzie śpiewali kolędy. Przystanąła i zaczęła słuchać. Zorientowała się, że śledzący ją mężczyzna też się zatrzymał. Śpiewające kobiety miały na głowach czepki zamiast kapeluszy. Jedna z nich uśmiechnęła się, gdy kolęda się skończyła. Jamie odpowiedziała jej uśmiechem.

- Nie jesteś sama, dziewczynko, prawda? - spytała wówczas kobieta.

- Jest ze mną mamusia - odrzekła Jamie. W gruncie rzeczy nie było to kłamstwo, bo wyobrażała sobie, że rzeczywiście przyszła z mamą. - Tam stoi - wskazała tłum ludzi oglądających witrynę i ruszyła spiesznie w ich stronę.

W katedrze Świętego Patryka stanęła na środku i rozejrzała się wokoło. Wreszcie znalazła szopkę. Stało wokół niej mnóstwo ludzi, ale Dzieciątka Jezus nie było w żłóbku. Jakiś pan wkładał nowe świece do lichtarzy: Jamie usłyszała, jak któraś z kobiet pyta, gdzie jest figurka Dzieciątka.

- Kładzie się ją do żłóbka podczas pasterki - odpowiedział.

Jamie zdołała znaleźć sobie miejsce dokładnie na wprost żłóbka. Wyszptała modlitwę, którą powtarzała od bardzo dawna:

- Jezu, kiedy przyjdiesz dziś w nocy, przyprowadź ze sobą mamę, proszę.

Do kościoła schodziło się mnóstwo ludzi. Zaczęły grać organy i Jamie zachwycała się ich brzmieniem. Bardzo chciała posiedzieć i odpocząć trochę w tym miejscu, bo było tu miło i ciepło. Jednakże samo powiedze-



nie śpiewającej pani, że Jamie jest z mamą, w pewien sposób uczyniło to niemal rzeczywistością. Jamie postanowiła iść dalej - pod choinkę, a potem do wystaw Lorda i Taylora. Jeśli mężczyzna będzie ją nadal śledził, może wtedy zapyta go, co powinna zrobić. Skoro podobała mu się wystarczająco, że tak długo za nią szedł, może rzeczywiście chciał nią się opiekować.

Susan przyglądała się twarzom mijanych dzieci. Na widok jakiejś dziewczynki krzyk uwiązł jej w piersi: miała złote włosy i czerwoną kurtkę. Nie była to jednak Jamie. Co parę przecznicy ochotnicy w kostiumach Świętego Mikołaja zbierali datki na cele dobroczynne. Susan pokazywała zdjęcie córki każdemu z nich. Na rogu Pięćdziesiątej Trzeciej ulicy śpiewał chór Armii Zbawienia. Jedna z kobiet widziała małą dziewczynkę, która zdecydowanie przypominała Jamie. Dziecko powiedziało jednak, że jest z matką.

Porucznik Garrigan odnalazł Susan w chwili, kiedy miała właśnie wejść do katedry. Podjechał radiowozem. Dojrzała współczucie w oczach policjanta, gdy popatrzył na zdjęcie w jej dłoni.

- Obawiam się, że traci pani czas, Susan - powiedział. - Kierowca autobusu sieci Trailways opowiedział, że dwie kobiety i mała dziewczynka zabrały się z nim kursem o czwartej dziesiątej z Port Authority. Pasuje to do pory, kiedy widział je wychodzące policjant dworcowy.

- Dokąd pojechały? - spytała Susan, czując się, jakby miała wargi z gumy.

- Wysadził je na Pascack Road w Washington Township w New Jersey. Tamtejsza policja ściśle z nami współpracuje w tej sprawie. Wciąż uważam, że mamy szansę na telefon od tamtych kobiet... jeśli to one ją wzięły ze sobą. CBS zgodziło się, żeby wystąpiła pani ze specjalnym apelem tuż przed wiadomościami o siódmej. Musimy się jednak pośpieszyć.

- Możemy pojechać Piątą Aleją pod Lorda i Taylora? - spytała Susan. - Sama nie wiem... Mam po prostu przeczucie...

Uparła się, żeby radiowóz jechał wolno: obracała głowę z boku na bok, przyglądając się przechodniom po obu stronach ulicy. Martwym głosem opowiedziała, że sprzedawczyni u Schwartza widziała dziecko podobne do Jamie, które jednak przyszło z ojcem, oraz o tym, że kołędniczka z Armii Zbawienia zauważyła podobną dziewczynkę, ale ta była z matką.

Susan poprosiła, żeby przystanęli pod sklepem. Ludzie cierpliwie ustalali się w kolejce, chcąc obejrzeć baśniowe dekoracje.

- Po prostu myślę, że jeśli Jamie jest w Nowym Jorku i sobie przypomniała... - Przygryzła wargę. Wiedziała, że w oczach porucznika Garrigana robi z siebie idiotkę.

Mała dziewczynka w niebiesko-zielonym kombinezonie narciarskim. Mniej więcej wzrostu Jamie. Nie. Dziecka prawie nie było widać zza krępego mężczyzny. Przyjrzała się uważnie, po czym potrząsnęła głową. Porucznik Garrigan dotknął jej rękawa.

- Szczerze uważam, że najlepsze, co może pani zrobić dla Jamie, to wystąpić z apelem w telewizji.

Susan niechętnie się zgodziła.

Jamie przyglądała się łyżwiarzom. Krążyli po lodowisku przed choinką jak ożywione lalki. Zanim tata ją zabrał, wybierała się z mamą na łyżwy na staw niedaleko ich domu... Mama kupiła jej łyżwy dla początkujących.

Choinka była tak wysoka, że Jamie zastanawiała się, jak zdołano zawiesić na niej ozdoby. W zeszłym roku ona i mama musiały rozstawić drabinę, żeby ubrać swoje drzewko; Jamie podawała bombki.

Dziewczynka oparła podbródek na rękach. Ledwie mogła wyrzeć przez poręcz na lodowisko. W myślach zaczęła mówić do mamy: „Możemy tu przyjechać na łyżwy w przyszłym roku? Czy moje łyżwy będą jeszcze dobre? A może powinnam je komuś oddać, a ty kupisz mi większe?”. Niemal widziała, jak mama uśmiecha się i mówi: „Oczywiście, pączusku”. A może by zasztortowała: „Nie, raczej wciśniemy ci nóżki w stare buty do łyżew”.

Jamie odwróciła się od choinki. Zostało jej jeszcze jedno miejsce do obejrzenia: wystawy u Lorda i Taylora. Pan i pani obok niej trzymali się za ręce. Jamie pociągnęła kobietę za rękaw.

- Mama prosiła mnie, żeby zapytać, jak daleko stąd do Lorda i Taylora?

Jeszcze dwanaście przecznic. Bardzo dużo, ale musiała dokończyć swoją zabawę na niby. Zaczynał padać coraz gęstszy śnieg. Jamie wsunęła dłonie w rękawy i schyliła głowę, żeby nie leciał jej w oczy. Nie oglądała się, by sprawdzić, czy mężczyzna wciąż ją śledzi - wiedziała, że tak jest. Dopóki jednak szła w pobliżu innych ludzi, nie zbliżał się do niej.

Radiowóz zajechał pod studio CBS przy Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy niedaleko Jedenastej Alei. Porucznik Garrigan wszedł z Susan do środka. Skierowano ich na górę.

- Nazwiemy ten materiał „Zaginiony aniołek”. Damy zbliżenie na zdjęcie Jamie, a potem wygłosi pani specjalny apel - zwróciła się do Susan asystentka reżysera.

Susan czekała w kącie telewizyjnego studia. Miała wrażenie, że coś w niej pęka, jakby słyszała wołający ją głos Jamie. Porucznik Garrigan został razem z nią. Chwyliła go za ramię.

- Niech pan im powie, żeby pokazali zdjęcie. Niech ktoś inny wygłosi ten apel. Muszę wracać. - Ostre syknięcie kazało jej uświadomić sobie, że podnosi głos, który może zostać wychwycony przez mikrofony. Szarpnęła policjanta za rękaw. - Proszę! Muszę wracać!

Jamie czekała w kolejce, przesuwałcej się przed oknami wystawowymi Lorda i Taylora. Dekoracje były tak piękne, jak mówiła mama - jak obrazki z ksiązek z bajkami, poza tym, że postacie poruszały się, schylały i kłaniały. Zorientowała się, że sama do nich macha. Byli to ludzie na niby - prawie tak, jakby rozumieli, że i ona bawi się na niby.

- W przyszłym roku przyjdę tu razem z mamą - szepnęła Jamie.

Chciała tu zostać i nadal oglądać piękne figurki, jak się schylają, obracają i uśmiechają, ale ktoś ciągle powtarzał: „Dziękujemy, proszę się przesuwać”.

Kłopot polegał na tym, że zabawa na niby się skończyła. Jamie była wszędzie, dokąd wybierała się z mamą. Nie wiedziała, gdzie powinna teraz pójść. Czoło miała mokre od śniegu. Odgarnęła w tył włosy i poczuła na głowie wilgotne powietrze.

Nie chciała jeszcze odejść od witryn. Przycisnęła się do sznura, żeby ludzie mogli ją mijać.

- Zgubiłaś się, kochanie, prawda? - Podniosła wzrok. Był to ten sam mężczyzna, który ją śledził. Mówił tak cicho, że ledwie mogła go dosłyszeć. - Jeśli wiesz, gdzie mieszkasz, mogę cię zabrać do domu - zaproponował.

W sercu dziewczynki wezbrała nadzieja.

- Niech pan zadzwoni do mojej mamy, dobrze? - poprosiła. - Znam numer.

- Oczywiście. Chodźmy już.

Wyciągnął do niej rękę.

- Proszę się przesuwać - powtórzył głos.

- Chodźmy - wyszeptał mężczyzna. - Musimy już iść.

Coś niepokoiło Jamie. Nie chodziło tylko o zmęczenie, zimno i głód. Była przerażona. Przywarła do skraju witryny i zapatrzyła się w świąteczne figurki.

- Proszę, proszę, niech mama zaraz przyjdzie - powtórzyła swoją modlitwę do Dzieciątka Jezus.

Radiowóz zahamował.

- Wiem, że pańskim zdaniem oszalałam - powiedziała Susan i urwała, przyglądając się wciąż gęstemu tłumowi pod wystawami.

Zaczynał padać gęsty śnieg, ludzie stawiali kołnierze i wkładali kaptury, owijali się mocniej szalami. W kolejce znajdowało się sporo dzieci, nie sposób jednak było dojrzeć ich twarzy, bo były odwrócone w stronę witryn. Susan otwierała właśnie drzwi, kiedy usłyszała, jak porucznik Garrigan mówi do kierowcy:

- Sam, widzisz, kto stoi w kolejce? Ten obrzydliwy facet, który napastował dzieci i nie stawiał się przed sądem. Idziemy!

Zaszokowana przyglądała się, jak policjanci wypadli na chodnik, przechnęli się przez kolejkę, chwycili za ramiona wychudzonego mężczyznę w brudnej kurtce i pociągnęli go w stronę radiowozu.

I wtedy ją zobaczyła. Małą figurkę, która nie odwróciła się razem z resztą zdumionych gapiów, drobną postać z ufarbowanymi, białozłotymi włosami, wijącymi się wokół znajomych policzków i szyi.

Susan na oślep ruszyła w stronę Jamie. Wyciągnęła stęsknione ramiona, pochyliła się i usłyszała, jak dziewczynka mówi błagalnym tonem:

- Proszę, proszę, niech mama zaraz przyjdzie.

Susan osunęła się na kolana.

- Jamie - szepnęła.

Dziewczynka myślała, że zabawa na niby wciąż trwa.

- Jamie.

To nie było na niby. Jamie obróciła się i poczuła, że znajduje się w objęciach. Mama. Była to mama. Oplotła jej szyję ramionami. Mama objęła ją bardzo mocno i kołysała, powtarzając nieustannie jej imię: „Jamie, Jamie”. Dookoła nich ludzie uśmiechali się, klaskali i wiwatowali. A w bajkowych witrynach piękne lalki kłaniały się i machały rękami.

Jamie poklepała mamę po policzku.

- Wiedziałam, że przyjdiesz - wyszeptała.